Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM
R
G
B
WH
GR
BL
Grey Scale #13
C
M
Y
K
A
M
B
DANES-PICTA.COM

DOŚWIADCZENIA WOJNY

(LATA OKUPACJI).

TEGOŻ AUTORA:

Teorje powstania i przyszłość religji. Warszawa 1905.

Wolna myśl, z przedmową prof. Ignacego Radlińskiego. Warszawa 1907.

O kwestji żydowskiej. Odbitka z „Prawdy". Warszawa 1909.

O postępie w religji. Odbitka z „Prawdy". Warszawa 1909.

Dla przyszłości. Warszawa 1913.

Wysadzone mosty. Odbitka z „Widnokręgu". Warszawa 1916.

JÓZEF WASERCUG

DOŚWIADCZENIA WOJNY

(LATA OKUPACJI)

WARSZAWA 1918 — F. HOESICK

31078/2

Geprüft und freigegeben Presseverwaltung Warschau den 23/VII 1917. T. Nr. 6478. Dr. Nr. 29.

Druk. L. Bruś, Warszawa, Nowy-Swiat 66.

PAMIĘCI OJCA.

PRZEDMOWA.

Książka niniejsza zawiera drobną część artykułów, impresji i feljetonów, drukowanych od dnia 5 sierpnia 1915 roku w szeregu pism codziennych i perjodycznych („Widnokrąg", „Nowa Gazeta", „Wiadomości Polskie", „Głos Stolicy", „Głos" i inne).

Nie wszystko, co się pisze w prasie, ma znaczenie jedynie aktualne. Nie wszystko też w publicystycznej pracy ideowej polega na jej wpływie bezpośrednim na opinję społeczeństwa. Rzecz niejedna może mieć niejaką wartość dokumentu danych czasów, może świadczyć, jakie to sprawy i zagadnienia były na porządku dziennym, jakie przedmioty walk i dążeń, jakie dziedziny zwycięstw i rozczarowań. Prasa współczesna jest pod wieloma względami najbogatszem archiwum naszej epoki. Jeśli chodzi o zbadanie bezpośrednich wrażeń, wywoływanych przez wszystkie donioślejsze fakty chwili bieżącej oraz sposób natychmiastowego ujmowania kwestji aktualnych, źródłem jedynem — prócz coraz rzadszych zresztą pamiętników — są roczniki pism. Kto zajrzy do tych roczników, uprzytomni sobie niezmierzoną ilość spraw, składających się na treść życia zbiorowego, choćby w niewielkiej ramie czasu. Cóż dopiero podczas wojny wszechświatowej! Zarazem stwierdzić mógłby, jakie to poglądy i przewidywania zostały potwierdzone przez dalszą rzeczywistość, jakim zaś sądom, jakim dążeniom, hasłom i programom rzeczywistość ta zaprzeczyła. Lecz do roczników pism zagląda niewielu. Dlatego ogłaszane są często zbiory artykułów w wydaniach oddzielnych.

I w tej książce czytelnik znajdzie wyraz poglądów, popartych przez dalszy bieg wydarzeń dziejowych, znajdzie też pewne przypuszczenia, które okazały się mylnemi. Układając zbiór niniejszy, autor świadomie nie omijał artykułów, zawierających i takie również przypuszczenia. Byłby to bowiem spaczony dokument pracy publi-

cystycznej, która — jak wszystkie prace myśli ludzkiej — podlega prawu nieodzowności błędów i omyłek.

Ażeby ułatwić czytelnikowi odtworzenie sobie wspomnień, związanych z rozwojem wydarzeń wojennych, pod każdym artykułem umieszczona jest data dnia, w którym artykuł ów był drukowany. W tym też celu, rzeczy tu powtórzone, podane są w porządku chronologicznym — nie według dziedzin poszczególnych kwestji i zagadnień.

Zpośród swych artykułów, impresji i feljetonów, autor wybrał te tylko, które poświęcone były faktom, zasługującym — jak mu się wydaje — na dłuższą pamięć.

ROK 1915.

HASŁA WIECZYSTE.

Historyczny moment... Jeszcze pełen tajemnic, pełen znaków zapytania, lecz — wiekopomny. W dziejach stolicy Polski nowa i przełomowa data. Nie wiemy, co nam dalsza przyszłość przyniesie, lecz to czujemy wszyscy, że nadchodzi inne życie, nadchodzą nieprzewidziane rozstrzygnięcia wielu zagadnień, jakie pochłaniały naszą energję, jakim poświęcaliśmy długie lata pracy i walki, bez myśli o tem, że oto nadejdzie ogromny kataklizm i wypowie swoje krwawe słowo potężnej decyzji.

Milkną doktryny i programy, tracą wartość teoretyczne konstrukcje i systematy, — zmiata je burza, grą żywiołów zagłuszając sto logicznych racji i drugie sto niedorzeczności.

Natomiast potężnieją te hasła wieczyste, które wyrażają niewzruszoną, niegasnącą nigdy wolę człowieka, obywatela i narodu.

Im większa przemoc dzieje się na świecie, tem silniejszą jest tęsknota do prawa i sprawiedliwości, im większy ucisk, tem głębsza miłość wolności, im więcej fałszu i kłamstwa, tem mocniejsze pragnienie prawdy.

W naszem społecznem i narodowem życiu trwaliśmy w ucisku, przemocy i fałszu.

W dobie obecnej, o której mówić będą pokolenia przyszłe, jak my dziś mówimy o największych w dziejach ludzkości wydarzeniach, w tych czasach wielkich klęsk, strasznych ruin i stałej niepewności, co dzień następny przyniesie, — rzecz jedna jest nam potrzebna ponad wszystko: wiara, że po tak strasznym wybuchu, fala życia nie wejdzie w dotychczasowe łożysko, lecz je zmieni w formie i budowie, zgodnej z pragnieniami narodów.

Historja się nie powtarza, bo wtedy nie byłaby historją, rozwojem, twórczością, lecz błędnem kołem, poruszanem jednostajną siłą przeznaczenia, bez udziału woli i świadomości ludzkiej. Nie można tedy wyczytać obrazu świata jutrzejszego z recepty historji i przez to usuwać nadzieję na takie nawet zmiany w przyszłości, które mogą nietylko nie zadać kłamu najśmielszym pragnieniom, lecz sprawić, że myśli i sądy, dziś nazywane utopią czy złudzeniem, staną się jutro prawdą rzeczywistą.

W historji świata nie znamy momentu, któryby stanowił ścisłą analogję z tem widowiskiem, jakiego jesteśmy świadkami.

Skutki wojny obecnej muszą być potężniejsze, muszą przynieść głębsze zmiany w życiu narodów, niż kiedykolwiek w przeszłości.

Granie armat, które dziś słyszymy, mówi nam, że cały świat czyni olbrzymi krok naprzód, mimo kulturalnego cofnięcia się w dobie obecnej przez zapanowanie instynktu pomsty i przemocy. Jest to może owo cofnięcie się, o którem mówi Mickiewicz, że człowiek gotujący się do skoku, dla większego rozpędu cofa się o kilka kroków.

Kiedy wybuchła wojna, a wraz z nią wzmogła się nadzieja na nowe i lepsze życie naszego narodu, stawiliśmy sobie to pytanie: czem była Polska przed wojną? Jak żyliśmy i cośmy posiadali? Kto może pragnąć powrotu dawnych czasów, czasów jałowego trwania w bierności i gnuśnieniu? Gorzej, niż nam było, być już nie może. To też lżej przenosimy dzisiejsze cierpienia, wiedząc, że rodzące się Jutro przynieść może zmiany już tylko na lepsze. Uparty i zimny sceptycyzm, który jest wybiegiem ludzi martwych, nie zabije wiary ludzi żywych, pracujących i walczących dla przyszłości, w którą wierzyć muszą, bo ją sami budują.

Europejska wojna zamyka najbardziej ponurą kartę historji naszego narodu. Rozdarty i skrępowany we wszystkiem, co stanowi niezbędny warunek życia normalnego, uciskany zzewnątrz, zdezorganizowany i słaby w urządzeniu wewnętrznem, oddalał się częstokroć od swych świetnych tradycji, schodząc na manowce zarówno w swych poczynaniach politycznych, jak i w swych akcjach społecznych.

Innym jest naród w wolności, innym w długotrwałej niewoli. Niemasz większych dobrodziejstw, niż te, które rodzi wolność. Dobrodziejstw rozumu, prawa i twórczego ducha.

Naród w wolności jest szlachetniejszy i piękniejszy. Rozwija przyrodzone cechy swego genjuszu i roznieca swe boże iskry w wielki blask, zlewający się z duchowem światłem ludzkości.

Jest wolność tem hasłem wieczystem, które skieruje losy świata na inne tory; a narodowi naszemu wyznaczy godne jego wielkiej przeszłości miejsce w rzędzie narodów możnych i samodzielnych. I jeżeli wojna postawi trwały krzyż nad naszą

okrutną przeszłością, to straszne czasy dzisiejsze, mimo cierpienia miljonów, błogosławione będą.

Nastać też muszą i zapanować w wewnętrznem życiu Polski inne racje i zasady. Racje rozumu i zasady sprawiedliwości, również wieczyście słuszne i utrwalone doświadczeniem historycznem wszystkich narodów ucywilizowanych. Wykroczenia przeciw tym zasadom w innej, lepszej przyszłości, zapomniane będą.

Zapanuje wolność narodu i wolność w narodzie.

To nam mówi dziś wojna, jeśli się dobrze w nią wsłuchamy.

5 Sierpnia 1915 roku.

POSTAWA WARSZAWY.

Jeśli latami mierzyć doniosłość wydarzeń dziejowych, to pomiędzy czwartym a piątym dniem sierpnia minęło stulecie.

Jakieś wielkie mosty zostały spalone, — może na to, by Polska zaczęła budować własne mosty zgody i solidarności narodowej. W łunach pożarów stała Warszawa, — może na to, żeby oczy polskie widziały, jak upadłemu narodowi można palić wsie i miasta. Byli jedni — przyszli inni. Może na to, żeby stolica Polski, zmieniwszy jedną połowę wolności, dozwoloną i zalecaną przez tamtych, co odeszli, mogąc teraz o nich mówić nieskrępowane słowo prawdy, — nauczyła się tej wolności pełnej i całkowitej, którą żyć będzie Jutro. Żeby wiedziała, że część prawdy jest zawsze fałszem, jak część oddechu jest zawsze niezdrowiem.

Za tamtych czasów Warszawa miała chwile złudzenia, że część wolności jest wolnością całą i wielu niewolników czyniło tragikomiczny gest wyzwoleńców, zapatrzonych tylko w jedną stronę i wierzących, że jedynie stamtąd „gojące popłyną balsamy", jak to śpiewał Trembecki w odzie ku czci „Minerwy" Katarzyny.

Przodownicy o schylonym karku uczyli miasto, jak się z rachunku politycznego robi modlitwę narodową. I modlili się w czadzie wschodnich kadzideł z wiarą bez granic, bez rozumu, bez godności.

Kiedy ze Wschodu szedł chłód, bólu zimnym sercom nie sprawiał, natomiast każdy promyk światła zdawał im się być słońcem, — że mrużyli swoje chore oczy. Nie powiedzieli: chodzi tu o pacta conventa, chcemy się z wami ułożyć i obliczyć, jak dwie potęgi, dwa pany, dwie wole. Lecz powiedzieli: oto macie duszę naszą, będzie wam białą kartą, na której wypiszecie wasze nakazy i dary.

I poszli z własnej woli z tymi, co odejść musieli. Wśród pożarów wsi polskich i pożarów polskich fabryk.

. . . . . .

Wczesnym rankiem wyległy tłumy na ulice Warszawy, by zobaczyć, jak się zamyka jedna karta krwawych dziejów narodowych, od jakich słów i obrazów zaczyna się druga i co sądzono stolicy polskiej przeżyć jeszcze — przed nastaniem Dnia, kiedy z widza cudzych wysileń przeistoczy się w twórczynię własnego szczęścia, w Panią swego narodu.

Warszawa patrzała... Z natężoną ciekawością. Na nowe rzeczy, nowych ludzi, nowy dzień...

Lecz panował spokój, była powaga... I godność. Zbiegli prowodyrzy nie zaszczepili duszy miasta swych niewolniczych uczuć. Wspaniały objaw. Świadczy nietylko o zmyśle praktycznym, lecz i o tem, że zwycięża instynkt polityczny narodu, który chce być sobą i tylko sobą.

Naród może być albo jak trzcina, którą wiatr pomiata, albo jako wiatr, który pomiata trzciną. Niech będzie pomny na słowa Lelewela: „Serce jest ostatnią, jedynie niezdobytą twierdzą każdej narodowości".

Niech zachowa godność nadal, do ostatka. Bo godność jest siostrą wolności.

6 Sierpnia 1915 r.

POKRAJANY DZWON. [1])

Był dzwon. Dzwon wielki, ciężki i donośny. Kiedy bił, drżało powietrze Warszawy...

W środku miasta, na najpiękniejszym placu publicznym, zawieszony na wysokiej wieży — groźny i władczy, bił dzwon Wschodu — na chwałę panom kraju.

I kołysał ich do snów o potędze bez granic, o wieczystem panowaniu nad podbitym narodem.

Grzmiał i huczał, zagłuszając dzwony polskich kościołów...

Grzmiał i gromadził na Saskim placu gromady przybyszów, — żeby wiedzieli, że tu mogą zawsze wobec Boga i ludzi świadczyć o swym *sławnem prawie* zwycięzcy, że tu najlepiej, najgłośniej mogą swoje święta świętować.

A na znak, że tak być musi już po wieczne czasy, dzwon był w wieżę wmurowany...

Lecz stało się coś strasznego. Ruszyła się inna potęga i idzie ku dzwonowi. Zadrżał, rozkołysał się... Bił w dniu wypowiedzenia wojny, bił w dniach zwycięstwa, bił w dniach klęski. Bił do ostatniego tchnienia.

Wróg się zbliżał... Co będzie z dzwonem?

Z trwogą i nieprzytomni wdarli się na wieżę... Zdjąć i zabrać w całości nie można. Był wmurowany na wieczne czasy, Co czynić? Wróg go przetopi na kule! Więc pokrajać, pokrajać...

Pokrajali na cztery części i opuszczają na linach.

Lecz znowu stało się coś okropnego. Pękły liny. Tysiącopudowa część dzwonu padła z łoskotem, już miast grania, wydając z siebie ostatni głuchy trzask.

Padła i wryła się głęboko w ziemię — w grób — że tylko część wystaje boleśnie. Ostra i poszczerbiona, jak złe zęby.

Leży w ziemi. Czy jest jej ta ziemia polska lekką? Może tam widzi synów Polski, którzy przedwcześnie zginęli. Padła

[1]) *Przypisek późniejszy:* W dniu 4 sierpnia 1915 roku saperzy rosyjscy z największym pośpiechem usiłowali zdjąć wielki dzwon z wieży cerkiewnej na placu Saskim. Dzwon krajano za pomocą prądu elektrycznego.

w pięćdziesiątą i pierwszą rocznicę stracenia Traugutta, Żulińskiego, Jeziorańskiego, ostatnich członków Rządu Narodowego.

. . . . . .

Zmienne są losy dzwonów. *Panta rei, panta rei* . . .

. . . . . .

Dzwoń, Zygmuncie!

7 Sierpnia 1915 r.

BIAŁE PLAMY.

Patrzałeś, czytelniku polski, na białe plamy w szpaltach naszych artykułów i zadawałeś sobie pytanie, co też tam było napisane? Czytałeś po raz wtóry zdania, poprzedzające te plamy i starałeś się dośpiewać sobie ciąg dalszy . . .

Na te białe miejsca patrzałeś zawsze z uwagą, one przedewszystkiem rzucały ci się w oczy, one ci sprawiały przyjemność, choć były puste i milczące.

Wiedziałeś, że milczeniem mówią: tu są myśli zakazane, myśli polskie. I dużo było tych białych plam, bo dużo jest polskich myśli zakazanych.

Miałeś słuszność, czytelniku, żeś się tym miejscom przyglądał z uwagą. To właśnie były najbielsze, najczystsze miejsca na sumieniu publicysty polskiego. To były ciężkie i zmudne wysiłki naszych mózgów, to były mozolne próby przeciśnięcia się poprzez szczeliny muru cenzury rosyjskiej, — to były przedmioty naszego niepokoju: „czy puszczą" i przedmioty naszego smutku: „biała plama" . . .

Czasem długie godziny zastanawialiśmy się, jakby tu można było porozumieć się z tobą, czytelniku, w najważniejszych sprawach narodowych, jak ci coś choćby szepnąć do twego czujnego ucha, choć o czemś napomknąć . . . I napisało się . . . Może *on* nie zrozumie, może będzie pijany lub zaspany, a może się poprostu zapłaci za ten drobny, nikły ułamek wolności słowa polskiego. Niekiedy nam się udawało. Najczęściej — niszczono nam pracę i szarpano nerwy . . . Lecz nie ustawaliśmy w tych próbach. Więc białych plam było dużo.

Czasami — i tak bywało, czytelniku — wyzwalaliśmy się z pod władzy upiora cenzury i pisało się, co każe serce i co każe rozum. To potem już nie znajdowałeś białych plam i plamek, lecz całe kolumny puste...

A czasami... czasami pisaliśmy dla siebie samych. Bo były rzeczy, których nawet dla próby nie można było posłać do cenzury, ale musieliśmy je pisać. To była nasza przyjemność, czytelniku, nasza ulga...

Wybacz nam. Wiedz, że „biada, kto daje ojczyźnie pół duszy".

* * *

Lecz coś jeszcze, prócz białych plam, musiało cię uderzać, już nie zaciekawiać, lecz męczyć i oburzać. To te nasze okropne wynalazki stylistyczne, te omówienia, te ciężkie i zawiłe okresy, to wszytko, cośmy pisali zamiast jednego wyrazu: wolność.

Czytałeś o „Polsce samorządnej" i o „Polsce własnorządnej", o „samostarczalności politycznej" i o „zrównaniu w prawach z innymi narodami", o „podstawach nieskrępowanego bytu" i o „gwarancjach normalnego rozwoju życia narodowego". I to wszystko zamiast jednego wyrazu: niepodległość.

Takeśmy cię, czytelniku, tym stylem potwornym nękali i nużyli. Wiedz, że nam stokroć ciężej było tak pisać, niźli tobie czytać.

Chcieliśmy cię niekiedy rozgrzać ogniem naszego ducha i serca, — a tyś musiał czytać słowa blade i zimne, słuchać mowy ubogiej i koszlawej.

A przecież...

Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posągby mój stał, stworzony głoskami
Z napisem *patri patriae*. Jest to nowa
Krytyka. — Stój! Ten posąg błyska skrami.
Spogląda zgóry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki.
Otocz go lasem cyprysów, modrzewi,
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same, jak dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy, na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola,

Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą...
A przecież chcemy wraz z królem słowa polskiego
. . . . . aby ten język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem...

To nam teraz wybacz, czytelniku, żeśmy tak kaleczyli naszą ukochaną, cudną mowę polską.

10 Sierpnia 1915 roku.

NA WOZACH.[1])

Już pierzchły te straszne obrazy... Przetrzyjmy oczy...

Czy to był sen, czy też naprawdę życie jest tak potworne?

Sznury wozów. Na wozach ludzie i cały ich dobytek... Wygnano ich z siedzib, a siedziby spalono. Nie dano pozostać, choćby przy zgliszczach.

A kiedy chłop polski stanął na progu izby, rozpostarł ręce i z miejsca nie ruszał, — pchano go bagnetem kozackim — na poniewierkę, na zmarnowanie...

Niech zginie, bo oni, *oni* chcą bronić ziemi polskiej...

— Gdzie jedziecie, gospodarzu?

— Ano nie wiem. Przed siebie...

Wymażmy z pamięci wzrok tego chłopa — wzrok niedoli bez granic. Wymażmy z pamięci, bo inaczej nie można spokojnie żyć i spokojnie myśleć.

Jedzie wóz z dziećmi. Dwoje trzyma ojciec na kolanach, trzecie umieścił w wiadrze, czwarte, starsze, powozi.

— A gdzie matka?

---

[1]) *Przypisek późniejszy:* W ciągu ostatnich dni lipca i pierwszych dni sierpnia 1915 roku przez ulice Warszawy ciągnęło setki wozów z ludnością i jej dobytkiem, z bliższych i dalszych okolic Warszawy.

— Matka jechała z najmłodszem — przy piersi. W drodze się dziecku zmarło. Tośmy je pochowali przy drodze. Matka stała długo na tem miejscu i nie dała się ruszyć. Potem zaczęła się śmiać. Kiedyśmy ją ciągnęli do wozu, wyrwała się i uciekła w las. A to było w nocy. Szukaliśmy długo. Gdzieś zginęła. A nam kazano jechać dalej.

Biedna matko! Gdzieżeś jest?

Jechały tysiące ludu polskiego — we wszystkie strony, bez ładu i celu, nie wiedząc, dokąd je gna los okrutny i do czego powrócą?...

A po drodze marły im dzieci, które już nie zobaczą szczęśliwej i spokojnej ojczyzny.

. . . . . .

Jadą wozy z ludem żydowskim.

Wieczny tułacz znowu spełnia swoje przeznaczenie. Uchodzi gdzieindziej. Z klątwą w duszy i z przerażeniem w oczach. Albo już bez przerażenia, tylko w strasznem, niewymownem zmęczeniu...

Niechaj się zbiorą sami mistrze słowa i niechaj probują opisać bezmiar męki i ogrom tragedji żydowskiego ludu w czasie wojny! Będzie to obraz blady i nieudolny.

Tropiony jak zwierz, ścigany, jak przestępca, gnany, bity, mordowany, — wspomniał lud żydowski na najkrwawsze karty swej historji, które się znowu powtórzyły.

. . . . . .

A oto jadą wozy osobliwe...

Żydzi i chrześcijanie pospołu. Usadowili się razem i razem jadą, pomagając sobie wzajemnie w nieszczęściu.

Niedolo ludzka, nie znasz wyznań!

Już na wygnanych żydów nikt nie patrzy, jak na szpiegów, których racja wojskowa każe usunąć z terenów bitew...

Pędzone są wszystkie stany i wyznania.

Tak kazały prawa kozackie.

Więc trzeba sobie nawzajem pomóc. Więc powstała wspólna sprawa. Teraz, we wspólnych łzach niech zginą wzajemne urazy, a jednaka rozpacz niech będzie jednako nagrodzona przez wszystkie radości lepszego Jutra.

11 Sierpnia 1915 r.

SĄDY POLSKIE.

Panowała nad nami przemoc, a sądzili nas wrogowie.

Wyroki ferowali ludzie obcy. Słano ich do nas na służbę bezprawia i samowoli. Słano najgorszych, w systemie ucisku najbardziej wypróbowanych, w służalstwie i pokorze dla swych zwierzchników najlepiej wyćwiczonych.

W sprawach politycznych robili, co chcieli. To nie były sądy, lecz dzieło ciemięzców, któremu trudno dać nazwę.

Nie znali sądzonych, ich duszy, ich życia, ich obyczajów. Litera prawa była dla nich martwa, a człowiek tylko czemś, co należy ukarać, jak dla grabarza, dla którego człowiek jest tylko czemś, co trzeba chować.

Dla uczuć polskich nie mieli miłosierdzia. Tęsknota do wolności narodu była dla nich zbrodnią. Polak patrjota, który ważył się dać publiczny znak swych pragnień narodowych, był sądzony narówni ze złodziejem i rzezimieszkiem.

Tak nas sądzili lat całe dziesiątki. Może się kiedyś tę martyrologję spisze w wielu tomach na wieczną potwornej rzeczy pamiątkę, która potwierdzi prawdę wieczystą i niezłomną, że sprawiedliwość tam tylko istnieć może, gdzie naród sam siebie sądzi i sam sobie prawa dyktuje.

„Pomimo zdarzeń i zmian politycznych — pisał Heylman w swej „Historji organizacji sądownictwa w Kr. Polskiem“ — sądownictwo zachowuje zawsze swe wewnętrzne żywotne zasady, bo bez względu na rozmaite kształty rządów i zewnętrzne rysy porządku sądowego, urzeczywistnienie sprawiedliwości wymaga w każdym rządzie stałej jednej zasady: że przed obliczem sprawiedliwości niema żadnej różnicy ludzi i że zdanie sędziego jest niezawisłe“.

Oblicze sprawiedliwości rosyjskiej było u nas krwawe, prawa sądzonych nierówne, a zdanie sędziego zawisłe od zdania żandarma.

A co czynił obrońca polski?

Przemawiał, jak do głuchych, usiłował wzruszyć zimne jak lód sumienia... Niekiedy chciał, by jego mowa obrończa była jak lira amfiońska, która porusza kamienie. Lecz tak mówić nie mógł w obcym mu języku. Jakże tedy mógł być tym, któremu Juvenalis dał nazwę: interpres legum sanctissimus, którego

zawód sławił Justynian mówiąc: quamvis tam magno, tam necessario, tam sancto officio...

Sancto!... Cóż to powołanie święte — obrony człowieka — zdziałać mogło w kleszczach bezprawia? Ciężka i niewdzięczna była twoja rola, obrońco polski! Iluż to ludzi niewinnych, których broniłeś gorąco, męczy się dotychczas w więzieniach rosyjskich?

Pamiętajcie o nich, sędziowie, wkraczający w progi sądu polskiego!

Jeszcze niedawno, dwa miesiące temu, znany prawnik polski, J. J. Litauer, we wstępie do swych „Fragmentów z dziejów polskiego sądownictwa porozbiorowego" pisał: „Jeśli z popiołów, które ziemię naszą gęsto zasłały, polskie sądownictwo, jak Feniks nanowo powstanie i odrodzi się do życia"...

Powstało. Już w gmachach sądów rozbrzmiewa mową polska. Oskarżony będzie rozumiał słowa sędziego, a sędzia mowę obrońcy. Niechże tu zapanuje duch sprawiedliwości, ze wzgardą i wstrętem odwrócony od wszystkiego, co się przez tyle dziesiątków lat w tych samych ścianach odbywało.

Niechaj tu już nie będzie złych sędziów i takich obrońców, z których szydził Mecherzyński, że „byli wyćwiczeni we wszelkiego rodzaju obroty i wybiegi, szermowali wymową, która im służyła za oręż obosieczny do rozprawiania się zaczepnie i odpornie w jakiejkolwiek słusznej lub najprzewrotniejszej sprawie", lub „jeno dla próżności z dokumentami juris i membranami w ręku ożywiali sobie genjusz, który im usta rozwiązywał".

Żeby zaufać swoim sądom, naród musi odczuć, że tu się odradzają duchy Mikołaja Reja, Jakóba Niemojowskiego, Marcina Zborowskiego, Stanisława Sędziwoja, Czarnkowskiego, Odachowskiego [1]) i tylu innych mężów sprawiedliwych, w których dawna, wolna Polska obfitowała już przed czterema stuleciami.

Pierwszym krokom ku odrodzeniu sądów polskich towarzyszy wiara narodu, że od pierwszej chwili przyświecać im będą przewodnie gwiazdy prawdy i sprawiedliwości [2]).

12 Sierpnia 1915 roku.

---

[1]) Dwóch ostatnich Mecherzyński porównywa z Cyceronem („Historja wymowy w Polsce", Kraków, 1858).

[2]) *Przypisek późniejszy.* W roku 1915-tym polskie sądy obywatelskie urzędowały od dnia 5 Sierpnia do dnia 11-go Września.

ORGANIZACJA.

Wojna powołała do pracy publicznej wielkie rzesze obywateli. Po opuszczeniu Warszawy przez władze rosyjskie, rzesze te zwiększyły się kilkakrotnie i liczą już dziś dziesiątki tysięcy pracowników społecznych.

Jest coś wspaniałego w tej niepospolitej żywotności narodu, która pozwala mu z szybkością błyskawiczną wznieść gmach samopomocy w najważniejszych dziedzinach społecznego życia, ratować je, wzmacniać, utrzymywać w możliwym ładzie i porządku.

Komitet Obywatelski z dziesiątkami sekcji i komisji, milicja, straż, zarząd miasta, sądownictwo — wszystko to wymaga ogromu pracy, poświęcenia i zdolności.

Mimo stu wad i tysiąca braków, nieodłącznych przy każdej nowej i wielkiej, z tak niesłychaną szybkością stworzonej pracy, Warszawa na drodze organizacji społecznego życia dokazała cudów! Cudów tem większych, żeśmy się w żadnych instytucjach rządowych, w żadnych urzędach miejskich nie wychowywali, a ze wszystkich najbardziej odpowiedzialnych placówek byli przez najeźdźcę gorliwie usuwani.

Byliśmy tylko rządzeni i dezorganizowani.

Inicjatywę społeczną tłumiono nam w samym zarodku, każdy czyn pożyteczny hamowano i paczono, byle tylko nie było zbyt dużo zdrowia i siły w tym narodzie, który się na to podbiło, żeby go niszczyć, wyzyskiwać i okradać.

Tym, co nami rządzili, potrzeba było tyle tylko naszych sił, by móc z nas wysączyć wszystkie soki żywotne, tyle życia, ile trzeba na spełnianie ich rozkazów, tyle myśli, ile trzeba, by rozumieć ich interesy, ich wolę i kaprysy.

Nad miastem panował leniwy łapownik, w biurach urzędów publicznych siedział społeczny wyrzutek, a we wszystkich dekasterjach władzy państwowej — urodzony korupcjonista.

Jego herbem była marka stemplowa, jego sztandarem — nahajka, jego świątynią — szynk.

Jeżeli nas czego uczyli, to tylko chyba tego, czem są rządy potworne i haniebne.

A jednak, mimo braku wszelkiej praktyki i wszelkiego doświadczenia, wielki zastęp obywateli potrafił odrazu stanąć do wytężonej pracy, ująć ster spraw publicznych i nieść społeczeństwu pomoc obywatelską w strasznych czasach dewastacji życia narodowego.

Okazało się, że mamy wielu świetnych organizatorów, prawdziwe talenty w urządzaniu instytucji społecznych, ludzi dzielnych, pracowitych i energicznych, ludzi szczerego entuzjazmu i gorącej duszy.

Ta praca ma dla przyszłości narodu doniosłość olbrzymią. Tu nie chodzi tylko o owo „sadzenie kartofli", o które toczył się spór w dwóch wczorajszych pismach pomiędzy Bohdanem Straszewiczem i Wacławem Sieroszewskim, z których pierwszy wynosi tę czynność ponad wszystko, — drugi, obniżając jej wartość w obliczu dziejowych wydarzeń, widzi jedyną rację i jedyny sens w walce czynnej o wolność narodu. Spór to nierzeczowy, bowiem dwie te sprawy nie wyłączają się, lecz, przeciwnie, wzajem się winny dopełniać.

Zaś w dzisiejszej pracy społecznej — powtarzam — nie chodzi tylko o „sadzenie kartofli" lecz o sprawę istotnie wielką: o uzdolnienie narodu do rządzenia się sobą.

* * *

Lecz im bardziej cenimy tę pracę, tem lepiej powinniśmy pamiętać, że opiera się ona dotychczas na podstawach, które nie są silne i nie mogą być długotrwałe.

Są to podstawy autonominacji.

Znajdują one swoje usprawiedliwienie w warunkach, w jakich powstawały, kiedy największą każdej akcji zaletą była jej samorzutność i natychmiastowość. Należy też pamiętać, że powstawaniu różnych organizacji towarzyszyły usilne zabiegi do niedawna panującego stronnictwa, które dążyło do obsadzenia wszystkich placówek społecznych i kulturalnych wyłącznie swoimi ludźmi, stawiając — jak zawsze — partyjny interes ponad dobro ogółu. Wyniki zresztą tych zabiegów już teraz w znacznej mierze osłabły i stosunki pod tym względem zmieniają się na lepsze.

Autonominacja, zrozumiała i usprawiedliwiona w pewnych, wyjątkowych warunkach, jest rzeczą wysoce niebezpieczną, skoro przestaje być chwilową i nabiera cech stałości. Prowadzi do skutków jaknajgorszych. Rodzi czyny samozwańcze, wywołuje z konieczności grę drobnych koterji i ambicji, usuwa wiele sił społecznych, ogółowi pożytecznych i niewyzyskanych, stwarza szkodliwe typy wszędobylskich.

Jeśli praca nasza na drodze urządzenia społecznego i narodowego życia ma się doskonalić, wzmacniać i bogacić, jeśli ma być coraz potężniejsza i owocniejsza, — to stawać się może taką jedynie po przez całkowity zanik zjawiska autonominacji, dając tem samem pole do pełnej inicjatywy społecznej najszerszych warstw narodu.

Nasze nowe organizacje muszą tedy przejąć się duchem zasad demokratycznych i wtedy zdobędą głębokie i trwałe podstawy, wtedy czynić będą zadość potrzebom różnych warstw społeczeństwa, spełniać najlepiej ich wolę, dbać najgoręcej o ich żywotne interesy.

Jeżeli dotychczas praca w nowych instytucjach Warszawy przyniosła tyle dobra i pożytku, cóż dopiero wtedy, kiedy się w tym właśnie duchu zreformuje.

„Do nas należy — rzekł Juljusz Słowacki — w ruchach i czynnościach naszych przedstawić krajowi takie formy, któreby mu w olbrzymiej walce o wolność szybko zjednoczyć się i zorganizować dopomogły".

Takie formy wytworzyć się mogą tylko przez ustanie wszelkich akcji samozwańczych, wszelkiej stronności i koterji, przez wykorzystanie wszystkich zdolności i talentów, gotowych służyć sprawie publicznej, — przez powszechne powołanie do pracy wszystkich sfer i warstw narodu.

13 Sierpnia 1915 roku.

PIERWSZY SYGNAŁ.

Rozległ się pierwszy sygnał do gry wysoce niebezpiecznej. Jakiś p. Kapłun-Kogan daje z Berlina żydom polskim nowy znak orjentacyjny i — „z całym naciskiem zaznacza“, że Warszawa „nie jest już miastem czysto polskiem“.

Takie same znaki, jeno w kierunku odwrotnym, dawano do niedawna żydom tutejszym z Petersburga i Odesy, skąd szła zaraza polityczna, szerzona gorliwie przez wszystkich wrogów Polski. Dzieło tej zarazy zostało gwałtownie przerwane. Nie może się teraz przecisnąć poprzez front bojowy. Propaganda rosyjskości wśród żydów, haniebna w swym entuzjazmie i miłości dla kraju pogromów i praw wyjątkowych,—praca znikczemniałych niewolników, kornie przyjmujących krwawe razy od swego władcy i nieustających w służeniu jego państwowym i politycznym interesom, — ta propaganda ustała wraz z całym jej gorszącym wpływem na układ stosunków polsko-żydowskich. Jeśli nie była doszczętnie niszczona przez właściwą postawę żydowskiego ludu, który w swem tragicznem położeniu nie mógł się zdobyć na należytą odporność i bezwzględną wrogość dla propagatorów rosyjskości wśród żydów w Polsce, — to wszelkie wysiłki emisarjuszów Wschodu zatamowała nowa linja okopów, pozostawiając po tamtej stronie frontu zawiedzione nadzieje pp. Żabotińskich.

Tak czy inaczej, ich praca ustała. Możemy nad nią przejść do porządku dziennego.

Sygnał p. Kapłun-Kogana jest stokroć bardziej niebezpieczny. Pochodzi z kraju, w którym żydzi mają prawa człowieka i obywatela, — nie tworzy więc tego haniebnego zgrzytu, jaki istniał pomiędzy ideologją żydów rosyjskich, a ich ludzkiem i obywatelskiem położeniem w Rosji. Jest kokieteryjnym i kuszącym znakiem pod adresem żywiołów społecznie i narodowo nieuświadomionych.

Jaki efekt wywołają tego rodzaju głosy, które rozlegać się mogą coraz częściej, w to narazie nie wchodzimy. Będzie to zależało od bardzo wielu ważkich czynników, które się złożą na nowy stan i nową fazę kwestji żydowskiej w Polsce oraz całkiem inne metody jej regulowania. Stwierdzić tylko chcemy, że głos

p. Kapłun-Kogana nie nadaje się do dyskusji. Nie dlatego tylko, że po temu obecnie nie pora, nie dlatego, że kwestja żydowska w swej politycznej treści pozostaje z konieczności w pewnem zawieszeniu, — lecz dlatego, że są niektóre rzeczy pozadyskusyjne. Warszawa jest miastem polskiem — i na to nie potrzeba przytaczać żadnych dowodów, żadnych dat historycznych, żadnych statystycznych tablic. Bez względu na to, ile i jakich żydów mieszka w stolicy Polski, jest to stolica Polski, — a wszelka w tej mierze dyskusja jest śmieszna i niedopuszczalna.

A już nawet wspominać nie potrzeba, jakie uczucia żywią w tej sprawie nietylko żydzi spolszczeni, lecz i ci wszyscy, którzy w stosunku do najdroższych praw Polski zachowywali i zachowują postawę lojalną.

Słusznie powiedziano w jednym z pism wczorajszych, że „nigdy nie znajdzie się ani jeden Polak na świecie, któryby dał sobie wytłomaczyć, że kto godzi na ten charakter ukochanej stolicy, nie wypowiada jeszcze wojny całemu narodowi polskiemu".

Jest rzeczą ważną i nieodzowną, aby tę prostą, jasną prawdę odczuli głęboko wszyscy żydzi, tu mieszkający, bez względu na wszelkie różnice przekonań i politycznych aspiracji. Ażeby zrozumieli, że ta prawda jest nietykalna i bezapelacyjna.

Sześćset lat bytowania na ziemi polskiej powinny na to zrozumienie wystarczyć.

20 Sierpnia 1915 roku.

„JEŻELI WRÓCĄ".

— „A cóż będzie, jeżeli Rosjanie powrócą?"

Z wielu stron słyszymy to pytanie. Stawiane jest jako przestroga dla tych, którzy dziś mówią prawdę o rządach rosyjskich w Polsce i dają pełny, nieskrępowany wyraz najistotniejszych pragnień narodu. Stawiane jest, jako zarzut, że się wytwarza nastrój w społeczeństwie, za który potem Rosja będzie się mściła przez nowe udręki i prześladowania.

Tu i owdzie słychać szepty lęku, półsłówka zdziwienia, znaki sceptycyzmu:

— „Przecież nic jeszcze niewiadomo... Wszystko może się zmienić... Mogą wrócić, lepiej zachować rezerwę, lepiej czekać. Jeśli wrócą, będzie jeszcze gorzej — więc lepiej milczeć...

Oto zarzut. Nic dziwnego. Niewola wżarła się w mózgi i sumienia. To jej dzieło najstraszniejsze.

Żyć zawsze w pokorze i strachu, bo nigdy nic niewiadomo!...

Milczeć, zachowywać rezerwę i trwać w nieustannej bierności, bo przecież jeszcze nic nie wiadomo!

Tak. Niewiadomo. Ale jedno musi być wiadome: czego się chce i do czego się dąży. I o tem trzeba mówić głośno, wykorzystać każdą chwilę, kiedy to powiedzieć można, bez względu na to, jaką będzie ta niewiadoma przyszłość.

Tedy mówimy właśnie, czem była nasza niewola, jak tu nami najeźdca rządził i poniewierał — i co to jest wolność, którą naród zdobyć musi, jeśli nie chce pozostawać w wiecznem pohańbieniu i rozdarciu.

Kiedy naród pobity pada — jest nieszczęśliwy i bledną jego dobre gwiazdy, lecz wtedy dopiero zaczyna się jego konanie i hańba, kiedy dobrowolnie leży.

Na wielkie szczęście, rozbudziła się już w Polsce głęboka i niezłomna wola niepodległego istnienia i dlatego przyszłość Polski *jest* wiadoma, choćby jeszcze całe lata na szalach europejskich wojen ważyć się miały losy państw i narodów, choćbyśmy zmienne koleje wojny przeżywać mieli jeszcze parokrotnie.

A jeżeli teraz rzucamy słowa gniewu, to nie dla taniej ulgi i nie dla taniej pomsty, lecz żeby dać głośny, powszechnie usłyszany znak, że prostujemy nasze karki i oczyszczamy sumienia, żeśmy nie niewolnicy, których opuścił pan i władca, lecz naród, który sam się rządzić chce i potrafi.

Jest jeszcze wśród nas wielu takich, którzy wylęknionymi oczyma patrzą na jeden z największych przewrotów świata i ciężką, leniwą myślą obliczają przyszłość na metę dni czy tygodni i wedle takich obliczeń normują swoją bezpłodną rezerwę. Oszu-

kani w tej rezerwie już sto razy, oszukują się po raz sto pierwszy. Nie dość na tem. Czepiają się śmielszych rąk z lękliwą przestrogą: jeszcze za wcześnie, oni mogą wrócić...

Przypuśćmy, że mogą, choć się nie chce w to wierzyć. Gdyby mimo wszystko możliwym był ich czasowy powrót, — to niech tu znajdą inną, nową postawę narodu, która dawne prawa i dawne rządy uczyni bezpowrotnie minionymi. Niech wreszcie dobrze zrozumieją, że tu żyje naród, który przemocy i ucisku znosić nie chce i nie będzie. Niech nie będą z nas „zadowoleni", bo toby znaczyło, że się zdajemy na ich łaskę i niełaskę, że dobrowolnie staczamy się w przepaść, że giniemy, stawiając krzyż nad wszystkiem, co dla narodu jest drogie i święte.

24 Sierpnia 1915 r.

SZKOŁA.

Wola młodzieży, nie cofającej się przed żadnemi przeszkodami i gotowej na wszelkie ofiary, wspaniały upór młodości, walka poprzez strejk i społeczną zawieruchę, postawa harda i zdecydowana, — to, co się nazywa nierozwagą lub szaleństwem, stworzyło dla narodu instytucję zpośród niezbędnych najbardziej nieodzowną, sam fundament narodowego życia — szkołę polską.

Marzenie o szkole narodowej przekazywane było jako święty testament przez młodzież kilku pokoleń. Było pielęgnowane i podsycane w tysiącach kółek uczniowskich, w tajnych organizacjach i nielegalnych pisemkach, w cichej i nieustannej pracy pozaszkolnej, która stanowiła konieczną i zbawczą odtrutkę niweczącą wpływy wszelkiej iłowajszczyzny na nasze dziecięce umysły.

Tę pracę niszczyć usiłował i niemiłosiernie prześladował duch Apuchtina, marzącego o czasach, kiedy to „matki polskie nad kolebkami swych niemowląt będą nuciły rosyjskie piosenki". Żeby się tak stało, żeby zdusić i podeptać duszę polską, stworzono i przy pomocy całego aparatu barbarzyńskiego państwa prowadzono moralną, a w latach dawniejszych i fizyczną katownię, jaką była u nas szkoła rosyjska.

I chyba każdy, kto kończył szkołę rosyjską wtedy, kiedy jeszcze szkoła polska nie istniała, może powtórzyć za Józefem Piłsudskim: „Dla mnie stosunki te, ta ciągła trwoga i ciągłe kłamstwo były czemś okropnem. Cały czas w szkołach cierpiałem okropnie. I nawet długo potem, gdy nawiedzała mnie we śnie zmora, to przybierała kształty rosyjskiego nauczyciela“.

Wstępowaliśmy do szkoły rosyjskiej z uczuciem trwogi, przebywaliśmy w niej wśród atmosfery nienawiści, a opuszczaliśmy jej mury z wielką ulgą, pełni najokropniejszych wspomnień z tych lat, które wszędzie na świecie są najmilsze i najpiękniejsze.

Szkoła polska, powtarzamy, była stworzona przez wolę młodzieży i to właśnie zapewniło jej byt, bowiem szczery zapał i gorąca tej młodzieży wiara, budziły w społeczeństwie coraz głębsze przekonanie, że uczelnia narodowa powstać i utrzymać się może, mimo najcięższe warunki materjalne i mimo wszystkie inne przeciwności.

Rząd rosyjski ustąpił, bo ustąpić musiał. W chwili krytycznej, jego oficjalni przedstawiciele, przerażeni „buntem“ młodzieży, zaczęli odgrywać komedję życzliwości dla „sprawiedliwych żądań polskiego społeczeństwa“ — jak to się wyraził ów słynny Szwarc na jednym z wieców warszawskich w r. 1905.

Przy zakładaniu pierwszych podwalin szkoły polskiej, z niemniejszym niż młodzież zapałem, stanął do warsztatu swojej wzniosłej pracy nauczyciel polski i z prawdziwem poświęceniem prowadził dzieło oświaty narodowej.

Wielkich zastępów młodzieży nie zrażało to, że ze swej szkoły wynoszą świadectwo, na którym specjalnym, dużym, obowiązkowo nakazanym drukiem, widniały słowa: „nie korzysta z praw i przywilejów, przysługujących na mocy prawa szkołom rządowym lub zrównanym z niemi“.

Według spisu, dokonanego przez dyr. Kujawskiego, już po czterech latach w r. 1909 istniało w Królestwie Polskiem z górą 100 średnich szkół żeńskich i męskich. Ogółem wtedy już w szkołach męskich kształciło się 19.741 uczniów, w żeńskich 11.477 uczennic. Cyfry te z roku na rok rosną w sposób zaiste imponujący. Wzrost nie słabnie nawet w roku 1911, kiedy szko-

le polskiej groziła dezorganizacja z powodu „manifestu“ Narodowej Demokracji, znoszącego hasło bojkotu szkoły rosyjskiej.

W r. 1913-tym, w samej Warszawie istniały 24 męskie zakłady naukowe z 7.847 uczniami, zaś w 60 uczelniach żeńskich pobierało wykształcenie 9.653 uczennice. Ogółem w Królestwie Polskiem było w r. 1913-tym 199 szkół polskich z 44.000 uczniów.

Za okres swego dziesięcioletniego istnienia szkoła polska wydała z górą 6.000 maturzystów.

Przy ocenie tych wyników trzeba mieć zawsze na uwadze, że cała sprawa szkolna opierała się wyłącznie na inicjatywie prywatnej. W tych warunkach rozwój szkoły polskiej jest zaiste zadziwiający. Słusznie pisał przedwcześnie zmarły Jur Kamieński, że szkoła polska jest jednym z największych czynów narodowych, dokonanych przez nas w bieżącym stuleciu.

Hasło bojkotu szkoły rosyjskiej, słuszny i znakomity czynnik karności narodowej, nie zdołało jednak skupić całej uczącej się młodzieży w murach szkół polskich. Stały temu na przeszkodzie warunki materjalne, bowiem szkoła polska, oparta na wysiłkach prywatnych, była z konieczności droższa od rosyjskiej, utrzymywanej przez rząd. Lecz obecnie ta młodzież, która z bólem chodziła po „naukę“ do urzędników rosyjskich, będzie mogła zrównać się ze szczęśliwymi kolegami w prawach do narodowej oświaty. I dobrze czynią teraz przełożeni szkół, że nie szczędzą im wszelkich ułatwień, stawiając nad tą sprawą krzyż zapomnienia.

Szkoła polska, do ostatniej chwili pobytu Rosjan w Królestwie, krępowana rozmaitemi przepisami i zastrzeżeniami, musi się ostatecznie otrząsnąć ze wszystkich dawniejszych naleciałości opieki rosyjskiej, musi zapomnieć o dawnych normach i przepisach, które warunkowały jej legalne istnienie. Co się tyczy poruszonej świeżo kwestji języka rosyjskiego, którego wykład polecony został przez Wydział Oświecenia zarówno w szkołach średnich, jak i niższych (!), to uważamy polecenie takie za conajmniej nieodpowiednie. W szkołach początkowych uczenie języka obcego jest sprzeczne z zasadami pedagogiki, w szkołach zaś średnich zarówno cele ideowe jak i praktyczne zgoła nie uzasadniają tego postanowienia. Należy tu zerwać z wszelkim

oportunizmem, niwecząc wszystkie węzły z dawnemi tego rodzaju tradycjami [1]).

Nie wszystkie jeszcze szkoły w Warszawie wyzwoliły się z nakazanych dawniej regulaminów i wskazówek cyrkularzy, — niektóre z nich utrzymują np. w mocy przepis o normie procentowej dla żydów, obowiązujący szkoły, którym na mocy pozwolenia Mikołaja Mikołajewicza nadano w lutym 1915 roku prawa wojskowe.

Czy szkoła polska w dobie odrodzenia i najlepszych na przyszłość perspektyw, będzie się trzymała przepisów, odmawiających komukolwiek prawa do oświaty polskiej?

Ten i ów właściciel szkoły może kontynuować u siebie system praw wyjątkowych, skoro mu na to pozwala jego sumienie i jego rozum. Lecz polskie władze szkolne — i w tej mierze mamy już miarodojne informacje — sprawę tę postawią inaczej, w sposób jedynie godny wielkiego dzieła narodowej oświaty.

Rosja opierała się na ciemnocie i — pada. Polska, która powstaje, oprzeć musi swoją siłę, swoje zdrowie narodowe na oświacie, dostępnej dla wszystkich tej oświaty spragnionych. Niemasz tu miejsca na różnice wyznaniowe. Kto się garnie do szkoły polskiej — ten daje wdzięczną okazję do zwycięstwa polskości nad inną kulturą. Rzeczą polskości jest zwyciężać dobrodziejstwami oświaty i zataczać coraz szersze kręgi swoich wpływów.

Gwarancją rozwoju szkoły polskiej mogą być jedynie zasady szczerze demokratyczne. Warunki dotychczasowe utrudniały wstęp do szkół średnich młodzieży zpośród warstw uboższych.

---

[1]) *Przypisek późniejszy*, Dnia 27 sierpnia 1915 r. na nadzwyczajnem zebraniu Krajowego Wydziału Oświecenia powzięto uchwałę następującą: „Uwzględniając poważne głosy naszego społeczeństwa, tudzież biorąc pod uwagę otrzymane wiadomości o położeniu szkół w prowincjonalnych miastach Królestwa Polskiego, Wydział Oświecenia zmienia treść swych zarządzeń, wydanych na okres przejściowy w okólnikach z dnia 18 sierpnia 1915 r. w punktach dotyczących języka rosyjskiego, w sposób następujący: 1) W szkołach elementarnych nauka języka rosyjskiego zostaje usuniętą z programu normalnego całkowicie już obecnie. 2) W szkołach średnich nauka języka rosyjskiego zostaje utrzymana dla tych uczniów i uczennic, których rodzice będą sobie tego życzyli".

Nietylko do średnich. Brak nam jeszcze tych tysięcy szkółek elementarnych, które nauczą czytać i pisać zgórą cztery miljony analfabetów. Tu stoimy wobec ogromnego, najważniejszego zadania. Tu naród musi się zdobyć na wysiłek tytaniczny. Dowiódłszy swej żywotności w tylu sprawach, zrodzonych podczas wojny, mamy prawo wierzyć, że zdobędziemy się i w tej dziedzinie na czyny świetne i wielkie.

Niechaj nowe pokolenie młodzieży, wychowane w uczelniach polskich, wyda z siebie zastęp pożytecznych obywateli, który swoją pracą, walką i twórczością powetuje narodowi długie lata stracone w niewoli. A opuszczając mury szkoły polskiej, niech powtórzy już wygłoszone serdeczne i wdzięczne słowa: „Błogosławiona bądź, szkoło nasza! „Byłaś nam powiernicą i opiekunką, wiodłaś nas pewną ręką swoich kierowników ku czystej wiedzy i ku wszystkiemu, co szlachetne, wszczepiałaś w nas zdrowe, obywatelskie ziarno, nauczyłaś miłować rzeczy godne miłości i miłość tę czynem stwierdzać“ [1]).

24 sierpnia 1915.

PADAJĄCE TWIERDZE.

Nelson mówił: „Jeżeli nie wiem, czy wydać bitwę czy nie wydać, wydaję bitwę”.

I zwyciężał.

Dowódcy armji rosyjskiej powiadają: Jeżeli nie wiem, czy poddać twierdzę, czy nie poddać, poddaję twierdzę.

I przegrywają strasznie, ponoszą klęski, jakich świat nie widział.

Nemezis dziejowa wali w Rosję piorunami, niszczy, kruszy jej potęgę—że trudno zrozumieć, co się to dzieje i co się jeszcze stać może z kolosem, który zajmuje szóstą część lądu kuli ziemskiej! Panika czy epidemja buntu? Zdrada czy przeraże-

[1]) „*U wrót życia*“, książka zbiorowa, wydana w 1911 r. przez maturzystów szkół polskich.

nie? Może żołnierz rosyjski powiedział: „Dosyć“, karabiny ustawił w kozły i założył ręce? Może zaczyna nucić swoją pieśń o „dubinuszce“?

Nie zdążyła jeszcze Rosja odetchnąć po upadku jednej twierdzy, a już pada druga, trzecia... Sześć twierdz w ciągu jednego miesiąca! Cóż gotuje przyszłość?

Wróg, sam się chyba dziwiąc, że jest potężny jak huragan, w zwycięstwach szybki jak błyskawica i straszny jak potop — zapytać się może niedługo: co jeszcze zdobywać?

W rosyjskiej Grenadzie zaraza. Jedna została nadzieja: błoto. Już osłabł i zbuntował się żołnierz, już męczy go szalony pościg, już podarte wszystkie dawne plany i wyliczenia sztabów,— więc może jeszcze te pińskie błota odegrają rolę zbawczą, może one będą ostatnią deską ratunku ginącej potęgi rosyjskiego wojska?

Cała Rosja patrzy na te błota.

Już padły twierdze z żelaza i betonu. Lecz stoją jeszcze inne: od błot pińskich do brzegów Oceanu Spokojnego stoją nienaruszone twierdze despotyzmu.

Lecz oto walące się twierdze dają straszny sygnał. Ich pożar rzuca na Rosję krwawe światło wielkiej rewolucji. Nieodzownej, jak Fatum i potężnej jak robotnik, który robi amunicję i pewnego dnia przy warsztacie nie stanie.

Czy na pożytek odnowionej Europy Rosja zapali się płomieniem buntu swoich plemion i narodów? Czy zaraza wśród wojska ogarnie cały lud? Czy wśród tych klęsk i pogromów przeistoczy się Rosja od fundamentów do szczytów?

Na jednym z rewolucyjnych zebrań miał niedawno powiedzieć Kierenskij: „Teraz albo nigdy“!

„Teraz, teraz, teraz!” — huczą armaty niemieckie.

27 sierpnia 1915.

STRONNICTWA POLITYCZNE.

Nasze życie polityczne powstawało i w ciągu długiego szeregu lat rozwijało się w dusznej atmosferze podziemnej konspiracji. Posiadało też wszystkie cechy i właściwości tych warunków, zarówno w swojej treści ideowej, jak i w swych metodach organizacyjnych.

Warunki tajnej pracy i walki, rodząc wybuchowe czyny rewolucyjne i patrjotyczne, jakie w perspektywie dziejowej były dotychczas na pochmurnym horyzoncie polskiego życia jedynie krwawemi migawkami, po których bojownik i patrjota schodził znowu w podziemia, — te warunki nie mogły w należytem tempie urabiać świadomej i głębszej myśli politycznej szerszych warstw narodu

Instytucje i pisma legalne, które były pośrednim łącznikiem pomiędzy ukrytemi kuźniami politycznych haseł, a ogółem społeczeństwa, przemawiały do tego ogółu półsłówkami i niedomówieniami, dawały mu tylko znaki mimiczne, które mógł zrozumieć jedynie bardziej roztropny obywatel.

W samej zaś pracy konspiracyjnej, prowadzonej z narażeniem osobistej wolności, a częstokroć i życia, rozbitej z konieczności na drobne grupy, kółka i tryby, niezłączone we wspólnych maszynach politycznej walki, — nie mógł się odbywać naturalny dobór polityczny, odpowiadający normalnemu podziałowi według ideologji, dążeń interesów poszczególnych sfer i klas społeczeństwa, jakoteż potrzebie łączenia się na gruncie wspólnej walki o wyzwolenie narodowe.

Poza różnicami rzeczywistemi, które muszą dzielić każde społeczeństwo na obozy i stronnictwa polityczne, warunki pracy podziemnej stworzyły szereg różnic sztucznych i niemal nieuchwytnych, które jednak utrwalały się z wielką uporczywością, rozbijając stronnictwa na sekty i przeistaczając programy polityczne w coraz bardziej dalekie od życia dogmaty. Działo się tak wskutek braku stałego kontaktu z opinją szerokich mas narodu, której nie można było należycie odczuć ani też ująć w mocne kadry swych programów.

Mimo jednak wszelkie braki i ułomności, tam, w tej pracy podziemnej, biło najsilniej tętno dążeń społecznych i narodowych,

tam właśnie od dziesiątków lat, powoli lecz wytrwale urabiała się polska myśl polityczna, zmierzająca poprzez rozmaite zygzaki i zboczenia do świadomych, wielkich zwycięstw. Mimo że ośrodki pracy konspiracyjnej skupiały nieznaczną część społeczeństwa — stanowiły jednak jego ideowy rdzeń, sanctuarjum wiary i nadziei, fundament poświęcenia i bohaterstwa, stawiany pod gmach nowej i lepszej przyszłości.

I tylko ludzie przygłusi i krótkowzroczni, nie znający dobrze swego społeczeństwa, mogli sądzić, że istotna treść naszego życia politycznego lat ostatnich wyraża się jedynie w reakcji i demagogji, usankcjonowanej i popieranej przez rząd rosyjski.

Obozy polityczne, działające pod zaborem rosyjskim całkiem jawnie, w ciągu swego dziesięcioletniego istnienia nie przyczyniły się w najmniejszej nawet mierze do pogłębienia i uzdrowienia politycznej świadomości ogółu.

Grupy postępowe mogły odgrywać pewną rolę tylko w t. zw. latach wolnościowych, t. j. wtedy, kiedy żywioły skrajnie opozycyjne wywalczały i podtrzymywały nieco lżejsze warunki jawnej walki społecznej. Wkrótce jednak, wraz z klęską rewolucji i gwałtowną jej likwidacją ze strony rządu rosyjskiego, organizacje postępowe malały i nikły, zaś w szczególności postęp warszawski karlał, wynaturzał się, aż w końcu sam ulepił bezprzykładną karykaturę swego dawnego oblicza.

Stronnictwa reakcyjne albo apoteozowały bierność polityczną — jak to czyniło Stronnictwo Polityki Realnej, albo też szerzyły haniebną demoralizację i uprawiały oportunizm, graniczący z zaprzaństwem i zdradą. Rządy Narodowej Demokracji były w swych skutkach objektywnych najwdzięczniejszym sprzymierzeńcem rządów rosyjskich w Królestwie, — przez odwracanie opinji społeczeństwa od wszelkiego zła, płynącego z warunków niewoli politycznej i skierowywanie całej energji myślowej ogółu w stronę walki z „niebezpieczeństwami wewnętrznemi", które ssano z palca lub świadomie wyolbrzymiano do potęgi, grożącej narodowi niechybną zagładą.

Wreszcie wszystkie te grupy, frondy i secesje, które stanowiły szereg formacji pośrednich pomiędzy skrajną reakcją i skrajną opozycją — były słabe i chaotyczne, nie wywierały silniejszego wpływu na opinję społeczną i nie odgrywały roli

czynnika pewnej równowagi w układzie stosunków politycznych, możliwej zresztą jedynie wśród normalnie organizujących się i wolnych narodów.

* * *

Wybuch wojny wzmocnił nadewszystko nasze polityczne krańce. W podziemiach zawrzała wytężona i gorączkowa praca. W samej Warszawie w pierwszych miesiącach wojny wydawano, prócz dziesiątków rozmaitych odezw i proklamacji, kilkanaście nielegalnych perjodycznych pism, które rozchodziły się w wielkiej ilości egzemplarzy. W tej pracy jednak nie odbywał się proces całkowitej niwelacji sztucznych różnic. Każde pismo było organem innej partji, nawet wtedy, kiedy pomiędzy grupami niepodległościowemi nastąpiły już zasadnicze porozumienia. Obecnie, wskutek możności wyjścia z podziemnych mroków na światło dzienne, które wywrze najbardziej dobroczynny wpływ na cały układ naszych stosunków politycznych, będą niewątpliwie zanikały te nieracjonalne przegrody, jakie dzieliły niemal jednakowe w treści i dążeniach, a już całkiem identyczne w swych celach organizacje.

Zjednoczenie Postępowe po wybuchu wojny podkreślało jedynie swój brak jakiegokolwiek znaczenia.

Najbardziej paradoksalnym, dziwacznym i całkiem spóźnionym tworem był założony w czasie wojny Klub Demokratyczny, Powstał i skupił wokół siebie nieliczne żywioły, pozbawione wszelkiego zmysłu orjentacyjnego i zdradzające nieprawdopodobną ignorację w ocenie politycznego położenia. Krótki żywot tego klubu opierał się na nieporozumieniu.

Działalność Narodowej Demokracji w czasie wojny, wszystkie jej czyny, z tragikomicznemi „Drużynami", niemiłej pamięci Komitetem Narodowym i „komisją polsko-rosyjską" na czele, cały ten bezmiar hańby został już należycie i wyczerpująco scharakteryzowany.

Wojna powołała też do życia cały szereg nowych stronnictw pół-oficjalnych, których narodziny i dzieje wraz z perypetjami t. zw. „Bloku" nie złożyły zbyt świetnego świadectwa o naszem wyrobieniu politycznem. Zjednoczenie Narodowe, Grupa Pracy Narodowej, Grupa Radykałów Narodowych, Zwią-

zek Inteligencji Niepodległościowej i t. d. i t. d. — wszystkie te ugrupowania były dotychczas niewątpliwie dodatnim objawem budzenia się politycznej myśli społeczeństwa, wszakże mieć mogą jedynie wartość przemijającą, jako organy przedwstępnej pracy, urabiającej i organizującej opinję ogółu. Takim objawem dodatnim być przestaną, jeśli utrwalą się w swych mglistych i często nieuchwytnych rozbieżnościach.

Tu przychodzi nam na myśl owo świetne i pouczające wydarzenie, jakie miało miejsce w Krakowie dnia 3 sierpnia roku ubiegłego. Opisał je Wacław Sieroszewski w słowach następujących: „Około godziny 3-ciej wśród ustawionych naprzeciw siebie Strzelców i Drużyniaków, pojawił się Piłsudski w czapce strzeleckiej, maciejówce, przyjął raport i odbył szczegółowy przegląd żołnierzy, poczem wygłosił krótką, energiczną przemowę tej treści: „Odtąd niema ani Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie oznaki poszczególnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą dawne oznaki, jako symbol zupełnej zgody i solidarności, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki". Po skończonej przemowie oddał Piłsudski znaczek naczelnikowi Drużyn, a jego blaszkę przypiął do swojej czapki. Wielu z nich uczyniło to samo. Wzruszenie było powszechne i ogromne: niedawni przeciwnicy i współzawodnicy ściskali się ze łzami w oczach. Potem utworzono wspólne szeregi".

Ileż to naszych kółek i grupek powinno iść za przykładem owych Drużyniaków i Strzelców i tylko jedno uczynić: zamienić swoje znaczki...

W pierwszych miesiącach wojny padło hasło „partji Ojczyzny", rzucone przez Świętochowskiego. Było puste i fałszywe, jako sprzęgnięte z jednostronną orjentacją polityczną i z prowadzącą na najgorsze manowce redukcją aspiracji narodowych. „Partja Ojczyzny" była nadto jawnem szyderstwem, rzuconem pod nogi tym wszystkim, którzy wierzą w odrodzenie ojczyzny niepodległej, a wiary tej nie opierają na obietnicach rosyjskiego „zjednoczenia".

Tylko w obronie niepodległości narodowej lub w dążeniu do tej niepodległości można tworzyć „Partję Ojczyzny", jaką też w chwili wybuchu wojny stworzyli u siebie Niemcy, Francuzi, Belgijczycy...

W dobie obecnej, pod względem politycznym całkiem nowej, może powstać Partja Ojczyzny — nie pod hasłem kłamliwem i z wodniczem, lecz jako naczelny organ, łączący wszystkie grupy i odłamy społeczne, które stoją wyraźnie na gruncie dążeń do niepodległości narodowej.

W tym kierunku czynione są już odpowiednie usiłowania. Bodajby jaknajrychlej uwieńczone były skutkiem pomyślnym. Tego wymaga wielka chwila obecna, a każdy dzień zwłoki może być dla sprawy narodowej niepowetowaną stratą.

29 sierpnia 1915.

ROBOTNIK.

Pięć tysięcy podpisów na memorjale, złożonym przez delegację robotników Komitetowi Obywatelskiemu m. Warszawy — to jeden z dokumentów, świadczących dobitnie, że już nie wśród drobnych odłamów klasy robotniczej, lecz w szerszych jej warstwach wzrasta i krystalizuje się świadomość tych potrzeb, które domagają się jaknajszybszego zaspokojenia.

Poprzez nawał spraw bieżącej chwili przedziera się głos robotnika, by poruszyć opinię społeczną i przekonać ją nareszcie, że jego sprawa należy do najważniejszych, jakie nietylko wysuwa doba wojny, lecz jakie zawsze stanowią splot naczelnych zagadnień społecznego i narodowego życia.

Jedno z tych zagadnień naczelnych, które się nazywa sprawą robotniczą, w świadomości szerokich warstw narodu nie było dotychczas przedmiotem głębszej troski, nie rodziło też poważnych, na większą skalę zakrojonych wysileń społecznych. Było spychane na plan dalszy i pozostawiane opiece jedynie obozów skrajnie rewolucyjnych, jeśli nie brać pod uwagę raczej eksperymentów, niż twórczych dążeń, ze strony t. zw. demokracji chrześcijańskiej z jej zbożnie filantropijną i klerykalną akcją.

I tylko wtedy, kiedy na widnokręgu naszego społecznego życia, zaczęły się ukazywać groźne znaki, zwiastujące rewolucyjną burzę, — sprawa robotnicza budziła powszechny niepokój. Zaś po okresie krwawej zawieruchy, która i robotnikowi przyniosła więcej krzywdy, niż pożytku, — po powrocie do pozornego ładu i pozornej ciszy, zapomniano znowu o klasie robotniczej, nie zdając sobie sprawy, że to tylko narazie uciszył się niewygasły wulkan. Jak dalece nie rozumiano doniosłości kwestji robotniczej, tego dowodem, że w ciągu całego szeregu lat, odezwał się w tej kwestji na trybunie Dumy rosyjskiej głos posła polskiego jeden jedyny raz, — głos p. Żukowskiego, który zresztą nikogo nie zadowolnił.

A cóż dopiero mówić o stosunku władz rosyjskich do tej sprawy? Niemal wyłącznym jej regulatorem ze strony rządu była działalność ochrany, policji i żołdactwa, uśmierzającego robotnicze bunty.

Pozbawiony wszelkiej opieki państwowej, wszelkich instytucji racjonalnie normujących klasowe i zawodowe jego interesy, daleki od wpływów nowoczesnej kultury społecznej, która już wszędzie w Europie wypracowała i ustaliła zagwarantowane prawem warunki jego pracy, — robotnik podsycany był ustawicznie do bezwzględnej walki, prowadzonej bezładnie i chaotycznie, pod hasłami rozbieżnych doktryn, metod i najbliższych celów oraz w atmosferze wzajemnej nienawiści partji socjalistycznych.

W takim stanie rzeczy stosunki między robotnikiem i pracodawcą, wiecznie naprężone i nienormalne, nie wkraczały nawet na drogę tych porozumień, które stanowić muszą zasadnicze podłoże ewolucyjnego procesu kwestji robotniczej oraz tworzyć mocne gwarancje normalnych warunków pracy przemysłowej.

Organizacje robotnicze, które na Zachodzie uznane są i popierane przez państwo, jako nieodzowne składniki racjonalnej struktury ekonomicznego życia, były u nas tłumione lub całkiem wzbronione. Jak wszystkie najdonioślejsze sprawy nasze, tak i sprawa robotnicza nosiła piętno zdezorganizowanego i rozbitego życia narodu, który, trwając w tej dezorganizacji i rozbiciu, nie mógł budować tych urządzeń społecznych, jakie gdzieindziej zapewniają społeczeństwu kulturalny ład i dobrobyt.

Robotnik nie miał swych należycie zorganizowanych związków zawodowych, które z każdego stanowiska uznane być muszą jako niezbędna instytucja, kształcąca świadomego swych praw i interesów obywatela; nie miał swych domów ludowych, uniwersytetów popularnych, bibljotek i czytelni, swych miejsc rozrywek i wytchnienia po pracy. Nie posiadał niemal niczego z tych zdobyczy, które robotnika zachodnio-europejskiego wznoszą na wyższy poziom kultury, zarówno w jego pracy zawodowej, jak i w jego dążeniach obywatelskich. To też pozostawał na poziomie upośledzonego parjasa, którego należy tylko nakarmić, jak sądzą jedni, lub który stanowi jedynie podatny materjał agitacyjny, jak sobie to inni wyobrażają.

Wynikiem takich warunków był, po wybuchu wojny, wadliwy stosunek organizacji samopomocy społecznej do klasy robotniczej. Głośne perypetje w organizacji kuchen robotniczych oraz liczne i płonne próby nawiązania normalnego i dla stron obojga pożądanego stosunku, — stwierdzały wymownie, że sprawa nie jest należycie postawiona. Błędem pierwszym i zasadniczym było niepowołanie do wspólnej pracy reprezentantów tej klasy, która najdotkliwiej odczuwała wszystkie skutki społecznego i ekonomicznego wstrząsu, jaki sprowadziła wojna. Najmniejszy kryzys, brak materjałów, zatamowanie rynków zbytu, wreszcie ewakuacja całych fabryk — wszystko to wyrzucało na bruk wielotysięczne rzesze bezradnych i pozbawionych spokojnego jutra robotników.

Organizacja społeczeństwa tylko wtedy stanąć może na wysokości zadania, a już szczególnie tak wielkiego, jak w dobie obecnej, jeśli tworzą ją i prowadzą reprezentanci wszystkich klas i warstw społecznych. Inaczej, nawet przy najlepszej woli, dzieło tej organizacji będzie tamowane i paczone przez ustawiczne błędy i nieporozumienia. Żadna klasa nie może być wyłącznie przedmiotem takiej lub innej, dobrowolnej opieki czy łaski, lecz wszystkie winny współtworzyć gmach społecznej samopomocy. Wtedy dopiero gmach ten oprze się na mocnych i trwałych fundamentach.

Zasada ta od chwili wybuchu wojny nie była przestrzegana w stosunku do klasy robotniczej. W wielki krąg pracy obywatelskiej robotnik nie został wciągnięty i dlatego jego potrze-

by nie są zaspakajane w sposób należyty i nawet w dzisiejszych okropnych warunkach możliwy.

Wielce dodatnim zjawiskiem jest przychylny stosunek przedstawicieli miasta do obecnych przedłożeń delegacji robotniczej. Wyrażono zgodę na przedstawicielstwo robotników w Komitecie Obywatelskim i jego sekcjach, uznano za szłuszny udział ich w inspekcji fabrycznej i giełdach pracy, nadto zgodzono się na utworzenie przy K. O. sekcji spraw robotniczych, któraby skupiała w swem ręku działalność K. O., będącą w związku z organizacją robotniczego życia.

Jeśli się te sprawy ułożą pomyślnie, będzie to poważne ulepszenie wielkiej szkoły samodzielności społecznej, jaką dziś przechodzimy.

Przy odbudowie poszarpanego życia narodowego, obok męża stanu, polityka i pedagoga, obok przemysłowca i włościanina, ma i robotnik swoją doniosłą pracę do spełnienia.

4 Września 1915 roku.

NOWA FAZA.

Jest w Księgach Pielgrzymstwa opowieść o niewieście, która leżała w letargu i do której syn wezwał lekarzy.

„Rzekli wszyscy lekarze: „Wybierz jednego z nas, aby ją leczył“. Rzekł jeden lekarz: „Ja będę ją leczył podług nauki Browna“. A drudzy odpowiedzieli: „Zła to jest nauka, niech lepiej w letargu leży i umrze, niż gdybyś ją miał leczyć metodą Browna“. Rzekł drugi: „ja będę ją leczył podług nauki Hanemanna”. Odpowiedzieli drudzy: „Zła to nauka, niech lepiej umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Hanemanna”. Tedy rzekł syn: „Leczcie jakkolwiek, byleście ją wyleczyli”. Ale lekarze nie chcieli zgodzić się, jeden żadnym sposobem nie chciał ustąpić drugiemu. Tedy syn z żalem i rozpaczą zawołał: „O matko moja!“ A niewiasta na ten głos syna obudziła się i wyzdrowiała. Lekarzów wypędzono.“

Tak odmalował Mickiewicz swoje marzenie o głosie narodu, wskrzeszającego leżącą w letargu Ojczyznę, o głosie jedno-

litym, który zagłuszy wszelaki spór i wszelką rozbieżność w sądach nad drogami wiodącemi ku odrodzeniu i wolności.

Słowa wieszcza, przełożone na mowę polityczną, określają podstawę dążeń narodowych: wytworzenie naczelnej, kierowniczej siły politycznej, wzniesionej ponad teorje i metody poszczególnych stronnictw, opierającej się na tem, co je wszystkie łączy, a nie dzieli i zapewniającej zwycięstwo w dążeniach do narodowej niezawisłości.

Wytworzenie takiej siły nie jest nigdy niemożliwe, jest jednak niekiedy niewymownie trudne.

Nad sprawą polską, jasną i prostą, jeśli chodzi o jej rozwiązanie idealne i z wolą narodu zgodne, kłębią się od zgóry stu lat ciężkie chmury, ową jasność przyćmiewające i dotychczas jeszcze nie rozproszone, mimo że wojna tak potężnie zmienia atmosferę polityczną świata. Droga, prowadząca do rozwiązania sprawy polskiej, jest już oświetlona wzrastającą wolą narodu i coraz głębszą świadomością wspólnego celu, wszakże jeszcze niewolna od różnych tam i zapór, zasłana niejednym jeszcze cierniem. Jest ich dziś nieporównanie mniej, niż było wczoraj; dziejowe wydarzenia przechylają szale wojny na naszą korzyść, lecz nie dają jeszcze sprawy naszej doskonałego rozstrzygnięcia.

Stoją przed nami różne możliwości i perspektywy polityczne. Stosunek naszych pragnień podstawowych do tych perspektyw rodzi też różne i rozbieżne metody dążeń i taktyk, różne wskazania polityczne — od postawy wyczekującej, poprzez rozmaite stopnie umiarkowania i kompromisu aż do stanowiska bezwzględnego nieprzejednania.

Nietylko jednak w dziedzinie teorji i rozważań politycznych, lecz i na terenie samego czynu nie ustały nasze rozbieżności.

W dniu 4 bieżącego miesiąca Departament Wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego ogłosił w Warszawie, znaną już w innych miastach, odezwę w sprawie werbunku. Odezwa wzywa wszystkich Polaków zdolnych do służby wojskowej, by wstępowali do Legjonów polskich, w bój przeciw Rosji i dla „krzesania zapomnianego prawa Polski ostrzami bagnetów“, ostrzegając, iż „biada biernym i obojętnym, którzy znoszą cierpliwie okrucieństwa wojny“, bowiem z „pożogi wojennej nie wzejdzie dla nich jutrzenka lepszej doli“.

Tegoż dnia ukazała się odezwa Komitetu Naczelnego Stronnictw Niepodległościowych, odraczająca dalszy werbunek do Legjonów. Taką decyzję powzięto ze względu na to, że oczekuje się — jak czytamy w odezwie „rozszerzenia ram, w których został zamknięty nasz ruch wojskowy". Domagając się szeregu zmian w kierunku usamodzielnienia Legjonów, odezwa Komitetu odracza werbunek „do czasu, gdy zostaną usunięte powyżej wymienione przyczyny, tamujące rozwój Legjonów i obniżające ich znaczenie polityczne lub do chwili, gdy odpowiednia reprezentacja polityczna Królestwa Polskiego poweźmie miarodajną dla całego społeczeństwa decyzję".

Dwie odezwy powyższe wydano w chwili, kiedy długie narady i pertraktacje pomiędzy działaczami galicyjskimi i przedstawicielami tutejszych kół politycznych doszły już do swego wyczerpania, bowiem już w dostatecznej mierze wyłuszczono sobie wzajemnie potrzebne informacje, poznano argumenty wszystkich stron oraz usunięto wiele mylnych sądów i uprzedzeń.

Ta faza porozumień, na którą czekaliśmy tak długo i która była niezbędnym czynnikiem akcji, zmierzającej do ujednostajnienia naszego politycznego frontu, — nie mogła jednak, jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej zatrzeć wszystkich różnic nawet wśród obozów zdecydowanie niepodległościowych. Najwidoczniejszym tego dowodem — dwie odezwy powyższe.

Różnice wśród obozów czynnych i walczących są zazwyczaj wyzyskiwane przez wyznawców bierności narodowej, a nadewszystko przez tych, którzy po fatalnem bankructwie swych haseł i złudzeń zalecają innym własną rezygnację. Nie wnikając w poważne przyczyny owych różnic, szerzą i podtrzymują skwapliwie rodzący się na tem tle sceptycyzm i zniechęcenie, szerzą owe „żale i narzekania", o których sześćdziesiąt lat temu pisał Walerjan Kalinka — „że nie dowodzą zdolności znoszenia trudów a niesienia prawdziwych ofiar", że „niedołężność sama lub zgrzybiała miłość własna wszystko złe uchybieniami drugich lub fatalnym zbiegiem okoliczności tłomaczy".

Tam zaś, gdzie istnieje niekłamana i nieosłabiona wola czynu, rodzi się pytanie: co począć? „Nasze serca — pisała słynna gromada Grudziąż do Wydziału Londyńskiego 15 lutego 1840 roku — są czyste w wierze politycznej. Byliśmy i jesteśmy go-

towi na głos matki naszej Ojczyzny stanąć w obronie jej praw. Wszakże wiecie, żeśmy nie byli profesorami, akademikami, a nawet studentami, ażebyśmy mogli być zdolni w rozbiorze i sądzeniu teraźniejszych działań emigracyjnych" (które — dodajmy — odznaczały się naonczas krańcowemi sprzecznościami).

Owóż, czyste w wierze politycznej serca, choć zaniepokojone, nie popadną nigdy w senność i zniechęcenie.

W przełomowej dobie obecnej, kiedy niemal każdy dzień przynosi wielkie zdarzenia i zmiany, wolnym od wszelkich wątpliwości i zakłopotań natury politycznej jest chyba tylko żołnierz, który, stojąc na swoim szańcu, może powtórzyć za owym żołnierzem Wincentego Pola:

„Ależ bracie, co się marzy
Wam z tą polityką?
Więcej, niż stem kałamarzy,
Zrobisz jedną piką!"

Poza polem bitwy, różnice w zapatrywaniach na taktykę dążeń narodowych są nieuniknione i bynajmniej nie świadczą ani o osłabionej żywotności narodu ani też o przytłumieniu tętna jasnej myśli politycznej. Należy bowiem zdać sobie sprawę z zasadniczej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy niedawnemi jeszcze a dzisiejszemi sporami. Te ostatnie znajdują się w granicach szczerze polskiej myśli politycznej, jeśli poza jej nawias usuniemy naleciałości stopniowo zanikającego moskalofilstwa.

Minęły czasy, kiedy w sferze interesów narodowych działały i wolę swą narzucały opinje graniczące z narodowem zaprzaństwem. Minęły czasy, kiedy polityczne odezwy działaczów polskich rozlepiane były na murach warszawskich przez policję rosyjską. Niema już walk godności narodowej ze staczającą się na dno upodlenia ugodą z caratem, niema już tych przeciwstawień biegunowych, nie dających się niczem i nigdy pogodzić. Dzisiejsza faza wahań i różnic w porównaniu z fazą minioną jest wielkim krokiem naprzód na drodze dążeń wyzwoleńczych, a kto widzi i rozumie tę wielką zmianę, ten nie podda się złym podszeptom sceptycyzmu i bierności, lecz, przeciwnie, utrwali się w swej wierze w zwycięstwo sprawy narodowej.

Jesteśmy dziś o tyle bliżsi wyjścia z naszego politycznego labiryntu na jasny gościniec solidarności i zgodnego działania,

że nowe załamania i różnice nie mogą osłabić naszej energji i otuchy, dotychczas nie osłabionej, choć już przez stokroć gorsze warunki i przez stokroć większe trudności doświadczanej.

8 Września 1915 roku.

POHAŃBIONY ORZEŁ. [1]

Wysoko, skąpane w słońcu, cztery olbrzymy dźwigają na barkach glob ziemski.

Dnia pewnego, ten co na zachód zwrócony, wytężył wzrok. U stóp jego dziwna odbywa się praca...

Jeszcze tak niedawno ulepiono tam wielkiego ptaka o dwóch głowach, żeby każdy obywatel, patrząc na glob ziemski, i o tym ptaku pamiętał: że jest mocny, hardy i drapieżny, — że jest tam, gdzie chce być, a wszelki sprzeciw dwoma dziobami zadziobie. Ogromne skrzydliska rozpostarł i trwał w spokoju swej dumy i potęgi. Był w przymierzu z olbrzymami.

Ostrymi szponami rozdzierał żyły podbitego narodu i żłopał jego krew męczeńską, która mu była pokarmem najmilszym. Dzioby wraził w serce narodu, a skrzydłami zakrywał wszystko światło dnia Bożego, — że się na ziemi polskiej wielki cień położył.

Wśród tej nocy dziejowej składał swe ofiary na wszystkich ołtarzach Arymana, któremu długie lata wiernie i gorliwie służył, niosąc też przebogate dary na zakrwawionej ziemi sybirskiej. Dary z całych pokoleń ludzkich, z dzieci i starców, których już tylko odwiedzał Anhelli i płaczem smutnego anioła pocieszał, „bowiem było tam wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w Ojczyźnie".

Ptak miał ślinę jadowitą. Których dusz nie zabijał, te niszczył i zatruwał, gnąc je ku swym celom.

---

[1]) *Przypisek późniejszy.* Z rozporządzenia władz niemieckich, straż ogniowa warszawska w dniu 10 września 1915 roku odbijała wielką sztukaterję na gmachu poczty przy placu Wareckim, wyobrażającą rosyjski herb państwowy.

Lot miał niewysoki, sięgający nie wyżej, niż szczytu murów więziennych.

Ślepia jego nie znosiły słońca, za to w mroku dobrze widział drogi, przez chmary wiernych sępów torowane.

I tak panował dla swych Groźnych Iwanów, którzy wznosili modły do Boga pomiędzy jedną torturą a drugą.

Dnia pewnego, w czasie wielkiej wojny narodów, w mieście, gdzie było najsroższe panowanie ptaka, — rozpoczęto pracę ponad wszystko zuchwałą.

Czy to Ormuzd uderzył piorunem w potężnego orła, że pęka i kruszy się na pośmiewisko ćwierkających wróbli?

Zły orle! Przyszła i na ciebie kolej! To cię kruszą ludzie prostymi młotkami, — po kawałku, jedną głowę, potem drugą, potem skrzydła, potem szpony...

I nie stanie w tym kraju nawet twego śladu!

. . . . . .

Ropsowski orzeł, co się tak niedawno unosił zwycięsko nad pokonanem miastem, uleciał na Wschód z wiadomością:

„Le desordre régne a Varsovie".

12 Września 1915 roku.

KATASTROFA.

Wóz z towarami, który przejeżdżał podwórko intendentury rosyjskiej dziesięć razy i był sprzedawany, jako dziesięć wozów o wadze trzykroć większej, niż waga rzeczywista i po cenie pięćkroć droższej, niż wartość jego istotna, — ten wóz dnia 5 Sierpnia 1915 roku stanął i więcej nie ruszy się z miejsca.

To jest w sytuacji spekulantów warszawskich zmiana pierwsza i zasadnicza.

Są i zmiany drugorzędne, również katastrofalne.

Tektura nie posiada zbyt wielkiego znaczenia dla armji walczącej. Chyba, że to jest armja rosyjska. W tym wypadku nadaje się doskonale do robienia podeszew, których dobrą stroną jest to, że żołnierz musi mieć co tydzień nowe buty, co też wyrabia w nim smak i elegancyę, nieodzowną w walce z Europą.

Kreda i mąka są przeznaczone dla całkiem różnych celów. Wszakże jednakowy kolor pozwala w razie potrzeby na uzupełnienie się wzajem-

ne. Syntetyczny umysł warszawskiego spekulanta to zjawisko dostrzegł i pojął momentalnie.

Piasek jest to rzecz tania i przez brzegi nadwiślańskie dostarczana obficie. Ale rósł w cenę tak wspaniale, że wkrótce nie ustępował wartości złotego piasku z Kaliforni, był bowiem generalnym środkiem, usuwającym wszelkie braki w wadze dostarczanych dla armji produktów. Żołądki rosyjskich żołnierzy są bohaterskie i pod tym względem o Rosji nie można mówić bez uznania.

Tak przez kieszenie dostawców i sklepikarzy warszawskich przepłynęły sumy miljonowe.

Moskal szastał pieniędzmi i czuł się w Warszawie znakomicie.

Wzbogacone kokoty, pędząc w automobilach wojskowych, aż piszczały z radości.

Kiedy wśród głuchej nocy rozlegał się ten pisk po ulicach Warszawy, budził wielu obywateli kupców. Budził, lecz nie gniewał.

— To jadą moje futra, moje sobole, gronostaje, lisy niebieskie — szeptali sobie jedni.

— Moje perfumy, moje kwiaty, moje brylanty — myśleli jeszcze inni.

— To hałasuje mój szampan — mówiła reszta.

Tak sobie spokojnie dumali, a usypiała ich błoga konkluzya:

— Świetny, nieporównany, cudowny klijent! Wojna jest „coprawda" straszna, ale „ostatecznie" można żyć.

Wtem stało się coś potwornego.

Pewnego poranku armata niemiecka ryknęła: „Dosyć!" Klijent uciekł. Zrobiło się smutno. Co to będzie?

Handlarz stracił humor, kokota zbrzydła, kelner spochmurniał a dostawca zrobił się bardzo nerwowy.

Tak upadła na duchu jedna z najmocniejszych ostoi warszawskiego rusofilstwa.

Nowy przybysz nic, ale to nic nie kupuje. Chyba pocztówki, pocz — tów — ki... Ma wszystko, czego mu potrzeba. I nie da się oszukać. O tem nie może być mowy.

Zrazu rosły nadzieje strategiczne. Rosły i opadały.

Jeszcze się trzyma twierdza kowieńska. Tamci wrócą, wrócą napewno!

Padło Kowno.

— Modlina może nie wezmą. Tymczasem wróci armja tamtych. Może wróci...

Padł Modlin.

— Może Brześć Litewski?

Padł i Brześć Litewski.

Ukochany klijent oddala się coraz bardziej.

Spekulant wpada w rozpacz, obnosi ją po wszystkich rogach ulic, narzuca miastu swój smutek i przerażenie, podtrzymując w ten sposób gasnące płomyki rosyjskiej orjentacji.

Dziesiątki tysięcy ludu roboczego bez chleba i dachu nie krzyczą tak o swej niedoli, jak ten handlarz o tem, że już kraść i oszukiwać więcej nie może.

Nowe horoskopy polityczne?! To szyderstwo: on przecież nic nie zarabia.

Polska milicja, polskie szkoły? Tak, — ale gdzie jest najlepszy klijent?

Legjony, hasło niepodległości? Tak, ale gdzie rynek, święty rynek rosyjski?

Tak rozpacza warszawski handlarz i zaleca miastu rezerwę.

Zaklina i grozi, że pójdzie z workiem na plecach.

Tak. I z piętnem hańby na wytartem czole.

19 Września 1915 roku.

EKS - POSŁOWIE.

Jest coś smutnego i zarazem niezmiernie śmiesznego w roli tej garstki obywateli, którzy, sprolongowawszy sobie mandaty poselskie, w dalszym ciągu obradują na petersburskim bruku.

Są to zaiste ludzie z nieprawdziwego zdarzenia. Wojna sobie, a oni sobie.

Czy jest jakakolwiek grupa polityczna w Warszawie, któraby poważnie zastanawiała się nad tem, co też tam robią „posłowie" polscy w Petersburgu? Jakie są ich sukcesy i jakie porażki? Jakie postanowienia? I co się wogóle w ich poselskich głowach odbywa? O tem się w Warszawie nie mówi.

Z politycznej szachownicy świata, na której odbywają się zmiany olbrzymie, te pionki zostały już dawno strącone. Ustawiły się teraz na jakichś „zgóry przygotowanych pozycjach" i udają polityczną grę, w której niedorzeczność siedzi na głupstwie i bezmyślnością pogania.

Posłowanie jest to rola, która wymaga pewnych warunków: kontaktu z narodem, który się reprezentuje, pełnomocnictw, odpowiadających potrzebom i hasłom danego momentu, programów politycznych, zrodzonych w nowej dobie historycznej. Nie są to szczegóły bez znaczenia... Chyba, że się jest posłem pol-

skim w Petersburgu. Tu się sprawy układają inaczej, niż na całym świecie. Tu, rzeczy gdzieindziej niemożliwe i nieprawdopodobne, zachowują swą moc i powagę. *Difficile est satyram non scribere!*

Umowa obywatela wyborcy ze swoim posłem podlega również prawom tej *force majeure*, które układy różne unieważnia. Wybrani w innych czasach, ba! w innej epoce dziejowej, kiedyś, dla jakichś tam spraw, których w obliczu wielkiej doby obecnej dostrzedz nawet nie można, bowiem jedne niepomiernie zmalały, inne już zgoła nie istnieją, — nie obarczeni żadnym nowym nakazem swego narodu, bez poparcia ze strony jakichkolwiek nowych organizacji i ugrupowań, — opierają się te polityczne mumje na tem jedynie, że termin ich świadectw poselskich nie upłynął, bo się sesja IV Dumy rosyjskiej jeszcze nie skończyła.

Więc sobie mówią mowy, piszą memorjały, „budują przyszłość", — posłują. Nie słyszy ich naród, ani oni narodu nie słyszą.

Jeżeli ich praca w nieśmiertelnej „komisji polsko-rosyjskiej", do której car delegował reprezentantów czarnej seciny, żeby wraz z posłami polskimi obradowali nad realizacją obietnic Mikołaja Mikołajewicza, — jeżeli ta praca, odbywana pocichu i w swej treści spowita tajemnicą, a jednocześnie sławiona, jako tryumfalna droga, wiodąca ku lepszej przyszłości polskiego narodu, — jeżeli to niesłychane szyderstwo było hańbą nad hańbami, to już dzisiejsza sytuacja eks-posłów polskich w Petersburgu zakrawa na istną maskaradę, robioną ku pośmiewisku całej Europy.

Tej maskarady punktem kulminacyjnym była już chwila, kiedy z trybuny dumskiej rozlegały się bojowe głosy Litwinów, Żydów, Łotyszów, Tatarów — i kiedy jeden tylko poseł złożył pokorną deklarację wiernopoddańczych uczuć oraz wiary w dobrodziejstwa cara i jego rządu, — poseł polski.

Ale się program tego widowiska jeszcze nie wyczerpał.

Gdyby ktoś długo myślał, w jaki sposób ostatecznie i nieodwołalnie ośmieszyć posłów polskich w Rosji, — toby im właśnie podszepnął treść ich ostatniego memorjału, rozesłanego członkom Dumy i Rady państwa.

Więc — protest przeciwko ukazowi 1865 roku, ograniczającemu polskie prawa władania ziemią na Litwie i Rusi! I to właśnie teraz!! Więc ubolewanie nad tem, że przed Polakami zamknięty jest wstęp do rosyjskich akademji wojennych i że nie są do wielu pułków przyjmowani. Więc wystąpienie przeciw wzbranianiu polakom pełnienia funkcji marszałków szlachty w gubernjach litewskich. I wreszcie — korona wszystkiego — skarga, że Rosjanie, ożenieni z Polkami nie są przyjmowani na poważniejsze stanowiska w rosyjskiej służbie państwowej.

To jest memorjał posłów polskich w roku 1915-tym.

Trzeba sobie dobrze przetrzeć oczy, by się upewnić, czy nie ulegamy jakimś dziwacznym złudzeniom optycznym przy czytaniu tego memorjału.

Tak się mści na eks-poselskich mózgach zupełny brak poczucia odpowiedzialności i całkowita niemoralność polityczna.

I stać się tak może, że kiedy w Warszawie dojrzeje sprawa Rady Narodowej, kiedy nowa grupa obywateli otrzyma odpowiednie pełnomocnictwa polityczne, tamci trwać będą w swej nieszczęsnej i lilipuciej roli, obmyślając treść nowych memorjałów, coraz bardziej dalekich od wszystkiego, co się na całym bożym świecie i w całej Polsce odbywa.

Trzebaby może wysłać gońca z Warszawy, żeby im powiedział: raczcie panowie zwrócić łaskawą uwagę, że w Europie jest wojna, a ostatnie zmiany w położeniu naszego narodu nie są bez znaczenia...

Kiedyż skończy się ta bezprzykładna tragikomedja?

23 Września 1915 roku.

TRZEBA ZAPOMNIEĆ!

W różnych kołach młodzieży zastanawiano się ostatnimi czasy nad sprawą ostatecznej likwidacji bojkotu szkolnego. Nie chodzi tu, rzecz prosta, o nawoływanie do popierania wyłącznie uczelni narodowej, bowiem skończyły się już dzieje szkoły moskiewskiej w Polsce. Chodzi o stosunek towarzyski i ideowy do t. zw. „łamistrejków".

Jeszcze się ten stosunek nie ustalił, jeszcze słychać głosy gniewu pod adresem uczniów b. szkół rosyjskich. I nie tylko gniewu. Na naradach młodzieży, szczególnie tych jej odłamów, które miały największą zasługę w utrwaleniu hasła bojkotu szkoły rosyjskiej, a tem samem we wzmocnieniu podwalin szkolnictwa polskiego — zarysowała się tendencja dla owych „łamistrejków" nieprzyjazna i dążąca do ustalenia pewnych w stosunku do nich rygorów.

W jednej z enuncjacji tych kół czytamy, iż „w Polsce naogół z łatwością zapomina się o wszelkich przestępstwach społecznych i narodowych". To prawda: zapomina się zbyt szybko i wytwarza się w społeczeństwie niezdrową tolerancję dla społecznych i narodowych wykroczeń. Młodzież moralnie nienadpsuta, w szacherkach politycznych niewykoszlawiona i w sądach swoich instynktownie sprawiedliwa, — jest też żywiołem powołanym, by zgłaszać swój czynny protest, ilekroć czuje, że się w życiu społecznem sprawa dana odchyla od prostej linji godności i etyki narodowej. A cóż dopiero w sprawie narodowego wychowania!

Dziesięć lat walki o utrzymanie tej szkoły wbrew wszystkim przeciwnościom, jest świadectwem, iż moralną siłę społeczeństwa najmocniej reprezentuje młodzież. Tak zresztą jest na całym świecie, tak też jest i w Polsce.

I oto teraz, po tych dziesięciu latach „największych nieporozumień i gwałtownych zatargów pomiędzy różnemi odłamami opinji polskiej" — jak głosi wspomniana enuncjacja — teraz, kiedy ustały powody do walki w tej dziedzinie, młodzież stawia sobie pytanie, jak tę walkę zlikwidować pod względem swego stosunku do b. uczniów szkoły rosyjskiej.

Są rzeczy, których puszczać w niepamięć niewolno, lecz jeśli istnieją jakiekolwiek w życiu narodowem przewinienia, o których w chwili obecnej zapomnieć można i należy, to nad tą przedewszystkiem sprawą należy postawić krzyż i więcej do niej nie powracać.

Bowiem co innego jest tolerowanie zła, bierny stosunek do wykroczeń szkodzących sprawie narodowej oraz zbyt daleko idąca pobłażliwość, zaś co innego wzniesienie się na wyżyny wielkiej chwili dziejowej, która niesie ogromne zmiany warun-

ków życia narodowego, a tem samem pozwala z większą wyrozumiałością spojrzeć na ofiary warunków minionych, na tych mianowicie, którzy z racji stu przyczyn byli mniej zdolni do walki z przeciwnościami dnia wczorajszego.

Polskim dzieciom, uczącym się w szkole moskiewskiej wtedy, kiedy już istniała szkoła polska, zasiano w młodociane dusze dość bólu i żalu, by miały jeszcze teraz, ze strony swych nowych kolegów, odczuć jakąkolwiek niechęć, — by ci koledzy mieli obecnie mierzyć ich winy czy winy ich rodzicow lub choć, by tylko badać „okoliczności łagodzące".

Trzeba zapomnieć! Bo tu mogło być wszystko: i złe warunki materjalne i brak uświadomienia i czynnik sceptycyzmu lub nawet pewnego wyrachowania ze strony rodziców, lecz rzecz jedna nie ulega wątpliwości: posyłanie dzieci do szkoły rosyjskiej musiało sprawiać cierpienie sumieniom polskim, a dziś, w czasach wzmożonych nadziei narodowych, są te sumienia jeszcze mniej spokojne.

Trzeba zapomieć — żeby módz na pierwszem miejscu nowej karty dziejów narodowego wychowania wypisać słowa zgody, solidarności i szlachetnej powagi uczelni polskiej. Żadnych rygorów, żadnych napomknień, żadnych niechęci — oto jedyna, godna wielkiej chwili obecnej likwidacja tej sprawy.

Jakąż to radość sprawiać musiała każdemu uczniowi polskiemu możność wstąpienia do szkoły polskiej, — radość, to uczucie, które jest najlepszym wyrokiem na dawne jego kształcenie się w szkole rosyjskiej i zarazem najlepszą oceną warunków, które go pchnęły wówczas do tej szkoły.

Młodzież, zawsze czuła i subtelna w rozróżnianiu zła i dobra, stojąc na straży najświętszych ideałów narodowych i oceniając sprawiedliwie naszą niedawną, ponurą przeszłość, winna też umieć przekreślić w pamięci ogółu to, co przekreślić można i należy.

Nie bądźmy dla siebie zbyt pobłażliwi, lecz i nie biczujmy się nazbyt gorliwie. Jeśli Bóg patrzy na winy naszego narodu, rozgrzeszy go, bowiem więcej przecierpiał, niż zawinił.

Trzeba zawsze wiedzieć, kiedy dany spór zakończyć, w jakiej sprawie więcej energji nie tracić i jaki ból ukoić.

30 Września 1915 roku.

DWA MIESIĄCE.

Więc to już dwa miesiące upłynęło od chwili, kiedy wojska niemieckie wkroczyły do Warszawy?

Już czy dopiero?

Komu spieszno do wielkich odmian w życiu narodowem, kto każdy bezpłodnie miniony dzień znaczy w swej duszy żalem niekłamanym, ten powie: j u ż dwa miesiące, a jeszcze... I tu przeliczy wszystkie czyny niespełnione i wszystkie niewypowiedziane słowa, które chciał usłyszeć natychmiast po odejściu katów swego narodu.

Zaś kto we wszystkich kierunkach myśli i czynów narodowych postawił drogowskazy z napisami: rezerwa, ostrożność, powściągliwość i umiarkowanie, — ten powie: d o p i e r o dwa miesiące, jeszcze mamy dużo czasu, to spełnimy jutro, a owo pojutrze, a na tamto przyjdzie kiedyś chwila odpowiednia. Jest bowiem wśród nas wielu, aż nadto wielu obywateli, których jedyną racją rozumu jest mieć zawsze i we wszystkich okolicznościach życia narodowego jaknajwięcej i jaknajdalej idących zastrzeżeń. Jakgdyby z zastrzeżeń rodziła się przyszłość. Może się świat walić w swych posadach, a taki obywatel pozostanie wierny swoim zastrzeżeniom. Jest jeszcze wielu, aż nadto wielu innych, których jedyną mądrością jest hasło: jeszcze nie czas, choćby niebo i ziemia wołały, że to już czas najwyższy, że to już właśnie w tej lub innej sprawie wybiła ostatnia godzina. I jest jeszcze wielu, może najwięcej tych, co patrząc na idące zmiany, powoli budzą w sobie uśpione uczucia i powoli a ospale myślą, jakże się to wszystko stało, coby w tym nowym dniu uczynić, co powiedzieć... I tylko patrjotycznie narazie majaczą:

„O Cheroneo! O Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje...
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu książko na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona"!

Książko? Nie, obywatel tak się w swoim piśmie lub świstku brukowym zaczytał, że oczów oderwać nie może i spoj-

rzeć na świat i przekonać się, że inną jest mądrość życia, pędzącego naprzód w szalonych przewrotach i kataklizmach, zaś inną mądrość zadrukowanego papieru, który go poucza: ty stój spokojnie na swojem miejscu, a całość sama się złoży...

Dwa ubiegłe miesiące nie ziściły pragnień zbyt śmiałych, nadziei zbyt gorących. Każą pamiętać, że jesteśmy w kraju „gdzie widmo nadziei dla małowiernych serc podobne snowi".

Nic dziwnego. Gdybyśmy po stuletniej niewoli, po tych latach potwornych, kiedy moskiewski barbarzyńca prowadził tu swoje krwawe dzieło wyczłowieczenia, niszczył, rujnował, a wszelką myśl polityczną pętał, truł i mącił, — gdybyśmy po takiej przeszłości i już po odejściu ciemiężcy, zaczęli dzisiaj szukać wskazań narodowych choćby w ruchu gwiazd niebieskich, nie byłby i to nazbyt dziwaczny objaw zmęczenia duszy narodu, który przeszedł wszystkie wielkie uniesienia i wszystkie największe nieszczęścia.

Jeszcześmy się z niedawnej przeszłości nie całkiem otrząsnęli. Moskale odeszli, lecz nie bez zwycięstwa nad naszą myślą polityczną.

W ciągu dwóch miesięcy wszelkie wysiłki, zmierzające do wytworzenia jednolitej opinji choćby tych odłamów społeczeństwa, które stoją na gruncie dążeń niepodległościowych, rodziły się w mękach tysiąca zastrzeżeń, które też nie dopuściły do dania odpowiedniego tym dążeniom wyrazu. A co gorsza, jest taki objaw przez niektórych chwalony, gloryfikowany.. Stwierdza się jeszcze dzisiaj z zadowoleniem, że „ziemia polska od 15 miesięcy, ucząc się rozumieć wymowę krwi, nauczyła się także milczenia"! Zgódźmy się, że może być takie milczenie różnie rozumiane, że kryć się mogą pod niem różne uczucia i myśli, lecz to pewna, że wielka, potężna wola nigdy nie milczy!

Mieliśmy w naszych dziejach Niemą Sesję na sejmie grodzieńskim, kiedy się odbywał nowy rozbiór Rzeczypospolitej. Milczenie sejmu na wszystkie zapytania posłów zagranicznych było protestem, ale wstał zdrajca Ankwicz i wyrzekł, że powszechne milczenie uważać należy za oznakę zgody. Na to tylko, z ołówkiem w ręku, czekał Rautenfeld. Akt rozbioru podpisano. Taki był wynik milczenia, choć milczeli również zacni i dobrzy synowie Ojczyzny. Zawsze znajdą się Ankwicze, którzy ogłoszą,

że to jest znak zgody i zawsze jest wielu Rautenfeldów, którzy na takie „wyjaśnienie" czekają.

Lecz może to milczenie Warszawy jest tylko interwalem, potrzebnym do wyzwolenia sie z tysiącznych ułud, z najbłędniejszych sądów i z tych szalonych omyłek, jakie czyniono w rachubach politycznych, z biegiem wojny europejskiej związanych. Bo zaiste szalone były te błędy i omyłki. Niezłomne pewniki okazały się mydlaną bańką, która prysnęła w oczy tym, co byli wpatrzeni w zamki szczęścia, budowane na rosyjskim lodzie. Lód stajał, wizja zamków pierzchła, ale oczy jeszcze nie dowidzą nowych horyzontów.

Może na to jeszcze czasu potrzeba, żeby tak niedawne programy małych pragnień i ostrożnych zabiegów przeistoczyły się w program żądań godnych wielkiej przeszłości narodu, który w swych dziejach bohaterskich tworzył dzieła nieśmiertelnie piękne, przez Kościuszków, Dąbrowskich, Poniatowskich i tylu innych narodowi na wieczną chwałę darowane.

Trzeba pewno jakiegoś wytchnienia po ustawicznych ćwiczeniach się w redukcji dążeń narodowych. Obywatela, który jeszcze wczoraj z najwyższym upragnieniem wyczekiwał takich reform, jak rosyjski statut o samorządzie miejskim, zbyt oszałamia hasło niepoległości narodu.

Dwa minione miesiące pozwalają stwierdzić jaskrawy kontrast pomiędzy naszą zdolnością do organizowania życia stołecznego, między niespożytą siłą w dążeniach i pracach kulturalnych a wielkimi brakami w naszem politycznem wychowaniu.

Na jednem szczególnie polu odradza się piękna tradycja narodu. Zgórą sto lat temu (rok 1807) w kilka dni po utworzeniu Komisji Rządzącej, otworzono Izbę Edukacyjną, której pierwsza uchwała głosiła: „Żadne miasto, miasteczko ani wieś nie ma zostawać bez potrzebnej dla siebie szkoły" [1]). I teraz również w kilkanaście dni po ucieczce rosyjskiego najeźdzcy, zapadła uchwała o powszechnem nauczaniu. Bodajby to dzieło nie było spaczone przez zbytnią powolność i powściągliwość!

---

[1]) W r. 1806 przypadała jedna szkoła na 14,586 mieszkańców, zaś po ośmiu latach jedna na 2,841 m.

Były i polskie sądy, które stwierdziły nasze poczucie prawa i zdolność do niezbędnych funkcji życia państwowego.

Odradza się teatr narodowy, by spełnić wielkie powołanie kulturalne w stolicy kraju, która dotychczas w swoich teatrzykach tyle tylko słyszała, że „przeszło nad nią wiele burz"... [1])

Powstały nowe organizacje pracy miejskiej, nowe urzędy polskie, nowe zadania, których spełnianie nie jest jeszcze doskonałe, lecz już świadczy najdobitniej o naszym żywym zmyśle organizacyjnym.

Lecz ponad wszelkiem uczuciem i myślą w nastroju Warszawy w ciągu tych dwóch miesięcy unoszą się narzekania na ciężkie warunki materjalne naszego życia w chwili obecnej. Ten ciężar zdaje się przesłaniać wszelkie obrazy przyszłości. Troski chwili dzisiejszej osłabiają lub odsuwają wiarę w lepsze jutro. Obecne trudności ekonomiczne przenoszone są na płaszczyznę rozważań politycznych i nadają tym ostatnim ton największego pesymizmu. To prawda — ciężar ten jest wielki. Dużo jest ludzi bez pracy i środków do życia, dużo ludzi pada z głodu na ulicach Warszawy. Straszna rubryka tych wypadków nie schodzi ze szpalt dzienników. I niewiadomo, kiedy zejdzie. Ale to jest wojna! Wojna, która się skończy i wszystkich swych ciężarów nie przeniesie w odleglejsze czasy pokoju. I źle czynią ci, którzy ów pesymizm pogłębiają, utrwalając w opinji identyfikowanie sprawy naszych chwilowych trosk i ciężarów ze sprawą naszej politycznej przyszłości.

Kiedy w pierwszych latach Księstwa Warszawskiego kraj wyniszczony był przez wojnę, podczas której karmił wojska rosyjskie, francuskie, pruskie i własne, kiedy cierpiał nędzę straszną, od obecnej nie mniejszą, — cóż wtedy uczynił pierwszy sejm Księstwa? Wiedziony myślą o przyszłości, nałożył nowe, ogromne podatki: 4 miljony dwakroć złotych polskich dodano do poprzednich podatków na wojsko, i dwa miljony trzysta tysięcy na twierdze, i trzykroć sto tysięcy korcy zboża, i pięćkroć pięćdziesiąt tysięcy centnarów siana i słomy! „Więcej to było pra-

---

[1]) *Przypisek późniejszy:* Słowa piosenki z płytkiej revuetty granej w Teatrze Małym 140 razy — w ciągu pierwszej połowy 1915-go roku.

wie nad możność — powiada historyk — choć nie więcej nad obowiązek".

Obraz kraju, pogrążonego w nędzy, nie osłabiał wiary w lepszą przyszłość, nie tłumił dążeń politycznych narodu.

Pisał Kołłątaj: „My siejemy ze łzami, ale potomkowie nasi zbierać będą w radości".

Słowa te dziś sobie trzeba przypomnieć i powtórzyć.

5 Października 1915 roku.

NA DZIEŃ ZMARŁYCH.

...Bo nie wierzę, by siejba to być miała marna,
co w twą rolę rzucała boleściwe ziarna,
męczenników krwią ziemia pod twym brukiem żyzna
i są wichry w ulicach, co mówią: Ojczyzna!
I jest krzywdy siew żywy chociaż utajony,
Który, wschodząc, rozsadza skaliste zagony!

Jerzy Żuławski.

...A oto teraz, w godzinach wspomnień żałobnych, odwróćmy oczy od zakrwawionego świata, albowiem trzeba oddać umarłym to co jest umarłych. Trzeba wysłuchać mowy grobów, głosu cmentarzy i mogił bratnich i tysiąca pobojowisk i miljona niewiadomych miejsc skonania na ziemi własnej i na ziemi obcej...

Na te godziny rozmów z umarłymi, oddalmy się ode dnia dzisiejszego, jasnego pożarami, głośnego zbrodnią, bogatego w tajemnice błogosławione i przeklęte, kryjące się w nienapisanych jeszcze wyrokach dziejowego sądu. A tak się oddalmy od wszelkiego zgiełku życia, nie „aby siadać na grobowcach i szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych", — lecz by się duchem i sercem pogrążyć w myśli, marzenia i zaklęcia tych, co już odeszli. By wyczytać wszystkie nakazy testamentu zmarłych męczenników i bohaterów, w ostatnich westchnieniach nam przekazanego...

Bowiem jest to testament bólu i wiary współczesnego świata, uświęcony pieczęcią krwi wielu ludów i narodów.

Gdybyśmy w wielkiej, żałobnej wśród grobów wędrówce, mogli się wsłuchać we wszystkie skargi i żale, we wszystek ból i we wszystką radość, jako i we wszystkie wyznania narodowej i społecznej wiary zmarłych czasu wszechświatowej wojny, — otrzymałaby ludzkość nową Księgę Ksiąg, wieczną i nieśmiertelną, ponad wszystkie arcytwory ducha ludzkiego wyniesioną.

Na kartach tej księgi, w podziemiach całego świata rozrzuczonych i tam, jako skarb ukrytych, wyczytałyby Rodziny ostatnią spowiedź swoich ojców, synów, braci; wyczytałyby Narody myśli bohaterskie swych obrońców, męczenników, rycerzy i „szaleńców"; wyczytałaby Ludzkość nieobjętą otchłań cierpień i niezmierzony ogrom nadziei, grającej pieśń przyszłości na szlakach nowej ludów Kalwarji; wyczytałaby wszystkie zwątpienia i niebosiężne porywy zmarłych, dobro w ich duszach światu niesione, czyny i dzieła marzone, których już spełnić nie mogą, obrazy złudzeń płonnych i jasnowidzeń proroczych, przerwane, zabite, zamordowane myśli duchów twórczych, pogrzebane tęsknoty młodości i — zgaszone iskry niejednego genjuszu...

Ginęli na lądach, na morzach i oceanach, ginęli w podziemiach i ginęli nad ziemią, nieustraszeni i dumni, że orłom wydarli prawo lotu wśród chmur i obłoków, by i z tych wysokości dzieło wojny czynić...

Ginęli w boju i ginęli gdzieś zdala od pól bitwy — ofiary głodu, chłodu i zarazy.

Ginęli w niewoli i na wolności, z musu i bez musu, świadomie i nie wiedząc dlaczego; z racją najświętszą i bez żadnej potrzeby.

I ginęli na tułaczkach, gnani tłumami, niewiadomo gdzie i poco, zostawiając po drogach swoje martwe dzieci...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

A w onej Księdze byłby rozdział pewien, bólu i rozpaczy pełny: o zmarłych polskich, co z jednej ziemi w różnych poginęli armjach, pełniąc służbę najstraszniejszą, jako że brat brata zabijał. Było bowiem sądzone, żeby się dopiero w zaświatach złączyli w zgodny zastęp duchów i tam przebaczyli — i sobie

i narodowi swemu i całemu światu, że dopuścił do takiego nad nieszczęściami nieszczęścia.

I rozdział inny, piękna i wzniosłości pełny — o zmarłych rycerzach polskich, którzy wskrzesili świetlane tradycje narodu i padli w bojach, by drogi przyszłości światłem polskiego bohaterstwa opromienić —

...aby odwalić nasz grobowy kamień,
ów marmur, pełny naszych cierpień rytych,
na których modlą się dzieci — zabitych...

I jeszcze rozdział inny — o zmarłych wygnańcach polskich, którzy w dalekiej ziemi sybirskiej nie doczekali wielkiej chwili dziejowej i nie ujrzą już szczęśliwszej Ojczyzny.

Niechaj im wszystkim ziemia lekką będzie.

Na ich groby nie zanośmy łez ani nie ślijmy próżnych westchnień. Nie na to umierali. Zaś niejeden z nich powiadał za życia:

„Niech nikt nad grobem mi nie płacze"...

Jeno z nad mogił, w godzinach wspomnień i żałobnej zadumy, trzeba wynieść świętą wolę zmarłych i obdarować nią wszystkie słabe duchy i głosić ją na gościńcach życia — ku naprawie świata, ku zduszeniu zła, które ich zabiło i ku zwycięstwu Sprawy, za którą ginęli.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

„Ale miejcie nadzieję, bo nadzieja przyjdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je, — ale jeżeli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych".

1 Listopada 1915 r.

POGŁOSKA O POKOJU.

Możnaby napisać całą rozprawę o pogłosce i wszystkich jej tak różnorodnych źródłach.

Jest czasem, jak dobra wróżba, niosąca otuchę i nadzieję, przyjemna i pożądana w dobie klęsk i przygnębienia; jest cza-

sem jak zły duch, szerzący lęk lub rezygnację, jest kiedyindziej najprostszym i nieodzownym rozwiązaniem zagadek, które sprawiają ludziom już zbyt wiele zakłopotań, by je poważnie badać i przenikać. Pogłoska nie zna granic swego działania, a w czasach niepokoju — cóż dopiero wojny! — jest najobfitszym i niewyczerpanym pokarmem opinji. Ma sto źródeł, płynie ze wszystkich uczuć ludzkich, wszelako jej źródłem najgłębszym jest wieczysta chęć widzenia rzeczy w postaci najbardziej upragnionej.

Najgorętszem pragnieniem całej ludzkości jest dziś pokój,— to też kulę ziemską wciąż obiegają pokojowe pogłoski, zaś wszystko, co może dać choćby pozorną podstawę do nadziei na szybkie ukończenie wojny, przyjmowane jest z zadowoleniem i ciekawością, wyolbrzymiane i rozpowszechniane z szybkością błyskawiczną.

Przemówienia dwóch lordów angielskich [1]) były ostatnio podnietą i sygnałem do ponownych rozważań na temat możliwych pertraktacji pokojowych. Już wymieniano dyplomatów, czyniących przedwstępne kroki pojednawcze, już wyznaczano miejsce kongresu, już widziano odpowiednie przygotowania i takie nawet szczegóły, jak lokale i ich pośpieszne urządzanie dla przyjęcia delegatów rządów. Potem już tworzy pogłoska dalszy szereg „najpewniejszych" wiadomości: oto pierwsze kroki spełzły na niczem, ale — i tu głos zabiera niczem niezrażona nadzieja — tak być musi zawsze, bo narazie jest jeszcze zbyt wiele sprzeczności, wszakże zrobiono początek i t. d....

Co parę tygodni któreś z państw wojujących zaprzecza pogłoskom o inicjatywach pokojowych, pozostawiając je stronie przeciwnej. Nieustannie też czytamy o dążeniu do trwałego pokoju, który nastąpić może jedynie po osiągnięciu ostatecznego zwycięstwa. Teza to wszystkich stron wojujących.

Pogłoska jest jedynem, choć nierealnem wyjściem z sieci sprzeczności, z których największą jest powszechne pragnienie pokoju i powszechne pragnienie zwycięstwa. Niema państwa,

---

[1]) *Przypisek późniejszy:* Lorda Loreburn'a i lorda Courtney'a w angielskiej izbie panów dn. 8 listopada 1915 roku.

któreby nie chciało dziś zawrzeć pokoju na warunkach dla siebie mniej więcej pożądanych i niema państwa, któreby już dzisiaj rezygnowało z pokonania wroga lub nie chciało choćby w części powetować klęsk dotychczasowych. Jeśli nawet zrodzić się musi świadomość niemożności osiągnięcia tych celów, jakie niektórym państwom przyświecały na początku wojny, to jednak w żadnym ponoszącym klęski państwie nie wygasły jeszcze nadzieje na zmianę wojennej sytuacji właśnie na jego korzyść, — nadzieje szczere lub sztucznie podtrzymywane.

Choćby hasła takie, jak „zjednoczenie ziem polskich pod berłem rosyjskiem" stały się już w obliczu dzisiejszej rzeczywistości hardym i pustym frazesem, cały jednak aparat carskiego prestige'u działać musi z wytężoną energją i tak działać będzie do ostatniej chwili, kiedy już aż nadto widocznem się stanie, że żadna siła ludzka klęski nie odwróci. Wtedy znajdzie się dość argumentów na zakończenie przegranej wojny. „Oświadczam uroczyście, że nie zawrę pokoju, dopokąd" i t. d.—te słowa cara znajdą swoje odwołanie w równie uroczystych oświadczeniach, jakie konieczność dziejowa podyktuje państwu rosyjskiemu.

I w Polsce pragnienie pokoju jest wielkie. Czy w kraju tylu klęsk i ruin, trzeba to uczucie usprawiedliwiać? A jednak i my nie możemy pragnąć pokoju za wszelką cenę. Pod tym względem może najgłębiej odczuwamy ową sprzeczność pomiędzy pragnieniem pokoju jaknajrychlejszego — nam bowiem wojna przyniosła cierpienia największe — a obawą, żeby ów szybki pokój nie zaprzeczył naszym aspiracjom narodowym. To też na krańcową rezygnację: niech się co chce dzieje, byleby nastał już pokój, zdrowe, nieosłabione uczucie patrjotyczne odpowiada: niechaj się wojna jeszcze toczy, jeśli jej rychłe zakończenie mogłoby przynieść krzywdę naszej sprawie narodowej.

Tu jednak naszem jedynem ukojeniem jest nadzieja, że w obecnym stanie rzeczy i rychłe zakończenie wojny nie wyklucza realizacji naszych haseł naczelnych. Ta jedynie nadzieja pozwala nam w pogłoski pokojowe wsłuchiwać się z zadowoleniem.

19 Listopada 1915 roku.

DNI HISTORYCZNE.

(W ROCZNICĘ LISTOPADOWĄ).

Kiedy w dziejach narodu staje się rzecz tak wielka, że na dalszym biegu spraw narodowych zaważy na lat dziesiątki, albo i na całe stulecia, albo i po wieczne czasy, — dzień, w którym się stała, dniem jest historycznym. Bowiem żyje w historji, w pamięci pokoleń, w treści i w duchu ich bytowania, płynącego ze wszystkich czynów przeszłości; żyje w klątwach, jeśli zrodziły go słabość, zdrada i zaprzaństwo, i żyje w błogosławieństwach, jeśli był plonem bohaterskiego posiewu, potęgi czynu i miłości narodu.

Wtedy promienieje wiekuistym pięknem i jest jako świetlany znak, dzielący historję przełomem nowych dat, rozdziałów i epok. Jest zarazem najwyższą nauką o narodowych ideałach, testamentem żyjącym w sercach potomków, drogim przedmiotem wspomnień i rozpamiętywań. Jest wreszcie poezją narodu, urasta w Legendę, w pieśń, w świętość. Zaś nieprawdą jest, że to tylko w pieśni rozbrzmiewa, co umarło w życiu, skoro bowiem nie umarło w pieśni, żyje w duszy narodu.

Tam sięgamy myślą, w te dni wiekopomne, nie żeby naród

> ...tak się we swą przeszłość weśnił,
> schodził we wszystkie grobowe piwnice,
> z trupami się, umarłymi rówieśnił,
> badał im w trzewiach skonu tajemnice...

nie żeby

> ...w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił
> bruzdami czoło poorał i lica,
> i starzał — w coraz dalsze patrząc groby,

lecz, by trwał w tem, co zawsze „przemoże śmierć i trumien głaz zdruzgocze", przez wierność, umiłowanie i posłuch dla nieśmiertelnego głosu jasnych dni przeszłości, dla wszystkiego, co jest w niej wielkością i chwałą.

Ocena tych dni historyczna, zawsze sprawiedliwsza jest i szlachetniejsza, niżeli sądy wielu współczesnych, dla których cnotą i mądrością jest taki jedynie zamiar, który zapewnia rychłe i bezwzględne zwycięstwo. Dla historji przegrana nie

jest klęską największą, jeśli czyn się spełnia w imię najpierwszych ideałów narodu, choćby się kończył raz pod Maciejowicami, kiedyindziej nad brzegami Elstery, a jeszcze dnia innego w boju ostrołęckim. Ordon, wysadzający swoją redutę jest na sądzie historji równy wielkim zwycięzcom, nawet przerasta ich mocą duszy, mówiącej do narodu ostatnim hukiem rumowisk, wśród których ginie on, bohater, żeby żyć po wieki wieków.

Przeto wspomnienia o dniach, które pochłonęły ofiar mnogie tysiące, skończyły się przegraną i życie zmieniły na gorsze, mogą być dumne i uroczyste.

Choćby, jak to było onego wieczora, jakiś pożar wzniecono zbyt wcześnie, zaś inny nie wybuchnął wcale, choćby popełniono sto błędów, niechybnie do klęski prowadzących, — to w oddaleniu historycznem, na obrazie dążeń i walk o najświętsze prawa narodu, postacie tych, co siły mierzyli na zamiary, pozostaną świetlane i błogosławione.

Kogo przykuli do armaty i zawieźli na dozgonne męki w lochu więziennym, kogo pognali na Sybir jak zbuntowanego niewolnika, kogo zgnębili i zamordowali, — temu dali nieśmiertelność.

. . . . . .

Spełniają się znowu dni historyczne, inne, niżeli ongi, inne też drogi czynu wskazujące, lecz te same siłą pragnień i ideałów narodu, łączących nas nieprzerwanem ogniwem z każdą chwilą dążeń wyzwoleńczych.

Wierzmy, jako oni, których wspominamy ze czcią.

29 Listopada 1915 roku.

Z HISTORJI WARSZAWY W CZASIE WOJNY.

(KILKA UWAG I SPROSTOWAŃ).

Na samym wstępie — jedna uwaga: nie będziemy tu powtarzali rzeczy już wielokrotnie wypowiedzianych i wszechstronnie wyjaśnionych. Chodzi nam jedynie o zwięzłą charakterystykę nastrojów Warszawy w czasie wojny, bez wnikania w czyn-

niki tych nastrojów, tkwiące w całej naszej przeszłości przedwojennej. Nie mamy też potrzeby powtarzać tak licznych już wywodów na temat naszego politycznego nieprzygotowania w chwili wybuchu wojny, — dość, jeśli je stwierdzimy jako jedną z podstawowych przyczyn wszystkich przeżyć Warszawy od pierwszego dnia wojny aż do czasów ostatnich.

Tylko w apolitycznej, dusznej atmosferze życia Warszawy od czasu zlikwidowania rewolucji 1905 r., a więc w ciągu lat kilku mógł się tworzyć grunt najpodatniejszy do naszej dezorjentacji, do naszych złudzeń i omamień, do naszej, powiedzmy to szczerze, bezradności, z jaką my tu w Warszawie stanęliśmy wobec jednego z największych w dziejach świata kataklizmu. Odsunięci od czynnego udziału w rzeczach polityki międynarodowej, zaniedbywaliśmy nietylko naszą wiedzę polityczną, lecz i pospolitą znajomość biegu najdonioślejszych spraw, które już od lat paru nabrzmiewały w stosunkach europejskich.

Kiedy nadeszły pierwsze wiadomości o zamachu w Serajewie, w Warszawie, zaciekawionej tem wydarzeniem, nie można było dostrzec cech głębszego zastanowienia się nad ową tragiczną pobudką do wszechświatowej zawieruchy. Niech nam tu będzie wolno przypomnieć ów dzień 28 czerwca, kiedy to „cała Warszawa“ bawiła się na corsie kwiatowem w Agrykoli i w Alejach Ujazdowskich, a dodatek nadzwyczajny „Kurjera Warszawskiego” z depeszą o zamordowaniu arcyks. Franciszka Ferdynanda, rozchwytany momentalnie, był dla niej na razie jedną z bardziej interesujących emocji.

Szereg tygodni poprzedzających wybuch wojny był w życiu Warszawy dość jałowy jako wstęp do mającego nastąpić „sezonu ogórkowego“. Ze spraw społecznych, że wymienimy najpoważniejsze, przedmiotem zainteresowania opinji było świeżo uchwalone prawo: nowa ustawa szkolnictwa elementarnego, oraz zjazd delegatów Polskiego Nauczycielstwa Ludowego w połowie lipca 1914 r. Aż do dnia 23 tegoż miesiąca, czyli dnia wystosowania ultimatum Austrji pod adresem Serbji, Warszawa nie zdradzała żadnego nawet niepokoju, a raczej do dnia 25-go, kiedy pisma zamieściły oficjalną wiadomość „Prawitielstwiennego Wiestnika“ o tem, że „Rosja nie może się obojętnie przypatrywać wojnie Austrji z Serbją“. Ta, ściśle rzeczy biorąc,

wiadomość była pierwszym czynnikiem pewnego ożywienia się opinji warszawskiej, dała początek przypuszczeniom i przewidywaniom, zrodziła pierwszą, krótką fazę niepokoju przedwojennego.

Późniejsze, już błyskawicznie następujące po sobie wydarzenia: odmowa Serbji, wypowiedzenie jej wojny przez Austrję, mobilizacja w Rosji i, wreszcie, wypowiedzenie wojny tej ostatniej przez Niemcy, zrodziło uczucie, które da się najlepiej określić mianem oszołomienia. Dzień 1-y sierpnia 1914 r. był dniem powszechnej gorączki i popłochu, ktory wzrósł nazajutrz (w poniedziałek), gdy dowiedziano się, że już niektóre instytucje rządowe, jak Bank Państwa, kasy oszczędności i t. p. czynności swe zawiesiły. Kiedy zaś w dniu 3-go sierpnia nastąpiło zawieszenie czynności instytucji sądowych — w całej Warszawie oczekiwano z dnia na dzień wejścia wojsk niemieckich, do czego też przyczyniało się przekonanie, że Rosja zastosuje swój dawny i znany plan strategiczny przeniesienia frontu na linję Brześcia Litewskiego.

W tej atmosferze oszołomienia, wśród odbywającej się pośpiesznie mobilizacji i miljona trosk prywatnych, związanych z przerwaniem komunikacji, z brakiem drobnych, z pierwszem widmem głodu i t. d., — nie było niemal zupełnie myśli o wielkości chwili pod względem politycznym: wybuch wojny odczuto przedewszystkiem od strony jej grozy i rozpoczynających się klęsk. Jedyny motyw, który w uczuciach szerokich warstw już wiązał się ze sprawą narodową, to świadomość, że oto walczyć mamy w różnych armjach i wielkie zastępy rodaków przeciw sobie wystawić. Najpoczytniejsze pisma warszawskie w pierwszych dniach wojny ten tylko moment tragiczny uwydatniały, nie angażując się, prócz jedynej „Gazety Warszawskiej“, w żadnych rachubach i orjentacjach politycznych, a nawet zachowując jaknajwiększą rezerwę. Pierwsze też odezwy t. zw. „grup obywatelskich“, wydane w dniach 3 i 5 sierpnia nawoływały jedynie do spokoju. Pierwsza z tych odezw nosiła podpis Wł. ks. Czetwertyńskiego i kilku narodowych demokratów oraz realistów, druga dotycząca „współdziałania z Komitetem Obywatelskim“ (który powstał w dniu 2 sierpnia), podpisana była przez parę dziesiątków osób, które później utworzyły grupę Pracy Narodowej przy „Dzienniku Polskim“.

Tu zauważyć musimy, że w charekterystyce nastrojów Warszawy opuszczamy to wszystko, co dotyczy życia Warszawy podziemnej, jako odrębnego tematu. To, co się działo w mrokach konspiracji, miało w naszych stosunkach doniosłe znaczenie w ciągu całego biegu wojny, czytelnik tedy zechce mieć na uwadze, że artykuł niniejszy jest tylko jednym z przyczynków do wszechstronnego zbadania życia Warszawy w tych czasach.

Pierwszy głośny krok na drodze rachub politycznych uczyniono dopiero dnia 8-go sierpnia przez wystąpienie posła Jarońskiego na otwarciu Dumy Państwowej, kiedy to rozległy się słowa jego o tem, że „w uczuciach naszych i sympatjach dla Słowian winniśmy być jednomyślni i odepchnąć na plan dalszy wszelkie porachunki wewnętrzne". Był to dla Warszawy pierwszy sygnał orjentacji politycznej, podsycanej następnie z takim nakładem wielkiej energji i jeszcze większej demagogji, przez Narodową Demokrację. W przemówieniu Jarońskiego było też zdanie: „Niechaj przelana krew nasza i okropności bratobójczej dla nas wojny doprowadzą do zjednoczenia rozdzielonego na trzy części narodu polskiego", które to zdanie było już widomą oznaką tych pertraktacji, jakie prowadzono po cichu w Petersburgu w związku z ogłoszoną w kilka dni później odezwą Mikołaja Mikołajewicza.

Po przemówieniu Jarońskiego rozpoczęła się właściwa agitacja polityczna, zrazu jednak dość powściągliwa. W dniu 10-ym sierpnia wyszła pierwsza niepodpisana i pochodząca z kół konserwatywnych odezwa polityczna, w której między innemi czytamy: „Niebezpieczeństwo dla narodu tai się czasu wojny wszędzie: w każdej pokusie niewczesnej, w obietnicach na przynętę rzucanych, w lekkomyślności politycznej, w porywczej rządzy czynu, choćby bezplanowego, nieobliczalnego w swych następstwach... Ani rozumne wskazania polityczne, ani obowiązek narodowy nie powołują nas do samodzielnych, a nieobliczalnych porywów... I zaiste nie są przyjaciółmi naszymi ci, którzy chcą od nas jeszcze krwawszej daniny. Na szalach tej olbrzymiej wojny nic nie zaważy poryw, choćby pełnej poświęcenia ale nierozważnej garstki. Wszakże to jasne, iż ci, co burzę wszechświatową wzniecili, z naszymi najmniej liczyli się

i liczyć się będą interesami, mogą nas tylko wyzyskać i poświęcić następnie dla własnych widoków, a te znamy od wieków. Nie będą oni mieli żadnych względów na naszą przyszłość, a ktokolwiek z nimi trzyma, za ich tylko wolą iść musi. Przed złudzeniem, przed braniem efektów za czyn narodowy, schlebiania naszej narodowej dumie za przyjaźń — ostrzegamy przedewszystkiem". Ta odezwa była pierwszym zwiastunem walki z czynem Legjonów polskich Galicji i wszelką myślą o akcji samodzielnej, zaś słowa o „pokusach" nie dotyczyły oczywiście Rosji, która dopiero później, bo 14-go sierpnia przemówiła przez usta swego głównego dowódcy.

Tymczasem w okresie owych pierwszych próbek akcji politycznej mobilizacja odbywała się w najzupełniejszym porządku, co w sposób jaskrawy świadczyło o psychologji rezygnacji i apatji narodowej w szerokich warstwach społeczeństwa. Tę to apatję starano się później wytłomaczyć, jako właśnie świadomą wolę czy żywy instynkt ludu, idącego z ochotą na wojnę z Niemcami. W agitacji Dmowskich był to stały argument. A jednak była wówczas w nastroju Warszawy nuta głębokiego przygnębienia, po ulicach miasta płynęły tłumy rekrutów polskich, zwołanych na rozkaz cara i na bezcelową rzeź. Tem energiczniej ze strony rosyjskiej forsowano ów argument o świadomej woli ludu, co też wyraziło się w podziękowaniu gen. Samsonowa ludności polskiej za „wzorową mobilizację", a kilka dni później w podziękowaniu samego cara.

Datą przełomową w nastrojach Warszawy był dzień 14 sierpnia 1914 r., kiedy ogłoszono odezwę Mikołaja Mikołajewicza. Była to już „wielka gwarancja" dla całej polityki Narodowej Demokracji i podstawa jej dalszych działań. Z jej inicjatywy 4 stronnictwa polskie („N. D.", Polska Partja Postępowa, Stronnictwo Polityki Realnej i Polskie Zjednoczenie Postępowe) wystosowały w dniu 18-ym sierpnia oświadczenie, witające tę odezwę i wyrażające „niezłomną wiarę", że po ukończonej wojnie istotnie urzeczywistnią się wyrażone w odezwie przyrzeczenia. Znacznie dalej w kornej czołobitności posunęli się autorzy depeszy do Mikołaja Mikołajewicza, w której wyrażono wiarę „w złączenie w jedną całość rozdartej Polski pod berłem J. Ces. Mości" i proszono o „złożenie u stóp Najjaśniejszego Pana na-

ych wiernopoddańczych uczuć". Odezwa ta, podpisana przez 68 obywateli z pośród znanych prowodyrów N. D. i Realistów, zawierała też nazwiska takich „działaczów", jak Andrzej Niemojewski i Stefan Gorski oraz kilka podpisów tych, którzy wkrótce zorjentowali się w popełnionym błędzie i weszli na całkiem inną drogę dążeń politycznych, jak Bohdan Straszewicz, Stefan Krzywoszewski i kilku innych. Nic dziwnego, że odezwa powyższa była rozlepiana na murach Warszawy przez funkcjonarjuszów policji rosyjskiej.

Nastrój Warszawy, wywołany „orędziem" Mikołaja Mikołajewicza, dałby się ściślej określić przy wyczerpującej charakterystyce usposobień jej warstw poszczególnych. Na lud warszawski oraz sfery mało uświadomione odezwa wywarła wrażenie bardzo silne. Na każdym kroku można było usłyszeć taką oto interpretację, że niedługo już Polska będzie „rządziła sama sobą" (w odezwie powiedziano „wolna w samorządzie"), będzie miała własnego króla i t. p. Kiedy w najbliższą niedzielę, dn. 16-go sierpnia, odczytano tę odezwę we wszystkich świątyniach katolickich, lud słuchał ze wzruszeniem słów o „marzeniach ojców i dziadów naszych", nie myśląc ani o „berle rosyjskiem" ani o żadnej konkretnej formie, w jakiej się wyzwolenie narodu ma wyrazić. To właśnie wzruszenie, te podniecone nadzieje bezkrytycznych mas były powodem owych scenek, jakie się odbywały w Warszawie podczas przemarszu wojsk rosyjskich — scenek, tak wyolbrzymianych w relacjach prasy koalicyjnej. Tak, tu i owdzie rzucano kwiaty na pułki kozackie, tu i owdzie powiewano chustką, częstowano papierosami, rzucano owoce, lecz, znając dokładnie cały ten okres, możemy kategorycznie stwierdzić, że w tych epizodach nie było nic żywiołowego, nic, coby świadczyło o jakiejś szczególnej miłości tłumów warszawskich dla wojska rosyjskiego. Ten wniosek, roztrąbiony po świecie, wyrządzał nam krzywdę i był największym fałszem, choć harmonizował z idyllą „braterstwa słowiańskiego", jaka rodziła się na szpaltach prasy rosyjskiej.

Prasa ta w pierwszych miesiącach wojny zalewała wprost Warszawę. Poczytność pism rosyjskich w Warszawie była istotnie wielka, co znowu z tego tylko wynikało, że pisma te, szczególniej niektóre najbogatsze dzienniki, prowadzone były pod

względem technicznym doskonale, zawierały dużo treści aktualnej i miały swych zdolnych korespondentów wojennych, słowem, były jedynym na razie interesującem źródłem informacji i stanowiły obfitą lekturę wojenną, podczas gdy uboga prasa warszawska nie była w stanie choćby w pewnej mierze zaspokoić ciekawości czytelników. Wspominamy o tem, ponieważ w gruntowaniu się orjentacji rosyjskiej wpływ rosyjskiej prasy na czytelników warszawskich był znaczny.

W pierwszych też miesiącach wojny działały dość silnie inne czynniki rusofilskie, czynniki natury materjalnej. Wojsko rosyjskie dawało obfite źródło zarobków nie tylko większym dostawcom, ale i szerokim warstwom drobnomieszczaństwa. W sklepach, kawiarniach, hotelach, teatrach i kinematografach zapanował ruch ożywiony przez zakupy i zabawy oficerów rosyjskich, którzy szastali pieniędzmi na prawo i lewo, zdobywając sobie opinję doskonałych klijentów, a co zatem idzie i pewną sympatję sfer, stojących jaknajdalej od wszelkiego uświadomienia społecznego i narodowego. Tu też należy szukać źródła wesołego repertuaru widowisk, jaki się rozpanoszył w teatrach warszawskich podczas największych walk w oddaleniu paru dziesiątków wiorst. Powstał szereg teatrów i teatrzyków, a z nielicznymi wyjątkami grano wyłącznie komedje, farsy i revuetty. Beztroskliwość pewnych sfer, suto zarabiających na wojnie, jak i tych, którzy z pewnym zasobem gotówki zjechali z innych miejscowości kraju i spędzali tu czas bezczynnie, ta beztroskliwość była niesłusznie uogólniana w korespondencjach zagranicznych. „Bawiąca się" w czasie wojny Warszawa, to tylko mała stosunkowo jej część. Możnaby, przeciwnie, ze stokroć większą słusznością powiedzieć, że Warszawa, od chwili wybuchu wojny pracowała poważnie i z największym nakładem energji, choć praca ta ograniczała się niemal wyłącznie do spraw natury społeczno-gospodarczych. Praca ta na terenie samopomocy i dobroczynności, liczne nowe organizacje i instytucje wykazały, z jaką samorzutną siłą i z jakim talentem potrafi Warszawa ratować podstawy bytu społecznego. Niewątpliwie w tym zapale pracy, w tej nadzwyczajnej energji, z jaką pracowano w stu rozmaitych komitetach, komisjach i sekcjach, dostrzedz było można zbytnią jednostronność i zaniedbanie wszelkich

spraw natury politycznej, nie sposób jednak nie stwierdzić niepowszedniej zdolności organizacyjnej naszego ogółu, co właśnie w Warszawie uwydatniło się tak dobitnie.

Tu wypada powiedzieć choćby słów kilka o prasie warszawskiej, na której się niejednokrotnie opierano przy wydawaniu sądów o nastrojach Warszawy w czasie wojny. Krótko mówiąc, należy uznać ów bezwzględny fakt, że poziom prasy warszawskiej, z nielicznymi wyjątkami, stał niżej poziomu przeciętnej inteligencji warszawskiej, która też odnosiła się do pism naszych z pewnem lekceważeniem. Napaści na Galicję — że przytoczymy jeden z przykładów — budziły w Warszawie niesmak, a artykuły pp. Ehrenberga i Nowaczyńskiego — niekłamane oburzenie. Natomiast obrona Galicji przyjmowana była z prawdziwem zadowoleniem nawet w sferach wyznających orjentację koalicyjną, lecz nie pozbawionych poczucia godności narodowej. Prasa warszawska nie była naogół wiernem odbiciem nastroju Warszawy i najmylniejsze opinje posiada każdy, kto się kieruje treścią pism warszawskich, jako jedynie miarodajnym wskaźnikiem tego, jak tu żyliśmy, cośmy myśleli i cośmy odczuwali.

Względy cenzuralne, które pełną, niekrępowaną agitację umożliwiały jedynie N. D. i jej sojusznikom, kneblowały usta nietylko ludziom z innego bieguna politycznego, ale i żywiołom umiarkowanym, które chciały hamować zbyt daleko idące zapędy moskalofilskie. Prasa ugodowa rozporządzała swobodnie całym aparatem swej demagogji, natomiast obozy jej wrogie mogły mówić półsłówkami i domyślnikami, zrzadka zaś tylko dawało się wystąpić z jakimś mocniejszym uderzeniem.

A już całkiem nieznanym dla przebywających po za Warszawą musiał pozostać przebieg tych niezliczonych zebrań, konferencji i narad różnych ugrupowań i kółek warszawskich, które się od początku wojny odbywały, a które żadnego znaku o sobie w prasie dawać nie mogły. Nie była to nawet tylko Warszawa podziemna, jeżeli tak nazwiemy jej sfery socjalistyczne, — wspomniane zebrania składały się z najróżniejszych żywiołów inteligencji warszawskiej, uczciwie szukających dróg zorjentowania się w sytuacji politycznej i dążących do zajęcia zdecydowanej postawy w sprawie narodowej. A choć te zebra-

nia nie doprowadziły, mimo licznych prób i usiłowań, do skrystalizowania się nowych programów i do ustalenia należytych porozumień międzygrupowych, miały dodatnie znaczenie zarówno ako przeciwwaga agitacji N. D. oraz jako przygotowanie doj dalszych możliwości w pracy politycznej. Przesuwały się na tych zebraniach liczne zastępy słuchaczów, wynosząc niejedno zdrowe ziarno ze swobodnej wymiany zdań i nieskrępowanej krytyki prądów rusofilskich. Tu też należytą ocenę znajdował Komitet Narodowy Polski, powołany do życia w dniu 25-ym listopada 1914 r. (a więc dopiero cztery miesiące po wybuchu wojny).

W tym również czasie weszła na porządek dzienny sprawa haniebnej pamięci „legjonów" Witolda Gorczyńskiego. Rzec można z całą stanowczością, że znakomita większość opinji warszawskiej była przeciwna temu przedsięwzięciu. „Podpułkownik" Gorczyński był wyśmiany i wyszydzony. Zebranie organizacyjne „legjonów", odbyte w ratuszu warszawskim składało się z 30 — 40 osób nikomu nieznanych i było widowiskiem zaiste żałosnem. Nawet „Kurjer Warszawski" wystąpił przeciw Gorczyńskiemu i jego robocie. Myśl o utworzeniu „legjonów" przy wojsku rosyjskiem tak jednak to indywiduum zapaliła, że działał dalej niezrażony, aż — ku powszechnemu zdumieniu—zdobył sankcję Komitetu Narodowego. W dniu 25 stycznia 1915 roku Wydział wykonawczy tego Komitetu wydał komunikat w sprawie „utworzenia odrębnej formacji wojskowej polskiej w składzie armji rosyjskiej". W komunikacie zawiadomiono o „postanowieniu sformowanego w Puławach zaczątku Legjonów Polskich na zasadach organizacji pospolitego ruszenia z włączeniem do armji regularnej i przyjęciem na etat państwowy". I dalej: „Komitet Narodowy, postanowiwszy poprzeć całą siłą organizację Legjonów w tej postaci ze względu na jej wagę dla naszej sprawy, porozumiał się z władzami rosyjskiemi w celu utworzenia Komitetu Organizacyjnego Legjonów Polskich". Skład tego Komitetu tworzyli: generał piechoty Edmund Świdziński, generał major Stępowski, generał major Piotr Szymanowski oraz pp. Zygmunt Balicki, Konstanty hr. Broel-Plater, Antoni Sadzewicz (redaktor „Gazety 2 grosze") i podpułkownik Witold Gorczyński. Już po sześciu dniach, wskutek poufnego rozkazu rosyjskich władz woj-

skowych, Wydział wykonawczy Komitetu Narodowego rozesłał zawiadomienie, że „Legjony Polskie tworzą składową część armji rosyjskiej i są zorganizowane na zasadach pospolitego ruszenia, a więc formacji stworzonej na czas wojny i ulegającej po wojnie rozwiązaniu". Żeby nie było nieporozumień... Dalsze perypetje tych „legjonów" są znane: zaczęło się od zniesienia komendy polskiej, niewinne ofiary demagogji N. D. wcielono do wojska rosyjskiego jako zwykłych ochotników, pan Gorczyński z Komitetu po szeregu wewnętrznych skandalów wystąpił, a skończyło się na tem, że cenzura rosyjska z rozporządzenia sztabu zabroniła pisać o „legjonach", dozwalając jeno wzmianki o „drużynach ochotniczych".

Jedyny tedy pozytywny zamiar czynnej orjentacji rosyjskiej spełzł na niczem, co jest wskazówką bardzo poważną przy ocenie t. zw. moskalofilstwa Warszawy.

Inny czyn tegoż Komitetu — adres dziękczynny złożony generałowi Ruzskij'emu, „zdobywcy" Galicji Wschodniej i posłanie mu złotej karabeli — do reszty ośmieszył tę karykaturę Komitetu Narodowego w najszerszych warstwach ogółu.

W charakterystyce nastrojów warszawskich nieodzowną jest rzeczą stwierdzić, że nic tak nie ostudzało orjentacji rosyjskiej, jak głupia, bezmyślna polityka samych Moskali. Już pierwsze rozporządzenia w Galicji Wschodniej po zdobyciu Lwowa znalazły odpowiedni oddźwięk w opinji Warszawy. Zrazu nie wierzono, że możliwem będzie z takim cynizmem prowadzone dzieło barbarzyńskiej rusyfikacji, w miarę jednak napływających wiadomości o gospodarce rosyjskiej we Lwowie, otwierały się ludziom oczy. Cierpienia naszych rodaków galicyjskich miały choć częściową nagrodę w tem właśnie otrzeźwianiu się opinji pewnych sfer warszawskich. Nie tylko jednak te już bijące w oczy fakty paraliżowały wpływy N. D. Cały szereg szykan antypolskich nie ustawał mimo „orędzie" Mikołaja Mikołajewicza, że wymienimy choćby: zdjęcie napisów polskich na kolei wiedeńskiej, zakaz sprzedaży pieśni narodowych, zrazu dozwolonej, słynny okólnik kuratora warszawskiego okręgu naukowego, zakaz sprzedaży medali polskich w Petersburgu i Moskwie, motywowany przez naczelnika miasta ks. Oboleńskiego tem, że „je-

dnogłowy orzeł jest nieistniejącym emblematem kraju przywiślańskiego" i t. p.

A już prawdziwie wielkiem uzdrowieniem opinji był ów niezapomniany „dar wielkanocny", statut samorządu dla miast Królestwa Polskiego, wzorowany na ustawie rosyjskiej z roku 1892, — dokument moskiewskiego cynizmu i szyderstwa w stosunku do naszych dążeń narodowych. Nawet pisma N. D., wobec powszechnego wzburzenia, nie mogły swego niezadowolenia ukryć, choć starały się jak mogły wyperswadować, że ta „reforma" nie wyklucza wielkich zmian, jakie nastąpią po wojnie.

Od połowy kwietnia r. b. w ciągu kilku miesięcy włożono jednak dużo pracy w przygotowania do samorządu, ażeby módz jakoś tę „reformę" wykorzystać. Biuro Pracy Społecznej zorganizowało szereg odczytów, przerwany zresztą gwałtownie przez... rozkaz cenzury rosyjskiej, a później już przez... nieaktualność tematów. Sprawą samorządu absorbowano bądź co bądź opinję Warszawy, zaś N. D. wiązała tę sprawę z doprowadzoną do zenitu agitacją antysemicką.

Obok przygotowań do samorządu w miesiącu maju i czerwcu r. b. polem gorliwej pracy była sprawa szkolna, w której osiągnięto dodatnie wyniki, szczególnie podczas kwesty majowej.

Do najwybitniejszych atoli momentów z ostatnich tygodni rządów rosyjskich w Polsce należy niewątpliwie fakt utworzenia t. zw. Komisji polsko-rosyjskiej i wpływ tego faktu na opinię polityczną Warszawy, wpływ znowu wysoce uzdrawiający. Kiedy Warszawa dowiedziała się o składzie tej Komisji (dnia 3-go lipca r. b.) zareagowała szczerem oburzeniem. Kandydatów na członków Komisji przedstawił carowi do zatwierdzenia sekretarz stanu Kryżanowskij. Byli to przedstawiciele skrajnej prawicy dumskiej, znani wrogowie Polski, Bałaszew, Światopełk-Mirskij, Szubińskij, Chwostow, jeden tylko „umiarkowany" centrowiec Bagalej i jeden postępowiec Stachowicz. Z nimi to do wspólnych narad zasiedli pp. Ignacy Szebeko, Harusewicz, Dmowski, Grabski i Eustachy Dobiecki. Prasa warszawska zaczęła przytaczać opinje rosyjskich członków Komisji w sprawie polskiej. Były to rzeczy pełne perfidji. Taki oto Szubinskij oświadczył w „Birżewych Wiedomościach", że „Pol-

ska będzie się znajdowała względem Rosji w takim samym stosunku, w jakim znajduje się Galicja względem Austrji, choć rozumie się, iż trzeba będzie wprowadzić pewne zmiany (!) zgodnie z odrębnymi warunkami życia rosyjskiego (!!)".

Organ N. D. ratował sytuację jak mógł i umiał. Wobec pośmiewiska, jakiem już dla wszystkich była owa Komisja, zwołana „dla rozpatrzenia przyszłego ustroju Polski" — Gazeta Warszawska pocieszała czytelników, że oto „Bałaszew zdaje się ulegać do pewnego stopnia wpływowi wielkiej chwili historycznej", że co do Szubinskiego „możność porozumienia się nie jest wykluczona" i t. p. Mógł z całą słusznością stwierdzić wówczas „Dziennik Polski", że „znaczna część społeczeństwa polskiego nie podziela poglądów polskich członków Komisji, ani nie posiasiada do nich politycznego zaufania, zaś to, co mówią i robią w Petersburgu, obowiązuje ich tylko, nie kraj". W Warszawie „prace Komisji" były tem śmieiej wyszydzane, że spowito je we mgle tajemnicy, na pierwszem bowiem posiedzeniu uchwalono, że przebieg narad ma być poufny i nie podlegać opublikowaniu.

Jednocześnie z obradami Komisji polsko-rosyjskiej rozpoczęło się dzieło ewakuacji Warszawy i w ten sposób rozwiewanie złudzeń politycznych szło w parze z łupieniem i rujnowaniem kraju. Potworne niszczenie podstaw życia przemysłowego (wywożenie maszyn, motorów i całych urządzeń fabrycznych) zaczęło budzić najżywsze oburzenie w sferach dotychczas w stosunku do Rosji lojalnych. To uczucie oburzenia łączyło się z lękiem o los całego miasta wobec moskiewskiej teorji „gołej ziemi", pozostawianej wrogowi. I niewiadomo, coby się stać mogło, gdyby nie błyskawiczna zmiana położenia, jakiej—co się da stwierdzić dokumentalnie — władze rosyjskie nie przewidywały, licząc, że Warszawę utrzymają o szereg dni dłużej. Toć jeszcze w środę, 4-go sierpnia, rozpoczęto wysadzać w powietrze kotłownie i maszyny parowe większych fabryk warszawskich, rozkładając tę „pracę" na szereg dni następnych, o czem nawet poszczególnych właścicieli fabryk uprzednio zawiadomiono. Gniew przeszedł w głośne złorzeczenia już wśród wszystkich warstw społecznych, jeden zaś z najwybitniejszych działaczów politycznych, do niedawna niemal fanatycznie wyznający orjentację ro-

syjską, rzekł do piszącego te słowa: „Bodajby już poszli jak najprędzej i nigdy nie wracali".

Tegoż dnia, 4-go sierpnia, nadeszły ostatnie depesze z Rosji z treścią przemówienia prezesa ministrów, Goremykina, o nadaniu z woli cara Polsce — autonomji. Warszawa odpowiedziała niekłamanym śmiechem.

Nazajutrz wkroczyły do miasta wojska niemieckie.

25 Grudnia 1915 roku.

STOSUNKI POLSKO-ŻYDOWSKIE W CZASIE WOJNY.

Od długiego szeregu lat stosunki polsko-żydowskie na terenie byłego zaboru rosyjskiego pogarszały się nieustannie, stanowiąc coraz większą tamę normalnego rozwoju życia społecznego i coraz groźniejszą zaporę na drodze polskich dążeń narodowych. Nie starczyłoby wielkiego tomu na zbadanie i wyjaśnienie wszystkich przyczyn historycznych, politycznych i ekonomicznych oraz czynników natury psychologicznej, jakie się złożyły na tak opłakany stan kwestji żydowskiej u nas — choćby w ciągu paru ostatnich dziesięcioleci.

Nikt też nie mógł sądzić, że wszelkie, już jakby tradycyjne zło, jakie panuje w dziedzinie tej kwestji, zniknie całkowicie z chwilą wybuchu wojny europejskiej, — że jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej ustaną wszystkie sprzeczności i rozdźwięki. Jeżeli niemożliwem było przypuszczenie, że wojna zdoła natychmiast i doszczętnie zmienić postać tej sprawy, t. j. usunie wszystkie warunki nienormalnego stanu rzeczy w tej dziedzinie, to z drugiej strony trudno było przewidzieć, że właśnie czasy wojenne jeszcze bardziej zaognią, jeszcze mocniej podniecą i rozjątrzą już i tak złe, fatalne stosunki. Ażeby zdać sobie sprawę, czemu się tak stało, ażeby wydać sprawiedliwy sąd o wszystkiem, co spowodowało nowe powikłania i nowe tarcia, należy przedewszystkiem ustalić bezpośrednią zależność stosunków polsko-żydowskich zarówno od biegu wydarzeń wojennych, jakoteż od układu stosunków politycznych w kraju, wszelkie bowiem sztuczne wyodrębnianie tej sprawy prowadziłoby do

równie sztucznych i opacznych wniosków. Powiedzmy wyraźnie: nastrój antyżydowski wśród szerokich odłamów polskiego społeczeństwa i antypolski wśród żydów łączył się ze sprawą tych rachub i orjentacji politycznych, jakie w danym momencie górowały w opinji społecznej. Uprzytomnimy sobie tę łączność, przebiegłszy myślą splot faktów i czynników, jakie wpływały na stosunki polsko-żydowskie.

Przedmiotem największych wysiłków i zabiegów w pierwszych dniach wojny była organizacja samopomocy obywatelskiej w postaci komitetów, komisji, sekcji i t. d. Aczkolwiek miano je tworzyć pod hasłem bezpartyjności, samo się przez się rozumie, że stronnictwo najlepiej zorganizowane i wyćwiczone w wywieraniu terroru na opinję społeczeństwa, t. j. stronnictwo narodowo-demokratyczne miało decydujący głos w sprawie tych nowych instytucji obywatelskich. Do władz kierowniczych, zarówno w Warszawie, jak i w wielu miastach prowincjonalnych nie powołano ani jednego żyda, jako reprezentanta ludności żydowskiej, ani też jako obywatela kraju. Już ten piewszy krok miał zadecydować o całkowitem utrzymaniu się wpływów N. D-cji, a nawet o ich wzmożeniu się; w przeciwnym bowiem razie, przy jakiejkolwiek wierności zasadom tolerancji i sprawiedliwości, znaczenie stronnictwa musiałoby maleć. Decydujący zaś głos w organizacjach pracy obywatelsiej miał jaknajwiększą wagę dla stronnictwa politycznego, które dążyło do narzucenia swojej orjentacji najszerszym warstwom narodu. Kilkaset komitetów obywatelskich w Królestwie Polskiem — był to nad wyraz poważny teren działania ściśle politycznego, tworzyły się tu bowiem najważniejsze i narazie jedyne ośrodki pracy społecznej, które też chciano przesycić odpowiednią ideologją i odpowiednią atmosferą; powstawały gotowe, jawne, duże organizacje, które mogły się stać główną opoką N. D-cji. Nie należy się tedy dziwić tym nadzwyczaj energicznym usiłowaniom, jakieśmy ze strony N. D-cji widzieli, ku nadawaniu organizacjom obywatelskim zgodnego z jej politycznymi celami charakteru, co przedewszystkiem można było osiągnąć przez wykluczenie żydów od współpracy. Krzywdzony przez N. D-cję od tylu lat żywioł, wnosiłby ferment dla niej nieprzyjazny i osłabiałby jej wpływy.

Taki był po wybuchu wojny pierwszy, radykalny krok na drodze polityki separatystycznej stronnictwa N. D. i żywiołów z niem sprzymierzonych, takie były tego kroku przyczyny.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak wielkie rozgoryczenie zapanowało wśród żydów. Mimo całej przykrej przeszłości, nie spodziewano się, ażeby po wybuchu wojny zasada niemal całkowitego wykluczenia żydów w dziedzinie pracy obywatelskiej nabrała takiej mocy. Sądzono natomiast powszechnie, że odbędzie się przynajmniej częściowe zawieszenie broni w waśniach wewnętrznych na czas wojny — że to zawieszenie broni wyrazi się przedewszystkiem we wspólnych pracach samopomocy i ratowaniu podstaw społecznego bytu, rujnowanego przez wojnę, nieprzebierającą w swych ofiarach według wyznań i przekonań. Rozgoryczenie wśród żydów wzrosło niepomiernie, kiedy rozpoczęły się potworne rugi, wysiedlania i pędzenie tysięcy rodzin żydowskich z miast, wsi i miasteczek, wtedy bowiem tem boleśniej odczuto krzywdę, płynącą z odsunięcia żydów od akcji samopomocy, która wymagała szczególnej pracy nad sprawą słusznego podziału wszelkiego rodzaju zasiłków i pomocy, udzielanej ofiarom rosyjskiej barbarji.

Stan tych stosunków, opartych w rzeczach samopomocy na zasadzie całkowitego separatyzmu, jaka od pierwszej chwili zapanowała, pogarszał w znacznej mierze czynnik inny, jeszcze bardziej złowrogi. Oto już w pierwszych miesiącach wojny, zrazu ostrożnie, później całkiem głośno i wyraźnie wskazywały pisma N. D-cji na masę żydowską, jako na armję szpiegów, działających na krzywdę wojsk rosyjskich. Szerzono bajki niesłychane, rozbudzano namiętności bezkrytycznych tłumów i grano w sposób niewyszukany na ich złych instynktach. Jeżeli separatyzm w organizacjach obywatelskich budził wśród żydów rozgoryczenie i gniew, to już ta ostatnia naganka rodziła pospolitą nienawiść, tem głębszą, że ogół żydowski nie miał poczucia różnicy pomiędzy robotą chwilowo rządzącego stronnictwa, a opinią całego narodu polskiego. Siła agitacji N. D-cji miała w sobie tyle rozmachu, krzykliwości i tyle mocy sugestywnej, że wśród mas żydowskich, wogóle bardzo jeszcze od życia polskiego oddalonych, powstało i utrwaliło się przekonanie, że postawa N. D-cji wyraża opinję całej Polski.

Potęgowanie antysemityzmu przez zarzut szpiegostwa, żydom stawiany, było dla celów politycznych N. D-cji nadwyraz dogodne. Nie było lepszego sposobu rozbudzenia wulgarnej i ślepej prusofobji, jak skojarzenie jej z antysemityzmem; pokazanie masy żydowskiej, jako potężnego sprzymierzeńca (!) wojsk niemieckich, miało na celu zrodzenie tem większej dla tych wojsk wrogości, a tem samem wzmożenie i ugruntowanie rusofilstwa. I tu więc agitacja antysemicka łączy się berpośrednio z rachubami politycznemi. Dawne niechęci i uprzedzenia spożytkowano dla potrzeb aktualnych; antysemitym w czasie wojny musiał operować oszczerstwami — jeśli tak rzec można — wojennemi, więc: zarzutem zdrady, szpiegostwa i t. p. W ten sposób osiągano cel potrójny: oparcie, już tylekroć wypróbowane, w uczuciach niechęci dla żydów, powtóre — wzmocnienie prusofobji a tem samem moskalofilstwa i wreszcie, co najważniejsza, odwrócenie najszerszych warstw społeczeństwa od zagadnień politycznych w stronę kwestji żydowskiej, wysuwanie jej na plan pierwszy, jako wciąż największego dla Polski niebezpieczeństwa, słowem, świadome osłabianie tempa życia politycznego. Istotnie, podczas wojny, w Warszawie, w pewnych okresach więcej się słyszało i czytało o kwestji żydowskiej, niż o sprawie polskiej i jej nowych perspektywach. Tradycja tych wypróbowanych metod tumanienia opinji „największem niebezpieczeństwem", zakrywania chałatem żydowskim wielkich zagadnień narodowych polskich, tłumienia w ten sposób wszelkich dążeń wyzwoleńczych, a nadewszystko odwracania uwagi społeczeństwa od szacherek moskalofilskiej ugody, — tradycje te odżyły w pełni i odnosiły tryumf niemały.

Kiedy np. ogłoszono rosyjski statut samorządu dla miast Królestwa Polskiego, tę karykaturę reformy i jawne szyderstwo z polskich dążeń narodowych, — efekt był zbyt przygnębiający, by nawet pisma ugodowe mogły się odważyć na wyraz radości, — natomiast dla osłabienia tego ujemnego wrażenia, niektóre pisma moskalofilskie wykazywały wielką wagę, ogromny pożytek i doniosłość tej „reformy" pod jednym względem: — ograniczenia praw żydów i ustanowienia kurji wyznaniowych. Możnaby przytoczyć wiele tego rodzaju przykładów. W ten oto sposób kwestja żydowska stanowiła dla N. D-cji swoiste pogotowie

ratunkowe przy opanowywaniu opinji i niezmiennem jej utrzymywaniu w karbach moskalofilstwa, mimo porażki i klęski polsko-rosyjskiej ugody.

W takiej atmosferze rodziły się objawy wstrętne i antyhumanitarne. Dochodziły niektóre pisma brukowe do szczytów cynizmu, że z przykrością przytoczę tu owo zadowolenie z powodu wyrzucenia tysięcy żydów z ich siedzib w miejscowościach podmiejskich i nawoływania do zajęcia przez ludność chrześcijańską sklepów przez żydów z musu porzuconych. (Wtedy to Wincenty Rzymowski wystąpił z płomiennym protestem, w którym napisał, że tego rodzaju cynizm graniczy już z obdzieraniem trupów na pobojowiskach).

Żydzi naogół reagowali na agitację antysemicką w sposób właściwy ich zrozumiałemu zresztą przeczuleniu i specyficznej histerji. Każdy fakt wyolbrzymiano do rozmiarów fantastycznych, pierwsza lepsza bójka uliczna, w której poturbowano akurat żyda, w rozgorączkowanej i chorobliwej wyobraźni dorastała do znaczenia pogromu, każde wydarzenie uogólniano, widząc wszędzie żydożerców, czując się zewsząd osaczonymi przez wrogów i dopatrując się w każdym, najmniejszym odruchu niechęci czy uprzedzenia - zapowiedzi najgroźniejszych następstw. W rzeczach, nic wspólnego z antysemityzmem nie mających — widziano zamachy na prawa żydów. Co więcej, — winę wszystkich nieszczęść i tragedji, jakie ludności żydowskiej niosła armja rosyjska, przypisywano antysemitom polskim, oni to bowiem mieli wrogo usposobić dla żydów wojsko rosyjskie, oni mieli „zarazić“ je antysemityzmem (!). Ten absurd był najgłębszem przekonaniem szerokich warstw ogółu żydowskiego i to nietylko wśród ciemnych mas ludowych. Wojska rosyjskie, prowadzone przez tysiące oficerów, którzy całe życie nie czytują nic, prócz pogromowego „Nowego Wremji“ i t. p. pism, hordy kozackie, dzikie i bestjalskie, miały się dopiero w Polsce „zarażać antysemityzmem“. Wpajanie w wojsko rosyjskie przekonania o szpiegostwie żydowskiem, jako o jedynem źródle niepowodzeń, co było systematycznie uprawiane, przez urzędowe komunikaty rosyjskie i specjalne okólniki Mikołaja Mikołajewicza oraz całego szeregu dowódców, — także miało czerpać natchnienie w antysemityzmie polskim!! Do ta-

kich niedorzeczności dochodzili żydzi w swem niepohamowanem zdenerwowaniu.

Te wszystkie zmyślenia i insynuacje oraz ową specyficzną nadwrażliwość żydowską, im samym tyle szkody przynoszącą, wyzyskiwał już od pierwszej chwili nacjonalizm żydowski, pogłębiając wzajemny separatyzm. Opinja N.-D-cji była dlań zawsze miarodajną wskazówką w ocenie opinji całego narodu, tak też przedstawiano wszelkie działania N.-D-cji w prasie żargonowej, świadomie przemilczając lub ośmieszając wszystko, co wychodziło z pod innego znaku politycznego.

Nacjonalizm żydowski miał pod tym względem taktykę ułatwioną, gdyż istotnie należytej przeciwwagi akcji endeckiej w prasie polskiej nie było, żydzi zaś nie uświadamiali sobie, że jej wtedy być nie mogło. N.-D-cja rozporządzała wszelkimi środkami jawnej i przez rosyjskie władze popieranej demagogji. Była jedynym obozem, który mógł bez żadnego skrępowania działać i terroryzować opinję. Wszystkie odłamy, ugrupowania i stronnictwa, przeciwstawiające się N.-D-cji skazane były albo na wyłączne działanie w podziemiach, albo też na ustawiczne niedomówienia, domyślniki i półsłówka, — na to tylko, co się mieściło w ramach cenzury rosyjskiej. Atakowanie N.-D-cji już samo przez się było w oczach cenzorów nielojalne, o ile nie opierało się na podstawie tej samej orjentacji politycznej, że zaś żywioły demokratyczne i socjalistyczne były od orjentacji rosyjskiej jaknajdalsze, walkę tedy wyraźną i jasną z N.-D-cją miały niezmiernie utrudnioną. Walka zaś z jej agitacją antysemicką wymagała ujawnienia wszystkich, wyłuszczonych tu pobudek i celów politycznych, co również tylko w pewnych granicach było możliwe.

Ów brak przeciwwagi był, jak już zaznaczyłem, wyzyskiwany przez nacjonalistów żydowskich, którzy świadomie szerzyli wśród mas żydowskich przekonanie, że niema w Polsce ani jednej grupy politycznej, nie solidaryzującej się z naganką N.-D-cji. W masach żydowskich dawano temu oszczerstwu całkowitą wiarę, nie znają one bowiem życia polskiego, jedynie zaś miarodajnem jest dla nich to, co w danym momencie odznacza się największą krzykliwością i demagogją. Rosła tedy wśród żydów reakcja i pogłębiała się psychologja odwetu. Na

tem tylko tle mogło w czasie wojny powstać takie pismo, jak organ warszawskiej grupy nacjonalistów żydowskich, „Opinia żydowska". Nie omylę się chyba, twierdząc, że nigdy jeszcze w Polsce nie było pisma żydowskiego, przesyconego tak głęboką nienawiścią do polskiego społeczeństwa. Pismo to szerzyło agitację antypolską, nie przebierającą w środkach, nie gardzącą oszczerstwem i insynuacją, a nawet delatorstwem. Ono też świadomie ośmieszało każdy polski głos demokratyczny i humanitarny, ażeby nie osłabić przekonania, że wszystko w Polsce żyje i zieje antysemizmem.

Tak rodził się grunt do szukania przez żydów pomocy nazewnątrz społeczeństwa i tak powstało źródło międzynarodowej kampanji antypolskiej, która całą sprawę jeszcze bardziej skomplikowała i zaogniła. Prasa europejska i amerykańska była zasypywana artykułami żydowskich korespondentów, którzy z brudnego palca ssali niestworzone, krwawe bajki o strasznych pogromach i nieludzkiem prześladowaniu żydów przez Polaków; za pomocą tych setek oszczerczych publikacji wywoływali tu i owdzie wrażenie, że w Polsce płynie morze krwi żydowskiej, a cały naród polski spadł na poziom najdzikszego plemienia, rozmiłowanego w mordach i pożogach. Paru wybitnym pisarzom europejskim podsunięto fałszywe dane, które im niestety posłużyły do wystąpień antypolskich, jak to miało miejsce z wystąpieniami Jerzego Brandesa. Jaka krzywda działa się tu Polsce, jakie ochładzanie opinji międzynarodowej w jej dla nas sympatjach, tego tłómaczyć nie potrzeba. I znowu w tej sprawie nie można było dać należytej odprawy aranżerom międzynarodowej naganki antypolskiej. Protesty warszawskiego Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy polskich, liczne artykuły (między innymi niżej podpisanego List otwarty do Jerzego Brandesa) nie mogły zawierać wyczerpującej odpowiedzi, taka bowiem odpowiedź wymagałaby wskazania istotnych sprawców pogromów żydowskich, pokazania opinji europejskiej, co wyprawiają hordy kozackie z żydami w Polsce i jak potwornem kłamstwem jest składanie win za te zbrodnie na naród polski, — wymagałaby również scharakteryzowania całej przepaści, jaka istnieje pomiędzy pozbawioną głosu Polską demokratyczną i wol-

nościową, a panującą chwilowo kliką narodowych zaprzańców. Taka odpowiedź była wówczas niemożliwa.

Z ową kampanją międzynarodową łączyła się głośna wtedy sprawa tak zwanej interwencji rosyjskiej, ta ostatnia zaś z całą sytuacją polityczną minionego momentu. Żydzi w Rosji uderzyli na alarm. Pozostając w stałym kontakcie z żydami rosyjskimi, zamieszkałymi w Warszawie (w ich ręku jest cała warszawska prasa żargonowa), zorganizowali energiczną naganką; z ich też inspiracji, wskutek ich naporu i nalegań zaczęła w odpowiednim duchu działać rosyjska prasa kadecka, z p. Milukowym na czele, a więc „Riecz", „Kijewskaja Myśl", „Odesskija Nowosti" i t. p.

Naganka ta miała też swoje głębsze źródła polityczne. Liberali rosyjscy, stojący wiernie na gruncie obrony państwowych i imperjalistycznych interesów Rosji, mieli tu pretekst do utrwalenia zasady interwencji rosyjskiej w wewnętrzne życie Polski, — pod pozorem humanitarnych i demokratycznych haseł, t. j. koniecznej obrony praw prześladowanej mniejszości. Było w tem dużo iście kadeckiej przewrotności. Owa zasada prowadziła wielu kadeckich polityków do całkiem wyraźnej agitacji za takiem w przyszłości ograniczeniem naszej samodzielności politycznej, któreby gwarantowało siłę interwencji rosyjskiej,— rzekomo w imię obrony przez demokratyczną Rosję praw żydów w Polsce, a w istocie celem utrwalenia związku Polski z państwowością rosyjską. Żydom rosyjskim była taka postawa kadetów bardzo na rękę. Byli oni zawsze zdecydowanymi wrogami wyzwoleńczych dążeń polskich, widząc w tych dążeniach groźbę rozbicia „żydów państwa rosyjskiego" i oderwania się Polski, gdzie przebywa gros skupienia żydowskiego — największej odnogi żydowskiego nacjonalizmu. Agitatorzy żydowscy typu Żabotinskija, Kleinmana i t. p., rozwijali szeroką akcję antypolską łącznie ze swymi współtowarzyszami w Warszawie. „Opinja żydowska" tłomaczyła niejednokrotnie, że podstawą jej orjentacji rosyjskiej jest obawa przed „rozkawałkowaniem" żydostwa, czyli przed wyodrębnieniem ustroju politycznego Polski, — ta bowiem ewentualność byłaby klęską dążeń „narodowych" „zcementowanego" w ramach jednej państwowości żydostwa.

Trzeba nadto zważyć, że żydzi rosyjscy przywozili i przysyłali swoim współwyznawcom w Polsce, ofiarom wojny, uchodźcom i bezdomnym, bardzo obfite i szczodre zasiłki materjalne. Działacze żydowscy z Rosji przyjeżdżali do Królestwa, tu zakładali przytułki, ochrony, kuchnie i t. p., łożąc na ten cel sumy bardzo poważne i zdobywając w ten sposób sympatję wśród mas żydowskich. Ze strony mas było to uczucie całkiem naturalne — odczuwały pomoc namacalną i najbardziej nieodzowną. Na tem tle rosły zakusy żydów, emisarjuszów rosyjskich, którzy rozpoczęli rozwijać już na terenie Królestwa działalność antypolską i rusyfikacyjną przez rugowanie języka polskiego z zakładanych za ich pieniądze szkółek, warsztatów, schronisk i t. p.

Powstała z kolei walka już w łonie samego ogółu żydowskiego. Żydzi zasymilowani usiłowali przeciwstawić się tym zakusom, lecz sytuacja ich była wtedy nad wyraz trudna. Setki tysięcy rubli płynęły z Rosji na pomoc żydom w Królestwie, a razem z temi sumami — wysłańcy i agitatorzy polityczni. W naszych warunkach nie można było tej filantropijno-politycznej akcji zatamować, gdyż sprawą najpilniejszą było ratowanie wielotysięcznych rzesz żydowskich, całkiem zrujnowanych, bez dachu nad głową i bez środków do życia, żadna zaś pomoc lokalna nie była w stanie zaspokoić potrzeb najbardziej palących. Z drugiej strony usiłowania w celu ustalenia należytego modus vivendi z polskiemi organizacjami pomocy ofiarom wojny zrazu spełzły na niczem, tyle było uprzedzeń i niechęci, późniejsze zaś ustępstwa dalekie były od racjonalnego spełniania zadań obywatelskich.

Żydzi rosyjscy przyjeżdzali z uczuciem największej nienawiści dla asymilatorów, nadewszystko z racji ich odezwy, wydanej w grudniu r. ub. Odezwa ta — wynik licznych zebrań — wyrażała solidarność z narodowymi ideałami polskimi, nadzieję na „odzyskanie trwałych podstaw nieskrępowanego życia narodowego" [1]), stawała w obronie równouprawnienia żydów, lecz

[1]) Co w redakcji pierwotnej brzmiało: „trwałych podstaw samodzielności narodowej", a co wskutek szykan cenzury rosyjskiej w powyższy sposób zmieniono.

jednocześnie uznawała „kwestję polsko-żydowską za ściśle wewnętrzną" — przeciwstawiała się obcej, zewnętrznej interwencji. To przeciwstawienie się wywołało w kołach żydów rosyjskich jakoteż wśród nacjonalistów żydowskich w Królestwie prawdziwą burzę. Walka z asymilatorami prowadzona była w sposób oszczerczy i prowokacyjny, co się z tem większą siłą wyraziło później, w okresie przygotowań do wyborów samorządowych. Wtedy—były to miesiące kwiecień, maj, czerwiec i lipiec r. b.— walka w łonie samego ogółu żydowskiego wrzała w całej pełni. Wtedy też, we wznowionym tygodniku „Izraelita" (organ asymilatorów, który z pewnemi przerwami wychodził w Warszawie w ciągu lat 48-miu) ogłoszono wyniki ankiety w kwestji żydowskiej. Poważny szereg znanych działaczów, polityków i publicystów wypowiedział się w duchu zasad demokratycznych, potępiając jednocześnie owe scharakteryzowane wyżej zakusy interwencyjne. W krótszych i dłuższych artykułach wypowiedzieli się pp. Ludwik Krzywicki, Adam Zakrzewski, Józef Budkiewicz, Aleksy Kurcjusz, Tadeusz Balicki, dr. Rafał Radziwiłłowicz, Witold Giełżyński, Leon Supiński, Roman Wegnerowicz, Stanisław Patek, Stanisław Kruszewski, Wacław Makowski, Alojzy Wierzchleyski, Bogdan Straszewicz, Wincenty Rzymowski, Stanisław Pyrowicz i dr. Józef Flach, — tworząc w ten sposób poważny dokument polskiej myśli demokratycznej i humanitarnej. Ankieta była, oczywiście, zlekceważona zarówno przez prasę antysemicką, jak i żargonową, jako „niemiarodajny" wykładnik opinji narodu polskiego.

Takie oto były najwybitniejsze cechy i momenty stosunków polsko-żydowskich w czasie wojny na terenie byłego zaboru rosyjskiego. Pominęliśmy tu cały szereg szczegółów, jakoteż niezbędną dla należytej oceny stosunków powyższych charakterystykę lat ubiegłych, wykracza to bowiem poza ramy jednego artykułu. Nie wchodziliśmy również w analizę samej kwestji żydowskiej.

Po ustąpieniu Rosjan z Królestwa Polskiego, rozpoczyna się w dziejach stosunków polsko-żydowskich nowy rozdział. Nastały nowe warunki, prowodyrzy N.-D-cji uciekli razem z Rosjanami, agitacja żydów rosyjskich została przerwana, siła czyn-

nego antysemizmu, choć nie wygasła całkowicie, w znacznym jednak stopniu osłabła. Wielu żydów zostało powołanych do wspólnej pracy obywatelskiej na nowych placówkach kulturalnych, w nowych urzędach i instytucjach. Próby nowych waśni spełzają niemal na niczem. Nie wdając się we wszystkie przyczyny takiej zmiany, należy uznać, że wraz z jarzmem rosyjskiem ustępuje wiele bezpośrednio z niem związanych anomalji w dziedzinie kwestji żydowskiej i stosunków międzywyznaniowych w kraju. Zasada ograniczeń wyznaniowych lub całkowitego odsuwania żydów od udziału w pracy obywatelskiej nie święci już swych dawnych tryumfów, tendencje prześladowcze radykalnie zanikają.

Zdawałoby się tedy, że i wśród szerszych warstw żydów obudzi się odpowiednio dodatnia reakcja, że osłabnie również siła żydowskiego seperatyzmu, właśnie w antysemickiej agitacji czerpiącego swą żywotność. Otóż wypada stwierdzić, że wśród żydów pod tym względem nie widać jeszcze znaczniejszych zmian na lepsze. Snać niedawna przeszłość tak pogłębiła separatyzm wśród żydów, że pozostał on niemal nienaruszony, mimo całkiem już nowych warunków. Może jeszcze zbyt mało czasu upłynęło, aby mogło nastąpić już widoczne zanikanie rozgoryczeń i niechęci, jakie z wielu stron żydom tak długo zaszczepiano. Tak czy owak, na podstawie licznych faktów, musimy uznać, że postawa żydów — (z wyjątkiem naturalnie sfer żydów spolszczonych, które, jak dawniej tak i dziś, wierne są interesom polskim) — pozostawia dużo do życzenia. Widać to w pełnym niechęci i braku zaufania stosunku ludności żydowskiej do nowych organizacji polskich (milicja, b. sądy polskie, urzędy miejskie i t. p.), widać to również w omijaniu władz polskich przy wszelkiego rodzaju skargach i pretensjach.

Jest to zjawisko smutne, świadczy bowiem, że uobywatelenie rzeszy żydowskiej — dla interesów całego kraju niezmiernie ważne i doniosłe — będzie zadaniem, wymagającem wielkiej i długiej pracy, tem energiczniejszej, że masa żydowska podlegać obecnie zaczyna nowym wpływom innej kultury, która w ludności żydowskiej może znaleźć wdzięczny grunt dla swej ekspansji.

Praca w tej dziedzinie, jak i w innych naszych sprawach wewnętrznych może być i będzie owocna jedynie przy całkowitej samodzielności politycznej i nastaniu normalnych warunków rozwoju życia społecznego.

25 Grudnia 1915 r.

ROK 1916.

Zdarliśmy tedy ostatnią kartkę zużytego kalendarza... Wielki rok wojny wszechświatowej usunął się w przeszłość...

Cóż myśli i co odczuwa mieszkaniec pławiącej się we krwi Europy, zawieszając nowy kalendarz, na którego kartkach może dziś jedynie postawić szereg znaków zapytania? Najsprzeczniejsze uczucia targają jego duszą, a bezładne myśli kłębią się, walczą ze sobą, słabną, to znów nabierają mocy, szukając wyjścia z zaczarowanego koła wydarzeń dziejowych, z zaplątanej sieci nierozwiązanych spraw państw i narodów, z obłąkańczego choasu, w jaki popadł świat współczesny i w jakim trwa, z dnia na dzień, z godziny na godzinę zaciskając coraz mocniej niezliczoną ilość gordyjskich węzłów.

Rok 1915! Ludy ziemi postawią kiedyś ten rok w rzędzie najgroźniejszych tworów swojej wyobraźni, choćby pomiędzy Potopem a Sądem Ostatecznym, jako czas panowania zbrodni i nieszczęścia, które chodziło po świecie, przebogate i hojne w rzucaniu na ludzkość stu plag, najwyszukańszych w grozie i okrucieństwie.

Rok obudzonych instynktów, które w swej tytanicznej sile rodzą sceny godne największego mistrza, jakim może być tylko samo Życie, szydzące z najbardziej wyrafinowanych pomysłów literatury i sztuki i czyniące ze wszystkich Edgarów Poe — autorów jakowychś idylli, sielanek czy bajek niewinnych.

Rok wzmożonej, do granic obłędu posuniętej walki o istnienie.

Ale jednocześnie — rok to „tysiącznych cnót nadludzkich" — jak się wyraził Barrès w liście do d'Annunzia, rok poświęceń i bohaterstw, które godne są nieśmiertelnych legend i pieśni, jakie się też rodzić będą ze wspomnień tej wojny i wielu ludzi współczesnych postawią narówni z bohaterami starożytnego świata.

Rok to również fałszywych haseł, zwodniczych drogowskazów, kłamliwych i kuszących gestów, wielkich słów i wielkich obietnic, wszechświatowego przetargu wybawicielskich programów i zamierzeń, rok proroctw i przepowiedni, a jednocześnie — rok nowych doświadczeń, wzbogaconej wiedzy o dąże-

niach ludów i ich władców, o drzemiących w łonie narodów potęgach. Rok w każdej swej chwili tak wielki, że zaiste, mimo wszystko zło, dziś panujące, szczęśliwy jest, kto żyje w czasach obecnych, jeśli potrafi należycie odczuć niezmierzone bogactwo życia ludzkiego.

Wszelako coś innego jeszcze stanowi minionego roku największą osobliwość. Rok 1915 — to prowizorjum świata. Życie miljonów istot ludzkich, zarówno biernych świadków wojny, jak i biorących w niej udział, życie wielu narodów i państw, stosunki międzynarodowe, — wszystko oparte jest na zasadach tymczasowości i trwa w ramach nowych organizacji, stworzonych ad hoc przez genjusz ludzki, niewyczerpany w pomysłach przy ratowaniu dającego się jeszcze uratować życia społecznego. Jest tedy wszystko tworzone na chwilę, na miesiąc, rok czy na lat parę, lecz z całą potęgą woli życia i przetrwania.

Ta tymczasowość cechuje wszystkie dziedziny bytowania ludów Europy. Na kartach historji, — rozdziały, które wypełni rok ubiegły, mogą nosić miano wielkiego prowizorjum z jego tysiącem doświadczeń, prac, pomysłów i odkryć. Do jakiej zaś potęgi dojść można w tworzeniu życia w kształtach tymczasowych, pokazał światu naród niemiecki. Jest to dziedzina rzeczy nowych, dawniej ludzkości nieznanych, graniczących niemal z cudotwórstwem.

W atmosferze tymczasowości, w czasach nieznanego jutra, urabia się też odpowiednio dusza ludzka, zawsze twór warunków danej chwili dziejowej.

Kiedy wszystko dopiero się staje, a nic niewiadomo napewno, kiedy, jak rzekliśmy, podstawą całego życia jest prowizorjum, wtedy wzbogaca się kraina Nadziei, która na kanwie pragnień ludzkich wyszywa jasne obrazy lepszej przyszłości, bo w tej swojej pracy kojącej żadnym pewnikiem nie jest krępowana.

Lecz z tego samego źródła płynie wszelkie Zwątpienie, również żadnym pewnikiem niehamowane i najsmutniejszym podszeptom powolne.

W walce Nadziei ze Zwątpieniem hartuje się duch ludzki. Człowiek pogłębia swoje Przekonania i swoją Wiarę, opartą na odczuciu i zrozumieniu tendencji rozwojowych ludzkości poprzez wszystkie najkrwawsze szczeble ku lepszemu dążącej.

Tak widzimy od strony duchowej ów wielki rok 1915-ty. W takim nastroju żyją narody Europy.

A Polska? Wiadomo było narodowi polskiemu i mówili mu o tem najwięksi jego jasnowidze, że „sprawa Polski wywołana będzie przed sąd świata nie inaczej, tylko głosem powszechnej, politycznej burzy; wtenczas, we wstrząśnieniu wielkiem wynijdą i rozwiną się nowe potrzeby; ludzie z genjuszem politycznym, z genjuszem działania potrafią te potrzeby wyrozumieć i zaspokoić, wynajdując środki nowe, teraz albo niewidzialne, albo ogłoszone za niepodobne" (słowa Adama Mickiewicza).

Rok ubiegły był jeno czasem „wielkiego wstrząśnienia", w którem się Polska wzbogaciła krwią męczeńską... Ale już chyba ten rok nowy nietylko zagoi dawne i świeże rany narodu, lecz owe „niewidzialne" dotychczas środki zbawienia uwidoczni, w rzeczywistość przyoblecze i szczęśliwą narodowi przyszłość w sile i w wolności zapewni.

1 Stycznia 1916 r.

PARĘ WSPOMNIEŃ.

(W ROCZNICĘ POWSTANIA 1863 ROKU).

„Włożyć kajdany na człowieka lub naród — pisał Emil de Girardin do cara Aleksandra II — nie jest rzeczą tak prostą, jakby się zdawało. Niema więźnia bez dozorcy więziennego. Chcąc utrzymać człowieka lub naród w niewoli, pozbawia się wolności także i tego, co ich strzeże, a zatem odbiera się wolność czy to obu ludziom czy to obu narodom."

Potwierdza te słowa historja Polski pod panowaniem moskiewskiem. Potwierdza przedewszystkiem powstanie, które wybuchło, mimo, iż „dozorca więzienny" wypróbował wszystkie środki ujarzmienia kraju, trwając jednak w nieustannej niepewności, czy dnia pewnego nie stanie się jakaś „terrible histoire", jak to krzyknął kat moskiewski, generał Gerstencwajg, gdy się dowiedział, że w kościołach Warszawy aresztowano parę tysięcy osób (15 października 1861 roku).

Dla Rosji było powstanie styczniowe ową „terrible histoire", trwającą szesnaście miesięcy i obejmującą około 1000 miejscowości — terenów bitew, starć i potyczek, o których rosyjski historyk powstania, Mikołaj Berg, pisze z goryczą, że „karzeł zrównał się z tytanem przez niesłychaną energję, zapał i ofiarność, posuniętą do ostatecznych granic".

Po upadku powstania listopadowego rząd carski zacierał ostatnie ślady politycznej odrębności Królestwa Polskiego, deptał brutalnie wszelkie prawa, niszczył oświatę, niweczył wszelki dorobek kulturalny. Namiestnik carski, Paszkiewicz, otoczony zgrają żandarmów i szpiegów, nie znał granic najdzikszego despotyzmu. O tym okresie czasu, trwającym zgórą ćwierć stulecia pisał w przystępie szczerości Iwan Aksakow: „Czegóż można spodziewać się od kraju, w którym trzeba skłamać, ażeby powiedzieć prawdę; w którym trzeba postępować wbrew prawu, ażeby być sprawiedliwym; w którym, chcąc uzyskać, co się z prawa należy, trzeba przebyć całą procedurę oszustw i podłości".

Po przegranej wojnie tureckiej zachwiała się potęga carska. Jednocześnie trwożyły ją srodze krwawe zaburzenia włościjańskie w latach 1854 i 1855. Po śmierci Mikołaja, nowy car musiał się zgodzić na proponowane mu warunki pokojowe. Miał nastąpić okres ulg i reform. W tem przekonaniu witano życzliwie Aleksandra II w Warszawie w r. 1856, na co dumny car odpowiedział: „Point de revèries, point de revèries, messieurs. Wszystko, co mój ojciec zrobił, dobrze zrobiono. Panowanie moje będzie dalszym ciągem jego panowania. Spodziewam się, żeście mnie dobrze zrozumieli". Słowa te dobrze zrozumiano. Po tylu latach krzywd i gwałtów, każde ustępstwo mogło jedynie podniecać nadzieję, osłabiać więzy krępujące naród. To też późniejsze ustępstwa, takie, jak założenie Akademji medycznej i Towarzystwa Rolniczego w Warszawie, zaś przedewszystkiem podniesienie kwestji włościjańskiej w roku 1857 wpłynęło nie na „uspokojenie" kraju, lecz, przeciwnie, ożywiło umysły. Tembardziej, że na emigracji żyło jeszcze wielu uczestników powstania listopadowego, w pamięci żyły jeszcze dzieje roku 48-go, walki w Paryżu, Wiedniu i Berline. A nadewszystko przełomowy momemt lat ostatnich: wyzwolenie Włoch, wpłynęło potężnie na opinję polską.

Ostatnie lata przed powstaniem tworzyły okres manifestacji uczuć i pragnień narodowych, — manifestacji, po których oczy całej Europy zwróciły się na Polskę.

Pierwsza wielka manifestacja z 20.000 ludu, — to pogrzeb wdowy po generale Sowińskim w czerwcu r. 1860; tegoż roku wielki obchód rocznicy listopadowej. W roku następnym, dnia 25 lutego — obchód rocznicy bitwy pod Grochowem, urządzony podczas zjazdu ziemian z całego kraju, zakończył się zbrodnią kozaków. Padło pięć ofiar, których pogrzeb uroczysty odbył się dnia 2 marca, wzmacniając nastrój patrjotyczny narodu. Dnia 7 kwietnia 1861 roku, na wniosek Wielopolskiego, który rzucił rękawicę całemu społeczeństwu, rozwiązano Towarzystwo Rolnicze. Fakt ten przyjęto z powszechnem oburzeniem. Przed gmachem Towarzystwa stanęły tłumy z wieńcami kwiatów, zaś Andrzejowi Zamojskiemu urządzono wspaniałą owację. I znowu 8-go kwietnia dokonano morderstwa nad bezbronnym tłumem. (Uwiecznił je Artur Grotger) Padło kilkadziesiąt ofiar. Tłum jednak — pisze w swych pamiętnikach Władysław Daniłowski — mimo tylu rannych i zabitych, nie ustępował: wielu odkrywało piersi, wołając do wojska: „Strzelajcie, mordujcie bezbronnych". Wówczas to jeden z oficerów rosyjskich, Popow, złamał swą szpadę przed tłumem i cisnął ją z pogardą. Wówczas to żyd Landy pochwycił krzyż, wypadający z rąk porwanego przez żołnierzy Karola Nowakowskiego i niósł nad tłumem, póki sam nie poległ.

Z genialnemi słowy zwrócił się naonczas do cara Iskander: „Sire, pas de revèries, pas de revèries! Straciłeś Polskę. Mogłeś stanąć na czele ruchu słowiańskiego, mogłeś wskrzesić Polskę! Pas de revèries, Sire! Straciłeś Polskę, t. j. żywą, — zarżnięta może pozostać trofeą wojska waszej cesarskiej mości".

Manifestacje powtarzały się nieustannie: w dzień św. Stanisława w Wilnie i inne na Litwie, nabożeństwa żałobne po zmarłym w tym czasie Lelewelu; (29 maja) i Adamie Czartoryskim (15 lipca); obchód rocznicy Unji lubelskiej (12 sierpnia) wielki manifestacyjny pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego, wreszcie obchód rocznicy śmierci Kościuszki, dnia 15 października, kiedy krew splamiła wnętrza kościołów.

Manifestacjami temi — jak pisze Bolesław Limanowski — kierowała wiara w możliwość moralnej tylko walki, w skuteczność męczeństwa dla sprawy. Ta wiara zgasła, przeradzając się w czynny opór, kiedy — za sprawą Wielopolskiego, który chciał przeszkodzić powstaniu, lecz je mimo chęci przyspieszył, — rozpoczęto w nocy z dnia 14 na 15 stycznia 1863 roku brankę, odbywającą się iście po barbarzyńsku, przez porywanie ofiar gwałtem, nocą, i dostarczanie związanych do szeregów.

Dnia 22 stycznia Komitet Centralny ogłosił się Tymczasowym Rządem Narodowym i wydał odezwę, rozpoczynającą się od słów: „Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieczony oporem męczonej przez siebie ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy i porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną mękę i zatracenie. Polska nie chce, nie może się poddać bez oporu temu sromotnemu gwałtowi; pod karą przed potomnością, powinna stawić energiczny opór... Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny Rząd twój Narodowy, wzywa cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które ci da i przez imię Boga na niebie dać przysięgą, bo wie, że ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem".

Odezwa zwracała się w końcu i do narodu rosyjskiego: „A teraz odzywamy się do ciebie, Narodzie Moskiewski! Tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo ludów, dlatego też przebaczamy ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów cytadeli. Przebaczamy ci, bo i ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony. Trupy dzieci twoich kołyszą się na szubienicach cesarskich, prorocy twoi marzną na śniegach Sybiru! Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczynisz w sobie zgryzoty za przeszłość, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depce po tobie, biada ci, bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacji z dzikiem barbarzyństwem Azji".

Rozpoczęło się powstanie. Trwało szesnaście miesięcy w warunkach niesłychanie ciężkich, walczył bowiem naród pozbawiony wszelkich środków i urządzeń militarnych. „Wojna, którą prowadzimy z Rosją — pisał Rząd Narodowy 15 sierpnia w depeszy do księcia Wł. Czartoryskiego — jest połączona dla nas z takiemi trudnościami, jakie nigdy dla żadnego narodu w podobnych warunkach nie istniały". Armatom przeciwstawiono broń myśliwską, armjom regularnym — grupy partyzanckie.

Zawiodły nadzieje na moc wiary i zapału, niepopartego dostateczną siłą fizyczną, zawiodły nadzieje na interwencje dyplomacji europejskiej, zawiodły też nadzieje na współczucie ludu rosyjskiego, — bowiem z tamtej strony tylko nieliczne jednostki rozumiały i uznawały hasło wspólnej wolności. Kiedy za przykładem Berga, naczelnicy wojenni, jak Toll, Boagowut, Pomerancew i inni pastwić się zaczęli nad powstańcami w sposób zwierzęcy, wprowadzając do lochów więziennych narzędzia tortur, wołał wówczas Hercen: „Podli! Nie wierzymy, ażeby młode pokolenie Rosji wzięło na siebie odpowiedzialność za te krople krwi niewinnej, za te sznury obcięte z szubienic. Nie wierzymy, ażeby z miłości dla cesarstwa rosyjskiego stanęło po stronie katów, grabieżców, tortur". Był to wtedy głos wołającego na puszczy.

Powstanie zdławiono. W pamięci narodu pozostały imiona Mierosławskiego, Padlewskiego, Rogińskiego, Traugutta, ks. Mackiewicza, Ruprechta, ks. Brzózki, Langiewicza, Waszkowskiego i tylu, tylu innych.

Lata 64 i 65-y — to okres nieustannych aresztowań, egzekucji i zsyłań na Sybir. Rozpoczęła się nowa karta dziejów męczeńskich narodu polskiego. „Rewolucja krajowa — pisał Jan Śniadecki — jest jak owa bajeczna u poetów Cyrce, która swoich dowódców przerabia w burzycieli porządku, gdy się nie uda, albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie. Złorzeczenia i wyrzuty w nieszczęściu przemieniają się w błogosławieństwo w powodzeniu. Kto się puszcza na to morze niebezpieczeństw, poddaje się nieuchronnej wypadków kolei". Takie jednak wyroki padają tylko bezpośrednio po wygranej lub przegranej. Sąd historji brzmi inaczej: pamięci tych, co walczyli i przegrali— nietylko nie złorzeczy, lecz, przeciwnie, błogosławić tę pamięć potrafi.

23 Stycznia 1916 r.

PROGRAM MILCZENIA.

Przed paroma miesiącami „Kurjer Warszawski" pisał z zadowoleniem o wielkiej naszej zdobyczy w rzeczach polityki narodowej: oto w rzędzie wielu doświadczeń nauczyliśmy się — m i l c z e n i a! Ma to być wielka cnota, oznaka dojrzałości politycznej społeczeństwa, jego zrównoważenia i rozumu. Ta apoteoza milczenia obdarza je wielką siłą i głęboką treścią: naród cały uświadomił sobie własne drogi i cele, myśl narodu jest już całkowicie skrystalizowana, wszyscy pragną jednego, w duszach zapanowała milcząca umowa co do naszych dążeń politycznych i milcząca harmonja w stosunku do ideałów narodowych. Nawewnątrz tedy jesteśmy już zgodni i zdecydowani, nazewnątrz wysunęliśmy — program milczenia. Żaś kiedy zzewnątrz pada pytanie, dotyczące naszych pragnień i zamierzeń, kiedy stajemy wobec wyraźnie postawionego wymagania, byśmy się równie wyraźnie w sprawach zasadniczych wypowiedzieli, tedy program narodowego milczenia zaleca pewne ruchy mimiczne, wielce poważne, skupione i tajemnicze, które mówią obcym: milczymy zaś nie jest wam sądzone treść naszego milczenia odczuć i zrozumieć. A przecież — jak to znowu oświadcza obecnie „Przegląd Poranny" — „milczenie Warszawy jest aż nadto wymowne, mówi wiele i wyraźnie, trzeba tylko umieć odczuć jej bicie serca, umieć wsłuchać się w niedosłyszalny szept, w którym wypowiada swe tęsknoty i pragnienia". Program milczenia został tu obdarzony nową cnotą: tkliwego liryzmu, na potrzeby żywiołów apolitycznych i zniewieściałych.

Trzeba raz nareszcie przestać bawić się w te „niedosłyszalne szepty"! Jest to liryzm w polityce wysoce niepoważny, żeby nie powiedzieć—kompromitujący. W tworzeniu się nowej karty Europy i nowych ustrojów politycznych—„niedosłyszalne szepty" nie będą odgrywały żadnej roli! Wyobraźmy sobie takiego polityka, który na kongres pokojowy zawiezie nasze „niedosłyszalne szepty"! O kim tu mowa? O jakich „szeptach"? Czy o jakimś nieznanym szczepie, czy też o potężnym niegdyś, 25 milionowym narodzie, z wielką przeszłością historyczną, z przebogatą kulturą, z potężną żywotnością i niezłomnem dążeniem do zdobycia praw, równych prawom wielkich narodów świata?

Już stokroć lepiej ujawnić przed całą Europą wszystkie nasze tragiczne sprzeczności, jakichby zresztą żaden naród w tych warunkach nie uniknął, stokroć lepiej bez ogródek stawić przed opinją świata cały skomplikowany dylemat sprawy polskiej i wszystkie nasze próby rozwiązania zasadniczych zagadnień bytu narodowego, stokroć lepiej, powiadamy, dać na skierowane do nas pytanie — choćby kilka odpowiedzi sprzecznych, lecz świadczących o wytężonej, pełnej treści i pracy myśli politycznej narodu, dążącego różnemi drogami do wspólnego ideału, — niż prawić puste banialuki o „niedosłyszalnych szeptach“. Więc mężowie stanu, dyplomaci, politycy, rządy — mają się wczuwać i wsłuchiwać w nasze szepty, stawiać sobie pytanie, o czem to „szepce“ naród polski?

Każdy poważny polityk musi sobie zdawać sprawę z tych zrozumiałych sprzeczności, jakie panują w polskiej opinji politycznej i jakie stanowią naturalny wynik politycznej sytuacji całego stulecia. Niema tedy celu owijać tych sprzeczności w bawełnę pustego frazesu, kiedy chodzi o realne ujmowanie kwestji politycznych.

Program milczenia jest najbardziej sztucznym środkiem zacierania naszych wewnętrznych różnic w opinji obcych, jest maską zbyt przejrzystą, by mógł dawać choćby pozorny efekt milczenia zgodnego w swej treści i znaczeniu. Pod tem milczeniem kryje się nietylko istotna zgodność ideału narodowego, zawsze tego samego, zawsze żywotnego przedmiotu naszych „tęsknot i pragnień“. Na ten temat możemy, rzecz prosta, zaniechać ciągłych oświadczeń, właściwych tym zbiorowiskom ludzkim, w których dopiero budzić się poczyna świadomość narodowa.

Lecz milczenie w naszych sprawach politycznych, a już szczególnie tego milczenia sztuczna i nierozumna apoteoza, pokrywać może również rzeczy najbardziej niebezpieczne: wszystkie stopnie i kategorje bierności i rezygnacji.

Kto ma do czynienia z opinją społeczeństwa milczącego, może się w tem milczeniu dopatrywać wszelkiego zła i dobra, może dowolnie tem milczeniem operować, mając na widoku jedynie i wyłącznie swój własny interes. Milczenie to, jeśli nie jest biernością, jest tylko stanem sztucznym i przejściowym,

z którego społeczeństwo musi się jaknajprędzej otrząsnąć. A do tego nie przyczyniają się ci, którzy mu to milczenie chwalą i za dobro poczytują. Mamy na myśli nie ustawiczne deklaracje naczelnych haseł narodowych, całkiem jasnych u wszystkich narodów, pozbawionych wolności i prawa stanowienia o sobie, lecz konieczność wypowiadania wszelkich pro i contra w dziedzinie realizacji tych haseł, czyli w sprawie najlepszego wykorzystania tworzącej się konjuktury politycznej dla wskrzeszenia i utrwalenia naszego bytu państwowego. Nie jest to już dziedzina „tęsknot i pragnień", lecz realnych porozumień, słowem — realnej pracy politycznej.

Takie wypowiadanie się jest w dużej mierze możliwe, mimo, że i nas obowiązuje obecnie zasada nieomawiania publicznego celów wojny. Trzeba tę kwestję postawić szczerze i zapytać: czyśmy wykorzystali należycie, choćby tylko tę obecną, jeszcze niecałkowitą wolność wypowiadania swych poglądów i dążeń politycznych? Nie kładźmy wszystkiego na karb warunków zewnętrznych. We wszystkich okolicznościach i warunkach powiedzieć można dużo, jeśli się politycznie żyje, nie zaś trwa w stanie półsnu-półjawy.

Tak czy owak, jeśli ktoś uważa, że się wcale wypowiedzieć nie możemy w warunkach obecnych, niech na tę niemożność kładzie akcent, lecz niech nie pochwala milczenia, jako czegoś pełnego najgłębszej treści i „aż nadto wymownego".

Tylko paraliżowaniem własnej woli jest teza, że opinja naszego społeczeństwa wypowiedzieć się może jedynie „za pomocą powszechnych wyborów, któreby w ręce przestawicieli złożyło kierownictwo polityczne, albo za pomocą plebiscytu". Są to rzeczy w tej chwili niemożliwe. Czy wobec tego wszelkie głosy opinji politycznej społeczeństwa nie mają dziś znaczenia? I bez powszechnych wyborów, bez plebiscytu ogół ma kierowników swej opinji, mogących się wypowiedzieć i oprzeć na przekonaniach lub choćby na uczuciach poszczególnych sfer społecznych. Sprawa polska nie będzie rozstrzygana po wojnie drogą plebiscytu, choćby taki plebiscyt możliwy był do przeprowadzenia. Zbyt już wiele sztucznych argumentów znajdujemy, kiedy chodzi o dowiedzenie, że czegoś uczynić nie jesteśmy w stanie.

Program milczenia przypisuje rozmaite winy tym z pośród nas, którzy nie mogą zrozumieć naszego powściągliwego milczenia i chcą w niem widzieć to, „czego w niem niema". Ależ właśnie takie jest przeznaczenie milczenia, by widziano w niem to, czego w niem niema i naodwrót. Stąd, zaiste, płynie dużo nieporozumień. Na migi porozumiewać się nie będziemy. Dla nas samych byłoby to widowisko mało pouczające, a dla obcych śmieszne. „Tymczasem—czytamy dalej—milczenie to powinno świadczyć o naszej jednomyślności", „Powinno"! Ale nie świadczy i świadczyć o tem w naszych warunkach nie może. Nie mydlmy oczów ani sobie, ani innym. Dla nas jest to zła szkoła polityczna, dla innych — źle do naszego oblicza przylegająca maska.

Poważna praca polityczna zaczyna się tam, gdzie kończy się program milczenia czy „niedosłyszalnych szeptów".

6 Lutego 1916 r.

DWIE TABLICE.

Na domach, w których mieszkali Joachim Lelewel i Maurycy Mochnacki odsłonięto dwie tablice pamiątkowe. Uczyniono to dopiero teraz, dnia 4 lutego 1916 roku. Nie nasza to wina, że widome oznaki czci i wdzięczności składamy dziesiątki lat po śmierci wielkich synów Ojczyzny. Żyli zawsze w naszych sercach, jako duchy wołające poprzez grobowe kamienie i trzymające przed obliczem zmęczonego narodu nieśmiertelny testament swej myśli i czynu, już przez kilka pokoleń odczytywany. Zaś każdy w tym skarbcu ogromnym znajduje klejnoty na dzień swój bieżący, bowiem proroczo sięgali w przyszłość, zostawiając narodowi jasnowidzące przykazania — równie wielkie wczoraj, jako i dziś. Pięćdziesiąt pięć lat od śmierci Lelewela i osiem dziesiątków lat od zgonu Mochnackiego nie tylko nie obniżyły w niczem bogactwa ich spuścizny, lecz, przeciwnie, pokazały wyżyny, na które wznieśli się obadwaj, przerastając współczesne pokolenie, bo i dziś bije z nich wielkość i wspaniałość, bo i dziś dają nam wiecznie cudowny pokarm dla ducha i dla myśli.

Lelewel — postać świetlana i najbardziej czczona w dziejach demokracji polskiej, prawdziwy nauczyciel narodu; Mochnacki — potężny bojownik wolności narodowej, genialny trybun i genialny pisarz, obadwaj z tych co żyją nigdy niegasnącą siłą swej twórczości, żyją w plonie swego posiewu, który wzrasta po latach, z ich serc i ich myśli biorąc początek.

Wmurowane tablice — to tylko skromny znak pamięci, która złożyć musi jeszcze większe dowody swego istnienia w świadomości narodu.

Przyjdzie czas.

7 Lutego 1916 r.

ŚWIATŁO PRAWDY.

Już zdaliśmy sobie sprawę aż nadto dokładną ze wszystkiego, co się czasu wojny dzieje w Polsce od woli Polski niezależnie, w jakich zdarzeniach głos nasz nie miał mocy i znaczenia, co się odbywało wbrew naszym pragnieniom i co szło w poprzek naszemu interesowi. Obliczaliśmy i obliczamy nasze straty, badamy rozmiar klęsk nam zadanych i staramy się odgadnąć, jakim będzie dalszy bieg spraw i wydarzeń z wojną związanych, a których my ani wywołać, ani uchylić, ani zmienić nie jesteśmy w stanie. Wszystko co leży poza granicami naszej woli, zostało już w sposób wyczerpujący zbadane i ustalone. Wszystko to, w czem niema naszej inicjatywy i udziału, a co kształtuje tymczasowe formy naszego społecznego bytu, jest przedmiotem naszej szczególnej, najpilniejszej uwagi.

Czy w równym stopniu, z tym samym nakładem myślowej energji badamy dziedzinę *naszej* woli — działającej w granicach zakreślonych przez warunki zewnętrzne? Czy dość poważnie i z należytem poczuciem historycznej odpowiedzialności oceniamy *własną* rolę we wszystkiem, co nas samych dotyczy? Czy w tych, choć tak bardzo zwężonych ramach własnowolnego czynu, osiągnęliśmy najwyższy stopień pragnienia, by spełnić wszystek obowiązek w wielkiej dobie dzisiejszej? Czy wreszcie, mamy jasne widzenie zadań najdonioślejszych, które doko-

nać się dadzą, mimo wszystkie przeciwności, jak kamień rzucane nam pod nogi przez zły los, wciąż jeszcze nad ziemią polską ciążący?

Trzebaby uczynić rachunek sumienia, pełny i najsurowszy, nie oszczędzając w niczem siebie samych, nie cofając się przed niczem bolesnem, z jedną jedyną myślą: spojrzenia prawdzie w oczy, prawdzie naszego życia w czasie wojny. Taki rachunek dałby rzetelną odpowiedź na pytanie powyższe.

Wojna trwa już dość długo na to, żeby pozwolić sobie na głębokie spojrzenie wstecz, żeby w dużej mierze sprawdzić samych siebie, ocenić i zważyć własną rolę w zawierusze świata. Może bowiem wyniknąć stąd wskazówka wielkiej wagi narodowej — jeszcze na czas wojny, uwidocznienie możności istotnej naprawy w rzeczach najpilniejszych a spaczonych, lub całkiem zaniedbanych. Może z tego rachunku, z tej rewizji moralnej wypaść radosna i ożywcza pewność, że w dążeniach do lepszej przyszłości narodu już obecnie stać nas na coś więcej, niż to wszystko, co spełniamy i tworzymy dzisiaj, że nasza rola w dobie obecnej mogłaby być większa, bogatsza i większe poszanowanie w opinji narodów budząca.

Jest jeden warunek niezbędny, który zapewnia takiego rachunku bezwzględną rzetelność: wyzwolenie się z owej nieszczęsnej lubości, z jaką zwykliśmy się posługiwać każdym argumentem, nie wyłączając najbardziej sztucznych i fikcyjnych w usprawiedliwianiu wszystkich naszych win i błędów. Pod tym względem ustaliliśmy sobie szereg wygodnych eksplikacji, szereg gotowych szablonów na codzienny użytek. Oto czegoś ważnego nie spełniono — to wina warunków zewnętrznych; jakaś praca odbywa się w sposób karygodny—to trucizna przez przeszłość zaszczepiona i w nas tkwiąca mimo naszej woli; nie wykorzystano stu dobrych i bezpowrotnie minionych sposobności w rzeczach wagi politycznej—to brak politycznego zmysłu, uśpionego przez sto lat niewoli, zaś temu winny państwa rozbiorowe, Europa, świat cały — niema tu naszych grzechów, ani żadnych przewinień; oto patrzymy na sto przejawów słabości, dezorganizacji i myślowego lenistwa — to znowu tylko testament dziejów, przekazany nam jako siła fatalna, rządząca nami, mimo naszych pragnień, mimo najlepszych zamiarów i dążeń;

oto wreszcie — chaos pojęć politycznych, brak jakiejkolwiek decyzji, obawa przed najmniejszym ryzykiem, chwiejność lub żałosne załamywanie rąk — to „konieczność“, to „naturalny“ skutek sytuacji obecnej, niepewnej, niewiadome fakty i zmiany niosącej, na które należy tylko, tylko czekać. Z tych rozgrzeszających szematów układa się już cała historjozofja naszej bezwoli, sięgająca w odległą przeszłość, obejmująca polską teraźniejszość i wybiegająca w przyszłość, historjozofia snu, letargu, lecz nie życia narodu, który niegdyś... Otóż to: nawet owo „niegdyś“ nie jest narodowi na tyle dobrze znane, by stąd czerpał siłę wiary i nadziei na przyszłość, która nawiąże przerwaną nić ciągłości historycznej z tem, cośmy stworzyli niegdyś, czem niegdyś byliśmy!

Stworzyliśmy sobie cały arsenał usprawiedliwiających motywów, w które uzbrajamy się, gotowi zawsze do obrony przed atakami własnego sumienia, nie zawsze, na szczęście śpiącego. Jesteśmy dla siebie bezgranicznie pobłażliwi. A jakkolwiek wydawałoby się to paradoksem — z tą pobłażliwością idzie w parze nasz pesymizm, niebezpieczny, płytki i bezpłodny. Ustawiczne rozgrzeszanie się z błędów i przewinień, wieczne kładzenie wszelkiego zła wewnętrznego na karb czynników działających poza granicami naszej woli, utrwala społeczeństwo w przekonaniu, że wszystko, co się na nasze życie narodowe składa, co je ma zmienić i na nowych podstawach politycznych oprzeć, płynie jedynie zzewnątrz, nie wymaga więc z naszej strony nadmiernych wysiłków w tworzeniu własnej przyszłości. A stąd już wniosek dalszy: siły zewnętrzne nie niosą nam żadnego dobra i żadnego szczęścia, bo każdy ma jedynie swoją własną sprawę, swój własny interes na względzie.

Ten z kolei pesymizm osiada dzisiaj na mózgach, zasłaniając rzeczywisty obraz życia i przyćmiewając światło prawdy.

Nie chodzi o przerzucenie się na drugi kraniec w patrzeniu na życie narodu, nie o samobiczowanie się, równie dalekie od słuszności, jak i zbytnia pobłażliwość, lecz o uzdrawiający, sprawiedliwy, jasny sąd o własnych błędach czasu wszechświatowej wojny.

2 Marca 1916 r.

MGŁA OBYWATELSKA.

Wszystko, co należy u nas do dziedziny elementarnych obowiązków społecznych, od chwili wybuchu wojny tak lub owak spełnianych, było już przedmiotem tylu uroczystych pochwał, hołdów i apoteoz, że już całkiem są zbędne słowa uznania dla czynów i prac istotnie pożytecznych. Obywatele dobrej woli, pracownicy sumienni i obdarzeni normalnem poczuciem swych obowiązków względem własnego społeczeństwa zostali już pasowani na bohaterów narodowych. Ich skromne zabiegi zyskują wdzięczność, poklask i cześć, ich dobroczynne krzątanie się w stu sprawach ważnych i mniej ważnych niesie im w narodzie popularność i blask nadaje ich nazwiskom, a z czemkolwiek stają na arenie życia publicznego, słyszą zewsząd głos rodaków: ecce cives! Ten założył przytułek, a tamten herbaciarnię, ów zbiera pieniądze na głodnych, a inny zasiada w dziesięciu komitetach i komisjach. Jest ich zastęp ogromny, jak na jedno miasto, nawet—stolicę. Czynią rzeczy pożyteczne. Przyznajmy im to poraz tysiączny i pierwszy. Czynią rzeczy nawet nieodzowne, szlachetne, wspaniałe — i jakich tam jeszcze szukać epitetów! To dobrze, że społeczeństwo umie cenić obywatela, który mu niesie pomoc w czasach niedoli. A może nawet dobrze — tak sobie to powiedzmy — że im daruje niejeden błąd i niejedną nieudolność. Dają co mogą — Bóg im zapłać!

To wszystko byłoby piękne i wzruszające, gdyby nie poważne i w dużej mierze tragiczne „ale“. Pod *wyłącznym* znakiem pracy obywatelskiej — przeważnie dobroczynnej — kształtuje się nastrój najszerszych odłamów społeczeństwa. Wśród kadzideł pochwalnych pada obywatelskie słowo, obywatelski czyn i obywatelska odezwa. Ten przymiotnik, odmieniany przez wszystkie przypadki, staje się w czasach ostatnich pierwszem, najdonośniejszem, najważniejszem Słowem narodu. „Górne“ jego warstwy zatknęły na swych posterunkach sztandar pracy obywatelskiej, jako świętość *jedyną*, w której Polska widzieć ma całe swe zbawienie i jedyny drogowskaz! O tak! Wielka jest teraz w Polsce nędza, a życie jest dla miljonów obywateli niewymownie ciężkie. Otarcie każdej łzy, zaspokojenie głodu, ratowanie gmachu społecznego od rozkładu lub runięcia wśród

cierpień ogromnych rzesz ludu i nietylko ludu, są to obowiązki święte — i któż waży się temu zaprzeczyć?

Lecz czy się znaczenia tych obowiązków nie paczy, czyniąc z nich *jedyny* nakaz narodowy dzisiaj, czasu wszechświatowej wojny, kiedy się przed Polską otwierają nowe, wielkie perspektywy, na które czekaliśmy sto lat, pełnych cierpień i udręki?

Z ust poważnych, z ust jednego z pierwszych obywateli kraju padły przez kilkoma miesiącami słowa, które brzmią tak: „Dla kraju naszego jeden jest tylko niezawodny ratunek: ocalić lud polski od śmierci głodowej!“. Po tych słowach popłynęły liczne ofiary. I dobrze się stało, że dzięki odezwie mniej głodnych jest w Polsce. Lecz czemu w tej odezwie wskazano, że to „jeden tylko ratunek“? Więc jeśli głodnych nie będzie, już cały ratunek zostanie dokonany?

A oto znowu nadeszła odezwa znakomitego pisarza, znanego całemu światu, głosząca to samo. Przypisując zbieraniu pieniędzy na ofiary wojny w Polsce wagę największą i jedyną, uznał za możliwe zlekceważyć sprawy polityczne narodu i z przekąsem odezwać się o „jałowych sporach, które nie pożytek, ale szkodę krajowi przynoszą“. Niech tedy cały świat dowie się z ust znakomitego pisarza polskiego, że Polakom potrzebna jest dzisiaj tylko pomoc pieniężna i żywnościowa, a reszta — to dla nich samych tylko „jałowe spory“. Czy tak ma o nas myśleć opinja międzynarodowa? Lecz nie chodzi o tę tylko opinję. Sam naród odczytuje te wskazania i w ten sposób zwęża się, uboży jego pole widzenia zadań i dążeń narodowych w chwili obecnej. Rzecz prosta—nikt nie żąda wskazań politycznych od obywateli obcych politycznym sprawom. Pocóż jednak swym niebacznem słowem zacieśniają ramy świadomości narodowych celów, idąc jednocześnie na spotkanie wszystkim, którzy w ich odezwach znajdują wykrętne oparcie dla swej bierności, niewiedzy, dezorjentacji — dla swej „neutralności“.

Od wodzów obywatelskiej akcji począwszy, poprzez całą czeredę pracowników różnych kategorji i zasług — ku szerokim tłumom idzie ów prąd wyłączności obywatelskich haseł, jedynie słusznych i jedynie zbawczych! Z kadzideł pochwalnych dla każdego spełnianego obowiązku, a nawet dla stu obywatelskich

haseł i projektów tworzyć się poczyna wielka, obywatelska mgła, która przysłania obraz przyszłości politycznej narodu.

Trzeba tę mgłę rozproszyć, jeśli społeczeństwo oddychać ma zdrowszem powietrzem.

3 Marca 1916 r.

FAŁSZYWY DOKUMENT.

Dla opinji świata najważniejszym, a w pewnych chwilach jedynym dokumentem dążeń, nastrojów i przekonań narodu—jest prasa. Wyjątek podany z pisma jest tym czynnikiem, który urabia przeciętny pogląd obcych czytelników na stan rzeczy i stan umysłów w społeczeństwie, pismo to wydającem.

Prasa jest uważana za miarodajny wykładnik narodowego życia, zwierciadło, które wiernie odbija obraz wszystkiego, co się wśród danego narodu odbywa. Proziom prasy — kulturalny, intelektualny i moralny — oznacza stopień kultury, inteligencji i moralności narodu. Hasła i spory polityczne pism — to dokument dążeń i rozbieżności, tkwiących w łonie samego społeczeństwa. Czego niema w prasie—to nie żyje w narodzie.

Tak przedstawia się ten stosunek w opinji świata. Nikt nie wnika, a jeśli chodzi o popularną międzynarodową opinję ludzkich tłumów, wnikać nie może we wszystkie przyczyny, które sprawiają, że prasa danego narodu nie jest takim dokumentem.

Nikt nie zastanawia się nad specyficznemi warunkami, w których wzrastać i rozwijać się może prasa, nietylko swą treścią, duchem i poziomem nieodpowiadająca całokształtowi kulturalnego i politycznego życia narodu, jego pragnieniom, postulatom i ideałom, lecz stanowiąca raz wklęsłe, raz wypukłe, kiedyindziej zanieczyszczone zwierciadło, w którem widać tylko karykaturalne tego narodu oblicze.

Kiedy po szerokim świecie rozchodzi się dziennik, a już w szczególności z miasta stołecznego, na jego treści opiera się ogólny sąd o opinji w tem stołecznem mieście panującej. Nikt, prócz wyjątków w osobach skrupulatnych i sumiennych badaczy,

którzy na szeroką opinję decydującego wpływu nie wywierają, a już tembardziej w okresach wielkiego podniecenia politycznego, nikt — powtarzamy, — nie zadaje sobie trudu badania i sprawdzania, czy prasa tego narodu niesie prawdę o swojem społeczeństwie, czy stanowi rzetelny i sumienny wykładnik jego trosk i radości, bólu i zadowoleń, potrzeb, tęsknot i ideałów.

Od chwili wybuchu wojny, wzrok narodów Europy silniej, niż kiedykolwiek, zwrócony został w stronę Polski. Uważniej, niż kiedykolwiek, słuchają nas i czytają.

Czy jednocześnie w dziennikarstwie warszawskiem wzrosło poczucie odpowiedzialności publicznego słowa polskiego? Któż dzisiaj będzie miał tyle odwagi, żeby na to pytanie dać odpowiedź twierdzącą?

„Nizki poziom prasy warszawskiej“ — te słowa zdobyły już w naszej własnej opinji całkowite prawo obywatelstwa, nie są one jakiemś oskarżeniem, któreby budziło odruch choćby nieszczerego protestu. Na to się wszyscy godzimy.

Społeczeństwo polskie w swych warstwach kulturalnych i oświeconych stoi pod każdym względem i bez porównania wyżej od poziomu swej własnej prasy. Mówiąc krótko i węzłowato, daliśmy światu w czasie wojny fałszywy dokument publiczny o nas samych w postaci prasy warszawskiej.

Pojedyńcze wysiłki w kierunku naprawy tego zła, tej krzywdy, sobie samym wyrządzanej, nie mogą jej osłabić w dostatecznej mierze. Wyjątki potwierdzają regułę.

Kwestja pedagogicznego wpływu prasy warszawskiej w rzeczach społecznych i politycznych narodu — nie wymaga zbyt szczegółowej analizy. Bije w oczy karykaturą i nicością. Możemy się zadowolnić twierdzeniami, a od szczegółowej argumentacji i charakterystyki zwalnia nas już aż nadto ustalona opinja o prasie Warszawy w oczach samego społeczeństwa polskiego.

Parę miesięcy po wybuchu wojny zebrali się dziennikarze warszawscy, by pomówić „O zadaniach prasy w dobie obecnej”. Padło kilka gorzkich, ostrych słów. Rzucano sobie wzajemne oskarżenia, że do wysokości zadania nie dorośliśmy. Wzajemnie się dyskwalifikowano, wzajemnie nawet obrażano. Potem wszystko poszło dalej swoją koleją po linji małości, nieodpo-

wiedzialności i niesumiennego stosunku do wielkich spraw własnego narodu, które przecież są, żyją, wołają głosem donośnym, domagają się wyrazu w swej stołecznej prasie.

Jeżeli wolno twierdzić, że społeczeństwo nasze nie dorosło do wysokości chwili dziejowej, to z pewnością powiedzieć można, że prasa Warszawy, z nielicznemi wyjątkami, nie dorosła nawet do tego poziomu, na jakim stoi społeczeństwo polskie w jego kulturalnych odłamach.

Biorąc pod najpilniejszą nawet uwagę wszystkie warunki, paraliżujące od tylu lat rozwój naszej prasy, nie znajdziemy dość usprawiedliwiających i rozgrzeszających tę prasę argumentów, chyba że ulegniemy manjackim podszeptom naszej bezgranicznej względem siebie pobłażliwości.

Jeden z wielce zasłużonych publicystów polskich (pseud. Michał Gopła) pisząc w swej nowej broszurce o naszych nastrojach w czasie wojny, przypomina: „W ostatniem dwudziestoleciu zniknęli z widowni ludzie, którzy dawniej trzymali w pewnych karbach prasę i opinię warszawską, tworzyli groble przeciw zalewowi brudu i kłamstwa. Adolf Pawiński i Wincenty Korotyński, Stosław Łaguna i ksiądz Krupiński, Piotr Chmielowski i Ludwik Jenike, J. K. Potocki i Jan Popławski, Stanisław Chełchowski i Marja Dzierżanowska, Józef Kenig i Adam Pług, Stanisław Krzemiński i Aleksander Jabłonowski — legli w grobach. Byli to oczywiście ludzie różnej miary i nie mam zamiaru czcić wszystkich jednym pośmiertnym panegirykiem. Atoli posiadali oni wspólną tradycję polską, wspólny katechizm narodowy, wiedzieli, że są granice ustępstw, z których cofać się nie wolno. Mieli oni jeszcze silne poczucie historycznej i publicznej przyzwoitości, co większa, niektórzy z nich — silne sumienie. Gdyby byli dożyli sierpnia 1914 roku, nasza bezmyślność byłaby mniejsza, rozsądek publiczny — jaśniejszy, patrjotyzm byłby zgodniejszy z naszemi aspiracjami historycznemi, z wielowiekowym żywotem narodu".

Dodajmy od siebie: niech kto zestawi nazwiska powyższe z szeregiem bardzo wielu dzisiejszych, w imieniu opinji narodowej przemawiających, dziennikarzy Warszawy!

A nie chodzi tu o to, kto i pod jakim orjentacyjnym znakiem politycznym działa, chodzi o poziom, o stopień moralności

i powagi każdej akcji w tak wielkiej dobie, jaką jest dzisiejsza. Powagi? Gdybyż jej było choć trochę, choć znikoma część tej właśnie powagi, na jaką winna się zdobyć prasa narodu, splątanego siecią tragicznych sprzeczności i żyjącego do dziś pod znakami zapytania, wypisanymi na nieznanych jeszcze kartach jego politycznej przyszłości.

Jeśli taka jest rola prasy na wewnątrz, w łonie samego społeczeństwa, czem jest na zewnątrz, dla opinji świata? Żądamy posłuchu i uwagi w naszej sprawie, która jest też sprawą międzynarodową. A cóż, jeśli który z mężów stanu weźmie do ręki którykolwiek z większości dzienników warszawskich, by tam wyczytać, co mówi o sobie naród polski? Jeśli p. Asquith, p. Bethmann-Hollweg albo p. Briand, albo wreszcie którykolwiek z wielkich polityków europejskich czytać zacznie nasze przeglądy i kurjery, żeby się dokładnie (!) dowiedzieć o aspiracjach polskich. Tu się czytelnik niewątpliwie uśmiechnął, tu się uśmiechnąć musi większość redaktorów tych kurjerów i przeglądów, choć ten właśnie uśmiech jest ostatecznym wyrokiem, osądzającym ich rolę w dobie obecnej. My wiemy, że to nie jest jednocześnie wyrok na samo społeczeństwo, które, jak rzekliśmy, w swych warstwach oświeconych stoi wyżej, niż jego prasa. Lecz o tem nie może wiedzieć opinja wszechświatowa, dla której ten dokument fałszywy jest dokumentem miarodajnym.

To jedna z wielkich krzywd, dziejących się sprawie polskiej.

12 Marca 1916 r.

JASNE ZNAKI [1])

Cóż to się stało w milczącej stolicy narodu, że oto dni pewnych, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, wielotysięczne rzesze wyległy na ulice miasta i kroczyły w skupieniu, mówiąc swoją liczbą, że to się dzieje rzecz niezwykła?

Pogrzeb. Nazajutrz drugi. Warszawa chowała dwóch żołnierzy polskich na dwóch cmentarzach, chrześcijańskim i żydowskim.

— Tak wielkie tłumy! To jakiś cud! Niezrozumiały obraz! Coś dziwnego stało się w mieście, które...

Tu przerwijmy, bo już nie pora na kończenie tego zdania. Dość, że tak szeptano, z ubocza patrząc na wielkie żałobne pochody.

Na ulicach Warszawy w ciągu dwóch dni odbywała się widoma, uroczysta, donośna Nauka o uczuciach najgłębszych narodu polskiego czasu wszechświatowej wojny. Tu serce narodu, które milczeć może długo, bardzo długo, lecz się kiedyś musi krzykiem odezwać i zadrżeć, — wypisało jasny znak na pochmurnem niebie duchowego życia Polski.

Nie było tu żadnego cudu, ani nic dziwnego się nie działo. To właśnie rzeczy całkiem inne — niezrozumiałe były, sztuczne, kłamiące głosowi żywiołowego uczucia, które domagało się szczerego ujścia i dało je sobie w chwili osobliwej, pięknej i bolesnej zarazem, jak piękną i bolesną jest śmierć bohatera.

Umarł żołnierz polski. Trzeba go pochować godnie. Miasto odczuło ten święty obowiązek. Tłumy prowadził Orzeł Biały, widniejący na trumnach — ponad falą tłumów — w swym wiecznym tryumfie wsłuchany w ów nieśmiertelny ton, jaki wydać muszą struny uczuć polskich, kiedy je duch polskiego żołnierza potrąci.

---

[1]) *Przypisek późniejszy:* Pogrzeb Kazimierza Karskiego, oficera Legjonów polskich, I-go szwadronu ułanów Beliny, odbył się w Warszawie dnia 13 lutego 1916 roku. Pogrzeb Bronisława Mansperla, porucznika 1 pułku 1 brygady Legjonów Polskich, — również w Warszawie dnia 14 lutego 1916 r. Pierwszy poległ w boju pod Wojciechowicami dnia 25 czerwca 1915 r., drugi — w boju na Wołyniu dnia 26 października 1915 r.

Nie było to nic niezrozumiałego. Byłoby rzeczą niezrozumiałą, straszną, gdyby te dwa pogrzeby były inne, nie tak wspaniałe. Byłoby czemś potwornem — mimo wszystko, co się w stolicy podczas wojny działo, co się działo na powierzchni życia, a co nie tknęło rdzenia duszy narodowej. Czy potrzeba większego dowodu, wyraźniejszej wskazówki, że karkołomne harce politycznych kombinacji, rozgardjasz namiętny i krzykliwy, mogąc spaczyć myśl zbiorową, zmącić ją, zaćmić, wynaturzyć, nie może zatruć doszczętnie tej — jak mówił Lelewel — „ostatniej i niezdobytej twierdzy każdego narodu", jaką jest jego uczucie, jego serce.

Niechaj to będzie nauką dla wszystkich, którzy już nic nie umieją powiedzieć o Warszawie, jak tylko, że jest to miasto rusofilów, że tu się społeczeństwo Moskwie zaprzedaje, że w stolicy zamarła świadomość narodowa — i tym podobne niedorzeczności!

Był w Warszawie pogrzeb w listopadzie 1914 roku. Chowano arystokratę polskiego o znanym nazwisku, ochotnika rosyjskiej armji (Niech śpi spokojnie — zmarły w swym tragicznym błędzie!) Trumnę z kościoła ponieśli na swych barkach dostojnicy rosyjscy. Garstka krewnych i przyjaciół oddawała zmarłemu ostatnią posługę. Nie było tłumów. A to właśnie wtedy Warszawa „pławiła się w moskalofilstwie". Czemu nie było tłumów? Nie zadrżało serce stolicy.

Tym zaś razem, dwa wielkie pogrzeby były nietylko manifestacją polityczną. Wielotysięczne rzesze zwołane zostały nie przez hasło czy program, nie przez myśl polityczną. Sprowadziło je żywe, instynktowne poczucie sprawy polskiej, w jej pełni i świętości, dla której zginęli wierni synowie ojczyzny. Zatryumfowała moralność narodowa, niekoniecznie z danem hasłem związana: na pogrzebach Karskiego i Mansperla było wielu przeciwników idei legjonowej. Zwyciężyło poszanowanie dla ofiarnego czynu, dla wiary, dla entuzjazmu, dla bohaterstwa, dla cech i zalet żołnierza polskiego, pod polskim sztandarem walczącego.

Nie widziały już dawno dwa warszawskie cmentarze takich zastępów żałobnych, nie widziały od lat dziesiątków Białego Orła i nie słyszały pieśni narodowych. (Szczególnie cmentarz

żydowski, gdzie spoczął Mansperl naprzeciwko grobu Henryka Wohla, przywodząc na pamięć dawne czasy patrjotyzmu żydostwa polskiego, nie całkiem jeszcze wygasłego).

Tak dwaj żołnierze polscy oddali jeszcze po śmierci wielką usługę swemu narodowi: w wielu umysłach sprostował się błąd w sądach o Warszawie, w wielu sercach zrodziła się ulga.

12 Marca 1916 r.

WŚRÓD WYGNAŃCÓW.

Tysiączne rzesze rodaków naszych, wypędzonych do Rosji, niesłusznie nazywamy „uchodźcami". „Uchodźcami" są pp. Dmowski, Kozicki, Czetwertyński i cała armia Narodowej Demokracji, „uchodźcami" są wszyscy, którzy się dobrowolnie ewakuowali z kraju, lecz nie ci, których pędzono do Rosji, którym palono cały dobytek i pognano na straszną tułaczkę. To też wydane obecnie w Moskwie „Sprawozdanie Wydziału Wykonawczego Rady zjazdów od 1/VII 1915 do 1/1 1916 roku" pisze jedynie o wygnańcach.

„Latem — czytamy w powyższem sprawozdaniu — gdy fala wygnańców przybrała charakter klęski masowej, powołane zostały dwie organizacje rządowe pomocy wygnańcom w guberniach, bliżej frontu położonych: pomoc północna i południowa — „Siewieropomoszcz" i „Jugopomoszcz". Pierwsza obejmuje gubernje: mińską, mohylowską, smoleńską, witebską, wileńską, pskowską i inflancką. W tych guberniach skupiona jest $^1/_3$ część ogółu wygnańców polskich w całej Rosji. Jest ich tutaj Polaków i innych około **600.000** osób, wśród nich Polaków połowa, t. j. ze **300.000**, w tem z Królestwa **200.000**".

Jeżeli w innych guberniach tylko połowa wygnańców przypada na Polaków (prawdopodobnie więcej), a powyższe cyfry oznaczają tylko $^1/_3$ część, to wypadnie, że ilość Polaków wygnańców wynosi mniej więcej **900.000** osób!

Opieka nad tą blisko miljonową rzeszą wygnańców wymaga olbrzymiej pracy organizacyjnej, która zresztą nie zaspokoi choćby najbardziej palących potrzeb.

Z obszernego sprawozdania „Rady Zjazdów“ podajemy tu kilka ciekawych danych.

Ku końcowi roku 1915 ruch wygnańców, przerzucanych ustawicznie z jednego miejsca na drugie, niemal zupełnie ustał. Organizacje przechodzą z pierwszego okresu dorywczej pracy do okresu, gdzie się zaczyna twórczość organicznej pracy o rozszerzonym zakresie. Powstają szkoły różnych typów, ochrony, kursy, warsztaty i t. p. instytucje.

Ze spraw przekazanych Wydziałowi Wykonawczemu Rady Zjazdów na zebraniach w dn. 2 i 3 listopada 1915 r. członkowie Rady pp. Władysław Grabski i Seweryn ks. Czetwertyński poruszyli na specjalnej naradzie sprawę kolonizowania stepów syberyjskich Polakami wysiedleńcami(!) „Do kwestji tej—czytamy w Sprawozdaniu — powrócił w komisji budżetowej p. J. Haruszewicz, wykazując szkodliwość podobnej akcji“.

Wspaniały projekt! Okazuje się, że „Gazeta 2 grosze“ miała słuszność, podnosząc zasługi pp. Grabskich i Czetwertyńskich, którzy „tylko dlatego“ ewakuowali się do Rosji, żeby tam nieść pomoc wygnańcom! Polska zachowa we wdzięcznej pamięci ich projekt kolonizowania wygnańcami polskimi... stepów syberyjskich! „Organizacje nasze na Syberji i inspektorzy — dodaje Sprawozdanie — stwierdzają wielką odporność ludu na propozycje osiedlenia się tam na stałe“ (!) „Dziwna“ odporność na tak pociągające propozycje! Rząd rosyjski w swoim czasie przeprowadzał kolonizowanie stepów syberyjskich... Chińczykami, bo w samej Rosji brak było dostatecznej ilości chętnych kandydatów. Obecnie chcą mu przyjść z pomocą członkowie Komitetu Narodowego. Przecież Polska ma tyle przyjemnych wspomnień, związanych z syberyjskiemi stepami... Powinniśmy się już oswoić z tem terytorjum...

Sprawozdanie podaje przebieg działalności Sekcji szkolnej, Sekcji Statystycznej, Biura Prawnego i Biura Zakupów.

Założono 16 szkół w Czycie, Sławiańsku, Bachmucie, Władykaukazie, Dźwińsku, Mozyrze, Berdiańsku, Gdacowce, Sumach, Symferopolu, Irkucku, Ufie, Armawirze, Kramatorskiej, Wiatce i Symbirsku. W iluż to miejscowościach rozrzucono dzieci polskie! A oto jeszcze szereg innych: biblioteczki szkolne dla szkó-

łek i ochron wysłano do Jarosławia, Carycyna, Połtawy, Orła, Ałuszty, Orszy, Teodozji, Juzówki, Kostromy, Orenburga, Ufy, Rohaczewa i Tomska. Dotychczas przesłano też podręczniki szkolne 46 organizacjom w ilości 29.000 egzemplarzy.

A ileż wśród tych dzieci „szczęśliwie“ uczących się w Ufie czy Wiatce, ileż nie wie, gdzie są ich rodzice! Sprawozdanie komunikuje, że sekcja statystyczna opracowała i przesłała do C. K. O. w Petersburgu projekt karty rejestracji dzieci zagubionych i dodaje: „Sprawa ta jeszcze dotychczas nie jest między miarodajnemi instytucjami załatwiona“.

Smutne, śmiesznie małe cyfry podaje „Centralne biuro zakupów przy Radzie Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy dla ofiar wojny“, powstałe w dniu 1 października 1915 r. W pierwszym miesięcu istnienia tej organizacji wykonano zamówień 15 na sumę 14.361 rubli kop. 27, w drugim miesiącu t. j. w listopadzie wprawdzie znacznie więcej, bo 71 zamówień na sumę rb. 129,949 kop. 01, w grudniu 100 zamówień na sumę rb. 138.477 kop. 94, lecz sumy te są, powtarzamy, śmiesznie małe, jako pomoc krociom tysięcy.

Z wykazów pomocy materjalnej w postaci gotówki wynika, że gdyby z tych zasiłków korzystała tylko połowa wygnańców, to przy wydaniu wszystkich pieniędzy (C. K. O, T-wa pomocy ofiarom wojny, preliminarz Komitetów polskich, Towarzystw Dobroczynności i Polsk. Komitetu pomocy sanitarnej) wypadłoby po parę rubli na głowę, jako cała pomoc pieniężna dla wygnańców.

Ich położenie jest rozpaczliwe. Jest to jeden z najstraszniejszych obrazów niedoli ludzkiej w historji świata.

25 Marca 1916 r.

NIEWZRUSZONA ZASADA.

Całe dzieje pracy obywatelskiej w Warszawie od chwili wybuchu wojny są jaskrawem i dobitnem potwierdzeniem niezłomnej zasady, że wszelka obywatelska i narodowa władza, by działać prawidłowo i z dobrym dla społeczeństwa skutkiem, opie-

rać się musi na świadomej woli ogółu, wyrażonej przez publiczne wybory.

Nie t. zw. „opinja szerokich warstw“, nie popularność tego lub owego nazwiska, nie mniej lub więcej uprawniona autonominacja, lecz jedynie i wyłącznie wyborca jest tem źródłem i czynnikiem woli zbiorowej, który wszelkiej władzy społecznej nadaje mocy i powagi, sankcjonuje ją i pogłębia, kieruje nią, obarcza treścią swoich potrzeb, interesów i dążeń. Władza przez nikogo niewybrana, a jednak działająca w najpilniejszych sprawach, dotyczących ogółu, jest w dzisiejszych warunkach nowożytnego życia spaczeniem samego pojęcia władzy, jest albo jej fikcją, opierającą się na despotyzmie, który może być każdej chwili zniszczony, albo na ustawicznych, żmudnych i sztucznych zabiegach o pozyskanie zaufania wśród rządzonych. Zaufanie to jednak najłatwiej podrywane jest właśnie przez brak jakiegokolwiek uprawnionego mandatu do działania w imieniu woli społeczeństwa.

Organizacja pracy obywatelskiej czy narodowej nie może się opierać na dobrej woli jednostek, która stanowi tylko warunek moralności tej pracy, lecz nigdy jej wyłączną podstawę i jedyną rację.

Władza z wyboru — to jedyna siła, zrodzona ze świadomej woli poszczególnych warstw społeczeństwa, poddająca się, z natury rzeczy, wszechstronnej kontroli tych warstw, słuchająca ich wymagań i postulatów, wolna od tendencji narzucania ogółowi jakichkolwiek czynów czy reform niebacznych i ryzykownych, znająca i rozumiejąca interesy swego mocodawcy — wyborcy.

Władza, powstała z autonominacji, musi się kierować najczęściej zawodną intuicją w ujmowaniu spraw, dotyczących poszczególnych warstw, klas i odłamów społeczeństwa, które nie mając swoich naturalnych i rzeczywistych reprezentantów w organizacjach rządzących. Ta intuicja w granicach swego promieniowania napotykać musi sprzeczności interesów, rozbieżności w potrzebach i wymaganiach, rozstrzygane nieświadomie, lecz niemal zawsze w sposób, odpowiadający interesom pewnych tylko klas społecznych, do których należą stojący u steru władzy. Nie może być taka władza czynnikiem społecznej równowagi, lecz, przeciwnie, zaognia wszelkie przeciwieństwa. Traci

przez to najistotniejszą rację swego bytu, jest pierwiastkiem anarchistycznym, pogłębiającym chaos, paraliżującym prawidłowy bieg ewolucji społecznego życia.

Te elementarne prawdy, po tysiąckroć potwierdzane w życiu społeczeństw cywilizowanych, nabierają tembardziej swej doniosłej wagi w czasach nienormalnych, kiedy organizacja władz obywatelskich i narodowych jest najpotężniejszym cementem, pajającym i podtrzymującym chwiejący się gmach życia zbiorowego. Ogromny wzrost odpowiedzialności już historycznej, natężenie wszystkich wysiłków do ostatnich granic woli społecznej, doniosłość każdego kroku i wszelkich przedsięwzięć zabezpieczających ogół od nowych klęsk i nieszczęść — wszystko to wymaga jeszcze bardziej, niż w czasach pokojowych, prawidłowego działania wszelkich władz. Mylnie tedy usprawiedliwiano u nas zasadę autonominacji przez wyjątkowe warunki doby bieżącej, bowiem te właśnie wyjątkowe warunki czynią ową zasadę jeszcze niebezpieczniejszą, niż zazwyczaj. Wszystkie racje zasady wyborczej nie maleją, lecz niepomiernie wzrastają w czasach nienormalnych.

Jeśli jednak warunki chwili absolutnie wykluczają przeprowadzanie wyborów, jeśli powstała władza niewybrana, to mogąc być tolerowaną w najkrótszym okresie czasu, staje się złem społecznem, jeśli trwa zbyt długo. Złem bez względu na stosunek wad i zalet swej działalności, złem — przez oddalanie społeczeństwa od wkroczenia na drogę racjonalnego organizowania swych sił i swej opinji.

Czy trzeba dowodzić, jak ważnem, jak doniosłem właśnie w dobie obecnej jest dla naszego społeczeństwa wszystko, co zmierza do racjonalnego zorganizowania władzy? I nietylko ze względu na doraźne, choćby najpilniejsze potrzeby, lecz dla całej sprawy naszej przyszłości narodowej. Bezład i chaos, wieczna tymczasowość, próby i paljatywy — są to oznaki słabości, są to przeszkody, leżące na drodze do naszej narodowej samodzielności.

Dlatego też znaczenie przyszłej Rady miejskiej z natury rzeczy wybiega poza granice tych spraw kulturalnych i gospodarczych, które wejdą w ścisły zakres jej działalności. Sam

czynnik władzy wybranej, opartej na podstawie świadomej, zbiorowej woli, ma dla nas pierwszorzędne znaczenie ogólno-narodowe. Własne władze, przez nas samych powołane i w ten dopiero sposób zdobywające możność owocniejszej, niż dotychczas pracy, — to dla nas nieodzowny wstęp do dalszych, jeszcze donioślejszych aktów wyborczych, jakich dokonywać będziemy w przyszłości, kiedy ustalą się nowe formy naszego bytu narowego.

30 Marca 1916 r.

SZYLDY.

Czy już nie czas zrobić coś z pustymi połówkami szyldów warszawskich? Sklepikarze warszawscy mogliby się już zorjentować, że nie ma na co czekać... Deszcz coraz bardziej zmywa lekką warstwę farby, jaką zamalowano rosyjskie części napisów i oto coraz więcej liter rosyjskich wyłazi kokieteryjnie na światło dzienne.

Ponieważ trzeba je będzie drugi raz zamalowywać, więc możeby przy tej okazji raz już skończyć z tą niemą lojalnością półszyldów!...

Może nareszcie pomyśli o tem owa kategorja nie tyle „pół rycerzy żywych“, ile półobywateli martwych?

Handlowi to nie zaszkodzi.

13 Kwietnia 1916.

PRZEGRANA — WYGRANĄ.

„Koelnische Zeitung“ donosi pośrednio z Petersburga, iż poseł Szyngarew oświadczył w Dumie co następuje:

„Wojna Krymska dała Rosji zniesienie pańszczyzny, wojna japońska — Dumę, obecna wojna przyniesie Rosji — da Bóg — wolność“.

Innemi słowy: niech żyje przegrana wojna! Ale ba! Gdyby po wszystkich przegranych przez Rosję wojnach następowały tam wielkie reformy socjalne i polityczne, to już na szóstej części lądu ziemskiego panowałby dawno prawdziwy raj, o jakim się nie śniło największym utopistom. Zakasowałby rojenia Campanelli, Tomasza Morusa, Bacona, a nawet ikaryjskie gminy Cabeta!

Niewątpliwie przegrana wojna wyjdzie Rosji na zdrowie, ale długo jeszcze Rosja leczyć się będzie ze stu klątw barbarji i chaosu, przenikającego wszystkie sfery jej życia.

Przegrana Rosji najbardziej i najszybciej jednak wyjdzie na zdrowie Europie.

13 Kwietnia 1916 r.

SKRADZIONY DOWCIP.

Dużo generałów i ministrów rosyjskich pada na wojnie i na urzędach, ale za to rząd rosyjski ogłasza wciąż nowe nominacje urzędników rosyjskich w... Królestwie. Według nadeszłych wiadomości w ubiegłym miesiącu wyznaczono urzędników na wakujące (!!) posady w Kielcach i w Radomiu.

Ba! Wakuje bo wakuje dużo posad w naszym kraju! Kto np. pełnić będzie czynności ochrany podczas obchodu 3 maja w Warszawie? Gdzież kozacy i prowokatorzy? Jakież tęskne westchnienie prześlą nam na ten dzień z tamtej strony frontu!

No trudno, posad niema i nie będzie. Na pociechę można ogłaszać — nominacje. Nasz Zagłoga też darowywał Niderlandy!...

Nawet ten dowcip nam skradli.

14 Kwietnia 1916 r.

INFORMATORZY ANGIELSCY

W pismach szwajcarskich znajdujemy sprawozdanie z nowej książki p. Rothay Reynold'sa p. t. „The story of Warsaw a vivid description splendidy illustrated".

Autor uczestniczył w popularnych wykładach Cambridge University Extension, jako „lecturer in Russian Studies". Wydawał poczytne szkice o Rosji. Na czele swego nowego dzieła daje mapę „Provinces of the Wistula around Warsaw" i zgodnie z tym duchem „przywiślańskim"— uwiecznia na niej samą tylko cytadelę i forty. Widok zatytułowany „Typy ludowe" ukazuje... rewirowego na posterunku. „Główna panorama miasta" — to cerkiew na placu Saskim. „View of the Leszno (!) Street"—to pomnik Mickiewicza na Krakowskiem Przedmieściu.

ś Za to ogłasza Warszawiankę za „najbardziej czarującą kobietę na w iecie" a parokonnemu dorożkarzowi warszawskiemu przyznaje „powagę stangreta londyńskiego" (the dignity of a London coachman).

Inny znowu autor angielski, p. D'Auvergne, w swym podręczniku dla armji angielskiej podał też trochę wiadomości o Polsce. Naprzykład, o pow-

staniu 1863 roku: „intrigue, terrorism and organized assasination". Nic więcej.

Sprawozdawca nadmienia, że od początku wojny, jako tłumacz przy sir Frenchu, służy za ochotnika Andrzej ks. Poniatowski, wywodzący się od kuzyna księcia Józefa, wprawdzie zcudzoziemczały, lecz poczuwający się do polskości. Byłby spełnił prosty obowiązek, gdyby w podobnych wydawnictwach dopilnował ścisłych i bezstronnych informacji o Polsce.

Anglja, głosząca hasło obrony „drobnych narodowości" i do tych „drobnych" narodowości nas zaliczająca, mogłaby dla przyzwoitości zasięgnąć o nas choćby trochę „drobnych", ale prawdziwych wiadomości. A może, kto wie, sir Grey pogada z Maurycem hr. Zamoyskim przy bridge'u o Polsce. Byłby to tryumf nie lada dla naszych „kurjerów dyplomatycznych".

17 Kwietnia 1916 r.

EXODUS MILJONERÓW.

Różne się czasu wojny odbywają exodusy...

Ucieka ludność z palonych wsi i miast, uchodzą stronnictwa polityczne, przesiedla się tysiące ludzi...

Ale jest jeszcze jedna kategorja „uchodźców".

Pisma londyńskie donoszą, iż rząd zaniepokojony jest ucieczką bardzo wielu kapitalistów angielskich, którzy pospiesznie wyjeżdżają do Nowego Yorku i tam wywożą swoje miljony. Posprzedawali swoje domy posiadłości. zostawiając na miejscu małe agentury, głównie zaś biura otwierają na Fifth Avenue w Nowym Yorku. Uciekają nie tyle od bomb ciskanych na Londyn, ile od... podatku wojennego, od podwyższonego podatku dochodowego i podatku od czystych zysków. Tam, do raju, na ziemi, gdzie wojna dotychczas przyniosła 10 miljardów czystego zysku, a dywidendy wynoszą 100, 200, 500 proc.! Już jest tam podobno o 400 miljonerów więcej.

Pieniądz ma swoją orjentację. Gdyby mógł mówić, powiedziałby przedewszystkiem: „Towarzysze wszystkich krajów, łączcie się!"

Słynny to był w swoim czasie skandal, kiedy dzielnym Boerom okólną drogą dostarczali angielskie karabiny angielscy fabrykanci broni. No, płacono — więc sprzedawano.

„Non olet" — mówili o pieniądzu starożytni Rzymianie.

„Non olet" — mówią miljonerzy angielscy i jadą do Ameryki.

All right!

23 Kwietnia 1916 r.

RUCH OŚWIATOWY.

Można już dzisiaj stwierdzić, jak wspaniale na ruchu oświatowym odbiło się wypędzenie Rosjan z Królestwa Polskiego.

Oto ciekawy przykład:

Porównawcze zestawienie cyfr, jakie wykazują księgi handlowe jednej tylko księgarni piotrkowskiej p. J. Szustra, starczy za najwymowniejsze wywody. Elementarzy polskich w ciągu roku szkolnego za za czasów rządów rosyjskich nie sprzedawano nigdy więcej, niż 300 (!), obecnie zaś w tej samej księgarni w ciągu tego samego czasu sprzedano elementarzy polskich 11.000!

Trzysta i — jedenaście tysięcy! Warto sobie znaczenie tej różnicy dobrze uświadomić!

Bardzo pouczającem jest również zestawienie innych cyfr. Na 50 egzemplarzy wypisów szkolnych, sprzedawanych w ciągu jednego roku szkolnego za czasów rosyjskich, przypada w obecnym roku już 250 egzemplarzy; na mniej, aniżeli 50 egz. popularnych dziejów Polski — przypada dziś zgórą półtora tysiąca!

I to tylko w jednej księgarni jednego miasta.

Wyprowadźmy stąd należyte wnioski.

22 Kwietnia 1916 r.

POMIĘDZY OKOPAMI.

„Echo Polskie" wychodzące w Moskwie, w n-rze z dnia 19 marca r. b. zamieszcza odezwę Wydziału ochron Komitetu Polskiego o zabłąkanem dziecku, wraz z jego fotografją.

W sierpniu 1915 r., o 30 wiorst na zachód od Brześcia Litewskiego żołnierz 9 kaukazkiego strzeleckiego pułku, Podolski, znalazł między rosyjskimi i niemieckimi okopami chłopca z jasno-blond włosami i niebieskimi oczyma, mniej więcej 3 i pół roku. Chłopiec, jak widać z jego wyglądu i przyzwyczajeń, pochodzi z rodziny inteligentnej. Siebie nazywa „Władzio lub może być Wacio". W pierwszych dniach swego pobytu między żołnierzami mówił wyłącznie po polsku. Wspomnienia jego są skąpe, opowiada tylko, że żołnierze strzelali i mama upadła, wspomina Manię, o ojcu nigdy nie mówił. Przypomina sobie, że jechali bardzo długo, karmili się chlebem, a gdy konie padły, żywili się ich mięsem. Chłopiec przygarnięty został przez p. Natalję baronową Unger-Szternbreg, która w razie, gdyby rodzice chłopca po niego się nie zgłosili, chce go przyjąć za syna. Do niej też należy zwracać się pod adresem: Tyflis, Olgińskaja ul. Nr. 3.

Nad dziejami tragicznemi tego dziecka polskiego, znalezionego pomiędzy rosyjskimi a niemieckimi okopami pomyślcie dłuższą chwilę... One mówią dużo i dużo uczą o położeniu naszego narodu...

Życie tworzy symbole, głębsze i potężniejsze od pomysłów literackich.

27 Kwietnia 1916 r.

ZŁOTE MYŚLI.

A oto kilka złotych myśli współtwórców Konstytucji 3 maja i tych, co na Sejmie wielką reformę przeprowadzili:

„Naród cały, ani mieszkańcy jego swobodnemi nie będą, jeżeli prawodawstwo nasze względne na małą część ludzi, zostawi resztę pod przemocą i uzurpacją".

„Wszelki człowiek w państwie Rzeczypospolitej zrodzony, zamieszkały albo przychodzeń, wolny jest. Wolno mu podług praw boskich i praw tego kraju używać sił własnych i majątku swego, jak tylko najlepiej dla siebie sądzi".

Hugo Kołłątaj.

„Zginie Polska, jeżeli nie odrodzi się z ducha, niewolników nie przerobi na ludzi wolnych".

„Milsze jest piwo, które z własnej ziemi mieć możemy, niżeli to wino, w którem z rąk nieprzyjaznego cudzoziemca połykamy niewolę".

„Miłość ojczyzny nie kończy się śmiercią".

Stanisław Staszic.

„Smutne doświadczenia powinny w nas ożywić gotowość do ratowania Ojczyzny, która w sercu każdego Polaka głęboko jest wyryta. Tyle doznanych gwałtów, tyle poniesionej hańby, czyliż mają być tak prędko zapomniane, aby nie wzbudziły w nas sprawiedliwej podobnych nieszczęść bojaźni".

Stanisław Sołtyk, poseł krakowski.

„Równość, w której od urodzenia żyjemy, rozciągamy nie tylko do prawa, ale nawet do mniemania, iż jeden drugiemu w chęciach ku Ojczyźnie ustępować nie powinien".

J. P. Potocki, marszałek wielki litewski.

„Wolnym Polakiem być chcę, cnocie i Ojczyźnie więcej, jak względom na osobistą egzystencję winien jestem. Bezpieczeństwa wolności nie widzę, jak na rządzie i na silnej praw egzekutywie".

Ignacy Zakrzewski, poseł poznański.

„Po ustąpieniu wpływów Moskwy, nie istnieje przemoc w Polsce, Jest przemoc, ale światła i cnoty. Tej to szanownej przemocy umysł wolny ulegać lubi".

Linowski, poseł krakowski.

„Wobec rozpiętych, drapieżnych chciwości szponów, nie w formalnościach należy szukać ratunku, ale w prędkiej determinacji, w chwytaniu się środka jaki się nam wydaje najlepszym".

Stanisław Potocki, poseł lubelski.

„Mówimy wszyscy: zrzuciliśmy jarzmo moskiewskie; powiedzmy jasno: zrzuciliśmy, aleśmy go nie skruszyli. Widzisz, narodzie, widzisz publiczności cała oczywiście, że nie masz środka zbawienia Rzeczypospolitej, tylko w nas samych".

Zboiński, poseł dobrzyński.

* * *

Z wielkiej skarbnicy myśli i uczucia, przekazanej narodowi przez Sejm Czteroletni — to tylko kilka pięknych pereł.

29 Kwietnia 1916 r.

O DUCHU KONSTYTUCJI 3-go MAJA.

„Sprawa Polski wywołana będzie nanowo przed sąd świata nie inaczej, tylko głosem jakiejś powszechnej politycznej burzy, wtenczas, we wstrząśnieniu wielkiem, wynijdą i rozwiną się nowe potrzeby; ludzie z genjuszem politycznym, z genjuszem działania, potrafią te potrzeby wyrozumieć i zaspokoić, wynajdując środki nowe, teraz albo niewidzialne albo ogłoszone za niepodobne. Tych potrzeb i środków daremnie byłoby szukać w dotychczasowych konstytucjach pisanych, bo są one kwestją

przeszłości i mogą służyć za punkt podpory, ale nie za prawidło ludziom, stąpającym w przyszłość. Dlatego wszelkie dyskusje o prawach pisanych, jakkolwiek łatwe, niepożyteczne są Polakom.

Wszakże mamy jeden akt przeszłości, jedno prawo pisane, które zgłębiać, którego duchem przejmować się należy. Bo to prawo nie wypadło z głowy pojedyńczego mędrka, z ust kilku rozprawiaczy, ale wyjęte było z serca wielkiej masy; nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń — jest więc prawem żywem, zakorzenionem w przeszłości. Mamy Konstytucję 3 maja".

Te są słowa prorocze Adama Mickiewicza.

Pisał nadto Mickiewicz, iż „skoro wypadki wyzwą do działania naród polski, komu Opatrzność pozwoli mieć wpływ na losy jego, niech ten szczęśliwy człowiek zajrzy jeszcze w konstytucję 3 maja. Może w niej więcej, niż my wyczyta; my wyczerpiemy kilka kardynalnych życzeń narodu, dotąd jeszcze odzywających się".

Życzenie pierwsze — „wojna z ciemiężycielami Polski", drugie — „propaganda wolności, *jeśli nie jest wyrażone tegoczesnym językiem politycznym, daje się czuć w duchu konstytucji.* Jeden z jej artykułów powiada, że każdy kto wejdzie na ziemię polską, wolny jest. Ten artykuł dalej sięga w przyszłość, niż wszystkie konstytucje europejskie". Trzecie życzenie — to „rozszerzenie wolności na wszystkie klasy narodu; rozumiemy tu przez wolność — pełność praw obywatelskich".

Czyli obecnie, zajrzawszy w Konstytucję 3 maja, czyli znajdziemy w niej i odczujemy nieśmiertelnego ducha wolności „nietegoczesnym wyrażonej stylem", atoli żywej, jak wprzódy, jak wprzódy w przyszłość sięgającej? Czy są te słowa Mickiewicza słowami proroka, czy też omylił się wieszcz, sądząc, że czasu „powszechnej politycznej burzy" nietylko wrócimy duchem do dni majowych roku 1791, lecz je uznamy za wielkie i po wieczne czasy w pamięci narodu nieprzemijające? Czy jest to „prawo pisane" jeno pamiątką narodową, jako wiele innych drogocenną i czcigodną, czy też żywym testamentem dawnej Polski, w którym promienieje, pali się niegasnące światło narodowych pragnień, jeszcze dotychczas niewypełnionych, prawi-

deł wskazujących drogę „stąpającym w przyszłość“, prawd wolności i sprawiedliwości? Czy, wreszcie, polscy mężowie stanu tej epoki, myśliciele, pisarze, patrjoci, obywatele świetni, mądrzy i szlachetni, czy są nam miłym jedynie wspomnieniem, że oto tacy ludzie byli w Polsce, czy, natomiast, są jako żywe, dobre duchy, czekające w zaświatach, by się przyoblec w ciało godnych następców swoich, znijść przez następców tych na ziemię polską i Polskę duchem swoim z upadku podnieść, wzbogacić, upiększyć i uszlachetnić?

Nastała powszechna burza polityczna. Polska podnosi się z upadku. Proroctwo spełnia się. Wracamy do największego aktu przeszłości naszej.

„By dobrze było Ojczyźnie“ — pod tym hasłem najwięksi Polski synowie postawili pomnik, któremu równych mało jest w dziejach narodu. Pierwsza na lądzie Europy konstytucja ujrzała światło dnia na ziemi polskiej. Tu się narodził owoc najwyższej troski o dobro narodu, tu spełniło się zwycięstwo obywatelskiej myśli, tu stawion był drogowskaz na szlakach dążeń ku lepszemu Jutru. Kiedy nad Polską zbierały się groźne chmury, klęski nowe zwiastujące, przodownicy narodu dali mu pomoc w wielkiej naprawie Rzeczypospolitej. I nie było potem, jak i w przyszłości być nie może, pokolenia polskiego, któreby w Konstytucji 3 maja nie czerpało otuchy, jako w ożywczem źródle narodowej mocy i narodowego dobra. W czci dla twórców tego dzieła, w pamięci niezatartej dla mężów swoich znakomitych, Polska w czasach doli i niedoli, wśród wszystkich przeciwności i wśród wszystkich nieszczęść, w chwilach zarówno lepszych, jako i najcięższych — powracała myślą do wielkich prac Sejmu Czteroletniego Konstytucją ukoronowanych.

Imiona Staszica, Kołłątaja, Stanisława Małachowskiego, Potockiego, Weyssenhofa, Mostowskiego, Matuszewicza i innych, w tym prześwietnym szeregu stojących — to sztandarowe, jasne znaki na kartach dziejów polskiej myśli wyzwoleńczej, światła przykładu i wieczysta chwała narodu.

Czemu jest Konstytucja 3 maja dziełem nieśmiertelnym? Czem, mianowicie, wznosi się ponad epokę swego powstania, mimo wyraźnego swoich czasów piętna w niejednem prawie i niejednym nakazie? Czem wybiega w przyszłość najodleglej-

szą, mimo, że nie ustanawia pełni praw równych dla wszystkich warstw narodu, „praw dla ludzi bezsprzecznie im się należących w wystawieniu wspaniałego ludzkości przybytku“, jak to wyraził się jeden z ówczesnych publicystów polskich?

Każdy Konstytucji 3 Maja paragraf zawiera tezę wieczystą, nakaz moralny, ideę prawa i sprawiedliwości. Tej idei sprecyzowanie, ujęcie w literę prawa, było ograniczone duchem czasu, jak wszelkie dzieło ludzkie, atoli sama idea, samo hasło, sama wskazówka sięgała w wiecznie doskonalące się czasy przyszłe i w tej to myśli świadomej była wypowiadana: ...„niniejszą Konstytucją uchwalamy i tę za świętą i nienaruszoną deklarujemy, *dopókiby Naród w czasie prawem przepisanym wyraźną wolą nie uznał potrzeby odmienienia w niej jakiego artykułu*“. Temi słowy poprzedzona jest Ustawa.

Paragraf I utrwala zasadę religji panującej, taki był bowiem niewzruszony dogmat epoki. Atoli w tymże paragrafie czytamy: „Że zaś sama wiara święta przykazuje nam kochać bliźnich naszych, przeto wszystkim ludziom jakiegokolwiek bądź wyznania pokój w wierze i opiekę rządową winniśmy i dlatego wszelkich obrządków i religji wolność w krajach polskich podług ustaw krajowych warujemy“.

Paragraf II, zgodnie z duchem czasu, zapewnia szlachcie „prerogatywy pierwszeństwa w życiu prywatnem i publicznem“, wszelako jednocześnie nakazuje szlachcicowi szanować świętość Konstytucji: „Każdego szlachcica cnocie, obywatelstwu i honorowi jej świętość do szanowania, jej trwałość do strzeżenia poruczamy, jako jedyną twierdzę Ojczyzny i swobód naszych.“

Paragraf III potwierdza prawo p. t. „Miasta nasze królewskie wolne w państwach Rzeczypospolitej“, które to prawo pierwszym było wyłomem w murze granicznym, dzielącym stan mieszczański od stanu szlacheckiego.

W paragrafie IV, niezbyt w stosunku do chłopa polskiego hojnym i demokratycznym, również jak i inne, związanym z warunkami ówczesnego życia i z ówczesnemi pojęciami, w paragrafie tym wszakże znajdujemy wiekopomne słowa, już niezależne od danej epoki, lecz stanowiące wielki, wspaniały rzut w przyszłość: „Każdy człowiek, do państw Rzeczypospolitej z którejkolwiek strony przybyły lub powracający, jak tylko

stanie nogą na ziemi polskiej, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce, wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsze, wolny jest osiadać w mieście lub na wsiach, wolny jest mieszkać w Polsce lub do kraju, do którego zechce powrócić, uczyniwszy zadość obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął".

Paragraf V-ty o „Rządzie czyli o znaczeniu władz publicznych" daje najwyższe przykazanie demokracji wszystkich czasów i narodów: „Wszelka władza społeczności ludzkiej początek bierze z woli narodu".

Par. VI-ty określa atrybucje Sejmu czyli władzy prawodawczej, uznaje Izbę poselską, jako „świątynię prawodawstwa", znosi liberum veto i stanowi, iż posłowie nie będą przedstawicielami każdy swojej tylko ziemi, lecz „uważani być mają, jako reprezentanci całego Narodu, będąc składem ufności powszechnej".

W VII-ym, najdłuższym, bowiem najważniejszej wówczas sprawie poświęconym, mianowicie władzy wykonawczej, czytamy, między innemi, o osobie króla: „Nic sam przez się nie czyniący, za nic w odpowiedzi Narodowi być nie może. Nie samowładcą, ale ojcem i głową Narodowi być powinien i tym go prawo i Konstytucja niniejsza być uznaje i deklaruje".

Władza sądownicza otrzymuje swą od innych władz całkowitą niezależność w § VIII-ym.

Par. IX dotyczy Regencji, X — edukacji dzieci królewskich, „aby jednostajne w wychowaniu ich prawidła wpajały ciągle i wcześnie w umysły przyszłych następców tronu religję, miłość cnoty, Ojczyzny, wolności i Konstytucji krajowej".

Wreszcie ostatni par. XI-ty p. t. „Siła zbrojna narodowa", określa wojsko, jako „nic innego, tylko wyciągniętą siłę obronną i porządną z ogólnej siły Narodu", nadto zaś podkreśla, że „wszyscy obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych".

Tak tedy w duchu Konstytucji 3 maja, dla swoich czasów pisanej, dwa są jednak pierwiastki nieśmiertelne, nadające jej mocy wieczystej: idea wolności i miłości Ojczyzny. W tej to duchowej kuźni polskiej zrodziło się dzieło gorących serc i wielkich umysłów. I przeto badacze najbardziej krytyczni, wady Konstytucji wykazujący, uznają, że „bez niej, bez walki o nią,

naród byłby uboższy o całą człowieczą i narodową godność, uboższy może o całą swą przyszłość", bowiem „ona to wraz z r. 1794-ym uszlachetnia upadek, rozgrzesza upadłych" (Krzemiński).

Sprawiedliwie mówi Balzer o Konstytucji 3 maja: „Była jedną z tych chwil, na które Bóg czekać każe narodom, a o których potem wieki pamiętać muszą".

3 Maja 1916 r.

NIKCZEMNY SYK.

Po wielkim dniu solidarności i zgody wszystkich warstw narodu rozległ się pierwszy syk prawdziwie w tendencji swojej nikczemny. Wydała go „Gazeta Poranna 2 grosze".

W numerze z dnia 4 b. m., po opisie uroczystości zamieszczono w rubryce „Na marginesie" następujący wierszyk:

„Chcesz wiedzieć, co są dzisiaj zgromadzone stany,
To słowem ci odpowiem: że są to organy,
Gdzie każdy klawisz tknięty—swą powinność czyni,
Organistą zaś przy nich—jest imć Lucchesini".

(Z satyr epoki Sejmu Czteroletniego)

Tak oto chyłkiem i cichaczem wsączyć chciała „Dwugroszówka" trochę jadu w jaśniejszą atmosferę Warszawy. Wierszyk ten, wymierzony przeciwko twórcom Konstytucji 3 maja napisany był przez jednego ze stronników Rosji, którzy, stojąc u boku Bułhakowa, dążyli wszelkimi środkami do zabicia wiekopomnego dzieła. Lucchesini był posłem pruskim w Warszawie, szachującym wpływy Rosji i przychylnie dla Konstytucji usposobionym.

Jedno z dwojga: przytaczając ten wierszyk, „Dwugroszówka" chciała dać choćby marginesowe ujście swym moskalofilskim tęsknotom, albo też uczyniła to przez zwyczajną głupotę. Bo jeżeliby Lucchesini, co jest z historją niezgodne, był istotnie tym „organistą", który poruszał „organy zgromadzonych stanów", znaczyłoby to, że — zdaniem Dwugroszówki — Prusy przyczyniły się do zwycięstwa twórców Konstytucji 3 maja. Za to zasługiwałyby na wdzięczność. Ale od takiego poglądu Dwugroszówka jest daleka.

Jedno z dwojga? Nie. Jedno i drugie.

6 Maja 1916 r.

ŚWIĘTO PIEŚNI.

Więc było Święto Pieśni w czasie wszechświatowej wojny. I to w Warszawie, która się tyle nacierpiała i tyle jeszcze cierpi.

A to jest właśnie piękne. Ten kontrast — to prawo życia, odzywające się pieśnią, która płynie z piersi dziecięcych.

Nieskończone, przebogate, potężne życie! Idzie naprzód. Ludzie pragną szczęścia i nie złamie ich nic, nie pognębi nawet pożar świata O tej mocy naszej, o tym uśmiechu nadzieii wobec najstraszniejszych nieszczęść, będą kiedyś mówiły pokolenia...

Było czasu wojny w Polsce, w Warszawie — Święto Pięśni...

Dzieci Warszawy śpiewały Marsza Sokołów, kiedy na świecie szalała i krwawiła się burza, jakiej ludzkość jeszcze nie znała.

Śpiewajcie, dzieci polskie! Z uśmiechem patrzcie w przyszłość. Nic to, że dzisiaj straszno jest na ziemi. Wzejdzie jutrznia tą pieśnią przywołana.

Nieskończone, przebogate, potężne życie!

9 Maja 1916 r.

WARSZAWA 3 MAJA 1916 ROKU.

Wiadomo już całej Polsce, jak Warszawa uczciła 125-tą rocznicę konstytucji 3 maja. Był to w historji stolicy dzień wielki i wspaniały. Rozbudziły się w Warszawie najlepsze i najgłębsze uczucia polskie. Podniósł się, wyprostował, spotężniał jej duch. Dzień ten pozostawi niezatarte ślady w świadomości narodu. Przeszedł wszelkie oczekiwania. Stanowi bezsprzecznie datę historyczną, jako dzień przełomu, otwierający nową kartę duchowego życia stolicy. Ujawnił tajone pragnienia i naczelne hasła. Pokazał narodowi, czem jest i czem być może Warszawa w dziele narodowego Odrodzenia.

Tylko w oddzielnej książce możnaby wiernie i sumiennie spisać przebieg wszystkich dnia tego uroczystości. Tak też uczynić ma w księdze pamiątkowej Komitet Obchodu.

Na tem miejscu pragniemy ocenić rzeczywiste dnia tego znaczenie w dziejach stolicy.

Jest to dzień przełomowy z wielu względów. Nie było to tylko uroczyste uczczenie wielkich i minionych czasów, nie tyl-

ko przypomnienie i nie tylko hołd, twórcom Konstytucji złożony. Była to manifestacja polityczna, było żywiołowe *wypowiedzenie* się Warszawy w sprawie narodowej. Tak należy dzień ten oceniać. Żadne inne pobudki i cele nie wywołałyby uroczystości tak wspaniałej, tak olbrzymiej, pełnej treści ideowej, pełnej siły i powagi.

Co Warszawa w dniu tym powiedziała narodowi i światu?

To przedewszystkiem, że jej uczucia narodowe są nienaruszoną potęgą, która w każdej chwili zmieść potrafi wszystkie sztuczne naleciałości z drogi swych dążeń do urzeczywistnienia najdalej sięgających ideałów narodowych. Że są potęgą, której skruszyć i spaczyć nie mogło nic, żadne polityczne błędy, żadne mylne rachuby i żadne zwodnicze hasła mniejszej lub większej grupy ludzi. Wrażenie tej potęgi było wrażeniem górującem ponad wszystkiem, co się tego dnia niezapomnianego odbywało w stolicy.

Nadzwyczajna praca Komitetu Obchodu, trwająca już od paru tygodni z udziałem kilkuset osób, nie osiągnęłaby, nie mogłaby osiągnąć takiego wyniku, gdyby nie ten żywiołowy oddźwięk, jaki znalazła we wszystkich warstwach ogółu.

Obchód rocznicy w całym swym przebiegu był raczej sposobnością do ujawnienia rzeczywistych uczuć i ideałów Warszawy. Skorzystano z wolności udzielonej miastu na ten dzień. Skorzystano w sposób tak niedwuznaczny, tak wyraźny, że już obecnie dla nikogo zagadką być nie może, czego Warszawa pragnie, czego żąda. Był to zbiorowy okrzyk serc polskich, głośne wołanie o narodową wolność, majestatyczny nakaz dany narodowi w rzeczach najświętszych.

Dlatego nastrój stolicy był jakby religijny.

Pochód dwustu tysięcy obywateli był orszakiem wszystkich stanów, warstw i wyznań, jakgdyby idącym w jasną przyszłość polską pod znakiem Orła Białego, widniejącego na całym lesie sztandarów. Piękności i wzniosłości tego pochodu nie zdołam opisać. Kto go nie widział, jest uboższy o jedną, wielką chwilę szczęścia.

Szli weterani 63-go roku. Ich witano najgoręcej, im pod nogi rzucano niezliczoną ilość kwiecia, im słano pozdrowienia najgłębsze.

Szli skauci — słoneczny, promienny, cudowny obraz siły i zdrowia, wiary i nadziei, obraz młodzieńczej radości, że oto widzi ich i podziwia i kocha Warszawa.

Szli żołnierze polscy obok pochodu (tak nakazywała racja wojskowa), potem ustawili się koło pomnika Mickiewicza. Po raz pierwszy powitała ich Warszawa. I jak powitała! Z tysięcy piersi wyrywał się okrzyk potężny: „Niech żyją Legjony!“ Oddały im hołd i cześć wszystkie grupy pochodu. Wręczano im kwiaty, obejmowano, ściskano dłonie. Na wielkiej uroczystości w Filharmonji, kiedy Artur Śliwiński w przemówieniu wspaniałem, kreślącem dzieje polskich walk o wolność, wspomniał o Legjonach, przerwano mu potężnym, długo niemilknącym oklaskiem.

Żołnierz polski zwyciężył ostatecznie i nieodwołalnie w świadomości stolicy.

Na wspomnianem zgromadzeniu poseł Łempicki odczytał telegram Naczelnego Komitetu Narodowego. Trudno opisać entuzjazm tym telegramem wywołany. Manifestacja solidarności była tu zaiste wielka i żywiołowa.

Stosunek do wielkich spraw narodowych dnia dzisiejszego, do naszych celów i ideałów naczelnych wyraził się z mocą niepospolitą w stu salach, zapełnionych przez publiczność dla wysłuchania przemówień i odczytów. Dały one również sposobność do nieskrępowanego wypowiedzenia pragnień narodowych. Wszyscy mówcy, czy w auli uniwersyteckiej, czy w salach teatralnych, czy w gmachach fabrycznych, czy wreszcie w najróżnorodniejszych lokalach przygodnych, to mieli nadewszystko na celu, żeby razem ze słuchaczami, przez swoje słowa i przez słuchaczów wyraźną postawę, zadokumentować niezłomność narodowych postulatów w dobie obecnej.

Pod tym względem godzili się ze sobą najzupełniej — profesor, historyk, polityk, pedagog, publicysta — wszyscy mówcy, a z nimi razem słuchacze: uczeń, akademik, rzemieślnik, robotnik, chrześcijanin i żyd, wszystkie stany.

Ujawnił się tu również wielki głód historycznej wiedzy, znajomości dziejów ojczystych, tak okropnie w latach niewoli zaniedbanej.

W tym też dniu znalazł żywiołową ocenę swej roli w Polsce ciemięzca rosyjski.

Na Krakowskiem Przedmieściu, wszystkie grupy pochodu, przechodząc koło pomnika Paskiewicza, bez żadnego znaku i sygnału, instynktownie, odruchowo nakryły głowy. Zdawało się, że twarz dumnego satrapy krzywi się z oburzenia.

Na jednej z najpiękniejszych dnia tego uroczystości, w Ogrodzie Botanicznym, przy ruinach kapliczki 3 maja przemówił rektor Brudziński, wspominając czasy, kiedy młodzież akademicka Warszawy, za zbieranie się przy tem świętem dla serc polskich miejscu, więziona była i słana na Sybir. Teraz zasadzono tam, obok ruin — dąb, jako widomy symbol odrodzenia niepodległej Polski.

„Czy mimo kiry, w jakie los nas spowił,
Mimo łańcuchy, w jakie nas okował,
Był kiedy akord, coby tak radował,
Był kiedy poryw, coby tak uzdrowił?
Czy rozproszone na wichrach pochodnie,
Zeszły się tako, nieszarpane niczem,
Czy te tysiące, które dzisiaj liczym,
Tysiące ludzi, co jednako czują,
Nie są jak cieśle, którzy most budują
I wspólną drogę obierają zgodnie?"

Te są słowa prologu pióra Zdzisława Kleszczyńskiego, odczytane wieczorem we wszystkich teatrach warszawskich.

Kiedy w końcowej strofie rozległy się ze sceny słowa:

„Polsko, słysz!
Na twym kurhanie
Orły wstają!!!"

— przez chwilę zapanowała śmiertelna cisza, — a potem huragan oklasków. Ludzie mieli łzy radości w oczach. Tej chwili już do zgonu nie zapomną.

I jeszcze na rzeczy niektóre zwrócić należy uwagę, gdy się znaczenie tego dnia ocenia.

Warszawa zdała egzamin niespolitego talentu organizacyjnego. Kierownictwo dwustutysięcznym tłumem w samym pochodzie, a półmiljonowym, jeśli liczyć pochód wraz z przyglądającą mu się publicznością, spoczęło w rękach milicji, dawnej

straży obywatelskiej i skautów. W żadnym wielkim mieście Europy, podczas uroczystości narodowych nie osiągnięto nigdy tak wzorowego ładu i porządku. Zmysł organizacyjny to jedna z postaw, z najważniejszych rękojmi trwałości tych urządzeń, jakie będziemy tworzyli w nowych formach życia narodowego, trwałości całego gmachu państwowości polskiej.

Do zjawisk, niosących otuchę, pięknych i uzdrawiających, należała też solidarność wszystkich wyznań. Księża, pastorzy, rabini — tworzyli w pochodzie budujący obraz harmonji i zgody, zawsze powstający, ilekroć Polska przeżywa chwile podniosłejsze.

Utrwalmy jeszcze wrażenie, jakie wywołał udział socjalistów polskich, mianowicie Polskiej Partji Socjalistycznej. Pieśń ich „Czerwony Sztandar“, nie obniżyła w niczem harmonji, poważnie milcząc, kiedy inne grupy rzucały w niebo słowa hymnów narodowych. Jeden ze sztandarów P. P. S., ze znakami od kul moskiewskich, nadawał pochodowi jeszcze większej mocy.

Zwracał też powszechną uwagę sztandar Pogoni. W grupie Koła W. Ks. Litewskiego szli Polacy z Litwy pospołu z Litwinami — pierwszy od wielu lat obraz solidarności polsko-litewskiej.

Jak się rzekło, nie sposób choćby pobieżnie opisać wszystkich tego dnia niezapomnianych wspaniałości.

W sercu stolicy odezwały się duchy Stasziców, Kołłątajów, Małachowskich. I nie tylko. Również duchy Kościuszki, księcia Józefa, duchy wojny 31 roku i powstania 63-go i wszystkich bohaterów i wszystkich męczenników sprawy narodowej.

Cała stolica stanęła pod znakiem Orła Białego.

10 Maja 1916 r.

WIELKI MÓWCA.

„Nieszczęściem jest dla kraju, gdy prezes ministrów jest tak wielkim mówcą” — rzekł przed paru dniami Carson podczas uczty unionistycznego komitetu wojennego. I dodał: „Sztuki oratorskiej Anglja ma już za dużo!”

Asquith jest naprawdę wielkim mówcą. Gdyby słowo zawsze stawało się ciałem, już cała ludzkość przeistoczyłaby się w jedną olbrzymią armję angielską, a „nowa ofensywa" rozpoczynałaby się co godzina (Przepraszam za nielogiczność: przecież nie byłoby z kim walczyć).

Demostenes całe swe życie poświęcił sprawie oswobodzenia Hellady z pod przewagi Macedończyków. Pod Cheroneą padła wolność helleńska. Demostenes, przywódca partji narodowej, chciał jednak ocalić honor narodu, za co go partja macedońska wtrąciła do więzienia. Uciekł, a po powrocie do Aten, zagrzewał ludność do nowej wojny przeciw Antypatrowi. Wojnę znowu przegrano. Demostenes uciekł do świątyni Posejdonu na wyspie Kalauryi i zażył trucizny.

61 mów Demostenesa nie uratowało Hellady. Ale sąd historji orzekł, że wielki mówca ocalił honor i sławę swego narodu.

Cóż sąd historji orzeknie o mowach Asquitha, jeżeli przypuścić, że potomność o tej postaci nie zapomni? To tylko, że przemówienia jego są największym w dziejach krasomówstwa bluffem.

Jak widać, Carson przeczuł ten wyrok historji.

11 Maja 1916 r.

WYMOWA CYFR.

Czyście uważnie obejrzeli dział statystyczny na Wystawie Szkolnej?

Czyście widzieli tam cyfry nadzwyczajne, prawdziwą, wielką otuchę niosące?

W budżecie miejskim w r. 1910 wyznaczono na nauczanie początkowe 439.251 rb., a po sześciu latach, w roku bieżącym — wiecież ile? 2.044.100 rubli!

A oto zmiana w ciągu jednego tylko roku: w r. 1915 kształciło się w szkołach elementarnych w Warszawie 26.636 dzieci, a w roku bieżącym — 41.624!

Na wszystkich polach oświaty — postęp olbrzymi. Tak samo — w ogólnej opiece nad dziećmi roztoczonej. Naprzykład: w styczniu kąpało się 10.986 dzieci, a już w kwietniu 15.111.

Tak się bogaci życie nasze. A przecież żyjemy w warunkach nienormalnych. Lecz już sama nieobecność opieki rosyjskiej nadaje rozpęd naszej kulturze, naszym tradycjom oświatowym. Nie dławi jej ta opieka, nie bezcześci.

Te cyfry — to dobra, doskonała wróżba.

12 Maja 1916 r.

STARE TRADYCJE.

Na czoło spraw, związanych z wojną, wysunęła się od pierwszej chwili sprawa wyżywienia miljonowych mas: ustanowienia nowych organizacji, powołania do życia całkiem nowych praw i przepisów. Zaś rekord w pomysłach ogłodzenia wrogów, nie wyłączając ludności cywilnej, osiągnęła Anglja. Ten jej program nie został w całej rozciągłości przeprowadzony, lecz na tej drodze czynione są bezustanne usiłowania.

Lepiej zniszczyć choćby olbrzymie zapasy żywności, niż gdyby miały się dostać do ludności wrogiego państwa. Takie jest najnowsze hasło tego programu.

Rybackie porty norweskie, Bergen, Hangesund, Kristiansund i inne na zachodnich wybrzeżach Norwegji przepełnione są setkami tysięcy tonn śledzi i stokfiszu, kupionych i zapłaconych przez Anglję i Francję, lecz nie zabranych. Wartość ich wynosi 50 miljonów rubli. Zapasy te gniją. Prasa norweska zaznacza, że niemal cały połów tegoroczny zakupili kupcy angielscy za ceny wprost bajeczne, choć żywności tej nie zabrali.

Tak więc olbrzymie ilości środków żywnościowych gniją.

Tak każe wściekłe zapamiętanie, obłędna nienawiść, staczająca narody cywilizowane w otchłań barbarzyństwa.

Kapitaliści angielscy słynni byli z zatapiania wielkich zapasów różnych środków żywności dla wywołania zwyżki cen. Woleli niemi karmić ryby w Tamizie, niż zgodzić się na obniżenie cen i dostarczanie tańszej żywności głodnemu ludowi.

Te tradycje nie poszły na marne. Skoro można było stosować takie metody do własnej ludności, to tem łatwiej dają się zastosować do ludności wrogiego państwa.

17 Maja 1916 r.

RZECZPOSPOLITA IRLANDZKA.

Tekst pierwszej strony dziennika powstańców irlandzkich:

Rocznik pierwszy, Nr. 1. 1 penny.

„*Irish War News*“ (Irlandzkie nowiny wojenne).

Dublin, wtorek, 25 kwietnia 1916 r.

Rzeczpospolita irlandzka.

„Irlandzkie nowiny wojenne” ukazują się dziś z okazji ważnych wydarzeń. W wielki poniedziałek, 24 kwietnia, o godzinie 12 w południe proklamowana została Rzeczpospolita irlandzka. Równocześnie z wydaniem proklamacji prowizorycznego rządu dywizja dublińska armji republikańskiej, armja

obywatelska, strzelcy hibernińscy oraz inne wojska obsadziły dominujące punkty miasta. Urząd pocztowy został wzięty o godzinie 12-ej, a równocześnie zaatakowano zamek, wkrótce zaś potem obsadzono go. Irlandzkie wojska zawładnęły już miejską halą i dominują nad zamkiem. Republikańskie siły zbrojne walczą z nadzwyczajnem męstwem. Ludność dublińska stanęła całkowicie po stronie Rzeczypospolitej, a oficerowie i żołnierze, którzy przeciągali ulicami, byli wszędzie witani entuzjastycznymi okrzykami na ich cześć. Całe śródmieście znajduje się w posiadaniu Rzeczypospolitej, której sztandar powiewa na gmachu głównej poczty.

Generał major P. H. Pearce jest naczelnikiem armji Rzeczypospolitej i prezydentem rządu prowizorycznego".

Oto dokument. Już należy do archiwum przegranego powstania. Rzeczpospolita irlandzka — przedmiot marzeń szeregu pokoleń — i tym razem upadła. Stracono 14 powstańców, 73 skazano na ciężkie więzienie, deportowano bez sądu 1706-ciu.

Deputowany Dillon wyznał w angielskiej Izbie niższej, że powstańcy walczyli dzielnie i uczciwie. Tam też odezwały się głosy:

„Byłoby dobrze, żeby wszyscy żołnierze brytańscy tak dzielnie walczyli, jak powstańcy w Dublinie".

Na to jednak potrzeba dla walczących wielkiej Idei i świętego celu.

Nie mają go żołnierze brytańscy.

19 Maja 1916 r.

RZECZ BOHATERSKA.

Przywódców irlandzkiego powstania stracono. Członkowie rządu tymczasowego, James Connoly i John Madermot, nie żyją. Innych zamknięto w więzieniach, gdzie pozostać mają do zgonu.

Ucichła narazie starodawna pieśń powstańców irlandzkich. Na gmachach Dublina nie powiewa zielono-biało-pomarańczowa chorągiew.

„W Dublinie porządek" — powie referent spraw irlandzkich przy ministerjum angielskim, tak jak w 1832 roku minister

Sebastiane rzekł w parlamencie francuskim. „L'ordre règne à Varsovie".

Świat jednak nie przejdzie do porządku nad tem powstaniem, chociaż padło, jednych prowadząc na stracenie, innych do więzienia. Na sądzie historji ta sprawa nie będzie zapomniana. Nie zatrze jej nic. Giną ludzie, lecz żyją ich czyny. Giną bojownicy niepodległości narodu, lecz żyje nieśmiertelny posiew ich bohaterskiego ducha, zawsze gotowego wyrosnąć w nową siłę, nową potęgę.

Mierzyli siły na zamiary. Pchnęło ich do walki to święte szaleństwo, które nie liczy własnych zastępów i nie porównywa z zastępami wroga.

„Gode save Irland!" — uczynimy rzecz wiekopomną, przekazując wolę zwycięstwa następnym pokoleniom, jeśli sami przegramy.

„Boże, zbaw Irlandję!" — taki okrzyk rzucamy w duszę świata, który w śmierci naszej ujrzy nasze prawo do niepodległego życia i ujrzy prawdziwe oblicze wroga naszego.

„Boże, zbaw Irlandję!" — krwawiąca się w wojnie wszechświatowej ludzkość usłyszy głos jeszcze jednego narodu, który chce być wolny. Zadrży sumienie Europy. Nad rządami Anglji zawiśnie klątwa krwi powstańczej. Przeciwko wielkiemu kłamstwu Anglji założymy protest, który rozlegnie się w huku armat, przeciw nam wymierzonych. Tak — sama, własnemi rękami zabije kłamstwo o obronie niepodległości małych narodów. Tak zedrze ze swego oblicza jedną z wielu masek. Pomniejszy się kłamstwo wojny przez nową wojnę.

Tak myśleli „sinn-feiniści", zwyciężeni twórcy Rzeczypospolitej irlandzkiej. Z takiem uczuciem ginęli członkowie tymczasowego rządu, z taką też wiarą wkroczyć musiała w mury więzienne bohaterka narodowa Gevebooth-Markiewiczowa.

Powstanie upadło. „Jestem gotowa" — rzekła dumnie bohaterka do oficera angielskiego, stojąc na czele swego oddziału. Ucałowawszy swą broń, oddała ją wrogowi i wyciągnęła ręce, na które nałożono kajdany. Wielka, tragiczna i wspaniała chwila. To nie teatralny popis D'Annunzia, który na Kapitolu całował szablę Garibaldiego, za co tłumy biły mu oklaski, a damy włoskie obsypywały kwiatami. Kiedy Markiewiczowa całowała

swą broń przed oddaniem jej wrogowi, to na tę scenę patrzał duch O'Briena i duchy wszystkich dawnych bohaterów irlandzkich, śląc z zaświatów swe błogosławieństwo zwyciężonym.

Zasiedli do rozpraw sędziowie angielscy.

Giordano Bruno, gdy mu czytano wyrok śmierci, rzekł do sędziów: „Z większym lękiem czytacie wasz wyrok, aniżeli ja go słucham".

Tak też powiedzieć mogli powstańcy irlandzcy, siedząc na ławie oskarżonych. Bowiem lęk opanował Anglję. Słuszny lęk, że się obniży jej sztuczna powaga, że świat obleci straszna drwina z tej krwawej ironji, jaką hasłom angielskim zgotowało powstanie irlandzkie.

Dlatego „ze spokojem" wydano szereg wyroków śmierci, dlatego resztę przywódców skazano na dożywotnie więzienie. Żeby zostało wrażenie mocy, jeśli pierzchło wrażenie sprawiedliwości i humanitarnych haseł.

Z takim „spokojem" dawni tyrani tłukli się po nocy w swoich komnatach, nieprzytomnie wpatrzeni w krwawe widzenia i wsłuchani w jęki swoich ofiar. Z takim spokojem, drżąc w gorączce, spowiadał się moskiewskim mnichom Iwan Groźny. Ale siedząc na tronie, miał maskę kamienną.

W „demokratycznej" Anglji niemasz tyranów, lecz są „sprawiedliwi" sędziowie, skazujący na śmierć za pragnienie niepodległości narodowej...

Generał Maxwell i mr. Asquith zapewnili ze „spokojem", że w Irlandji już panuje „spokój".

Rząd angielski może dalej prowadzić wojnę swoimi „srebrnymi kulami", chociaż trysnęła na nie krew irlandzka.

Ale już nie odstanie się ta rzecz bohaterska. Czyn powstańców irlandzkich nie kończy się w ich grobach i celach więziennych. Idzie poprzez groby i mury więzień—w przyszłość, na sąd historji.

Na tym sądzie zapadnie wyrok sprawiedliwy.

19 Maja 1916 r.

DŹWIĘK DOLARA.

„Petycja długości 82.000 stóp, zawierająca 1,035,697 podpisów, domagająca się zakazu wywożenia przedmiotów, które zabijają". Taką jest nazwa filmu, wystawianego obecnie w kinematografach amerykańskich.

Oto jedna z najbardziej nowoczesnych form protestu przeciw wojnie, przeciw dostarczaniu przez Amerykę broni i amunicji.

Kiedy do senatu amerykańskiego wniesiono tę petycję w dwudziestu i jednym koszach, senator Kenyon rzekł:

„Ludzie, którzy petycję tę podpisali, nie są ani zwolennikami Anglji ani zwolennikami Niemiec, ale są zwolennikami ludzkości i chrześcijaństwa. Dźwięk dolara nie powinien przygłuszyć krzyków bólu, rozbrzmiewających z pola bitew w Europie. Chociażby prawa międzynarodowe dozwalały na sprzedaż narzędzi śmierci, nie pozwala na to prawo moralne".

„Prawo moralne!" Usunęło się z widowni świata. Pogrążyło się w letarg, przyduszone stosami dolarów. Nie obudzi tego prawa kinematograficzny film. To za słaba broń przeciwko miljarderom amerykańskim, dostarczającym amunicję.

Oni mogą nawet dla rozrywki pójść na to przedstawienie kinematograficzne, pochwalić szlachetne zamiary, wzruszyć się.

Potem dalej — robić swoje.

23 Mają 1916 r.

SUMIENIE FRANCJI.

Minęło obecnie 25 lat od chwili, kiedy eskadra francuska, pod dowództwem admirała Gerwais, składała Rosji wizytę w porcie kronsztackim. Minęło 25 lat od owych uroczystości, które towarzyszyły ustanowieniu francusko-rosyjskiego aljansu.

Owe czasy przypomina Francji Gustaw Hervé w swej „Victoire". Pragnie, by odpowiednio upamiętniono ten jubileusz. Ale jak?

Posłuchajmy:

„Te srebrne gody, mimo boleści obecnej godziny, jakżeby były pięknemi i radosnemi, gdyby nasi ministrowie, Viviani i Thomas, powrócili z Rosji, przywożąc upominki chlubne pod postacią udzielenia amnestji wszystkim naszym przyjaciołom, którzy jęczą na Sybirze, a także pod postacią rozległej autonomji dla

wskrzeszonej Polski, wreszcie zaś pod postacią udzielenia żydom równouprawnienia obywatelskiego i politycznego. Niechaj car, opierając się na Dumie, rządzi nową Rosją, idącą torami demokracji i liberalizmu".

„Srebrne gody" republiki z caratem nie są więc piękne i radosne. Byłyby takiemi, gdyby carat udzielił amnestji jęczącym na Sybirze, a Polskę obdarzył „rozległą autonomją".

Zaś parę dni później, ochłonąwszy z podniosłych wspomnień jubileuszowych, napisał Hervé co następuje:

„Żądałoby się od rządu rosyjskiego niemożliwości, chcąc, by władał Polską według naszych zasad republikańskich. Często bowiem mamy sposobność naszym polskim przyjaciołom, którzy się do Francji schronili, zarzucać, że im brak realistycznego i oportunistycznego punktu widzenia i że przez niezręczny opór szkodzą swej własnej sprawie. Żaden francuski dziennikarz nie popełniłby takiego szaleństwa, by polską kwestję tak przedstawić, iżby dotknął Rosję i zaszkodził naszemu z nią sojuszowi".

Istotnie. Wielu dziennikarzy francuskich tak przedstawia sprawę polską, żeby sojuszowi francusko-rosyjskiemu nie zaszkodzić. Oto naprzykład w „Echo de Paris" z dnia 16 kwietnia r. b. w artykule p. J. Herbette'a znajdujemy oświetlenie sprawy polskiej, które nie pozostawia żadnej wątpliwości co do źródła, skąd p. H. czerpał swoje informacje. Jest tam ustęp następujący:

„Główne partje polskie w Austrji, jako to: narodowi demokraci, centrum i większość partji ludowej nie zdradzają bynajmniej chęci zasiadania w Naczelnym Komitecie Narodowym, który rząd chciałby obudzić do życia w Krakowie. Na czele jego stoją von Biliński, zniemczony biurokrata, na którego rusińskie pochodzenie wskazuje samo nazwisko, a obok niego znajdują się ludzie o tak czysto polskich nazwiskach, jak Leo, Battaglja lub German. Nikt przecież nie da się oszukać podobnej maskaradzie!".

Inny znowu dziennikarz, niejaki p. Vernes, wprost wzywa policję na pomoc przeciwko propagandzie pisma „La Pologne aux Polonais" i oburza się, że pismu temu wolno rozchodzić się we Francji.

Nie wszyscy jednak dziennikarze i literaci francuscy obawiają się popełnienia „szaleństwa". Liczne ich grupy, z p. Be-

naimé na czele, sprzyjają uczciwie sprawie polskiej i nie oglądają się na zdanie p. Izwolskija, przez co pomniejszają „piękno i radość" srebrnych godów francusko-rosyjskich.

Pełna radość mogłaby nastąpić dopiero wtedy, gdyby sumienie Francji zamarło.

25 Maja 1916 r.

PRZESTĘPCZA IGNORANCJA.

Utworzony w Zurychu komitet p. n. „Pro causa judaica" wydał odezwę, w której stawia szereg postulatów w związku z przyszłym kongresem pokojowym. W motywach czytamy, między innemi, że w „Rosji i w Polsce przeszło sześć miljonów żydów żyje w najsmutniejszych warunkach; pozbawieni praw, nie mając wolności przesiedlania się, zawsze w obawie krwawych pogromów..." i t. d.

Znowu widmo „krwawych pogromów" w Polsce! Odezwało się tu echo oszczerczej kampanji, która w ostatnich czasach już jakoś ucichła. Z niektórych wystąpień tej kampanji cudzoziemiec mógł sądzić, że Polska jest to kraj, w którym strumieniami leje się krew żydowska.

Na tę akcję, nie cofającą się przed żadnem kłamstwem i oszczerstwem, pełną najbardziej fantastycznych wieści, Polska dała już całemu światu odpowiedź najwspanialszą przez uroczysty pochód 3 maja łącznie z tą ludnością, nad którą rzekomo się znęca i którą ma tak bezlitośnie prześladować! A była to łączność w rzeczach dla narodu najświętszych.

Słowa o „obawie krwawych pogromów" w Polsce są ignorancją lub nikczemnością. Chyba to pierwsze.

Ale i taka ignoracja jest przestępstwem.

5 Czerwca 1916 r.

POTWORNA ZBRODNIA.

Potworna, niesłychana zbrodnia! Do Penzy przybył pociąg rosyjski, w którym znaleziono 700 trupów jeńców tureckich, wiezionych do Syberji.

Była „bumaga", która polecała nie otwierać wagonów przed dojechaniem do miejsca przeznaczenia. Ale pociąg jechał dwanaście dni. jeńcy zaczęli umierać z głodu, z wagonów wydobywał się straszny odór.

Na żadnej stacji wagonów nie otwierano, bo tak brzmiała „bumaga", nie przewidując może, że pociąg będzie jechał tak długo; zaś nikt nie odważył się postąpić wbrew zleceniu. Dopiero z Penzy posłano do Petersburga „zapytanie", co robić wobec wydobywającego się z wagonów odoru? Pozwolenie na otwarcie wagonów nadeszło *po trzech dniach*... Tymczasem ludzie w męczarniach głodowych konali. Dających jeszcze oznaki życia, przeniesiono do szpitala, gdzie niebawem zmarli.

Ofiarą „bumagi" padło 700 ludzi. Ich konanie i śmierć w jadącym pociągu — to obraz, swoją grozą przekraczający granice wyobraźni ludzkiej, największa zbrodnia czasu wszechświatowej wojny, dokument hańby rosyjskiego życia, rosyjskich porządków, rosyjskich „bumag" i niewolniczego znikczemnienia rosyjskich urzędników, którzy nie ośmielają się bez pozwolenia otworzyć wagonów, z których wydobywa się odór ludzkich trupów.

Życie państwa, w którem się taka zbrodnia stać mogła, jest na mapie świata jedną, wielką, zbiorową zbrodnią.

7 Czerwca 1916 r.

ZAKRYTY NAPIS.

Mamy zbyt dużo poważnych spraw na głowie, żeby poświęcać dużo uwagi takim datom, jak dziesięciolecie rosyjskiej Dumy państwowej. Więc tylko kilka słów przypomnienia.

Biblijne owoce, po których poznaje się ludzi i ich czyny, nie są tu zbyt przedniego gatunku.

Może najbardziej efektownym faktem z dziejów dotychczasowych tej instytucji był wiec posłów pierwszej Dumy w Wyborgu, po jej rozwiązaniu zaś najbardziej efektownem zdaniem— pytanie pierwszego prezesa Dumy, Muromcewa, zadane sędziom, ferującym wyrok na autorów wyborskiej odezwy: „Kto mnie sądzi?" Było to dumne pytanie jednego z najwybitniejszych reprezentantów narodu, po którem pierwszy prezes Dumy poszedł... na miesiąc do więzienia.

Utworzona na zasadzie nowej ordynacji wyborczej druga Duma, tak samo, jak i następne, była już potulnem narzędziem w rękach rządowej kamarylli. Reprezentację polską zmniejszono z 40 do 12 posłów, co jednak nie było pozbawione dla nas i strony dobrej: mniej działaczów polskich traciło czas.

Jeśli oporniejszym posłom nie wytaczano procesów, nie wsadzano do więzienia i nie wysyłano na Sybir, to przy pomocy sfer rządowo-administracyjnych zgładzano ich ze świata. Tak zamordowani byli posłowie Hercenstein, Jołłos i Karawajew.

W ciągu 10-ciu lat Duma rosyjska nie uchwaliła ani jednej poważnej reformy, któraby pchnęła życie rosyjskie na nowe tory. Nad Królestwem zawisły nowe bezprawia już „konstytucyjne". Obecnie pokutuje w Dumie nasza „reprezentacja" w osobie trzech politycznych rozbitków.

W pierwszej Dumie jakiś czarnoseciniec rzucił pogardliwie, pod adresem posła Karaułowa, który przesiedział szereg lat na Syberji, wyraz „aresztant". Na to odpowiedział Karaułow:

— „Szczęśliwy jestem, że w tem morzu cierpień, którego fale przyniosły nas do tej sali, znajduje się i moja kropla krwi".

To zdanie wyryto na pomniku zmarłego przed kilku laty posła.

Żandarmerja chciała pomnik zniszczyć, wobec czego na miejscu napisu wśrubowano pustą tablicę. Żeby kiedyś — odśrubować!... Ale kiedy? Przypuszczano, że nie długo.

Ten pomnik z zakrytym napisem — stoi, jak stał.

7 Czerwca 1916 r.

PAMIĘĆ TŁUMÓW.

Kardynalnym warunkiem powodzenia akcji politycznej, zmierzającej do swoich celów poprzez szereg sprzeczności, cofań się, skoków i łamańców logicznych, poprzez zalecanie tego, co niedawno uważane było przez tych samych polityków za zbrodnię lub nieszczęście, poprzez radykalne obalanie własnych „niezbitych" do niedawna prawd i własnych „zbawiennych" do niedawna haseł — warunkiem, powtarzamy, powodzenia takiej akcji jest *słaba pamięć* tłumów ludzkich. Ludzie niedobrze pamiętają, co kiedyś słyszeli z ust danych działaczów politycznych, co kiedyś czytali w ich pismach.

W ten sposób akcja polityczna jest w dużej mierze sztuką operowania niepamięcią ludzką.

Jeśli dzięki tej niepamięci można robić gwałtowne zwroty i skoki polityczne w okresie tygodni, czy miesięcy, to cóż dopiero na przestrzeni np. 25 lat! Czasy z przed ćwierćwiecza są już dla tłumu we wszystkich sprawach epoką zamierzchłej przeszłości, a hasła tej przeszłości mogą być radykalnie zmienione, choćby w objektywnej sytuacji zmian zasadniczych nie było.

Oto przykład:

Dwadzieścia pięć lat temu, w chwili zawarcia francusko-rosyjskiego aljansu, Juljusz Guesde, wódz socjalistów francuskich, obecnie członek rządu francuskiego, pisał:

„Szanowni Obywatele!

Zapytujecie mnie, co myślą socjaliści i robotnicy francuscy o korzeniu się naszej tak zwanej Republiki u stóp cara wszech Syberji. Poczytujemy za sromotną zbrodnię to przymierze ojczyzny Rewolucji z rządem knuta. Tylko klasa tak strupieszała, jak nasza burżuazja, może nie wzdrygnąć się na samą myśl lawiny moskiewskiej, brutalnie walącej się na Zachód, zajęty wyzwoleniem ludzkości; tylko widokiem nagromadzonego złota oślepiony parjas moralny wzdychać może do alkoholika z nad Newy pod pozorem odbudowania rozczłonkowanej ojczyzny. Zapewniamy was, że tylko rozpanoszeni, cudzą pracą żyjący ludzie, nakazują muzykom w ogrodach publicznych łączyć Marsyljankę z hymnem moskiewskim. Nasz zaś lud, nasze tysiączne tłumy robocze, które stanowią prawdziwy naród — z pogardą plwają na to brzemienne reakcją delirium moscovitum, sympatje zaś swoje skierowywują gdzieindziej. Zwracają je dziś, jak dawniej, ku męczeńskiej Polsce, jako tamie przeciw wrogowi wolnych społeczeństw — caryzmowi.

Zapewnijcie, szanowni obywatele, naszych braci i siostry, zapewnijcie wszystkich Polaków, że nie zmieniło się nic we Francji Komuny, że to marna reszta naszych Wersalczyków pragnie dziś zostać kozakami. Powiedzcie im, aby nie poczytywali za Francję—ministrów, naszych największych wrogów, co tak bezmyślnie a nadaremnie usiłują zepchnąć ją z historycznego toru — ją, która w uciśnionych wszystkich krajów widziała swych braci, którym coprędzej pomódz należy. Caryzm moskiewski podbił i wciągnął w swoją orbitę tylko małą Francję kapitalistów, którym szpera po kieszeniach i Francję rządzących, których dni są policzone. Występują zaś przeciw niemu z oklaskami dla Hrynie-

wieckich i Padlewskich groźne szeregi wielkiej Francji robotniczej, Francji wolności, Francji rewolucji.

Niech żyje Polska!"

„Brzemienne reakcją delirium moscovitum" wciągnęło w swoją orbitę autora powyższych słów, dziś równie, a może jeszcze bardziej popularnego, niż przed 25 laty.

Słabą, niezmiernie słabą pamięć mają tłumy ludzkie.

10 Czerwca 1916 r.

SERCE OBYWATELA.

Co też to trzeba wyprawiać, do jakich uciekać się pomysłów, ile czynić wysiłków i zabiegów, żeby kochanego rodaka zagrzać do ofiarności publicznej!

Już słabną w swym efekcie wszelkie odezwy, artykuły, widowiska i popisy, już pryska czar nalepek okiennych, już zanika urok znaczków, sprzedawanych na ulicach przez przystojne panie i panienki.

Wobec tego musimy na obywatela... *trąbić*. To go zastanawia. Do kawiarni wprowadzamy kuce z tablicami na grzbiecie. To gościa rozczula. Kuca poklepie, pośmieje się i wrzuci coś do puszki.

Trąbiono wczoraj cały dzień. Ludzie dawali. Efekt był nowy i dobry.

Jak tak dalej pójdzie, to na przyszły rok będziemy musieli wyprowadzić na ulicę korowód słoni, wielbłądów, hipopotamów, bo już kuce nikogo nie wzruszą.

Proszę nie przypuszczać, że tak źle sądzę o naszej ofiarności. Nie jesteśmy w tej mierze gorsi od innych. A nawet znacznie lepsi. Naprzykład — od obywateli angielskich, czego dowodzi odezwa Reymonta.

W Londynie trzeba było spokojnemu i sytemu obywatelowi pokazać wielkie wozy, napełnione głodnemi, choremi i obdartemi dziećmi, żeby mu wywołać „łzę w oku" i skłonić do ofiary. Takie wozy — to dokument zwyrodniałego egoizmu, który się da wzruszyć już tylko efektem zgrozy i przerażenia.

Tacy twardzi nie jesteśmy.

13 Czerwca 1916 r.

SĄDY DZIECKA POLSKIEGO.

Wśród wychowańców dziecięcego przytułku Tow. Przeciwżebraczego w Częstochowie przełożona, p. Moczydłowska, przeprowadziła niezmiernie interesującą ankietę. W przytułku mieszczą się dzieci ulicy: 31 chłopców i 22 dziewczęta w wieku od lat 4 do 13.

Pytanie o wyznaniu zrozumiało tylko 19 dzieci.

Na pytanie o narodowości tylko 8 dzieci odpowiedziało dobrze, z postałych 4 oświadczyło, że są katolikami, jeden — Łodzianinem, jeden — Częstochowianinem, większość zaś wcale nie umiała określić swojej narodowości.

Na pytanie, w jakim kraju mieszkają, 12 odpowiedziało: w polskim, jeden: „nad rzeką", jeden w „krakowskim" i jeden w katolickim.

Na pytanie: pod jakiem panowaniem żyjemy?—dwoje odpowiedziało: pod panowaniem księdza Fulmana (głównego opiekuna zakładu) i pod panowaniem klasztoru jasnogórskiego; jeden – pod pruskiem; dwóch — pod Boskiem; czternastu — pod polskiem; jeden zaś oświadczył, że żyjemy pod panowaniem... policji. Pozostali nie umieli dać żadnej odpowiedzi.

Charakterystyczne odpowiedzi dały dzieci na pytanie: kogo się boisz? Dwóch obawia się żydów, jeden pana Boga, siedmiu — policjantów, pozostali nie obawiają się nikogo. Kochają najbardziej: dwoje pana Boga, dwoje — księdza, który założył przytułek, dwanaścioro rodziców, ośmiu — pani opiekunki, trzynastu — matki.

Na ostatnie pytanie: czem chcesz zostać? — większość nie umiała dać odpowiedzi, jeden chce być księdzem, dwóch — ślusarzami i dwóch — Polakami.

Tego rodzaju ankiety są dla wychowawców doskonałym materjałem pedagogicznym, jednocześnie zaś dają wielce wymowny dokument smutnego poziomu umysłów dziecięcych wśród sfer najuboższych. Niewątpliwie ankieta, wśród tych samych dzieci przeprowadzona za rok, da wyniki pomyślniejsze.

Zarazem ankiety takie są przyczynkiem do charakterystyki całego położenia narodu polskiego. Przytoczone tu odpowiedzi zawierają niektóre sądy, które nie mogłyby się zrodzić w umyśle dziecka żadnego wolnego narodu. Nawet — dziecka ulicy...

19 Czerwca 1916 r.

TAK SIĘ STANIE.

„Frankf. Ztng" donosi z Haparandy, że cenzura rosyjska przepuściła obecnie ustęp z mowy przywódcy socjalistycznego w Dumie, Z. Czhenkellego, który poprzednio zakazała była drukować.

Ów obecnie dopuszczony ustęp brzmi:

„Wojna kosi bezustannie krocie ludzi. Lud nasz stoi przed katastrofą żywnościową. Duma chce wprawdzie małych czynowników skrępować, ale ma jednocześnie ministrom zabezpieczyć dotychczasową nieodpowiedzialność. Biurokratyczna budowa Rosji oznacza zaprzeczenie wszelkich praw ludzkich. Rosja nie może istnieć bez przekupstw. Gmach biurokratyczny, który takie nadużycia hoduje, musi rozpaść się w gruzy. Ustawy obowiązują tylko poddanych, urzędników zaś nie. Przy 100 działaniach rządowych zdarza się conajmniej 50 przekupstw. Wojna przemieniła naszych urzędników w drapieżne wilki. Lud nie może bez przekupstw dostać nawet chleba. Ministrowie zaczęli nawet niezawisłość gospodarczą i finansową kraju sprzedawać. Mineralne bogactwa Kaukazu i Uralu wydali Anglikom za kubany.

„Cały obecny ustrój opiera się na zdrajcach. Nietylko poszczególni są zdrajcami, lecz wszyscy bez wyjątku. — wszyscy ochmistrze, koniuszowie, kamerjunkrzy są zdolni do każdej zbrodni“.

Słowa mocne. Walą obuchem w łeb, wciąż jeszcze twardy i cały. Gmach biurokratyczny Rosji hołdował nadużyciom i przekupstwom od setek lat i nie rozpadł się. Piotr Wielki kazał wypalać oczy i wyrywać języki łapownikom, ale te kaleki przekazywały następnym pokoleniom swój łapowniczy testament. Ich wola święcie się przez szereg pokoleń wypełniała. Tak jest, jak było.

Walka od wewnątrz kończyła się dotychczas zawsze nieszczęśliwie. Rosję wyratować może tylko... klęska od zewnątrz, tylko uderzenie piorunów wojny, które przeszyją gmach rosyjski od góry do dołu.

Tak się stanie.

19 Czerwca 1916 r.

„Jeżeli obywatel po wieloletniej śpiączce nie budzi się wtedy, kiedy mu się obudzić wolno, to nie jest śpiochem, ale trupem".

To trafne zdanie, wypowiedziane na wiecu niedzielnym Centralnego Komitetu Wyborczego przez jednego z mówców, daje się zastosować do wszystkich dziedzin polskiego życia doby obecnej. Jeszcze nad tem życiem panują pewne klątwy przeszłości. Pierwiastki niewoli nie znikły jeszcze przy zmienionych warunkach. Jest to prawo psycho-socjologiczne. Pewne uczucia i sądy, będące naturalnym wynikiem warunków danej epoki, trwają dłużej, niż te warunki, działają i wpływają na układ całego życia, mimo, że wkroczyło ono w nową formę bytu, w zewnętrznie nowy układ stosunków.

„Umarli nami rządzą" — rzekł August Comte — mając na myśli siłę tradycji i przyzwyczajeń, nieodpowiadających już wymaganiom epoki, lecz nadających tej nowej epoce pewne cechy minionych, choćby dawnych czasów. W dziejach pojęć i uczuć ludzkich najjaskrawszym przykładem takiej siły tradycji są przesądy religijne, mające moc przetrwania epoki, która je zrodziła. Ongi — naturalny wynik całego układu życia społecznego, całego stanu obyczajowego i światopoglądu, stają się one następnie przeżytkiem, trwającym mimo nawet najbardziej radykalnych przemian w życiu zbiorowem, mimo największego postępu wiedzy i nauki. W jednej z prowincji starożytnego Egiptu wierzono, że świat ulepiony został z gliny przez wszechmocnego Boga, bowiem tej prowincji głównem zajęciem było garncarstwo. Wiara w takiego boga, wielkiego garncarza, trwała setki lat, kiedy już nikt w tej prowincji garncarstwem się nie zajmował. Tak samo w innej prowincji, gdzie głównym zawodem było tkactwo, wierzono, że Bóg utkał świat z nici, wysnutych ze swego ciała i wiara ta trwała długo jeszcze, kiedy już tkactwo w starożytnym Egipcie zanikło. Zjawiska socjomorfizmu przechodzą zawsze takie koleje.

To samo prawo rozciąga się na wszystkie dziedziny zbiorowego życia. Możemy je stwierdzić na przykładach naszego życia doby obecnej, jakże innej od tak niedawnej przeszłości, a ileż jeszcze kryjącej w sobie pierwiastków dnia wczorajszego. W przy-

zwyczajeniach, w uczuciach, w sądach i czynach tkwi jeszcze ta przeszłość, odzywa się, hamuje nasz polityczny i społeczny postęp, pomniejsza rozpęd pracy odnowicielskiej i odrodzeńczych dążeń. Jest to jakby inercja niewoli, inercja nastroju, przystosowanego do dawnych warunków i jeszcze niecałkowicie rozwianego mimo najgłębszej zmiany położenia. Mała stosunkowo ilość zapisanych na listy wyborcze jest tylko jednym z wielu przykładów tego uczucia bezwoli, niesamodzielności, abnegacji i zobojętnienia, które zaszczepiano nam metodycznie w ciągu dziesiątków lat. Mocne środki nasenne działają w pewnej mierze w osłabionym organizmie długo jeszcze wtedy, kiedy się tych środków już nie zastrzykuje. W wielu sprawach szeroki ogół znajduje się w stanie ozdrowieńca, który zaprawia się dopiero do nowego, pełnego siły i rozmachu życia, lecz nie jest jeszcze gruntownie wyleczony. Są tacy, którzy się już nie przebudzą. Lecz, na szczęście, widzimy tak wiele radosnych objawów budzenia się do nowego Jutra, tak silną i głęboką wiarę, że nie tylko da się powetować stracone dla narodowego postępu lata niewoli, ale i stworzyć nową przyszłość na wszystkich polach narodowego życia, — że uprawnieni jesteśmy do optymistycznych horoskopów.

Jest mniej trupów, niż śpiochów i jest coraz więcej ludzi przebudzonych.

Wiara w przyszłość, czyn odrodzeńczy, siła odrodzonego ducha i uzdrowionej myśli zmoże wszystkie klątwy naszej przeszłości.

20 Czerwca 1916 r.

POLITYK.

Król czarnogórski, Mikita, przebywa od dwóch miesięcy we francuskiej wiosce Marignac, zajmując tam mały zameczek, otoczony kasztanami, wśród których stary komedjant i szarlatan rozmyśla nad bużliwemi dziejami swego żywota.

Korespondent londyńskiego dziennika „Daily Chronicle“ opisuje swoje niedawne u wygnanego króla odwiedziny.

„Gdy przybyłem do zamku, król pozował właśnie aż dwom mala-

rzom, ale przerwał natychmiast posiedzenie i zaczął ze mną rozmawiać melancholijnie o nieszczęściu, jakie spadło na jego kraj"...

Scena: król pozujący dwom malarzom i ubolewający nad nieszczęściem swego narodu, ta scena, czasu wszechświatowej wojny, godna jest zanotowania i uwagi.

A oto pewien pisarz austryjacki, przebywający obecnie w Czarnogórzu, usłyszał u tubylców następującą anegdotę z życia króla Mikity:

Podczas pobytu w miejscowości Njegusz, król zawołał jednego z tamtejszych mieszkańców i zapytał go:

— Djuro, powiedz mi — wiesz ty, co to jest polityka?

Po krótkim namyśle Djuro odpowiedział królowi:

— Hospodarze! Wiem. Gdy ja kłamię, wtedy mi mówią: ty łżesz, Djuro, jesteś psi syn. Gdy jednak kłamiesz ty, hospodarze, wtedy nazywa się to polityką.

Ponieważ u nas toczy się obecnie — przyznacie, że dość późno — generalna (i dość kompromitująca) dyskusja na temat pojęcia „polityka", tedy anegdota powyższa może na owo „zagadnienie" rzucić, jak się to mówi, „snop światła".

23 Czerwca 1616 r.

DWA OBRAZY.

Z tysiąca opisów wojny, niewyczerpanej, bezgranicznie bogatej w tworzeniu obrazów wciąż nowych i coraz to potężniejszych, kojących i piekielnych, wzruszających i ohydnych, wzniosłych i przerażających, — z tego tysiąca wyjmuję dwa, z dni ostatnich:

„W chwilach, kiedy ucichały bitwy, grywał nieraz w okopie niemieckim pewien młody porucznik na skrzypcach. Przysłuchiwali się w poważnem skupieniu nietylko żołnierze niemieccy, lecz i Francuzi z poblizkiego okopu. Ci ostatni krzyknęli nawet kiedyś podczas takiej uczty muzycznej, by artysta zechciał im zagrać „Marsyljankę". Oficer niemiecki w tej chwili przychylił się do tej prośby i po mistrzowsku zagrał francuski hymn narodowy, ku największej uciesze żołnierzy francuskich, którzy nagrodzili grajka grzmotem oklasków. Gdy z kolei skrzypek zagrał „Wacht am Rhein", Francuzi zachowali się całkiem poprawnie i po skończonej grze również z widoczną kurtuazją oklaskiwali".

* * *

A teraz opis innej kategorji (por. Szatmari'ego w jednym z ostatnich numerów „Voss. Ztg":

„Atak gazowy.

Idzie trująca fala... W mgnieniu oka przemieniliśmy się w zamaskowanych zbójców i czekamy ciekawi, w napięciu, na walkę nieznaną bronią, z niewidzialnym i dotąd nieznanym wrogiem.

Nadchodzi. Coś kłuje mnie w oczy, poprawiam sobie maskę. Więc to jest ten pełzający nieprzyjaciel, ta trująca fala, wróg w czapce niewidymce. Otacza nas w tej chwili, jesteśmy w jego mocy i nasze życie jest zależne tylko od tej puszki, która nam daje powietrze. Stoimy w pośrodku zarażonego powietrza i jego smoczy wiew igra z naszem ubraniem. Jakiż straszny, a przytem jaki biedny ten wróg. W jego okręgu trzaskają dalej karabiny, a pomruk: „Ura! Ura!" szturmujących szeregów zamiera w łoskocie karabinów maszynowych. Te nie potrzebują masek, podobnie jak i armaty, które teraz z ukrytej głębi miotają setkami śmierci, mrucząc i wyjąc, jak wieczne, spiżowe psy. Są one zabezpieczone przed gazem, gdyż nie potrzebują powietrza, ich bronzowe cielska bezpiecznie miotają się w szalejącym ogniu.

Uczuwam ciężkość na piersiach. Powietrze, które wdycham, jest ciężkie i twarde; przy każdym oddechu muszę łykać. Maska cięży mi jak ołów na głowie, a od wielkich okularów niewypowiedzianie bolą mnie oczy. Zdaje mi się, że stoję w ołowianym stroju nurka na dnie morza pod ciśnieniem całego oceanu. Powietrza! Powietrza! I rozluźniam rzemienie maski. Ale straszliwe kłócie zaczyna mi pulsować w skroniach i pospiesznie zaciskam rzemień.

Chcę dojść do lunety, robię krok i następuję na coś miękkiego. Pochylam się... Nieżywa mysz. Ona nie miała maski...

Nie wytrzymam dłużej. W moich skroniach wali opętańczo i czuję, jak krew szaleje w mych żyłach. Rozrywam rzemienie maski... i... wdycham czyste, świeże, dobre powietrze. Lekki podmuch przyszedł od południa i wziął trującą falę... Bitwa słabnie, trzask karabinów zaczyna zwolna zamierać, armaty coraz bardziej milkną. Nastaje spokój. Oddycham głęboko, a nad nami zwolna rozciąga się znowu ciemnobłękitny aksamit nocy".

* * *

Ci sami ludzie, którzy stojąc we wrogich okopach, umieją w skupieniu i z uznaniem wsłuchiwać się w melodje swych hymnów narodowych, ci sami ludzie mordują się falami trującego gazu... Jedynym ratunkiem — maska.

I niewiadomo już, kiedy człowiek jest szlachetniejszy i szczęśliwszy: z maską czy bez maski...

Prostsze może być tylko życie tej myszy, która zdechła, bo maski nie miała...

A wszystko to z jednakim spokojem pokrywa i spowija noc — swym ciemnobłękitnym aksamitem...

4 Lipca 1916 r.

ODPOWIEDŹ. *)

I.

Nietylko po całej Polsce, ale i po szerokim świecie rozejdzie się wiadomość o akcie zgodnego porozumienia, jakie w stolicy naszej nastąpiło pomiędzy dwoma odłamami ludności.

Więc to porozumienie było możliwe. Nie wątpiliśmy o tem nigdy. Nastąpiło mimo szeregu lat waśni, uprzedzeń, częstokroć nawet — objawów wyraźnej nienawiści.

Nad gromadzeniem wszelkiego zła w stosunkach Polaków i Żydów pracowały lata politycznej niewoli, kształtując te stosunki w kierunku coraz większego rozdrażnienia. W dusznej, potwornej atmosferze, obydwie strony wchłaniały w siebie trujące miazmaty Wschodu, oddalając się coraz bardziej i pospieszniej od tradycji tych haseł i zasad, które nabrały już w Polsce mocy niewzruszonej.

W latach politycznej abnegacji, a później — już w czasie wojny — w okresie nieszczęsnej redukcji dążeń narodowych ze strony tych obozów, które jedynie miały możność swobodnego

*) *Przypisek późniejszy.* Przed wyborami do Rady miejskiej st. miasta Warszawy doszło do porozumienia wyborczego pomiędzy Komitetem Demokratycznym, Komitetem Narodowym i Zrzeszeniem wyborców żydowskich. Na skutek tego porozumienia, w kurjach I, II, IV i V ustalono wspólną listę kandydatów, czyli w kurjach tych głosowanie nie odbyło się.

rozwijania swej agitacji, usiłowano skierować energję narodową po linji najmniejszego oporu, wskazując kwestję żydowską, jako największe niebezpieczeństwo i w ten sposób odwracając uwagę nawpół uśpionego ogółu od niebezpieczeństwa istotnego. Sprawa polska, jej treść najgłębsza była niejako pokrywana chałatem żydowskim. W świadomości szerokich warstw narodu — to jedyne widmo budziło niepokój i trwogę.

Interes Rosji święcił tu tryumf największy, bowiem zasada: d i v i d e e t i m p e r a, znalazła oparcie w sile wewnętrznej niektórych politycznych koterji.

Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, że taka gra, niegodna tradycji polskiej, skończyć się musi. Twierdziliśmy nieustannie, że przy pierwszej zmianie stosunków politycznych, zmieni się również cały układ stosunków polsko-żydowskich. I nie było to tylko nasze uczuciowe credo, nie tylko potrzeba wiary w lepszą przyszłość, lecz bezstronne, głębsze wniknięcie w bieg spraw i wydarzeń politycznych, związanych z losem i przyszłością Polski.

To nasze przekonanie, nieosłabione niczem, żadnym nastrojem dnia czy roku, żadnymi ujemnymi faktami, które przy głębszej ocenie zdradzały wszystkie cechy swej tymczasowości, to przekonanie staraliśmy się wpoić w ogół żydów polskich — wbrew wszystkiemu i mimo wszystko, co składało się na treść minionych okresów wzajemnego Żydów i Polaków współżycia, Przeciwko nam zdawała się w ciągu szeregu lat przemawiać sama rzeczywistość. Lecz jaka? Jedynie ta, która tworzy zewnętrzną, najbardziej widomą powłokę życia, zakrywając przed oczyma ludzi mniej przenikliwych istotną, najrzetelniejszą, najgłębszą treść kultury polskiej. Myśmy wiedzieli doskonale, że za rok, albo za pięć, albo i za dziesięć lat odmieni się zły, gorszący obraz stosunków międzywyznaniowych w Polsce. Wszystkie nasze ideowe poczynania miały na względzie i w pamięci taką właśnie chwilę wielkiej odmiany, która nadejść musi.

Dopóki jednak taka chwila nie nadchodzi, nie staje się faktem realnym, przez wszystkich radośnie i mocno odczutym, ci, którzy nadejście jej przepowiadają, uchodzą za nieuleczalnych optymistów, marzycieli, utopistów i jakże ich się tam jeszcze określa!

* * *

Na początku wszechświatowej wojny zrodziły się nowe czynniki wzajemnego rozdrażnienia. „Jeśli czasu wojny — pisałem wówczas — i czasu wewnętrznej waśni, która nie tylko nie ustała, lecz wzmogła się niepomiernie, — jeśli zdołamy utrzymać się i utrwalić na niewzruszonem stanowisku prawdy i bezstronnego sądu, — przyszłość poczyta nam to za zasługę obywatelską. Każdy kamień rzucony nam pod nogi, na drodze naszych dążeń ku społecznemu pokojowi, zwiększy tylko naszą zasługę w opinji całego narodu — wtedy, kiedy opadną fale nienawiści, a rozum i serce wezmą górę nad bezmyślnością i zacietrzewieniem. W to wierzymy — i niechaj ta wiara przyświeca naszym obecnym wysiłkom i dążeniom".

Kiedy w pierwszem półroczu wojny namiętności dochodziły już do swego apogeum — i to ze stron obydwóch — zapytywaliśmy: „Co w dobie obecnej zyskuje sprawa polska na agitacji antysemickiej? Czy przez to wzrastają szanse jej pomyślnego rozwiązania? Czy przez to zbliża się chwila odrodzenia narodu? I co w takich chwilach dzieje się z duszą ludu żydowskiego, od setek lat związanego z dolą i niedolą Polski? Jaki posiew— taki plon. Niema na świecie takiego ludu, któryby na nienawiść odpowiadał miłością. A czyż lud żydowski, pogrążony w nędzy i ciemnocie, jest w stanie zrozumieć, że antysemityzm polski to jeszcze nie Polska, — czy jest w stanie odczuć głębię polskości i piękno jej skarbów nieśmiertelnych, święcących blaskiem niepożytym i tak dalekim od pewnych prądów chwili dzisiejszej, jako są dalekie gwiazdy na niebie od przydrożnego rowu i kałuży. Dla ludu żydowskiego, który słyszy tylko syk nienawiści, jest ten syk wyrazem uczuć całego narodu. Więc i w masach żydowskich rodzi się oddźwięk takiego do nich stosunku, więc i wśród nich szerzą się uczucia złe i deprawujące. W czyim to leży interesie, żeby wśród mas żydowskich i wśród mas chrześcijańskich w Polsce miała zapanować wzajemna nienawiść"?

Tak ówczesne stosunki oceniając, wzywaliśmy, by w pracy zgodnej z rozsądkiem, słusznością i prawdą nie ustawać, rąk nie opuszczać, przepowiadaliśmy, iż „nadejdą inne czasy, ucichną

namiętności, odrodzą się w pełni najlepsze polskie tradycje humanitarne, dyktujące narodowi swój święty, ideowy testament".

6 Lipca 1916 r.

II.

Zalecając żydom polskim umiarkowanie i panowanie nad własnem rozgoryczeniem, narażaliśmy się na zarzut braku odwagi w bronieniu słusznych praw ludności żydowskiej.

Zasadnicza różnica pomiędzy nami, a tymi, którzy ustawicznie potęgowali wzajemne rozdrażnienie, polegała na tem, żeśmy słowa prawdy wypowiadali zawsze w duchu ukojenia, z wyraźnym celem usunięcia uprzedzeń i niechęci, lecz nie w celu podsycania waśni i mobilizowania sił do dalszej, nieszczęsnej walki. Tak zaś wypowiadane słowa prawdy, choćby najbardziej gorzkie, nie wnoszą nigdy pierwiastków drażniących, nie podniecają złych instyktów, lecz i nie podobają się fanatykom, dla których walka jest jedynym celem.

Dążąc do spełnienia roli rozjemców w tych okresach, kiedy w umysły bezkrytyczne sączono jad niezgody i nienawiści, kiedy spychano tłumy chrześcijańskie i żydowskie na samo dno nizin kulturalnych, jakgdyby tam tryskały źródła zbawienia i odrodzenia narodu, — dążąc do spełnienia tej roli, nie zamykaliśmy oczu na zło, jakie zaczyna się szerzyć wśród żydów. Nie wolno nam było twierdzić, że są oni w dziedzinie wzajemnych stosunków bez skazy i przewinienia. Mógł to być plon złego posiewu, lecz skoro staliśmy wobec faktu takiej reakcji, skoro ta reakcja miała już swoich ideologów i wodzów, to zamykać oczu na to gorszące zjawisko nie było nam wolno.

Tam jednak, gdzie się działa żydom polskim krzywda, nie zbrakło nam sił w ich obronie. Tak samo walka nasza z antysemityzmem nie wkraczała nigdy na tory oszczerczych uogólnień,i nie uciekaliśmy się nigdy do takich środków, które szkodzą Polsce, które przynieść mogą jakąkolwiek krzywdę polskiej sprawie narodowej. Pomni byliśmy na wzniosły nakaz: „Cokolwiek dzieje się w mojej Ojczyźnie, jest to moja Ojczyzna".

Taka postawa zapewniała nam w tych czasach... niepopularność. Najbardziej popularnem, skwapliwie przez ogół przyjmowanem było to wszystko, co nie było ani słuszne ani sprawiedliwe. Zarzut niepopularności był w tych warunkach raczej pochwałą. Gdybyśmy dbali o tę popularność i, zdradziwszy swoje zasady, dla pozyskania sympatji obozów antysemickich, uderzyli w ton ich stosunku do żydów, zdobyliśmy na tej drodze haniebnej, ze strony owych obozów patent na patrjotyzm i obywatelstwo. Zaś, obierając inną drogę fałszu, zagralibyśmy na strunach rozgoryczenia żydów, witając z zadowoleniem każdy objaw niegodnego odwetu, każde oszczerstwo, ciskane na arenie międzynarodowej kompanji antypolskiej, pogłębiając i podsycając każde uczucie wrogości. Wtedy w obozach najskrajniejszych separatystów żydowskich, w opinji ludzi zaślepionych i sfanatyzowanych, zdobyliśmy sobie miano zbawców ludu żydowskiego. Lecz taką popularność moglibyśmy zdobyć po przez całkowity upadek moralny i kulturalny, poprzez zaprzeczenie własnym uczuciom, przekonaniom i tradycjom.

Żeby nieustannie i skutecznie pracować w duchu swoich „niepopularnych" zasad, trzeba mieć „ogień w sercu i lud na głowie".

Prostowaliśmy w ciągu szeregu lat szkodliwe błędy w myśleniu Żydów o Polsce i w sądach Polaków o Żydach.

Rzecz prosta, iż nie można było wymagać od żywiołu zasklepionego w swych przesądach i obyczajach, od ciemnej i rozgoryczonej masy, tego sposobu myślenia i odczuwania, jakie mieć mogą ludzie o pełnej świadomości narodowej i na wyższych szczeblach kulturalnego życia. Lecz dbaliśmy o to, żeby wśród mas żydowskich w Polsce nie osłabiano uczucia przywiązania do kraju, życzliwości dla jego trosk i dążeń, solidarności z ideałami narodu, wśród którego żyją szereg stuleci, słowem— lojalnej postawy względem polskiej polityki narodowej. Żeby tych uczuć nie niszczono zarówno przez bojujący antysemityzm, jak i przez bojujący separatyzm żydowski. Trzeba było ustawicznie wytrącać z nieszlachetnych rąk te narzędzia, któremi kopano przepaść pomiędzy ludem żydowskim a narodem polskim.

Trzeba było wyjaśniać splot przyczyn historycznych, eko-

nomicznych i politycznych, jakie się złożyły na ten zatarg, któremu — jak to bywa we wszelkich społecznych zatargach — towarzyszyć musiała niecna robota agitatorów, żerujących na głupocie i na zaślepieniu ludzkiem.

Pracując dla lepszej przyszłości, tworzyliśmy tę przyszłość.

Trzeba teraz uprzytomnić sobie i ocenić te metody postępowania, tę postawę zasadniczą, której rację zaczyna już potwierdzać dzisiejsza rzeczywistość.

7 Lipca 1916 r.

III.

Kiedy za sprawą żydów rosyjskich, złączonych węzłami politycznej solidarności z rosyjskim liberalizmem, rozpoczęła się kampania antypolska na wielką skalę, urabiając wrogą dla Polski opinję na obydwóch półkulach; kiedy w wielu miastach Europy i Ameryki zaczęły się rozlegać głosy pełne nienawiści dla narodu polskiego i naród ten wobec całego świata w takiem stawiać świetle, jakgdyby był narodem ciemięzców i prześladowców, który znajduje rozkosz w ucisku, gwałcie i bezprawiu; kiedy ta potworna kampania sprawiać zaczęła jakby ulgę w pewnych, nieprzytomnie rozgoryczonych środowiskach żydów polskich, wtedy (grudzień 1914 roku) ogłoszona została deklaracja przeciw wszelkiej interwencji zewnętrznej.

W tej deklaracji wyrażono przekonanie, że „kwestja polsko-żydowska jest kwestją ściśle wewnętrzną, mogącą znaleźć pomyślne rozwiązanie tylko na tutejszym gruncie, bez interwencji obcych grup politycznych“. Oświadczenie to miało wówczas na celu odgrodzenie się od wpływów i opieki Rosji w zakresie wewnętrznych spraw polskiego życia narodowego.

Przeciwstawienie się zakusom interwencyjnym wywołało wśród żydów rosyjskich wielkie oburzenie, a i tu, w niektórych kołach żydowskich, nie mówiąc już o obozie skrajnego separatyzmu, stało się powodem nowych, a jeszcze bardziej zaciekłych, przeciw takiemu stanowisku skierowanych ataków. W prasie liberałów rosyjskich dowodzono ustawicznie, że gwarancją sprawiedliwego urządzenia kwestji żydowskiej w Polsce może dać tylko państwowość rosyjska. Ta pełna perfidji polityczna teza

miała na celu zapewnienie sobie na przyszłość prawa ingerencji rosyjskiej w życiu polskiem, prawa o pozorach humanitarnych. Tu liberał rosyjski pod płaszczykiem celów humanitarnych krył swój zawsze i nieprzejednanie wrogi stosunek do idei państwowości polskiej. Na tym punkcie zawarł sojusz z ideologją żydów rosyjskich, silnie sprzęgniętych z państwowością rosyjską, mimo wszystkie gwałty i zbrodnie nad „inorodcami“ w ciągu setek lat popełniane. Nacjonalizm żydowski w Rosji zajmował stanowisko centralizmu państwowego, obawiając się szczególnie— co z tej strony wypowiadano niejednokrotnie i całkiem wyraźnie— oderwania się Polski od Rosji, a tem samem rozbicia, „zcementowanego w ramach jednej państwowości żydostwa“.

Te były istotne, polityczne źródła interwencji rosyjskiej, zamaskowanej hasłami „humanitarnemi“, mającej pod tym względem już swoją tradycję od czasów sprawy dyssydenckiej w Polsce w XVIII stuleciu. Na marginesie jednego z listów Stanisława Augusta, który wobec Petersburga przedstawiał różne trudności wewnętrzne Polski, minister Nikita Panin napisał: „C'est encore une occasion de faire l'arbitre“. Potem przyszła z kolei sprawa „arbitrażu“ w kwestji włościjańskiej w Polsce, potem, wreszcie, w kwestji żydowskiej. Zawsze z jedną myślą i z jednym celem: zabezpieczenia się od możliwości uniezależnienia lub wskrzeszenia państwa polskiego.

Polski interes narodowy wymagał dania należytego odporu tym zakusom interwencyjnym. — Skąpe uświadomienie polityczne żydów polskich sprawiło, że deklaracja powyższa nie spotkała się z powszechną z ich strony sankcją.

Jest to już niewzruszony, przez historję tylokrotnie potwierdzony pewnik, że wewnętrzne stosunki każdego narodu mogą się trwale ulepszyć jedynie na gruncie dobrowolnej inicjatywy i bezjakiejkolwiek presji zewnętrznej, która zawsze wywołuje skutki wręcz przeciwne. I z tego też względu tłomaczyliśmy żydom polskim, że wszelkie wołanie o „pomoc“ jest z ich strony wielkim błędem, który im korzyści nie przyniesie, a zarazem jest krzywdą dla narodowego interesu polskiego. A cóż dopiero, jeśli z ową „pomocą“ łączyła się międzynarodowa naganka na Polskę, nieprzebierająca w środkach, potworna w nagromadzeniu kłamstw, oszczerstw i insynuacji, posuwająca się tak daleko,

że na szerokim świecie zbrodnicze czyny moskiewskiego żołdactwa i jego wodzów poczęto już przypisywać narodowi polskiemu. Tym bredniom, wyssanym z brudnego palca i szerzonym przez wszystkich wrogów Polski, zaczęli dawać posłuch niektórzy znani pisarze europejscy. Tu i owdzie wyobrażano sobie, że Polska stała się krajem bezeceństw i zbrodni.

Na tę kampanję Polska dała całemu światu dwukrotną odpowiedź.

Dzień 3 maja złączył wszystkich obywateli tego kraju we wzniosłym akcie czci, oddanej wielkim wydarzeniom przeszłości, a tem samem złączył we wspólnej nadziei na lepsze, jaśniejsze Jutro. Była to pierwsza manifestacja zgody i pojednania, jaka mogła się nadarzyć w warunkach nowych, które umożliwiły narodowi danie ujścia najgłębszym uczuciom i umiłowaniom, danie uroczystego znaku o swych niezłomnych ideałach.

Po manifestacji zgody w rzeczach dla narodu najświętszych, nastąpiła druga odpowiedź — już na drodze porozumienia z Żydami w akcie społeczno-politycznym o wielkiej doniosłości, a zarazem pierwszym od tylu lat samodzielnym czynie politycznym stolicy.

Ze strony żydowskiej ujawniono w dniu 3 maja pełną solidarność, zaś w akcie wyborczego porozumienia Zrzeszenie wyborców żydowskich, wbrew pierwotnym zamiarom, zajęło stanowisko zalecane przez nas w ciągu wielu lat i tak zaciekle zwalczane przez większość grup, które weszły w skład tego Zrzeszenia: stanowisko pojednania, w imię którego odstąpiono od ścisłej arytmetyki mandatowej, opartej na ilościowym stosunku wyznaniowym ludności Warszawy. Hasło zgody wzięło górę nad separatystycznym interesem. Fakt taki nie spadł z nieba, nie zrodził się ni stąd ni zowąd, lecz mógł się stać po latach nieustannych, w takim właśnie kierunku, rozwijanych dążeń.

Bez jakiejkolwiek zewnętrznej interwencji wkroczono na drogę porozumień i realnego ustalania tego modus vivendi, którego idea w pewnych okresach ginęła w chaosie przesądów i uprzedzeń. Ten zwrot pomyślny jest jedną z jasnych oznak wznoszenia się myśli politycznej społeczeństwa na wysokość wielkiej chwili dziejowej, jedną z oznak budzenia się najlepszych tradycji narodu oraz dojrzałości w tworzeniu swego nowego Jutra.

Czy znajdzie się żyd polski, któryby teraz, po tych dwóch najwymowniejszych odpowiedziach, danych światu przez stolicę Polski, mógł twierdzić, że nasze w sprawie interwencji zewnętrznej stanowisko, nie było słuszne, przewidujące i jedynie zgodne z interesem całego społeczeństwa?

Cierpliwość i wytrzymałość ideowa stanowią zawsze nieodzowny warunek zwycięstwa tych haseł, które mogą być długo niepopularne i źle rozumiane.

Obecnie, kiedy rzeczywistość wskazuje tych haseł i dążeń wynik pomyślny, nabierają one tem większej mocy obowiązującej na przyszłość.

10 Lipca 1916 r.

NOWA WOJNA.

Nowa wojna... Jak donosi pismo „Mercurio", wychodzące w Rio de Janeiro, czerwonoskóry król Libarosów, Ukaszima, wypowiedział wojnę kolonistom niemieckim w swojem „państwie" nad Amazonką.

Wiadomość tę w sferach dyplomatycznych koalicji przyjęto z zadowoleniem. Ukaszima zdobył tam popularność i uznanie, Libarosi bowiem władają doskonale łukiem. Mogą więc śmiało stanąć w rzędzie tych którzy ogłosili wojnę pod hasłem... obrony cywilizacji przeciw barbarzyństwu...

Jak wiadomo, wojnę już dawniej wypowiedziała Niemcom republika Kunani w południowej Ameryce, jakoteż Indjanie Jagui w stanie meksykańskim Sonara.

Teraz już najwyższy czas na wystąpienie Buszmenów i Botokudów.

Tego wymaga solidarny interes wszechświatowej cywilizacji...

Podobno, dla zamanifestowania tej solidarności, król Libarosów na przyjęcie agentów koalicji, kazał usmarzyć kilkanaście sztuk swoich najzdrowszych poddanych...

11 Lipca 1916 r.

WIELKI PARADOKS.

Największą sensacją dnia stało się przybycie wielkiego transportowca podwodnego „Deutschland“ do Baltimore.

Jest to potężny tryumf postępu technicznego, zarazem nowy rozdział w dziejach komunikacji handlowej. Transportowiec „Deutschland“ z załogą 30 ludzi przebył 4,100 mil oceanem, z czego większą część podróży pod wodą. Przywiózł do Ameryki kosztowny ładunek barwników, ważący około 700 tonn, zaś zabrawszy ładunek surowców, udał się w drogę powrotną. Opuścił Bremę w dniu 10 czerwca, zarzucił kotwicę poniżej Baltimore w dniu 7 lipca. Długość łodzi — 315 stóp, szerokość 30.

Wydarzenie to będzie niewątpliwie zaliczone do najwspanialszych czynów w historji komunikacji morskiej. Zarazem Niemcy — jak zaznacza „Voss. Ztng“ — otwierają spokojnie i lekko tę bramę, którą Anglja starała się przed nimi zaryglować. Przy postępie dalszym handlowej komunikacji podwodnej, padnie legenda o potędze blokady angielskiej. Otwiera się też droga do całkowitej swobody mórz.

Takie niespodzianki niesie wojna.

Napięcie energji i myśli ludzkiej, twórczy niepokój ludzkiego ducha, płynący z wiary i nadziei patrjotyzmu, — rodzi rzeczy wielkie, które zrazu przez jedną wyzyskane stronę, stają się z czasem dobytkiem całej ludzkości.

I to są, mimo wszystkie okropności wojny, jej strony dodatnie.

Takim są już paradoksem dzieje świata.

13 Lipca 1916 r.

SĄDOWNICTWO ROSYJSKIE w WARSZAWIE.

Nowa, arcyciekawa broszura: „Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie“ od 1876 do 1915 r. Są to wspomnienia znanego historyka (pseudonim Alkar) i mecenasa, który od chwili opuszczenia Szkoły Głównej do czasów ostatnich przetrwał w palestrze obrończej warszawskiej.

Takie nielada doświadczenie pozwoliło autorowi wydać swój miarodajny sąd o dziejach sądownictwa rosyjskiego w Warszawie. Niema ten pamiętnik żadnych cech agitacyjnych. Jest bezstronnem utrwaleniem bezpośrednich wrażeń i najbardziej charakterystycznych faktów. Ale właśnie ta bezstronna ocena stanowi najpoważniejszy i najuczciwszy wyrok na ten ogrom bezprawia i zbrodni, jakiem było sądownictwo rosyjskie w Polsce.

Pamiętnik rozpoczyna się od sceny, rozegranej przed czterdziestu bez mała laty, gdy władze rosyjskie, po zniesieniu w roku 1876 dawnej naszej organizacji sądowej, obejmowały w posiadanie w Warszawie historyczne pałace Rzeczypospolitej i Paca, by tam zatknąć sztandar „sprawiedliwości rosyjskiej“ i w języku narzuconym, przez ludność miejscową mało lub zupełnie niezrozumiałym — ferować wyroki, stanowiące o życiu, honorze i dobrach doczesnych ujarzmionego społeczeństwa.

Wtedy to odbyła się scena tragiczna — męczeństwo jednego z członków dawnej palestry polskiej, Ludwika Zegrzdy, który nie chciał przeżyć zgonu sądów polskich i przed gmachem pałacu Krasińskich odebrał sobie życie.

Może potem duch Ludwika Zegrzdy unosił się ponad gmachami, w których w ciągu czterdziestu lat popełniano nieustanny szereg gwałtów i potworności, przerywany dopiero w roku 1915-tym przez trzykrotną ewakuację sądów rosyjskich.

Wspomnienia Alkara zawierają niezmiernie ciekawe charakterystyki procesów i osób, oświetlenie metod rusyfikacyjnych tego sądownictwa, urągającego wszelkiemu pojęciu prawa, uwydatnienie zależności bezpośredniej sądu od administracji i ochrany, służalstwa, deprawacji, nieludzkiej surowości, pospolitego oszustwa i bezprzykładnej głupoty wielu sądowników rosyjskich, nawet zpośród najwyższych dygnitarzy.

„Przyszłego historyka martyrologji naszej postyczniowej — pisze Alkar — czeka kiedyś syzyfowa praca odtworzenia w całej rozciągłości obrazu owej rozwichrzonej samowoli rosyjskiej na tle gospodarczo-ekonomicznem Obraz to tem smutniejszy, iż nie było w ciągu całego okresu czasu ani jednej władzy, któraby taką samowolę ująć chciała w należyte karby. Sądownictwo zachowywało się wobec nadużyć mienia publicznego i prywatnego nietylko biernie, lecz nawet pomagało tym nadużyciom“.

Autor przytacza swój ongi napisany wiersz o jednym ze słynnych katów sądowniczych:

„Pan sędzia umarł. Wśród zawieruchy
Ciągnie karawan ozdobny...
Pies za nim wyje ...Skazańców duchy
Tworzą korowód żałobny...“

Musiały zbiedz się z tysiąca lochów więziennych, z tysiąca grobów na ziemi polskiej i na ziemi sybirskiej.

Ale sąd rosyjski był tylko jedną z instytucji, tworzących wielką katownię moralną i fizyczną, jaką były całe rządy Rosji w Polsce.

16 Lipca 1916 r.

PRZED PIERWSZEM POSIEDZENIEM.

Za dni kilka — pierwsze, uroczyste posiedzenie Rady miejskiej stoł. m. Warszawy.

Tam, gdzie korupcja siedziała na łapownictwie i oszustwem poganiała; tam, gdzie rządziły prawa najeźdzcy a najmarniejsza figura rosyjskiego czynownika większy miała głos i znaczenie, niż wola najpierwszych obywateli ujarzmionego kraju; tam, w gmachu Ratusza, gdzieśmy wchodzili zawsze z uczuciem wstrętu i obrzydzenia, tam teraz zasiądą obywatele polscy, by radzić nad sprawami stolicy i sprawować rządy, zgodne z jej jedynie interesami.

Będzie to jakby wyświęcenie instytucji, przywrócenie jej czci i honoru, w ciągu dziesiątków lat poniewieranego.

Czekamy teraz na pierwsze słowa i pierwsze czyny Rady miejskiej, które stanowić będą wytyczną całej działalności i wskazówkę zasadniczej postawy w sprawach najdonioślejszych. Dla stolicy — a więc i dla całego narodu.

Niechaj mierzy siły na zamiary i niechaj te zamiary licują z wielkością doby obecnej.

19 Lipca 1916 r.

DO RADCÓW STOŁ. M. WARSZAWY

Otrzymaliście wielki mandat. Wśród krwawej zawieruchy, która zmieni porządek polityczny świata, a narodowi naszemu przyniesie Wyzwolenie, powołani zostaliście do roli historycznej, jako pierwsza Warszawy reprezentacja.

Na nowej karcie dziejów stolicy sądzono wam wypisać pierwsze słowa. Wasze prace i wasze czyny stanowić mają widomy znak przebudzonej woli narodu, — odtąd wyraźnej i peł-

nym przemawiającej głosem, tak wobec wszystkich sprzymierzeńców, jak i wobec wszystkich nieprzyjaciół.

Gdy wkroczycie do sal historycznych Ratusza, spojrzą na was duchy Dekiertów, Kołłątajów, Łukaszewiczów — spojrzą i przemówią do sumień waszych, byście spełnili ich narodowi przekazany testament, któremu moskiewski najeźdźca tyle lat urągał. Wy to pierwsi nawiązać macie nić tradycji stolicy, współpracując we wznoszeniu mostu, łączącego przeszłość niepodległego narodu z dobą jego obecną, kresem pohańbienia i upadku.

Od was teraz zależy, od tężyzny i hartu ducha waszego, czy na sądzie pokoleń polskich błogosławieństwo czy klątwa będzie wam wyrokiem.

W gmachu, w którym rządził wróg, tam pracując nad dziełem naszej zagłady, radzić macie nad naszem odrodzeniem, tam gdzie sporządzano środki ku zatruciu społecznego organizmu Polski, sprawiać macie tego organizmu uzdrowienie i zdolność do nowego życia. Stoicie na przełomie, kiedy wiedzieć trzeba, nad czem należy wieczysty stawić krzyż, zaś czemu otwierać jasne drogi odnowicielskiego czynu.

Patrzy na was stolica. Czy przywrócicie jej honor, sławę i wspaniałość? Czy zetrzecie z jej powierzchni i wyplenicie z jej wnętrzna wszystkie hańbiące ślady niewoli?

Patrzy na was naród. Czy będziecie mu światłem, we wszystkie strony kraju promieniejącem? Czy będziecie mu przykładem, wzorem, drogowskazem?

Patrzą na was sprzymierzeńcy i wrogowie. Chcą wiedzieć, jak przystępują synowie Polski do jednej z najważniejszyh prac wstępnych nad wskrzeszeniem polskiego państwa? Co powiedzą i co uczynią? Na co ich stać?

Stolicy, narodowi, sprzymierzeńcom i wrogom dajcie odpowiedź godną naszej przeszłości i naszej nadziei.

20 Lipca 1916 r.

O DEKLARACJĘ.

Do szerokiego ogółu przenikają różne wiadomości o przygotowaniach do uroczystego posiedzenia Rady miejskiej.

Czy będzie jedna tylko deklaracja? Czy każde stronnictwo lub bloki stronnictw ogłoszą deklarację własną? Czy znowu rozlegną się programy sprzeczne? Czy harmonji w chwili tak doniosłej nie zakłóci zgrzyt sprzeczności zbyt jaskrawych?

Niepokój to zrozumiały ze strony tych odłamów społeczeństwa, które w słusznej trosce o utrzymanie powagi Rady miejskiej od pierwszej chwili jej czynności, chciałyby na samym początku usłyszeć ton zgody i solidarności w sprawach zasadniczych. O to też starają się nasze poszczególne ugrupowania, zwłaszcza te, które już w okresie akcji wyborczej wykazały zdolność do nader pożytecznego w naszych warunkach porozumienia.

W pewnych chwilach kompromis jest rzeczą niezbędną i twórczą, oczywiście w granicach dopuszczalnych przez l[illegible]zi przekonań. Zawiera się w platformie punktów stycznych. Takich punktów stycznych długo szukać nie potrzeba. Naczelny postulat narodowy łączy wszystkie stronnictwa polskie.

Nie wątpimy, że będzie odczytana w s p ó l n a deklaracja. Gdyby zaś forma tej deklaracji kompromisowej nie wypowiadała czegoś, co dana grupa uważa za niezbędne, wtedy prócz wspólnej mogą być składane oświadczenia grup poszczególnych. I nie będzie tu żadnej sprzeczności, ani niekonsekwencji. Oświadczenie wspólne będzie aktem solidarności, nie wykluczającej wypowiedzenia się różnych programów bez zbytniego wyjaskrawiania rozbieżności.

I bodaj czy nie byłoby to najlepsze i najszczersze rozwiązanie sprawy.

21 Lipca 1916 r.

LAPSUS.

Wspólna deklaracja odczytana w dniu wczorajszym na pierwszem posiedzeniu Rady miejskiej, została ułożona i przyjęta niemal w ostatniej chwili.

Byli tacy, którzy mieli *nadzieję*, że do takiej deklaracji nie dojdzie. Taką też „nadzieję“ miała *Gazeta Poranna 2 Grosze* i jeszcze na dzień wczorajszy wygotowała artykuł, w którym czytamy:

„Dziewięćdziesięciu ludzi, rozmaitych przekonań politycznych, a nawet niejednolitych narodowościowo, zbierze się dzisiaj w Ratuszu warszawskim, by pod mianem Rady Miejskiej rozpocząć racjonalną gospo-

darkę w Warszawie. Tylko tyle — nic więcej, bo takie tylko atrybucje zakreśla Radzie miejskiej ustawa samorządu i do takiej a nie innej pracy powołali ją mieszkańcy Warszawy. I jeżeli jednostki czy grupki radnych zechcą na gruncie Rady Miejskiej czynić jakieś wynurzenia polityczne, składać daleko idące deklaracje i t. p. — wystąpienia ich będą samozwańcze, wbrew życzeniom olbrzymiej większości ogółu mieszkańców stolicy" (!!!)

I dalej:

„A zatem, panowie radni, nie wznoście się na karkołomne wyżyny wielkiej polityki, lecz zstąpcie na ziemię, na grunt realny"...

Wreszcie:

„Dziś, natomiast, nie zapominajcie ani na chwilę, że tylko radnymi w samorządzie gospodarczym miasta Warszawy jesteście... Niczem więcej".

Lecz oto radni „na chwilę" o tem zapomnieli i złożyli uroczystą deklarację *polityczną*, czyniąc tę chwilę momentem historycznym. Zgodnie z najgłębszym pragnieniem narodu.

To pismo się nie zorjentowało. Już raz na zawsze pozostanie ten lapsus, zrobiony w wielkiej chwili politycznej.

Nie dobrze jest zanadto się w swej bezmyślności rozpędzać.

W dniu 3 maja „Gazeta Poranna 2 grosze" również wydała z siebie jadowity syk, z lubością cytując wiersz satyryczny, przeciwko twórcom Kostytucji wymierzony.

Zaszczytna rola!...

25 Lipca 1916 r.

AKORD.

Ze wzrastającą mocą i powagą wkraczamy na nowe tory społeczno-politycznego życia. Odbywa się historycznej wagi odnowa stosunków, przemiana głęboka wielu spraw — poprzez tłumienie dawnych błędów i przywracanie narodowych i obywatelskich praw tradycjom najlepszym.

Robi się jaśniej i szlachetniej. Większość poddaje się już hasłom i wyznaniu nieosłabionej nigdy wiary mniejszości. Idzie zwycięstwo myśli polskiej. Następują dni wznoszenia trwałego mostu, który złączy epoki historyczne życia niepodległego narodu i przerzucony będzie przez lata politycznego niebytu.

Czas nadszedł Budowy nowego życia. Potrzeba dużo szlachetnych rąk, silnych charakterów, serc gorących. Z podziemi,

z ucisku, z mroków podnosi się wola narodu, zdzierając wszystkie dawne maski, by je rzucić pod nogi swym wrogom i katom.

To są dni Wyzwolenia w duchu, w myśli i sumieniu. Otrząśnienie się z niewoli i wszystkich przyzwyczajeń tego czasu, wszystkiego zła, które było gwarancją nienaruszonej siły moskiewskiego ciemięzcy w panowaniu nad podbitym narodem.

Dojdą doń wieści o naszych czynach „nielegalnych". Oburzy się, jak się oburzała caryca Katarzyna, której prawa „gwarantki" naruszył Sejm Czteroletni i która „za karę" wysłała do Polski sto tysięcy moskiewskiego wojska. Teraz w Ratuszu warszawskim padły słowa, za które tysiące Polaków męczono w lochach więzień i na sybirskiej katordze. Dziś już wróg musiałby wysłać na Syberję całą stolicę Polski. Tak ongi Cromwell nosił się z zamiarem „przeniesienia" całego narodu irlandzkiego do wschodnich Indji.

Stwarzamy fakty dokonane i moralnie nieodwołalne. Obowiązują nas one do najwyższej odpowiedzialności historycznej. Wyrok historji pisze sama teraźniejszość.

Te czasy narzucają się swą powagą i najgłębszą doniosłością coraz szerszym warstwom narodu, wznosząc ich świadomość na wyżyny przełomu. Obraz, który zmęczonemu narodowi wydawał się długie lata tylko fatamorganą dawnej przeszłości, odbitą we mgłach niewoli, tylko utopją, oderwaną od wszystkiego, co mówi twarda rzeczywistość, poczyna się stawać rzeczywistością radosną. Naród ociera oczy, na których spoczywała ręka ciemięzcy.

Takie dni budzą w narodzie wszystko, co najlepsze.

Dlatego wielką była chwila odczytywania w Ratuszu łącznej deklaracji.

Dlatego we wszystkich świątyniach rozległa się pieśń „Boże, coś Polskę", jednako łzy cisnąca do oczu wszystkich obywateli tego kraju.

Dlatego tonem, w stosunkach dzisiejszych górującym, jest Pojednanie.

Co było wczoraj dopuszczalne, nie jest dziś możliwe. Jedna karta historji została zamknięta.

Głos ma najgłębsza tęsknota narodu.

„O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice“..

26 Lipca 1916 r.

EWOLUCJE.

Był czas, kiedy hasło autonomji Królestwa Polskiego w ramach państwowości rosyjskiej złączyło niemal wszystkie nasze ugrupowania polityczne, przyczem część tylko kół radykalnych stawiała to hasło na gruncie Konstytuanty polskiej i wojska polskiego. To rok 1905-ty.

Był czas, kiedy to hasło podtrzymywane przez żywioły bardziej radykalne, traciło swą moc w odłamach ugodowych. To lata reakcji.

Był czas, kiedy to samo hasło znikło, z obozów radykalnych, które stanęły na stanowisku niepodległości, natomiast odżyło w sferach ugodowych. To pierwszy rok wojny.

Nadszedł czas zupełnej tego hasła likwidacji. Po dwóch latach wojny.

W tym właśnie okresie, który pogrzebał owo hasło w świadomości społeczeństwa polskiego, odradza się ono, ale już tylko w opinji rosyjskiej.

Za późno. Nie tylko przestaliśmy uważać takie rozwiązanie sprawy polskiej za dobrodziejstwo, lecz uważalibyśmy je za prawdziwą klęskę.

A był czas, kiedy myśleliśmy inaczej. Rząd moskiewski nie wyzyskał tego czasu. Teraz, w perspektywie lat dziesięciu, możemy stwierdzić, że dobrze się stało: nie zamglono nam oczu reformą autonomiczną, którą w rozpaczliwem ówczesnem położeniu gotowi byliśmy przyjąć z zadowoleniem.

Obecnie wszelkie rosyjskie projekty autonomiczne są tylko naigrywaniem się z naszych postulatów narodowych.

Ostatnie wieści z Rosji są pod tym względem pożyteczne: wyjaskrawiają kontrast.

Projektodawcom autonomicznym w Rosji polecamy uważne przeczytanie deklaracji Rady Miejskiej stoł. m. Warszawy.

Może ich ten tekst zainteresuje...

28 Lipca 1916 r.

„PRZESTĘPSTWO".

Radni stoł. m. Warszawy popełnili w dniu 24 lipca 1916 roku czyn, przewidziany w prawodawstwie rosyjskiem. Paragraf 108 kod. kar. mówi o zdradzie państwowej, § 129 o podburzaniu jednej części ludności państwa przeciw drugiej i o dążeniu do zmiany istniejącego ustroju państwowego.

Hołd, złożony „wiernym synom Ojczyzny, którzy od półtora wieku przelewali i przelewają krew za wolność i niepodległość Polski", czyli hołd złożony Polakom walczącym zbrojnie z Rosją (od półtora wieku Polska innej wojny nie prowadziła) podpada ściśle pod paragraf 108, zaś hasło niepodległości pod par. 129-ty.

Ewakuowani prokuratorzy rosyjscy, czekający na upragniony powrót, może dla zabicia czasu sporządzają akty oskarżenia. A ta ich czynność przypadłaby właśnie na chwilę, kiedy, ma być ogłoszony przez cara nowy manifest autonomiczny, przewidujący „wynalezienie osób zarówno polskiej jak i r o s y j s k i e j narodowości, któreby się nadawały na przedstawicieli władz administracyjnych w g u b e r n j a c h p o l s k i c h".

Robota endecji została radykalnie utrudniona. Jak ci ludzie tłomaczyć będą rządowi rosyjskiemu czyn Rady miejskiej? Ci sami ludzie, którzy tam tak długo dowodzili, że nikt w Polsce nie myśli o niepodległości?

Zmarły Witte dał raz lapidarną charakterystykę p. Dmowskiego, która w stosunkach endecko-rosyjskich stała się pewnem mot historique: „gorochowoj szut".

— Polska nas zdradziła — powiedzą teraz Rosjanie ugodowcom polskim.

— I nas — powiedzą polscy ugodowcy.

Mógłby to być djalog ostatni.

31 Lipca 1916 r.

DWA LATA.

Dziś tedy mija dwa lata wojny wszechświatowej.

Dwa lata krwawi się ludzkość, której największem pragnieniem jest pokój. Wszyscy walczą pod hasłami wyzwolenia, samoobrony, sprawiedliwości. Licytacja tych ideałów odbywa się przy uderzeniach w pierś przeciwnika — z armat, karabinów maszynowych, aeroplanów i łodzi podwodnych.

Rozmiary pożogi wojennej i długotrwałość walk przekroczyły granice wyobraźni ludzkiej. Sądzono, że wojna nie może trwać dłużej, niż kilka miesięcy, conajwyżej rok. Tak twierdzili dyplomaci, politycy, ekonomiści, psycholodzy.

Wszystko, co jest we współczesnych stosunkach międzynarodowych interesem wspólnym, co stanowi podstawę wzajemnej zależności i wzajemnego dobra, miało być hamulcem, który rozpędowi wojennemu położy rychły kres. Węzły zadzierzgnięte w stosunkach międzyludzkich są przecież tak mocne, że nie dadzą się nietylko przeciąć mieczem Marsa, ale nawet zbytnio rozluźnić. Struktura Europy nie wytrzyma długotrwałej wojny. Tak pouczali najznakomitsi ekonomiści i politycy przed wojną, to samo powtarzali po jej wybuchu.

Wszystkie te przepowiednie i rachuby srodze zawiodły. Rozpętany żywioł p ekroczył granicę, postawioną mu przez naukę. Okazało się, jak była uboga w swych zdolnościach przewidywania rzeczy w życiu ludzkiem możliwych.

Dwa lata wojny, czyli nieustającego prowizorjum we wszystkich dziedzinach życia tylu narodów!

Lecz w tym dwuletnim okresie tymczasowości dokonały się jednak rzeczy wielkie, moralnie nieodwołalne. Przemiany epokowe, treścią swoją i znaczeniem godne wysiłków całego stulecia.

Życie duchowe Polski, poddane olbrzymim wstrząsom i metamorfozom, wkroczyło w świat wyzwoleńczej myśli i wyzwoleńczego czynu. Dwa lata wojny przyspieszyło tempo historji. Był to jakgdyby wielki skrót dziejowej ewolucji. Sens czasu zawarł w sobie ilość i jakość przemian, które bez wojny rozłożone być mogły na najdłuższsze okresy historyczne. Dożyliśmy i będziemy świadkami faktów, które bez tego kataklizmu ujrzeliby może nasi prawnukowie.

Tak w perspektywie dziejowej wojna, niosąca ogromne klęski i ruiny, jest jednocześnie największem zaoszczędzeniem czasu i wysiłków szeregu pokoleń.

Jej kres się zbliża. Napięcie sił dochodzi do swego apogeum. Dokonane dzieło wojny wyrazi swą moc w dziejach powojennych pokoju.

1 Sierpnia 1916 r.

CZŁOWIEK I ORZEŁ.

Przed paroma laty odbywała się pierwsza w dziejach świata walka człowieka z królem ptaków, w państwie tego króla — w obłokach.

Na aeroplanie jechał Vedrines ponad szczytami Pirenejów. Orzeł począł dziobać i szarpać płótno skrzydła aeroplanu. Vedrines wypalił z rewolweru. Orzeł padł z roztrzaskanem skrzydłem u stóp Pirenejów.

Obecnie odbyło się inne z orłem wydarzenie.

Ponad rowami strzeleckiemi na froncie włoskim ukazał się w tych dniach wspaniały orzeł i krążył długo nad pozycjami austryjackiemi, dopóki w pobliżu nie eksplodował włoski granat. Ciśnienie powietrza ogłuszyło króla ptaków. Spadł na ziemię między żołnierzy i długo leżał nieruchomo.

Zwolna począł się poruszać i powracał do stanu normalnego. Major Z. rozkazał, aby pułk honwedów, wśród którego spadł orzeł, ofiarował niezwykłego jeńca budapeszteńskiemu ogrodowi zoologicznemu.

Zetknięcia orła z człowiekiem są tragiczne, jak starcia ideału niczem nieskrępowanej wolności z rzeczywistością życia ludzkiego...

4 Sierpnia 1916 r.

5 SIERPNIA 1916 ROKU.

Warszawa w roku 1914-tym i Warszawa w dniu dzisiejszym... Czy to są dwa miasta? Czy tamta zginęła, ta zaś powstała jak Feniks z popiołów?

Zdawaćby się mogło, że to już inne pokolenie, że minął długi szereg lat, nastali inni ludzie, a z nimi przyszły inne hasła.

To błąd. Miasto wyprostowało swego ducha, który żył w bezgłośnem skupieniu i nadał życiu stolicy swój rozkazodawczy ton, kiedy chwila przyszła po temu...

Co jest dziś drogiem, było drogiem wówczas. Były jeno dni smutne omamienia, kiedy ciemięzca naprowadził na miasto duchową klęskę, jedną z największych: wiarę w słowa odwiecznego wroga. Ta wiara sprzedawana była na rogach wszystkich ulic za straszną cenę — wyrzeczenia się najpierwszych praw narodu.

Czy to Warszawa się tych praw wyrzekała? W jej imieniu, w bezprawiu moralnem wyćwiczeni, głosili, że stolica Polski... Nie, nie budźmy tych wspomnień. Czem jest stolica,

jak myśli i co czuje, mówi dziś, kiedy mówić może. Wtedy najgorsi tylko mieli prawo głosu.

Dziś miasto czci pamięć bohaterów powstania. Błogosławiąc ich czynom, tem samem klnie kata, który mordował najlepszych synów Ojczyzny.

I cóż pomyśli moskiewski satrapa, który miał odwagę powiedzieć, że marzeniem ojców i dziadów naszych była Polska pod berłem rosyjskich carów? Cóż pomyśli, kiedy dojdzie doń wieść, że Warszawa czci Traugutta, Żulińskiego, Jeziorańskiego, Krajewskiego, Toczyskiego?

— Nie uwierzyła...

I obmyśli może nowe kłamstwo. Bo nie wyrzekł się roli zaborcy. Bo jest sobą.

Wtedy Warszawa już odpowie:

— Nie wierzę.

I wskaże mu krzyż na miejscu, gdzie stała ongi szubienica.

5 Sierpnia 1916 r.

PAMIĘCI BOHATERÓW.

W miesiącu czerwcu roku 1863-go, o wczesnym poranku, dwóch patrjotów polskich, czynnych w powstaniu, stojąc na balkonie, z którego widoczne były wały twierdzy, taką prowadziło rozmowę:

— A widzisz co?

— Nic nie widzę.

— Nic?... To ci dam lunetę.

Spojrzał przez lunetę, kurczowe drżenie przebiegło mu twarz. Zawołał:

— Widzę... szubienicę, a na niej wiszące dwie białe postacie!

— To nasz los... na tem skończymy, pamiętaj o tem — rzekł drugi.

— Pamiętam.

„Dłonie nasze spotkały się".

Tę scenę opisuje Marjan Dubiecki.

Najpiękniejsze dusze polskie, ludzie najgorętszego serca, niezłomnej wiary w wyzwolenie Ojczyzny, ofiarni i nieustraszeni — mieć musieli zawsze przed oczyma obraz męczeńskiej śmierci.

Ten obraz ich nie odstraszał. W walce bohaterskiej, stojąc co chwila na granicy życia i śmierci, nabrali takiej mocy ducha, która ostaje się wobec ciosów najsroższych i po zgonie jednych bojowników przechodzi z pokolenia w pokolenie, nakazując dalsze dla przyszłości wysiłki.

Szesnaście miesięcy trwało powstanie. Nie było czynem na trzeźwo obliczonym. Padło, lecz taką potęgą ożywiło tradycję walki z jarzmem i niewolą, że pozostało na zawsze źródłem wiary i nadziei narodu.

Powstanie miało bohaterów godnych legendy narodowej, mężów o sile nadludzkiej, bojowników, których każdą myśl, każde uczucie wypełniało to, co było dla nich świętością: wolna, niepodległa Polska.

Romuald Traugutt... To imię jest symbolem i najwyższym znakiem wyzwoleńczego czynu polskiego, który nie zna dość potężnego wroga, by mu się nie przeciwstawić.

„Więzień czekał i modlił się wśród nocnej ciszy... Ciszy nic nie przerywało... Straż tylko, żandarmi, odemknąwszy zupełnie okienko, znajdujące się w drzwiach celi, wciąż się wpatrywali w więźnia, jakgdyby chcieli zbadać co się dzieje w jego zbolałej duszy... Jutrzenka, zwiastun strasznego dnia 5 sierpnia, weszła do celi więźnia i zastała go w tej pozycji, w jakiej zostawiło go zachodzące słońce... Rozległ się szczęk broni i przyspieszone ciężkie kroki dały się słyszeć u drzwi celi. Tłum zbrojny szybko przeszedł a echo przejścia wprędce umilkło w głębi budynku... Traugutt to szedł na śmierć... W godzinę potem tracono go na stokach cytadeli".

Było to cztery miesiące po zgaśnięciu Rządu Narodowego. Rosja dokonała dzieła zbrodni — uroczyście. Żeby świat cały dobrze odczuł skonanie powstania polskiego. Więc wraz z Trauguttem stracono jeszcze czterech uczestników powstańczej organizacji. Car Aleksander II w odpowiedzi na raport namiestnika Berga, rzekł, że na znak zduszenia powstania „dość będzie pięciu powiesić". Spełniono wolę cara: na szubienicy, prócz Trau-

gutta, zawiśli: Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jeziorański.

„Coś dziwnie niebiańskiego było w każdej z tych postaci — powiada Dubiecki, podając szczegóły ich bohaterskiego zgonu.

Rafał Krajewski, siedząc w więzieniu, napisał wiersz, w którym takie znajdujemy słowa prorocze:

„Siew dla przyszłości rozpleni,
Kto szubienicę w Krzyż zmieni“.

Po pięćdziesięciu i dwóch latach, w rocznicę zbrodni, dokonanej przez najeźdźcę, została szubienica zmieniona w Krzyż. Stawiła go na miejscu męczeńskich mogił Wola Narodu, iżby wiedziano, że czci swych bohaterów, trwa w tych samych pragnieniach, prawa swoje mając za rzecz nieprzedawnioną i świętą.

Stawiła ten krzyż zarazem w dniu pierwszej rocznicy opuszczenia stolicy Polski przez odwiecznego wroga.

Taka się odbyła uroczystość czasu wszechświatowej wojny.

6 Sierpnia 1916 r.

ROGER CASEMENT.

Roger Casement stracony. Stała się znowu jedna z najokropniejszych zbrodni. Anglja wymierzyła nowy cios w serce narodu irlandzkiego.

Zamordowała znakomitego męża, człowieka nauki i czynu, wiernego syna swej Ojczyzny.

Jeśli gdziekolwiek na świecie może Irlandja dla wyzwoleńczych swych wysiłków znaleźć zrozumienie, to gdzież, jeśli nie na ziemi polskiej?

Jeżeli gdziekolwiek nieszczęście, jakie spotkało Irlandję w utracie Casementa, wywoła współczucie, to gdzież, jeśli nie wśród narodu, który właśnie czci pamięć swych bohaterów i męczenników, w takiej samej sprawie poległych?

„Na dwóch krańcach Europy — pisze prof. Uniw. Jagiel. dr. M. Straszewski — żyją dwa narody rasowo różne, ale pod

względem losów dziejowych bardzo do siebie zbliżone: naród irlandzki na dalekim zachodzie i naród polski na wschodzie... Niemal dosłownie to samo, co wyprawiali Moskale w ciągu 150 lat w Polsce, dokonywali tego Anglicy, tylko o wiele wcześniej w Irlandji. Czytając historję Irlandji, wystarczyłoby niekiedy pozmieniać daty historyczne, a mielibyśmy przed sobą historję męczeństwa Polski".

Po zbrodniach ostatnich, po straceniu Casementa dowiodła światu Anglja, że i w XX stuleciu potrafi czynić tak, jak Moskwa.

Dziś dwa narody czczą pamięć swych bohaterów: Polska — uczestników powstania 1863 roku, Irlandja — powstańców r. 1916-go, obydwa w czasie wszechświatowej wojny, której pragnęły, by na gruzach niewoli zbudować gmach swojej wolności.

7 Sierpnia 1916 r.

NIE WYPADA...

Jeszcze słówko o deklaracji Rady Miejskiej.

Napisałem przed tygodniem, że jest to czyn w stosunku do Rosji „nielegalny", że rosyjski kodeks karny w szeregu paragrafów takie czyny przewiduje. Nie odkryłem Ameryki. Za myśl o niepodległości, za każde słowo w tej sprawie, w warszawskiej Izbie sądowej toczyło się kilkadziesiąt spraw karnych co roku. Który z redaktorów pism polskich nie zna paragrafu 129-go?

W pewnem środowisku radnych powstał pomruk niezadowolenia... Poco takie rzeczy pisać?... Nieprzyjemne. Bo kto wie... jeżeli... a nuż...

Moi panowie! Jeżeli „a nuż", to rzecz mogłaby być „nieprzyjemną" i bez moich uwag. Zresztą, nie chciałem was przerażać. Jeśli niedorzeczne przypuszczenia budzą w was lęk, to już wasza wina.

Ale tak czy owak, powinniście panowie wiedzieć, że wszystko, co jest dla Polski czynem dobrym, jest w rosyjskim kodeksie karnym przewidziane... Już taki jest stosunek tych dwóch narodów. Tak się te rzeczy oddawna ustaliły...

I jeszcze jedno: nie dobrze jest mieć zbyt wielką skłonność do strachu... A już szczególnie, jeśli się zdobyło na czyn wyraźny i, jak

można było przypuszczać, zdecydowany. Trzeba być konsekwentnym stłumić niedorzeczny lęk, a przynajmniej go nie zdradzać.

Poprostu — nie wypada...

7 Sierpnia 1916 r.

O NAZWĘ ULICY.

Ile razy przechodzę ulicą „hr. Berga", przecieram oczy, żeby się upewnić, czy naprawdę nazwa ta jeszcze widnieje w stolicy Polski. A już kiedy napis ten ujrzałem nazajutrz po uczczeniu pamięci bohaterów 64 r., za sprawą Berga straconych, zdawało mi się, że jestem w jakiemś innem mieście.

Jest coś niesłychanego w trwaniu tej nazwy.

Kiedy stawiano krzyż na tem miejscu, gdzie stała szubienica, wzniesiona wskutek raportu namiestnika Berga do cara Aleksandra II, kiedy lud warszawski na stokach Cytadeli śpiewał hymn narodowy: „Boże coś Polskę!", duch Berga uśmiechał się szyderczo:

— „W tem mieście jest ulica mojem nazwana imieniem"...

To ohydne i potworne.

Na jutrzejszym posiedzeniu Rady miejskiej wniesiony zostanie nagły wniosek w sprawie usunięcia tej potworności przez zmianę nazwy hr. Berga na ulicę Traugutta.

Kto się ośmieli przeciw temu oponować?

Ten wniosek przejdzie.

9 Sierpnia 1916 r.

KARTOFEL I SZPADA.

Cena ziemniaków, podatki miejskie, sprawa uszkodzonych banknotów, walka ze spekulacją żywnościową — to już chyba całkiem realne rzeczy.

Rada Miejska wkroczyła wczoraj na szerokie szlaki pracy kulturalno-gospodarczej. Ta sama Rada, która w znacznej części składa się z działaczów politycznych, ludzi partyjnych, kierowników stronnictw.

Te warstwy społeczeństwa, które były omamione frazesem, że jedno drugie wyklucza, otrzymują już poglądową lekcję, że w zdrowem politycznie narodzie nie może być sztucznego przeciwstawiania wysiłków, które się właśnie wzajemnie uzupełniają.

Deklaracja polityczna Rady Miejskiej nie oznaczała i oznaczać nie mogła, że instytucja ta będzie się zajmowała tylko polityką.

Kiedy chwila zdarzy się po temu—i Rada Miejska może powiedzieć swoje polityczne słowo. Tymczasem spełnia zadanie gospodarczo-kulturalne.

Podnoszenie alarmu było w tej mierze niemądre i fałszywe. Prawicy chodziło tylko o jakieś popularne hasło. Więc rzucono na podatny grunt ignorancji tezę: precz z polityką w Radzie miejskiej. Przeciętny, ten najbardziej przeciętny obywatel, odrazu sobie powiedział, nic w tych sprawach nie rozumiejąc: tak, poco polityka, kiedy ceny produktów są tak wysokie...

Ta gra się nie udała.

Długotrwały już spór pomiędzy obrażonym kartoflem a dumną szpadą był bardzo jałowy i zmierzał z obydwóch stron do prawa wyłączności w życiu narodowem.

Szczególnie kartofel był bardzo zdenerwowany.

11 Sierpnia 1916 r.

BRAK SŁÓW.

Wniosek w sprawie zmiany nazwy ulicy „Hr. Berga“ na „ulicę Traugutta“ przeszedł.

Rzecz prosta, że Magistrat spełni życzenie Rady Miejskiej.

W dyskusji nad kwestją nagłości wniosku, podniósł się głos, żądający m o t y w o w a n i a tej nagłości. Inni dowodzili, że są sprawy pilniejsze. Wreszcie byli i tacy, którzy ten wniosek uważali za „politykę“.

Więc możliwym jest pogląd, ż e t a k i wniosek powinien być motywowany! Ci, którzy dowodzili, że są sprawy pilniejsze, zabrali swoimi wywodami dużo drogiego czasu w sprawie, która mogła i powinna była być załatwiona w ciągu jednej minuty i nie powstrzymywałaby biegu żadnyc hnajpilniejszych spraw. Wreszcie — znoszenie najhaniebniejszych śladów niewoli ma być „polityką“! Ściśle rzeczy biorąc, wszelki sprzeciw w tej mierze nazywa się tylko zaprzaństwem. Jeżeli dana orjentacja w y m a g a niewolniczego konserwowania śladów przemocy i jarzma, w takim razie składa najwymowniejsze świadectwo już nie swej treści politycznej, lecz swej wartości moralnej.

Skoro uchwalono nagłość wniosku (choć tylko większością jednego głosu) było już rzeczą naturalną, że przeważająca większość oddała swe głosy za wnioskiem. Tak być musiało. Trudno jednak było przewidzieć, że znajdzie się kilku radnych, którzy będą mieli odwagę głosować przeciwko wnioskowi. Znalazło się. Wstrzymuję się od określenia ich postępku.

Brak mi słów.

12 Sierpnia 1916 r.

WYSADZONE MOSTY.

W dniu 5-ym sierpnia 1915 roku, mieszkańcy stolicy Polski zaczęli rozumieć wojnę.

Wszystko, co się przedtem na szerokim świecie, jako i na ziemi polskiej działo, — niosło Warszawie odgłos kataklizmu i tylko, jako odgłos wnikało w jej świadomość.

Obrazy wojny: ranni, uchodźcy, przemarsze wojsk, nawet zaróżowiony nocą horyzont, nawet huk armat, dolatujący do miasta — dawały Warszawie jakby ułamkowe pojęcie wojny. Widziana i rozumiana od strony jej echa, to słabszego, to znów słyszanego wyraźniej, odczuwana niecałkowicie, w przejawach niektórych, drugo i trzeciorzędnych, w akcesorjach raz groźnych, kiedyindziej anegdotycznych, wojna wszechświatowa w ciągu pierwszego roku nie dała Warszawie pełnego poczucia odbywającego się przełomu, w istotnej, najgłębszej jego treści i w całej jego potędze.

Zakłopotanie, wątpliwości, lęk, przypuszczenia i przepowiednie, zabiegi w rzeczach małych i najmniejszych, *niezadowolenie* z naruszonych norm i przyzwyczajeń dotychczasowego bytowania — oto cechy zasadnicze tego poziomu, na jakim pozostawało miasto, nie wzniesione duchem i myślą na wyżyny chwili dziejowej, nie zbliżone uczuciem i rozumem do nowej rzeczywistości.

Warszawa trwała w pokojowym nawiasie wojny i miała nadzieję, że na zawsze w tym nawiasie pozostanie. Jako widz, conajwyżej pewnych emocji niepozbawiony. Dlatego wątpliwość i zakłopotanie zastępowały najwyższą trwogę i najwyższe nadzieje w stolicy narodu, którego losy rozstrzygają się w tej wojnie. Z tej prawdy Warszawa nie zdawała sobie zrazu należytej sprawy. O tem mówiono i pisano, lecz ten pewnik nie przeniknął w duszę miasta, w każdy jego nerw.

Fakt wojny był w świadomości Warszawy pomniejszony.

Jej myśl, zawarta w ramach orjentacyjnej tragedji, nie szamotała się w sieci sprzeczności, by rozerwać jej oka i znaleźć wyjście na drogach zdecydowanego czynu, lecz trwała czas dłuższy w lenistwie, lub, co najlepsza, w stanie niespokojnego snu. Była to myśl we wszystkich swoich kierunkach *niedokończona*,

czyli nieobowiązująca do realnych wniosków. Myśl zatrzymująca się na każdej przeszkodzie, nie żeby ją przezwyciężyć i usunąć, lecz żeby tam znaleźć miejsce spoczynku, kres swego biegu i swego świadomego życia. Zmierzała tam, gdzie jest grób czynu i woli, grób szczerych pragnień i żywiołowego samopoczucia: pod sztandar neutralności. Tam stawała się splotem wyrazów bez treści i znaczenia, bełkotem, niedorzecznością, poprostu — niczem. Ów sztandar skupiał wokół siebie wszelkiego gatunku niemoralnych fatalistów. Ta niemoralność, z biernem wyczekiwaniem jednoznaczna, bowiem zwalniająca od wszelkiej odpowiedzialności wobec najpierwszych spraw narodu, święciła znacznie większe tryumfy, niż wszystkie wpływy i wysiłki orjentacji rosyjskiej.

Miała orjentacja rosyjska cechy aktywizmu. Wychodząc z nieprzytomnego założenia, że zwycięstwo Rosji jest zwycięstwem sprawy polskiej, dawała wyraźną wskazówkę: trzeba pomóc Rosji. Ta jednak wskazówka wymagała takiego już zboczenia myśli narodowej, mieściła w sobie takie pierwiastki zaprzaństwa i historycznej niepamięci, że zawisnąć musiała jedynie w sferze agitacji — nieobowiązującej, fikcyjnej, nieprowadzącej do realnego czynu. Możemy bowiem z płaszczyzny takich czynów usunąć rzeczy natury sentymentalnej, jak np. pomoc niesiona w leczeniu rannych żołnierzy rosyjskich przez kilkaset panien warszawskich. W rachubę czynów, odpowiadających liczebnej sile narodu i wytrzymujących zestawienie z jego siłą moralną, nie możemy brać utworzenia drużyn Gorczyńskiego. Był to właśnie najbardziej widomy znak moralnej niemocy tej orjentacji, jej najwyższa przegrana.

W świadomości szerszych warstw ogółu odbiła się, jak we wklęsłem zwierciadle i ujrzała własną karykaturę. Niosła wyłącznie agitacyjny frazes i tę całą truciznę, jaką frazes taki może w sobie zawierać. Nie zdołała wytrącić miasta ze stanu bierności. Raczej tę bierność pogłębiała, budząc conajwyżej nastrój powierzchowny, sprzyjający faktom pożądanym, lecz nie mogąc zrodzić współdziałania. Była to więc w wynikach „realnych“ również neutralność, choć nieco inna, bo ożywiona platonicznem pragnieniem i tego pragnienia najtańszymi wyrazami — w depeszach, deklaracjach, odezwach.

Wtedy to jednostki o pragnieniach *obowiązujących*, czyli ludzie czynu, przedzierali się poprzez fronty wojenne lub odbywali podróż okólną, żeby się dostać do Legjonów.

* * *

O godzinie 6-ej rano dnia 5 sierpnia rozległ się ogłuszający huk wysadzanych mostów. Rosjanie odchodzili. Ta chwila nieśmiertelna oznaczała punkt zwrotny w nastroju Warszawy.

Kiedy wojska niemieckie stały o wiorst parę od rogatek warszawskich, a łuny pożarów zwiastowały wkroczenie Niemców lada godzina, miasto nie miało jeszcze tego uczucia, jakie budzić się zaczęło przy wejściu pierwszych niemieckich podjazdów. Więc Moskale *naprawdę* odeszli! Owo „naprawdę“ było wysiłkiem myśli, pragnącej objąć sens i znaczenie wiekopomnego faktu, który wydawał się zrazu czemś fantastycznem. Był to trud tak wielki po roku omamień, błędów i hypnozy, że mieszkańcy Warszawy ułatwiali sobie zrozumienie nowej rzeczywistości, uważając ją za chwilową, — na tygodnie lub conajwyżej na miesiące obliczoną.

Ani dnia pierwszego, ani dni następnych nie zdawano sobie sprawy z dokonanej zmiany. Położenie zdawało się wciąż dziwacznem, nawpół realnem. Kto odszedł? To pytanie nie stanęło w całej swej treści. Nie odpowiadało nań zrazu ani sumienie, ani serce, ani myśl stolicy. Że odszedł straszny wróg, kat i ciemięzca, że rozpoczyna się przez to nowa w dziejach Polski epoka. Strzały, dochodzące z Pragi, utrudniały zrozumienie przełomu. Dopiero padające z niesłychaną szybkością twierdze rosyjskie, budząc coraz większe zdumienie, wzmacniały „najśmielszą“ wówczas myśl: że kolos rosyjski *może* przegrać wojnę, że Moskale *mogą* do Warszawy nie powrócić. Myśl ta była zwiastunem wewnętrznej przemiany ducha stolicy. Pękło jedno ogniwo kajdan, nałożonych na duszę polską: gasła wiara w niezmożoną potęgę Rosji, wojującej w przymierzu z Francją i Anglją.

* * *

Minął rok. W ramach tego krótkiego czasu odbył się wielki historyczny proces odmiany nie tylko zewnętrznej. Warszawa szukała własnej wobec nowych warunków postawy.

Jeszcze działała tu silnie inercja niewoli, kiedy rodził się już czyn samodzielny. Dlatego możliwa była uchwała Komitetu Obywatelskiego w sprawie wykładu języka rosyjskiego w szkołach polskich, kiedy już zorganizowano polskie sądy. Tak — w tych krzyżujących się odruchach niewolniczego lęku i czynach budzącej się woli stolicy, upłynął szereg miesięcy.

Wskrzeszenie Uniwersytetu polskiego napełniło serca polskie radością, chociaż w niejednem z tych serc taiło się jeszcze tradycyjne zalęknienie, podejrzliwość i nieufność, z którą nieodłącznie sądzono żyć narodowi polskiemu w ciągu stuletniej niewoli. I tu więc odbywała się przemiana poprzez sprzeczność między pozostałościami minionych czasów a wkraczaniem w nowe warunki narodowego bytu.

Jeszcze miasto było dalekie od otrząśnienia się z omamień poprzedniego roku, jeszcze nie przetarło dobrze oczu, jeszcze się duch stolicy nie był wyprostował, a już zdolna była do oddania hołdu poległym w bojach bohaterskich żołnierzom polskim. Na pierwszych pogrzebach przez ulice Warszawy, w najwyższem skupieniu i w ogromnym orszaku żałobnym sunących, odbyło się wielkie jej zbliżenie do idei Legjonów. Było to pierwsze wysadzenie mostu niewoli, jaki łączył Warszawę z Rosją. Hołd oddany poległym legjonistom był przecież hołdem dla czynu, przeciw Rosji wymierzonego.

Nadszedł dzień 3-ci Maja, dzień w historji narodu po wieczne czasy niezapomniany, dzień najgłębszego westchnienia do niepodległego bytu.

Po takim dniu, słowa zawarte w deklaracji Rady miejskiej były już raczej formalnem uzupełnieniem odbytej żywiołowo manifestacji. Uzupełnienie to formalne, lecz konieczne, jako akt pierwszej reprezentacji stolicy, w tym właśnie charakterze—najbardziej doniosły.

W duchu i sumieniu Warszawy, w ciągu tego roku, wszystkie mosty, łączące ją z Rosją, zostały zerwane. Ku gruzom tych mostów schodzą się jeszcze niewolnicy, na ich szczątkach i złomach usiłując wyczytać wskazówki, rady i rozkazy, idące

od Wschodu, lecz czynią to już cichaczem i w jakowemś zawstydzeniu.

A jest ich coraz mniej.

Warszawa coraz lepiej rozumie wojnę. Po bierności roku pierwszego, po wyzwoleńczych słowach i gestach roku drugiego, sposobi się do czynów w trzecim roku wojny wszechświatowej.

Wielkie opóźnienie tylko wielkim czynem jest w stanie okupić.

6 Sierpnia 1916 r.

DAWNE WSPOMNIENIA.

Sztuka p. Jana Adolfa Hertza [1]) budzi dużo wspomnień z czasów szkoły rosyjskiej w Polsce.

Ja, naprzykład, podlegałem takiemu kompletowi „pedagogów“:

Pfeifer, Moskal fanatycznie nienawidzący polskiego społeczeństwa. Najbardziej umiłowanym sportem były dlań nocne rewizje w mieszkaniach uczniów. Szukał polskich książek. Każda książka polska była niecenzuralna. Za „Starą baśń“ Kraszewskiego siedziałem osiem godzin w kozie. Pfeifer był obdarzony prawdziwą intuicją w ocenie uczuć patrjotycznych wśród młodzieży. Zdawało się, że swymi ślepiami przenikał najtajniejsze nasze myśli. Zawsze trafnie odgadywał, kto z nas np. uczy się pokryjomu historji polskiej, a kto z uczniów nadaje się do roli jego agentów. Pierwszych prześladował niemiłosiernie, obowiązując do tego samego wszystkich „profesorów“, drugim zapewniał dobrą cenzurę.

Troickij, nauczyciel historji rosyjskiej, typ najgorszego cynika, człowiek względnie wykształcony, z lubością przekręcał fakty historyczne z dziejów stosunku Rosji i Polski. Uśmiechał się zjadliwie, ilekroć o Polsce wspominał. Uczniom, przy zdawaniu lekcji, kazał używać swych obelżywych wyrazów i określeń w rzeczach, dotyczących Polski.

Uthke, nauczyciel matematyki, Polak, u którego „stałem na stancji“. On to najczęściej pakował nas do kozy za używanie języka polskiego w murach uczelni.

Mołodienko, nauczyciel rysunków, degenerant i pijak, prawa ręka Pfeifra. Szpiegował uczniów i nauczycieli, w czem była mu pomocna jego żona.

Orłow, nauczyciel języka rosyjskiego. Pijak i rozpustnik. Wprost ze szkoły udawał się do domu publicznego, dokąd zabierał ze sobą stos

---

[1]) „Młody las“, grany w Teatrze Rozmaitości.

kajetów z wypracowaniami. Poprawiał je na balkonie tego domu. Uczniowie drugiej i trzeciej klasy zawierali znajomości z prostytutkami, by za ich pośrednictwem i za odpowiednią opłatą wydostać kajet, poprawić w dyktandzie błędy i z powrotem niewidocznie do stosu kajetów dołączyć.

Dmochowskij, nauczyciel fizyki, pijak i awanturnik. Przebywał wśród najgorszych szumowin prowincjonalnego miasta. Kochanek paru żon swoich kolegów. Uczniowie mieli możność stwierdzania takiego stanu rzeczy.

Iwanow, inspektor, siwy starzec. Najbardziej ulubionym jego fortelem było ukryć się w jednem z miejsc ustępowych, by podczas pauzy nagle wyjść i przyłapać uczniów na rozmowie po polsku i na paleniu papierosów.

Całe „ciało pedagogiczne“ składało się z pijaków, degenerantów, pół-warjatów, współpracowników żandarmerji miejscowej i łapowników.

To była „szkoła“, — sosnowiecka szkoła realna.

Trudno sobie uświadomić, jak się to stało, że my, wychowańcy tej szkoły — od pierwszej klasy aż do uzyskania „patentu dojrzałości“ — nie opuściliśmy jej już jako nieuleczalne, duchowe i moralne kaleki.

17 Sierpnia 1916 r.

NA DWÓCH BIEGUNACH.

Pasywista: Wojna jeszcze nie skończona...

Aktywista: Do właściwości pańskiego myślenia należy stwierdzanie oczywistych faktów, z których nie wyprowadza pan żadnego praktycznego wniosku, jeśli taki wniosek wskazywać ma drogę czynu...

P. Widzę ów czyn w dalszej przyszłości...

A. Idealizm bierności jest największą w tych czasach niemoralnością. Pan zawsze odsuwał czasy czynu w dalszą przyszłość. Tak było przed wojną, podczas niej i tak też będzie po wojnie. Pan będzie wierzył i głosił, że kiedyś tam nadejdzie chwila czynu, uspakajając w ten sposób swoje sumienie. Ten, powtarzam, niemoralny idealizm zatruwa psychikę narodu już od paru pokoleń.

P. Czyn nieodpowiedzialny i szalony niesie też największą truciznę.

A. Niema czynów tak szalonych, któreby były gorsze w swych wynikach od bierności. Lecz dla pana każdy czyn jest niebezpieczny.

P. Każdy, który może się okazać wielkim błędem; każdy, któremu dalsze okoliczności mogą zaprzeczyć na całej linji.

A. Otóż to. Dochodzimy tu do krańców niedorzeczności. Pan chce mieć absolutną gwarancję, że zewnętrzne okoliczności ułożą się zgodnie z naszą obecną czynną polityką. Stąd wynika, że żaden czyn nasz nie jest potrzebny...

P. Musimy być ostrożni, bardziej ostrożni, niż kiedykolwiek.

A. Najostrożniejszym jest ten milczący stół, przy którym siedzimy w tej chwili. Nie zabezpiecza go to od bomby z aeroplanu rzuconej.

P. Mówię o ostrożności, która trafnie wybiera drogę i chwilę czynu.

A. Należałoby w takim razie zawrzeć umowę z Panem Bogiem, byśmy w każdej chwili wiedzieli, co i jak się stanie — i dzięki temu jasnowidzeniu mogli grać komedję czynu.

P. Czemu komedję?

A. Skorobyśmy wiedzieli, że coś stać się musi... Lecz wkraczamy tu w dziedzinę metafizyki, mocno zresztą pod względem logicznym szwankującej. Zaś błąd największy kryje się w braku przesłanki, która jest obcą pańskiemu sposobowi myślenia.

P. Mianowicie?

A. Nie zastanawia się pan wcale nad znaczeniem naszego własnego czynu w tworzeniu ogólnego układu sił i okoliczności.

P. Jesteśmy słabi...

A. Przez bierność. Przez wieczne odkładanie czynu na później. Ten fałsz nas usypia. Myśl o naszej słabości stanowi całą treść i wyłączną siłę pańskiej postawy.

P. Którą pan nazywa niemoralnością... W takim razie nasz naród w dziewięciu dziesiątych jest w tej chwili niemoralny.

A. Nie waham się stwierdzić tej prawdy. Lecz my go zbudzimy. Tymczasem mniejszość działa i walczy, rehabilitując Polskę. Mniejszość też zdobędzie siłę rządów...

P. I rządzić będzie wbrew woli większości!..

A. Gdybyż to była jakaś wola!... Najtrudniejsze rządy, jeśli mają być zgodne z interesami narodu, to opanowanie społeczeństwa biernego. Wtedy rządząca mniejszość musi dokonywać cudów pracy, wytrwałości, inicjatywy... I tak właśnie będzie.

P. Powtarzam: wojna jeszcze nie skończona...

A. Na tem stwierdzeniu kończy się wysiłek pańskiego umysłu. Dla mnie się zaczyna. Chcę, żeby wojna skończyła się po naszej myśli i to mnie obowiązuje w moim czynie. Jest wojna z Moskwą. To znaczy, że Polska może powstać. Oto w ostatecznym skrócie — wszystko. Na dziś. Wszystko — jako warunek. Pragnienia, tęsknoty, rachuby polityczne, nie poparte czynami, stanowią źródło strasznej demoralizacji. Sprawiają, że naród staje się żebrakiem, wyciągającym ramiona o wspaniałomyślność i o łaskę — to w tę, to w inną stronę, zależnie od okoliczności; że pochyla kark — to w tę, to w inną stronę, zależnie od czasów i warunków... Tak, on czegoś pragnie, on kocha Ojczyznę, on jest narodem patrjotów... Tylko nic sam uczynić nie potrafi, do biegu wydarzeń wszechświatowej wagi i wieczystej doniosłości ręki nie przykłada. P r o s i... Kto prosi, tego hasłem: co łaska... A to jest dla narodu śmierć. Wy mu już mszę żałobną odprawiacie, sami o tem nie wiedząc.

P. Wierzę w powstanie Polski niepodległej...

A. Przez bój, przez ofiarę i przez przymierze z wrogami Moskwy — godne, twórcze, poważne, zasługujące na szacunek i zaufanie. Z tem potężnem przymierzem nie licuje postawa żebraka. On zaufania nie wzbudzi, bo żebrak zawsze, w s z y s t k i c h prosi, byle coś otrzymać.

P. Jesteśmy w tragicznem położeniu.

A. Nie czas na tragiczne westchnienia. Położenie nasze staje się czemś nowem, co ukształtować i utrwalić w duchu naszych interesów jest naszem prawem i obowiązkiem. Inaczej— przyszłość nas przeklnie, jako pokolenie, które przespało wszechświatową wojnę. Sen narodu, choćby to był sen marzycielski, jest na sądzie historji zawsze przestępstwem.

P. Niemniej jest historja surową dla błędów przeszłości. Jeżeli mimo wszystko, mylicie się?

A. Prawda nieomylna tkwi w faktach dokonanych i zgodnych z najgłębszą tęsknotą dwudziestomiljonowego narodu. Symbolem tej prawdy jest Krzyż stawiony na stokach cytadeli. Znak męczeńskiej i bohaterskiej przeszłości, na którą naród powołać się może wobec Boga i świata w swem pragnieniu niepodległego bytu. Odgaduję powody pańskiej trwogi... Nie wierzę w powrót Moskali. Gdybym jednak uważał to za możliwe, z tem większą siłą nawoływałbym społeczeństwo do czynów odrodzeńczych, które pan uważa za szalone ryzyko, ja zaś— jeśli trwamy w tem przypuszczeniu — za najbardziej realne zabezpieczenie narodu przed ostatecznym upadkiem i niezdolnością przeciwstawienia się nowym zakusom moskiewskiego ciemięstwa. Tyle w odpowiedzi na pańskie obawy, których nie podzielam. Nie chcąc powrotu Moskali, musimy ten powrót uniemożliwić czynem własnym, czyn wrogów Moskwy wzmacniającym.

P. Qui vivra — verra...

A. Rzeczą pańską jest czekać, moją — czasu nie tracić.

25 Sierpnia 1916 r.

PYTANIE I ODPOWIEDŹ.

W n-rze 10-tym „Jedności Robotniczej“ utalentowana poetka, p. Zofja Piechaczkówna stawia stolicy Polski takie oto pytanie:

„O miasto moje, gdy śpisz w długie noce,
Jaki nad tobą sen w mrokach się waży?
Czy ptak królewski skrzydłami łopoce
I budzi Ciebie łańcuchów pobrzękiem?
Czy trwoga stoi przy tobie na straży,
Aby odpędz' sny o nowych czynach?
Czy zapominasz, śpiąc, o dawnych winach,
Czy też mogiły budzą cię swym jękiem?“

Na to pytanie usłyszałem taką odpowiedź ducha stolicy:

„Na straży przy mnie już nie stoi trwoga,
Ani mnie do snu mroki nie kołyszą,
Lecz jękiem mogił dawno przebudzona,
Dziś w imię Polski, jako w imię Boga,

Wołam i budzę tych, co mnie nie słyszą:
Że mi zaciężyy królewska korona,
Jeśli się naród nie obudzi w czynie
I jakim dawniej, takim będzie ninie".

3 Września 1916 r.

SĄD OBYWATELI.

Przechadzałem się wczoraj rano ulicą Romualda Traugutta, by usłyszeć, co też mówi ten i ów obywatel o zmianie dawnych tabliczek, dokonanej przez młodzież warszawską.

— Kto to zrobił? — pyta jeden.

— Samo się zrobiło, mój panie! Najlepiej, jak się coś samo robi, bez długiego gadania...

Na rogu ulic Traugutta i Krakowskiego Przedmieścia stoi grono osób, patrzy na nowy napis i rozmawia.

— Magistrat jeszcze uchwały nie powziął...

— Są rzeczy, powiada ktoś, których nie potrzeba dopiero uchwalać.

— Tak — słyszę odpowiedź — ale bądź co bądź to władza.

— Za długo się namyślali...

— A to dobry kawał — mówi ktoś z bardziej wesołych obywateli.

— Nie kawał, panie, ale święta racja. Jest jeszcze młodzież w Warszawie.

Na rogu ulic Traugutta i Mazowieckiej ktoś powiada:

— Tego już chyba nikt nie ruszy.

I ja tak sądzę. [1])

5 Września 1916 r.

---

[1]) *Przypisek późniejszy.* Tegoż dnia, w godzinach popołudniowych, z rozporządzenia władz magistrackich komisarz I-go okręgu milicji zarządził zdjęcie tablic z napisem „Ulica Romualda Traugutta". Ulica pozostała bez tabliczek. Magistrat uchwalił zmianę nazwy „ul. hr. Berga" na „ulicę Romualda Traugutta" w dniu 6 listopada 1916 roku; niebawem też tabliczki z nową nazwą umieszczono.

ECHO PRZESZŁOŚCI.

Odezwało się echo dawnych czasów [1]), kiedy to jedna klika polityczna terroryzowała opinję społeczną, rozstrzygając wszystkie zagadnienia narodowe w sposób równie prosty jak zuchwały: czego nie robimy my, to jest samozwańcze, co nie pochodzi od nas, to jest niepolskie, tego nie chce naród.

Tak rozstrzygali swój stosunek do innych odłamów i ugrupowań ludzie, tłumiący pragnienia narodu, obniżający jego godność, najpokorniejsi i najlojalniejsi wobec najeźdzcy. Im bardziej byli lojalni w stosunku do Rosji i jej ekspozytur w Polsce, tem większy terror uprawiali wewnątrz kraju. Istotą i treścią ich „siły“ i ich „odwagi“ w demoralizowaniu społeczeństwa była uległość i słabość wobec ciemiężcy, który, umożliwiając im szeroką i swobodną akcję, gnębił i prześladował ich przeciwników, kneblował im usta, więził, wysyłał i wieszał.

W ten sposób ci monopoliści patrjotyzmu, jedynie „uprawnieni“ przez rząd moskiewski wyraziciele woli narodu, mieli zapewnioną bezkarność, z której też w pełni korzystali, nie niepokojąc swojego sumienia pytaniem, kto im taką bezkarność zapewnia i dzięki czemu są tak „silni“.

Wśród wielkich narodów cywilizowanego świata Polska jest jedynym narodem, w którym idea niepodległego bytu musi być jeszcze przedmiotem uświadamiania. Ta potworność, to nieszczęście jest dziełem nietylko najeźdzcy, który przez tyle lat sączył truciznę w duszę narodu, ale i ludzi zwanych „narodowymi demokratami“, którzy zohydzali ideę niepodległości Polski.

Nieprawdą jest, że dzieliła ich tylko taktyka, metoda, program, jak to usiłują niejedni z nich dzisiaj swą dawną działalność tłomaczyć i usprawiedliwiać. Atakowali samą ideę, bezcześcili samo hasło, nie cofając się przed żadnymi, najohydniejszemi środkami.

---

[1]) *Przypisek późniejszy:* Po rezolucji pierwszego wiecu politycznego w Warszawie dn. 3 września 1916 roku, w której to rezolucji domagano się proklamowania niepodległego Państwa Polskiego, grupa N. D. i z nią spokrewnione ogłosiły protest przeciwko „zbyt daleko idącym uchwałom“, powziętym przez „żywioły samozwańcze“.

W „Przeglądzie Narodowym" (zeszyt za kwiecień—maj 1912 r.) jeden z ich prowodyrów, Zygmunt Balicki, tak pisał: „Apolityczne zwyrodnienie naszej opinji, wystawionej na bezpośrednie lub pośrednie oddziaływanie ludności żydowskiej, przejawia się zarówno w kierunkach, panujących wśród młodzieży, jak i wśród dorosłych... Niegdyś cieszył się szczególnem powodzeniem w środowiskach młodzieży socjalizm, dziś kierunek t. zw. „niepodległościowy". *Wszystkie jego cechy zdradzają wpływy duchowe żydowskie. Kierunek niepodległościowy zasługiwałby z tego tytułu w całej pełni na nazwę „polskiego sjonizmu", podobnie jak on bowiem stawia ideał państwowości".*

Tak przemawiali ci ludzie „w imieniu narodu", walcząc z ideą samodzielnego państwa polskiego, jako z czemś, co jest „narzucone" opinji polskiej przez obce żywioły.

W pierwszym roku wojny, śląc wiernopoddańcze depesze do cara, wiozące karabele do generałów rosyjskich za zdobycie Lwowa, dając wskazówki jak Moskale mają zdobywać Kraków, organizując drużyny Gorczyńskiego i tworząc najbardziej samozwańczy „Komitet Narodowy" upajali się swą władzą, której przeciwstawiały się „jedynie"... podziemia polskie, to znaczy: sumienie polskie, duchem niewoli nieskażone; to znaczy: wolna i uczciwa Polska, którą prześladował wróg, nie dając jej przyjść do głosu, ażeby tylko głos jego sojuszników mógł się swobodnie i szeroko rozlegać jako „jedynych" reprezentantów woli narodu-więźnia.

Nie brakło im nigdy odwagi w przywłaszczaniu sobie takiego tytułu. Nie ulękli się sądu historji nad tem kłamstwem, które opierało się na krwawem prześladowaniu wrogich im obozów przez kata narodu. Wierni poddani rosyjskiego państwa, niewierni idei narodowej polskiej, musieli robić wszystko, żeby każdy szczery głos bojowników wolności polskiej stłumić, a jeśli się mimo wszystko rozległ, to go zohydzić nikczemnością i oszczerstwem.

Kto był w Polsce żywiołem samozwańczym? Gdyby można było twierdzić, że to ci, którzy dążyli i dążą do niepodległego bytu Polski, trzebaby stąd wyprowadzić jedyny wniosek: że naród moralnie i duchowo zginął. A że tak nie jest, więc samozwańczym żywiołem są tylko ci, co swoją działalnością przeczyli i przeczą historycznej przeszłości wielkiego narodu, który

właśnie przez nich popadł w zmęczenie, lęk i bierność, ale wbrew nim za jedyne, naczelne hasło w najgłębszych tajnikach swej duszy i swego sumienia uważa niepodległy byt narodowy.

Odezwali się znowu. Zarzucili innym „samozwańczość". Ta sama metoda. Tylko przypadła już na inne czasy. Nie mają już zapewnionej bezkarności i wyłącznego prawa reprezentowania dążeń narodowych. Inne czasy. To też, jeśli wówczas ich działalność niosła społeczeństwu wielką demoralizację i tem była groźna, że się jej nie można było jawnie i z dostateczną mocą przeciwstawić, to dziś jest śmiesznem zuchwalstwem, które wyosabnia drobną klikę i stawia ją wobec opinji narodowej w odpowiedniem świetle.

13 Września 1916 r.

FALSYFIKATY.

Klub Państwowców Polskich wydał w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy odezwę, raz jeszcze potępiającą sfałszowane uchwały ze sfałszowanymi podpisami...[1]) Ileż to trzeba robić wysiłków dla zwalczenia jednego oszustwa? I czy się je doszczętnie zwalczy?

Przysłowie francuskie: „*Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose*" mocniej się jeszcze potwierdza w naszych stosunkach, niż we Francji. Tam, po sprawie Dreyfusa i po wielu, wielu skandalach politycznych, na których tle publikowano poprostu setki kopji nieistniejących dokumentów, wydawano „fotografje" nieistniejących a „kompromitujących" przeciwnika rękopisów z podrobionymi autografami i t. p.,—

---

[1]) *Przypisek późniejszy.* W dniu 18 września 1916 r. Klub Państwowców Polskich ogłosił w pismach następujące zaprzeczenie: „Pragnąc oburzyć ludność polską przeciwko K. P. P., nieznani złoczyńcy wydrukowali sfałszowane uchwały Klubu państwowców polskich, jakoby złożone władzom niemieckim o przymusowym poborze do wojska wszystkich mężczyzn od 16 do 55 roku, o opodatkowaniu mężczyzn po 10 marek, kobiet po 7 i rekwizycji zboża i kartofli. Pod tym falsyfikatem wydrukowano nazwiska Zygmunta Makowieckiego, Władysława Studnickiego i Józefa Wasercuga za Klub państwowców polskich. Niniejszem zawiadamiamy, iż podobne uchwały ani były, ani mogły być powzięte przez Klub państwowców polskich, więc nie mogły być przedstawiane władzom niemieckim i że wszystko od początku do końca jest fałszem".

tam apokryf przestał być bronią tak groźną. Publiczność ma poczucie relatywizmu w ocenianiu takich „dokumentów“. Umie wątpić. Data, podpis, fotografja — wszystko to nie daje jeszcze ogółowi pewności, że dany dokument jest autentyczny. Możnaby powiedzieć, że tu oszustwo i szantaż zabiły się swoją częstotliwością. Było ich za dużo.

U nas broń taka należy do rzadkości. Szersza publiczność nie wyobraża sobie, żeby można było opublikować i to z podpisami dokument nieistniejący. Wierzy weń, wierzy raczej mocniej, niż w zaprzeczenie. Nie umie wątpić. Nie będzie to paradoks, jeśli powiemy, że stosunki są u nas moralniejsze i dlatego falsyfikat jest u nas silniejszą bronią, niż gdzieindziej. Rzecz to nowa. Ludzie nie nauczyli się jeszcze przyjmować jej krytycznie.

Nie należy jednak wyprowadzać stąd wniosku, że dla nauczenia publiczności rozumu i krytycyzmu, trzeba wydawać jaknajwięcej falsyfikatów!..

Może się nam uda nie przechodzić takiej „szkoły”, a jednak uzyskać świadectwo dojrzałości. Doświadczenia innych i znajomość tych doświadczeń powinnaby nam wystarczyć.

27 Września 1916 r.

POMIĘDZY DWOMA DEPESZAMI.

List otwarty b. posła Parczewskiego [1]) do Zygmunta hr. Wielopolskiego jest jeszcze jednym, wielkiej doniosłości faktem, który wskazuje przepaść, jaka dzieli pewną kategorję polityków polskich w Rosji od nastroju uświadomionych sfer narodu polskiego. Nie bez bolesnej ironji brzmią słowa p. Parczewskiego, iż nie chciałby tracić nadziei, że „pan Hrabia w swoich wystąpieniach i enuncjacjach, o ile one nadal będą, nie zechce stawać w sprzeczności z dążeniem narodu polskiego do niepodległości”. I nie bez ironji brzmią słowa o tem, że „wiadomości jak Warszawa wyraziła swoją aspirację może Pana Hrabiego nie doszły, ale przecież zasadnicza aspiracja narodu jest chyba dobrze rozumiana i odczuwana“.

Od chwili upadku państwa polskiego nie było takiego okresu, w którymby ta zasadnicza aspiracja narodu nie dawała znać o sobie. Słyszał ją moskiewski najeźdzca i słyszeli ją jego w Polsce sojusznicy, choć różnie jej głos „wyjaśniali“ Rosji.

---

[1]) *Przypisek późniejszy.* Zamieszczony w „Nowej Gazecie“, Nr 436 z dn. 24 września 1916 roku.

W roku 1792, kiedy głos zabrała Targowica i rządzić poczęli Kossakowscy, Masalscy i inni zdrajcy, pachołek carycy, Bułhakow, wysłał do Petersburga taką depeszę: „Cała Polska u stóp Waszej Wielkości. Nie myślałem, że to nastąpi tak prędko".

Po 122 latach, w sierpniu 1914 roku komendant Warszawy, Samsonow, wysłał depeszę do cara, w której donosił, że mobilizacja w Królestwie przeszła wszelkie jego oczekiwania.

Ale w ramie tych 122 lat nieustannie broczyło się krwią dążenie polskie do niepodległości. Pomiędzy temi dwoma depeszami — nieustannie, bez chwili przerwy płynęły zastępy męczenników na Sybir, zapełniały więzienia rosyjskie, niepokoiły najeźdzcę. Pomiędzy temi dwoma depeszami — zabłysnęli chwałą wiekopomną Kościuszko i Poniatowski, była wojna 31 roku, było powstanie roku 63-go, powstały Legjony Polskie dla dalszych bojów z Moskwą.

Więc Zygmunt hr. Wielopolski nie ma może „dokładnych wiadomości z Warszawy", ale czy nie posiada dokładnych wiadomości z ... historji narodu polskiego?

28 Września 1916 r.

WOLA NARODU.

Kto czasu niewoli przeciwstawiał się dążeniom do niepodległości i walkom o wskrzeszenie państwa polskiego, ten miał swe oparcie w bagnecie moskiewskim.

Nie byli nigdy i być nie mogli reprezentantami nieskrępowanej woli narodu polskiego ci, którzy wobec ugodowych z Rosją konszachtów i kompromisów, musieli tłumić pragnienia polskie, żyjące w bezgłośnych podziemiach, w mrokach konspiracji, w celach więziennych, na Sybirze i — w sumieniach polskich.

Warunkiem ich siły w kraju była uległość wobec najeźdzcy. Mandatem ich było tylko świadectwo prawomyślności, wydane przez Rosję i poparte *bezwolą* tych warstw narodu, które popadły w letarg i odrętwienie.

Skamieniałe i niewolą zatrute sumienia nie przeszkadzały im w piastowaniu fałszywych mandatów, nie trwożyło ich pytanie, czemu są tak silni, komu zawdzięczają swą bezkarność i ile jeszcze ofiar zamęczy Moskwa, żeby stosunek Polski i Rosji móc oprzeć na trwałej i spokojnej ugodzie.

Każda ich wygrana była nowym tryumfem Rosji nad Polską odniesionym.

Nieprawdą jest, że ich od innych obozów politycznych różniła tylko taktyka, metoda czy polityczny program, — że naczelny ideał narodowy był im równie, jak wszystkim, drogi i święty. Tak mówili zawsze w chwilach swej słabości, kłamanym honorem ratując swój cynizm i zaprzaństwo. Tak też mówią dzisiaj, pragnąc po bankructwie moralnym uzyskać nowy kredyt polityczny wśród lepszych warstw narodu. Byli siłą w czasach letargu społeczeństwa, chcą ją nadal zachować w czasach odrodzenia świadomości narodowej. „My wszyscy pragnęliśmy i pragniemy niepodległego bytu Polski" — temi słowy budzić zaczynają wiarę w umysłach słabą pamięcią obdarzonych, bowiem trudno, trudno i ciężko Polakowi stwierdzić, że nie wszyscy Polacy dążyli do zdobycia niepodległości. Nie wszyscy. Choćby się nie chciało budzić wspomnień ponurych, choćby się chciało pokryć zasłoną niepamięci wszystkie grzechy i przestępstwa narodowe, nie myśleć o nich w dobie, która otwiera nowe horyzonty szczęśliwej przyszłości, trzeba, niestety, trzeba o tem pamiętać: jak wrogowie niepodległości przedzierzgnęli się dziś w jej „zwolenników", zmieniając swe polityczne maski, tak też każdej chwili mogą do swych masek powrócić. Kto był zdolny do przeciwstawiania się idei bytu niepodległego, ten nigdy nie jest i nie może być zdolny do jej obrony. Kto ją bezcześcił, zohydzał i ośmieszał w czasach niewoli, ten jej swoją dzisiejszą kłamaną obroną *zagraża*. Milcząc, mogli zginąć w niepamięci. To było ich jedyne wyjście i jedyny ratunek. Podnosząc zuchwały głos, domagają się tem samem słów prawdy o całej ich przeszłości.

Moskiewski najeźdzca w chwilach szalonej szczerości składał dowody, że widzi, gdzie jest prawda życia polskiego. Wtedy, tej prawdy nienawidząc i prześladując ją, pogardę wyrażał karkom schylonym. Widział, że Prawda polska chodzi w kajdanach, które jej nałożył i które pękać zaczynają, wbrew całej jego potędze i wbrew jego powolnym w Polsce sługom. Wtedy jawnie gardził służalcami: że nie spełnili dobrze swego zadania.

Jest w „Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego scena straszna, kiedy do uchodzącego z Warszawy wielkiego księcia Kon-

stantego zgłasza się generał Wincenty Krasiński. Nieprzytomny satrapa rzuca mu słowa obelgi i wzgardy, szydzi zeń i pyta: „Wy byliby tacy, żeby rzucić swą sprawę, swoją Polskę rzucić i stać po stronie cara?... Tak wy zdrajcy!“ I dalej:

„Nie łudzę się. Nie, nie chcę. Zostaniem wrogowie.
Tak ja was upokorzyć chcę, — wy, wy panowie!
Dlaczego jeszcze tu? Tam miasto się gotuje.
Tam pożar wre. Powstanie? Szał. Wszyscy orężni.
Błyskawice wstrzymali w pędzie — i potężni!
A wy, — czemu wy tu? — Tak ja się o was boję.
Wy trupy, — — jeśli zemną związani w przymierze.
Wy nie wierzycie w Polskę — ? Co? A ja w nią wierzę!“

Generał Krasiński rzuca dumne słowa urażonego honoru i... i oddaje szpadę. Na to znowu wybucha Konstanty:

„Zostaw ty to! — I waruj tu, jak pies, u moich nóg.
Cha, cha! — Gdy polskie ozwało się serce,
tak ja pokażę wam, kto wasi zdzierce.
Sumienia obrachunek zrobię. Spłacę dług.
Tam pod pokojami Belwederu, tam w lochu
człowiek jest, od lat kilku zamkniony.
Tak to perła. — Tak ty nie czujesz się zarumieniony przedemną?!
Tak ty mówisz, że masz serce i czujesz?!
Ty spojrzyj jemu w twarz“.

Wyprowadzają w łachmanach, w kajdanach na rękach i nogach, Walerjana Łukasińskiego, który mówi:

„Witaj, jutrzenko swobody — — —
Za tobą zbawienia słońce“ — — —

Każdej chwili swego w Polsce panowania mógł Moskal wskazać polskim ugodowcom całe tłumy więźniów polskich i w przystępie wściekłości krzyknąć: Wy im spójrzcie w twarz!..

Nie lękali się takiej chwili. Mieli zawsze gotową odpowiedź, którą i dziś wygłosili: to tylko samozwańcy, wola narodu jest po naszej stronie!..

Był czas, kiedy mieli większość za sobą. Czy to znaczy, że mieli za sobą wolę narodu? W okresach zbiorowego odrętwienia, większość *nie ma* woli. Wolą narodu ujarzmionego może być tylko dążenie do niepodległego bytu. Wszystko, co nie jest tem dążeniem, nie jest wolą, lecz bezwładem, snem

i deprawacją. Wtedy wolę narodu reprezentuje mniejszość, wierna całej przeszłości historycznej narodu i wyrażająca jego prawa niezłomne. Wtedy przedstawiciele większości, zatrutej niewolą, są żywem historycznej woli narodu zaprzeczeniem.

Jeżeli ktoś mówi: „Czcij ojca twego i matkę twoją“, to ma za sobą tablicę przykazań boskich i mówi religijną prawdę, choćby to były czasy Sodomy i Gomory. Jeżeli ktoś mówi: „Naród mój pragnie niepodległego bytu“, to ma za sobą wszystkie swego narodu męczeństwa, wszystkie duchy bohaterów narodowej sprawy, wszystkie walki, wszystkie wojny i powstania, — to mówi prawdę, choćby w jakimś okresie większość narodu popadła w zboczenie myśli i w uśpienie uczucia.

Można mieć w ręku wyraźny mandat, świadectwo pisane, dokument oczywisty, podpisów sto tysięcy i — nie wyrażać woli narodu. W roku 64-ym, kiedy gasło powstanie, szły do Petersburga adresy wiernopoddańcze, 589 adresów ze 104.726 podpisami, z których połowę zebrano wśród tłumów żydowskich. Szlachta i duchowieństwo wysłało adresów 13 z 3220 podpisami. Część adresów wymuszali moskiewscy naczelnicy wojenni, ale— o zgrozo! — tylko część. Dużo było adresów dobrowolnych, z własnego wysyłanych natchnienia. Czy więc ten, kto je do Petersburga zawoził, wyrażał wolę narodu? Czy ówczesny prezydent st. m. Warszawy, ogłaszając w stolicy „Bal polski“ i również wysyłając adres do cara, wyrażał tę wolę, choć mógł mieć większość za sobą? Czy natomiast świętem i szlachetnem wcieleniem woli narodowej nie był ksiądz Brzózka, — tak, jak jest nim dzisiaj pasterz Legjonów, biskup Bandurski? Jest, żyje, działa duch narodu w takich postaciach wcielony i przez nich przemawiający, zaś wszystko, co im przeczy, jest snem, trwogą, zobojętnieniem, biernością, ale nie wolą, nie wolą!

Dawni przedstawiciele dawnej większości przerazili się dzisiaj przerwanego milczenia, — słów, które stanowią nietylko wyraz tęsknot i wyraz pragnień, ale które wskazują jasną drogę czynu. W milczeniu mogli mieć gwarancję swych wpływów na przyszłość; przerwane — niesie im wyrok zagłady. Więc się przerazili, więc się uciekli do dawnych sposobów, nie rozumiejąc, że to, co dawniej dawało im siłę władzy i terroru,

dziś jest już tylko zuchwalstwem, które ich ogromem śmieszy[illegible]. Rzucając dziś słowa o czynach „samozwańczych", [illegible] wspomnienie o całej ich przeszłości, która była [illegible]amozwańczą, w najgorszem znaczeniu tego wyrazu. [illegible] byli samozwańcami, ratującymi honor zmęczonego nieszczęściem i niewolą narodu. Takimi samozwańcami byli od lat stu pięćdziesięciu wszyscy bohaterzy od Konfederatów Barskich począwszy, aż do legjonistów polskich w wojnie obecnej. Na przeciwległym biegunie żyło i działało nieustannie zaprzaństwo — od Targowicy począwszy, aż do współczesnej Narodowej Demokracji i jej sojuszników. Tamtym „samozwańcom" naród stawia pomniki, czci ich i uwielbia, tych strąca w otchłań pogardy. Taki jest sąd historji polskiej, sąd sprawiedliwy.

Tak się wyraża wola historyczna Polski.

„Kłamstwu Bóg nie błogosławi" rzekł Mickiewicz. Nie błogosławi też milczeniu. Na Niemej Sesji grodzieńskiego sejmu, na znak protestu — milczano. Na wszystkie zapytania zagranicznych posłów — milczenie deputatów polskich było jedyną odpowiedzią. Wtedy wstał zdrajca Ankwicz i oświadczył, że to milczenie oznacza zgodę, a na to tylko, z ołówkiem w ręku, czekał Rautenfeld. I nowy rozbiór Polski podpisano. Kiedy naród milczy, zawsze się znajdą Ankwicze, którzy tak jego milczenie wytłomaczą i zawsze się znajdą wrogowie, którzy na takie „wyjaśnienie" czekają!

W głośnej, nieskrępowanej woli narodu brzmi wyrok na zaprzańców. Ten wyrok usuwa ich z drogi, na której rodzi się polski czyn wyzwoleńczy.

30 Września 1916 r.

DWIE OPINJE.

„Dziennik Narodowy" przytacza dwie opinje włoskiego pisma „Popolo d'Italia" o Rumunji. To zestawienie dwóch artykułów jednego i tego samego pisma na ten sam temat jest wyjątkowo jaskrawym przykładem tej „prawdy" jaka się tworzy na potrzeby polityczne danej chwili.

Przed wypowiedzeniem wojny przez Rumunję „Popolo d'Italia" pisał:

„Już raz wreszcie należy przestać nazywać Rumunję naszym brat-

nim narodem. To nie są Rzymianie, choć przyozdabiają się tą szlachetną nazwą. Są oni mieszkańcami dawnych barbarzyńskich ludów, ujarzmionych przez Rzymian, ze Słowianami, Pieczyngami, Chazarami, Awarami, Tatarami, Mongołami, Hunnami, Turkami i Grekami, to też łatwo sobie wyobrazić, jaka wytworzyła się z tego banda. Rumun jest jeszcze dzisiaj barbarzyńcą i indywiduum mniej wartościowem, małpującym Paryżan, ku powszechnemu oburzeniu Francuzów oraz chętnie łowiącym ryby w nętnej wodzie, gdzie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, przed którem on zresztą, o ile możności, schodzi z drogi. To zresztą pokazał już w roku 1913-tym".

Po wypowiedzeniu wojny przez Rumunję państwom centralnym, ten sam dziennik pisał co następuje:

„Rumuni dowiedli obecnie w najświetniejszy sposób, że są godnymi synami dawnych Rzymian, od których oni tak samo pochodzą, jak i my. Są oni więc naszymi najbliższymi braćmi i teraz z właściwem sobie męstwem i stanowczością przyłączają się do walki rasy łacińskiej i słowiańskiej z germańską, to jest do walki o wolność, kulturę i prawo przeciw pruskiej tyranji, żądzy panowania, barbarzyństwu i egoizmowi. Podobnie jak w r. 1887 pokazali oni, czego przy boku naszego walecznego sprzymierzeńca rosyjskiego mogli dokonać przeciw tureckiemu barbarzyństwu, rzucą oni swój ostry miecz na szalę przeciw austro-węgiersko-niemieckiemu barbarzyństwu i niekulturalności i szalę tę przeważą. I nie można było spodziewać się czego innego po narodzie, który ma zaszczyt należeć do rasy łacińskiej, jaka niegdyś panowała nad światem".

Możnaby zrobić tysiące tego rodzaju zestawień z artykułów, pisanych w czasie wszechświatowej wojny.

Pragmatyzm Wiliama Jamesa i jego teza, że prawdą jest to, co jest pożyteczne, ma swoje najmocniejsze zastosowanie w dziedzinie polityki międzynarodowej.

6 Października 1916 r.

NASI MÓWCY.

Szereg wieców politycznych w Warszawie przesunął przed nami wszystkie kategorje naszych mówców.

Możnaby już dać kilkadziesiąt sylwetek mówców, uwydatniając wszystkie ich cechy indywidualne. Niema bowiem dwóch mówców jednakowych, tak jak w naturze niema dwóch jednakowych rzeczy.

Daje się uczynić ogólne spostrzeżenie, a mianowicie: szybki postęp. W porównaniu z okresem wyborczym mowy są już

lepsze. Nawet tak krótkie doświadczenie posunęło wielu mówców o duży krok naprzód. Wróży to dobrą w tej dziedzinie przyszłość.

Do najlepszych w Polsce mówców wiecowych należy p. *Tadeusz Szpotański.* Ma zawsze dobrą, czasami świetną konstrukcję przemówienia. Nie uderza odrazu w ton najwyższy, ale miarowo potęguje treść i formę, dochodząc sprawnie i z rozmachem do punktów kulminacyjnych, które — dodajmy — m u s z ą wywoływać burzę oklasków. Muszą, bo taka jest psychologja tłumu. Tym rysem psychologicznym operował najgenjalniej Jaurès. Budowa okresów w jego przemówieniach była cudowna. Okres, trwający niekiedy parę minut, miał wspaniałą architektonikę; słuchacz w najwyższem napięciu uwagi i w stanie zachwycenia wznosił się uczuciem coraz wyżej, aż przy ostatnich słowach takiego okresu dawał wyraz swojemu entuzjazmowi przez długo niemilknące oklaski i okrzyki. Wtedy Jaurès odpoczywał. Ale był to mistrz niedoścignony. Mówca tego typu, co p. Szpotański, powinien czytywać mowy Jaurèsa, pokrewne duchem i rodzajem. Może zresztą czytuje.

Do lepszych mówców należy również p. *Artur Śliwiński.* Mówi — że tak powiem — „wprost do druku"; prawidłowo, doskonałym stylem; treść skondensowana, bez zbędnego nadmiaru słów. Wywołuje zwykle silne wrażenie, choć niewątpliwie byłoby ono znacznie silniejsze, gdyby nie jedna wada: choć mocny, ale monotonny głos i stale patetyczny ton, nawet w miejscach o treści niepatetycznej.

Z przyjemnością słucha się p. *Eugenjusza Śmiarowskiego,* chociaż właściwie nie jest to mówca wiecowy. Niema zwrotów obliczonych na wielki efekt. Za to całe przemówienie jest zawsze treściwe i lapidarne. Każde jego przemówienie byłoby doskonałym artykułem, choć p. Śmiarowski nie jest publicystą. Potwierdza się tu fakt, że można znacznie lepiej mówić, niż się pisze i odwrotnie.

P. *Medard Downarowicz* ma dużą wprawę we władaniu tłumem i w graniu na jego najczulszych strunach, Rzuca on szereg zdań, luźnie ze sobą powiązanych, ale dość mocnych, żeby tłum podniecić. Szkoda, że czasem przeciąga strunę pato-

su i uderza w ten ton tragiczny, który jest dla mówcy zawsze najbardziej niebezpieczny: pocisk może spalić na panewce.

Ogólnie lubianym mówcą jest p. *Wacław Makowski.* Jest to raczej prelegent, niż mówca wiecowy. Formę ma wytworną. Mówi spokojnie, ale spokój ten nie jest jednoznaczny z brakiem temperamentu. Ma dużo pięknych porównań i dużo obrazowości. Słuchacz wyczuwa w nim zawsze głęboką szczerość, ceni też indywidualność całkiem wybitną.

W rzędzie mówców ludowych jedynym z wybitniejszych jest p. *Barlicki.* Mówi z niesłychaną werwą i szybkością. Umie rozbudzić wsród słuchaczów gniew i oburzenie na obozy nieprzyjazne. Przytacza wiele efektownych przykładów, szkoda tylko, że zbyt często powtarza słowa o „krwi proletarjatu“ i t. p., monotonją zabijając efekt grozy.

Bardzo wytrawnym mówcą jest *Wacław Sieroszewski.* Daje zawsze treść niebanalną. Argumenty pogłębia wieloma przykładami historycznymi, które dobiera wysoce umiejętnie. Dobry przykład i zręczna analogja to jedna z największych zalet wiecowego przemówienia. Sieroszewski ma chwile doskonałego natchnienia. Porywając tłum, sam się daje porywać wytworzonemu nastrojowi.

Znany działacz ludowy, p. *Nocznicki* wywiera na tłum głębokie wrażenie nadzwyczajną prostotą i bezpretensjonalnością. Przemawia „do zdrowego rozumu“, stara się słuchacza przekonać, a nie tylko podniecić. Ma przytem dużą swobodę. Indywidualną cechą tego mówcy jest ton pewnej serdeczności, sympatycznie przez tłum przyjmowanej.

Poza działaczami politycznymi mamy też wielu zdolnych mówców. Naprzykład — p. *Aleksander Zelwerowicz.* Nie posiada jeszcze dużej wprawy, ale zdobywa się chwilami na świetny aforyzm. Np.: „Kto się nie budzi nawet wtedy, kiedy mu się obudzić wolno, ten nie jest już śpiochem, ale trupem”. A trzeba zauważyć, że dobry aforyzm, to największa zaleta krasomówstwa. Tłum zawsze zachwyca się twierdzeniem, ujętem w formu zręcznego aforyzmu i odczuwa je jako argument bezapelacyjnie słuszny.

Oto kilka uwag o naszych przemówieniach wiecowych. Może kiedyindziej uzupełnimy je dalszym szeregiem przykładów.

Chciałbym też scharakteryzować przemówienia p. *Józefa Wasercuga,* ale powstrzymuje mnie wzgląd na ...blizkie pokrewieństwo. [1])

8 Października 1916 r.

WESOŁOŚĆ WIĘŹNIÓW.

Pan Czekalski w swej sztuce „Na Ratuszu" pokazał wesołą stronę życia w więzieniu rosyjskiem w Polsce.

Istotnie. Było czasem wesoło. Piszący te słowa przesiedział podczas wojny obecnej parę miesięcy w „Bristolu" przy ulicy Daniłowiczowskiej i poznał dokładnie czynniki więziennej wesołości.

Z chwilą, kiedy człowiek zdał sobie dokładnie sprawę ze swego położenia i zrozumiał, że w tej formie jego bytu czynnik własnej woli został radykalnie przekreślony, że zrobią z nim co chcą, a żadne protesty nie pomogą, — z tą chwilą popadał częstokroć w stan pogodnej rezygnacji. Był przytem zwolniony od wielu, wielu trosk i cierpień życia „na wolności". Do tej specyficznej pogody ducha przyczyniał się również brak ustawicznej w owych czasach trwogi, że można być każdej chwili aresztowanym. Pierwszą noc spokojną od wielu miesięcy przespałem w więzieniu. A wiadomo, że dobry sen jest podstawą dobrego humoru...

Groza położenia jest znacznie pomniejszona przez poczucie wspólnej doli z towarzyszami tego lokalu. Jest mi tak, jak innym. Wszyscy jesteśmy tu równi. W życiu „na wolności" człowiek człowiekowi wilkiem, tu zaś niema powodów do walki, jest za to sto powodów do wzajemnego wyświadczania sobie usług, do niesienia sobie ulgi. Ludzie w więzieniu są dla siebie lepsi, szlachetniejsi i solidarniejsi. Osładzanie sobie pobytu w więzieniu jest łącznem dążeniem wszystkich. Ludzie są tu tolerancyjniejsi, głębsi w sądach, przenikliwsi i subtelniejsi w ocenianiu wad i zalet bliźniego. Łączy ich przedewszystkiem poczucie wspólnego wroga.

Gdyby w Polsce, za czasów moskiewskich, w życiu „na wolności" to poczucie było tak silne, jak w więzieniu — a takiem powinno było być — życie polskie oddawna wyglądałoby inaczej.

Byłoby — powiedzmy — weselsze...

14 Października 1916 r.

---

[1]) *Przypisek późniejszy.* Artykuł ten, jak i wiele innych, podpisany był pseudonimem: Obserwator.

CHWILA OBECNA.

Jeżeli wolno jakiemś krótkiem określeniem scharakteryzować ogólny nastrój miljonowego miasta, pełny jeszcze sprzeczności, wahań, sądów rozbieżnych, walk partyjnych i wielu, bardzo wielu nieporozumień; jeżeli mimo to, wolno uwypuklić ton, górujący w życiu duchowem stolicy w chwili obecnej, to chyba nie omylimy się twierdząc, że tym tonem jest uczucie wyczekiwania nowej przyszłości.

Posiada to uczucie różne formy i rozmaite cechy.

W czasach ostatnich łatwo daje się spostrzedz, że owo wyczekiwanie wchodzi w fazę aż nadto zrozumiałego zniecierpliwienia.

Są atoli jeszcze środowiska, żyjące pod znakiem bierności, rezerwy i fatalistycznego zdawania się na bieg rzeczy od nas niezależnych. Te środowiska zdołały już wychować w sobie taki stopień cierpliwości, który nie jest ani rozwagą, ani przezornością, lecz graniczy z zupełnem przekreśleniem znaczenia czynnika własnej woli w tworzeniu się nowej rzeczywistości życia polskiego. Nauczyły się deprecjonować, lekceważyć własną wolę i w niej już nie widzą nie tylko najgłębszego, ale i jakiegokolwiek źródła naszego odrodzenia. Czekają na przyszłość, jak fataliści: co ma przyjść — przyjdzie... Qui vivra — verra...

Już bliżej świadomego, twórczego życia stoi ten typ obywatela Warszawy, który szuka dróg własnowolnego czynu, chociaż zamyka go wyłącznie w granicach rzeczy kulturalnych, negując wszelką wartość poczynań politycznych w chwili obecnej. Można nawet stwierdzić ten rys charakterystyczny, że w obozach politycznie biernych, odbywa się coraz żywsza praca kulturalna, że w tej dziedzinie robią one bardzo dużo rzeczy dobrych i pożytecznych. Niewątpliwy zapał, z jakim żywioły politycznie bierne, prowadzą roboty kulturalne, pośpiech w wynagradzaniu straconych dla narodu lat niewoli, — do pewnego stopnia jakgdyby równoważy ich brak ambicji politycznych, daje im pewien spokój moralny, że choć politycznie bezczynni i zrzekający się w tej mierze wszelkich poczynań i wszelkiej inicjatywy, tworzą dobra kulturalne o niewątpliwej, bezapelacyjnej wartości w każdej sytuacji i bez względu na wszystko, co nam niesie

przyszłość. W tych środowiskach uczucie wyczekiwania przyszłości jest, że tak powiem, spokojne...

Do trzeciej kategorji możnaby zaliczyć te bardzo liczne warstwy stolicy, które pod wpływem zgromadzeń, wieców, rezolucji i odezw, ujawniają coraz większą gotowość do udziału w życiu politycznem, a co najważniejsza, coraz większa gotowość do ofiar i poświęceń dla sprawy narodowej. Wspomniane bowiem wiece i liczne zgromadzenia polityczne pokazały, jak wielka jest wrażliwość tłumów Warszawy nietylko na hasła ogólne, ale i na słowa, wskazujące wyraźnie i niedwuznacznie drogę ofiarnego czynu. Hasła ogólne już się w najszerszych warstwach przyjęły. Budząc niedawno entuzjazm, dziś raczej spowszedniały — w tem dodatniem znaczeniu, że już się w świadomości stolicy utrwaliły. Słowa np. o państwie polskiem, przyjmowane rok temu, a nawet przed kilkoma miesiącami, z prawdziwym zapałem, dziś są postulatem powszechnym, który już nie może być przedmiotem gorętszej agitacji. Takim natomiast przedmiotem są sprawy, związane z drogą czynów pozytywnych, realnych, jak np. sprawa armji polskiej. Już nie hasło, lecz tego hasła precyzowanie pociąga tłumy na zebraniach politycznych w Warszawie. Warstwy *budzące się* do nowego życia politycznego, *pragnące* działać i walczyć, domagające się wskazań realnych na dzień dzisiejszy — to żywioł coraz w stolicy silniejszy. Tworzy t. ? coraz wdzięczniejszy grunt dla czynnej polityki polskiej. Niestety, jest jednocześnie przeorywany przez różne pługi polityczne, różnemi rękami prowadzone. Ta jednak faza sprzeczności na polu polityki czynnej jest wielkim krokiem naprzód w zestawieniu z niedawną jeszcze, powszechną niemal biernością. Żywioły objęte różnymi wpływami — wprowadzane są tak czy owak na teren czynu. Uczucie wyczekiwania przyszłości jest wśród tych żywiołów coraz żywsze, choć najczęściej żyją one dotychczas pogłoską, błędem, nasłuchiwaniem. Ale jest to już wyczekiwanie czujne...

Dzieląc Warszawę według cech tego wyczekiwania jutra, stwierdzić musimy, że na innym biegunie, w porównaniu ze wspomnianym martwym fatalizmem, na drugim krańcu psychologicznym, coraz mocniejszy głos zabiera ta niecierpliwość, która częstokroć przekracza granice rozwagi i rozsądku. Wielkie

i tragiczne paradoksy, jakich jesteśmy świadkami w obozie czynu, wywierają też silny efekt na życie polityczne Warszawy. Załamania, jakie w tym obozie nastąpiły, zwroty i kryzysy tak podnieciły ową niecierpliwość, że na jej tle rodzą się wnioski najbardziej opaczne. W imię tworzenia rzeczy większych, wzrasta chęć jaknajszybszego zlikwidowania jedynych zawiązków tych właśnie rzeczy większych. Ta taktyka budzi w tej chwili największe uznanie wśród żywiołów biernych, które przedewszystkiem pragną zniszczenia *wszelkich* zawiązków samodzielności politycznej polskiej podczas wojny. Obozy rezerwy i bierności, mimo całej różnicy, jaka ich dzieli od obozów czynnych, zdobywają tu mocny atut i zwiększają swoje wpływy. Na tem tle odbywają się paradoksalne zbliżenia i rodzą się sympatje, pogłębiające zamęt pojęć. Niecierpliwość tedy jednego odłamu, ów stopień niecierpliwości — budzi w odłamach aż nadto cierpliwych, bo całkowicie biernych, największe uznanie, bowiem narazie przynajmniej, w skutkach realnych i aktualnych daje zwycięstwo argumentom rezerwy przez przekreślanie dotychczasowych wysiłków. Co będzie w najbliższej przyszłości — niewiadomo, tymczasem nasze racje znalazły potwierdzenie w obozie naszych przeciwników — taki jest wniosek wszelkiego autoramentu „neutralistów“ i pasywistów. Różnice w pobudkach i celach zupełnie zacierają się w świadomości szerszych warstw ogółu. I tak, niestety, być musi. Opinja nie wnika w komentarze. Dany fakt zaopatruje w komentarze, zgodne ze swymi chęciami i celami, i tym faktem również zgodnie ze swymi celami operuje. Wszystko wprawdzie, każdy czyn w życiu politycznem może być nadużywany przez nieścisłą lub wręcz fałszywą intrerpretację, wszakże *ułatwianie* w chwili obecnej zwolennikom bierności ich roli, wzmacnianie ich wpływów, dawanie im nowych atutów może się okazać błędem politycznym bardzo wielkim. Takie też przekonanie panuje w szerokich kołach politycznych Warszawy.

Jeden z naszych najwybitniejszych publicystów tak powiedział do piszącego te słowa: kto oświadcza, że gasi lampę, *bo* wschodzi słońce, ten mówi i robi mądrze, lecz cóż powiedzieć o kimś, kto gasi lampę, *żeby* słońce wzeszło?..

Parę uwag powyższych wypowiadam może w sposób zbyt ogólnikowy, lecz chodziło mi tylko o wskazanie różnych cech tego wyczekiwania przyszłości, które jest dziś w życiu Warszawy uczuciem górującem.

29 Października 1916 r.

Z NASTROJÓW WARSZAWY.

Lotem błyskawicy rozeszła się wieść o powrocie delegacji polskiej z Berlina i z Wiednia. Członkowie delegacji byli oblegani przez znajomych i przez przywódców stronnictw w celu zasięgnięcia informacji.

Od dnia tego podniecenie Warszawy wzrastało. Nie obeszło się też bez wielu błędnych informacji i pogłosek. Wszędzie — w instytucjach społecznych, lokalach partyjnych, teatrach i kawiarniach, toczyły się ożywione rozmowy na temat dni najbliższych.

W parę godzin po przyjeździe delegacji, rozmawialiśmy z posłem Łempickim, winszując mu spełnienia, wraz z innymi członkami delegacji, — roli historycznej.

„To tylko obowiązek ludzi zdecydowanych i zdolnych do oceny sytuacji" — rzekł p. Łempicki.

W dniu przyjazdu członkowie delegacji składali w różnych ugrupowaniach sprawozdania. W Lidze Państwowości polskiej, wobec Centralizacji i Zarządu, składał relacje burmistrz, Zygmunt Chmielewski. Nazajutrz udzielił informacji na ogólnem zgromadzeniu członków.

* * *

W piątek ubiegły rozpoczęły się gorączkowe przygotowania wśród organizacji politycznych dla godnego przyjęcia aktu państw centralnych. W wielu instytucjach odbyły się zebrania.

Nastrój podniecenia i nadziei wzmagał się w stolicy co godzina z chwilą otrzymania informacji, że akt państw centralnych ogłoszony będzie nieodwołalnie dzisiaj.

„Czy naprawdę? Czy to możliwe?" — Te pytania słyszano wszędzie. Nie dziw, że po stuletniej niewoli szerokie koła społeczeństwa jakby niedowierzały możliwości wielkiej chwili, od której rozpoczyna się odbudowa niepodległego Państwa Polskiego.

Wieczorem lokal Ligi Państwowości Polskiej był po brzegi wypełniony członkami. Ustalono na tem zgromadzeniu udział Ligi w uroczystościach dzisiejszych.

W Klubie państwowców polskich odbyła się, również w przepełnionej sali, konferencja polityczna z przemówieniami pp. Józefa Wasercuga, Zygmunta Makowieckiego i Władysława Studnickiego. Były to ostatnie zgromadzenia polityczne w Warszawie przed aktem, odwracającym kartę naszych dziejów.

* * *

Wczoraj we wszystkich organizacjach politycznych odbywały się gorączkowe przygotowania dla należytego przyjęcia dzisiejszego aktu i zorganizowania uroczystości.

5 Listopada 1916 r.

WITAJCIE![1]*).*

Witajcie, żołnierze polscy!

Niechaj błogosławioną będzie chwila, w której pułki żołnierzy polskich wkroczyły do stolicy. Niechaj dzień ten rozpocznie nową erę w życiu duchowem Warszawy, dawną jej chwałę i dawną świetność przywracając.

Ku niej to, ku stolicy Polski tęsknił polski żołnierz, stanąwszy do boju o wolność i niepodległość Ojczyzny. Była mu ta tęsknota towarzyszką nieodłączną trudu wojennego i czynów bohaterskich i śmierci rycerskiej.

Ku niej to, ku Warszawie, zwracały się oczy żołnierza, gdziekolwiek walczył, każde zwycięstwo swoje śląc jej w darze i wiedząc, że nadejdzie, że nadejść musi ta chwila wiekopomna, kiedy tu przybędą pułki polskie i powitają miasto królewskie i powiedzą mu, co czyniły czasu wszechświatowej wojny, żeby sprawić cud zmartwychwstania Narodu, żeby kres położyć nocy dziejowej, kajdany rozerwać, byt niepodległy wywalczyć.

---

[1]). *Przypisek późniejszy:* W dniu 1-ym grudnia 1916 r. uroczyście wkroczyły do Warszawy pułki 3-ci i 4-ty drugiej brygady oraz 2-gi pułk ułanów Legjonów polskich.

„Nikt im iść nie kazał... Poszli, bo tak chcieli,
bo takie dziedzictwo wziął po dziadku wnuk.
Nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli,
za co idą walczyć, komu płacić dług“...

Wita was teraz miasto królewskie, wierni synowie Ojczyzny!

Radość stolicy i wzruszenie narodu, że przybywacie tu, orlęta polskie, że przybywacie pełni chwały nieśmiertelnej, ta chwila uroczysta i święta, kiedy na widok Waszych zastępów, zadrżało serce Warszawy, a zewsząd słyszeliście słowa czci, hołdu i podzięki, — niechaj Wam będzie dowodem, że to Wasze jest zwycięstwo, że to Wy, Wy pierwsi uratowaliście honor Narodu, że czyny Wasze wyryte będą w pamięci pokoleń, jako czyny Zbawienia, budzące Polskę po latach niewoli i letargu do nowego życia, — by była wolna i potężna.

Niechaj Bóg błogosławi dalsze Wasze boje z odwiecznym wrogiem, któremu wzbronicie dostępu w granice niepodległego Państwa Polskiego.

Niechaj siły Wasze wzrosną w potęgę niezwyciężonej armji polskiej, która zatrwoży Moskwę i świat przyprawi o zdumienie,

...„że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
ale z piorunów ma ręce i wieniec —
gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec”!

1 Grudnia 1916 r.

WKROCZENIE LEGJONÓW DO WARSZAWY.

Przyszli...
Doczekała się stolica chwili wiekopomnej.
Wojsko polskie wkroczyło do Warszawy!

Sen to, czy jawa?... Jeszcze się trudno oswoić z nową rzeczywistością życia polskiego. Jeszcze trudno uwierzyć oczom własnym, oczom polskim, na których tyle lat, tyle strasznych lat spoczywała ręka ciemięzcy...

Własne, nasze wojsko, witane w stolicy!

Uprzytomnić sobie dobrze tę prawdę radosną, to znaczy rozpocząć nowe życie, przekroczyć granicę dwóch epok: lat niewoli i drogi, prowadzącej ku niepodległemu bytowi narodu. A taką przekraczając granicę, trzeba zrozumieć i odczuć, co należy pozostawić grobom epoki minionej i z czem iść w jasną, nową przyszłość... Trzeba być o tyle większym w swej duszy i w sercu swojem, o ile szczęśliwszą jest wolność od niewoli...

Serce narodu, stolica, wraca do swej wielkości. Wita wojsko polskie, dzieci swoje najlepsze, synów Ojczyzny najwierniejszych.

Kiedy w dniu dzisiejszym przez bramę tryumfalną przeszło wojsko polskie, to padła — jak kamień przez Boga rzucony na szaniec — klątwa na czasy niewoli i uczynione zostało wielkie, wielkie błogosławieństwo czasów przyszłych — Polski zmartwychwstającej.

Wszyscy chwiejni i wątpiący! Teraz zrozumcie, że ci świetni chłopcy, ta młodzież cudownie i mądrze szalona, to młode wojsko polskie jest największą nadzieją i chlubą narodu, przebudzeniem narodowej wiosny i najprawdziwszą, najsilniejszą gwarancją odrodzenia Polski niepodległej.

Kiedyś... kiedyś, po wielu latach opowiadać będziemy synom i wnukom naszym, cośmy przeżywali w dobie spełnienia się proroctwa Mickiewicza, że „sprawa polska powołana będzie na sąd świata nie inaczej, niż czasu powszechnej politycznej burzy“; opowiadać będziemy, jak to było, kiedy za broń do boju z Moskwą chwyciła garść najlepszych, jak to było, kiedy w uroczystym marszu wkroczyły do Warszawy Legjony polskie i jak je stolica witała.

A wtedy syn zapyta ojca, a wnuk zapyta dziada, co czynił czasu takich wielkich rzeczy dziejących się w Ojczyźnie... I tak tworzyć się będzie sąd historji polskiej nad współczesnem polskiem pokoleniem.

A na tej historji trybunale sprawiedliwym wieczystą i w pamięci pokoleń wyrytą pozostanie prawda, że Warszawa w chwili obecnej wznosi się na wyżyny przełomu dziejowego.

1 Grudnia 1916 r.

ODEZWY.

Mam wrażenie, że w Warszawie wychodzi za dużo odezw, że na murach miasta widnieje za dużo wezwań, deklaracji i ostrzeżeń. Od pewnego czasu główną troską różnych ugrupowań politycznych u nas jest to, kiedy i jaką wydać odezwę. Naliczyłem ich w ciągu dziesięciu dni zgórą trzydzieści, jeśli pominąć różne kartki i karteczki.

Czasy są gorące. To prawda. Ale są poważne, nad wyraz poważne. A widowisko plakatowe u nas poważne nie jest. Nawet, nie obrażając autorów, powiem, że jest to widowisko gorszące. Nie mówię już o odezwach niepodpisanych. Te są obrzydliwością, są dokumentem tchórzostwa i małoduszności, liczą na głupotę tłumu, który wierzy ślepo w słowo drukowane.

Lecz i oświadczenia podpisane są złem wielkiem, jeśli ich cechą zasadniczą jest tylko krzykliwość. Gapi się na taką odezwę przechodzący ulicą obywatel, czyta ją i wyprowadza taki „twórczy" wniosek: „A to im dopiekli" lub: „Mocno napisane". Potem czyta drugą odezwę, potem trzecią i dziesiątą i wciąż wysnuwa równie głębokie wnioski. Ogromnie się w ten sposób kształci!

Choćbyś, obywatelu, przeczytał sto takich odezw, głowę będziesz miał równie pustą potem, jak przedtem, jeśli się na tej lekturze ograniczasz. Jeśliś wrażliwszy, we łbie ci się zrobi zamęt, że już stracisz zdolność rozumienia rzeczy drukowanej. Gdzie prawda, a gdzie kłamstwo, gdzie rozum a gdzie głupota, gdzie rozwaga, a gdzie zacietrzewienie — na te pytania nie znajdziesz odpowiedzi w literaturze plakatowej. Jest już za obfita. Nie doradzam ci, byś jej nie czytał wcale, ale żebyś się starał dojść do przekonania, czego czytać nie warto. A do tego dojść można, głębiej wnikając w nastroje dnia dzisiejszego, w splot stosunków politycznych chwili obecnej, w treść istotną walk i starć partyjnych. Nie szukaj tej treści ani wyłącznie w odezwach, ani wyłącznie na wiecach, bo one są często tylko kurzem agitacyjnym na drogach życia politycznego. Szanuj oczy, żebyś nie stanął bezradny na rozdrożach.

Gdyby u nas bardziej było rozwinięte poszanowanie słowa drukowanego, mniej byłoby odezw, oświadczeń i nawoływań. Są konieczne, ale ta dawka może się okazać dla obywateli Warszawy za dużą i przyprawić ją o duchową niestrawność. Jeszcze je dziś obywatel warszawski czyta i ogląda, ale jutro machnie ręką i nawet zdaleka na słup ogłoszeniowy nie spojrzy.

Co za dużo — to nie zdrowo.

Stare przysłowie, ale dobre.

3 Grudnia 1916 r.

DUCH SEKCIARSTWA.

Nad życiem Warszawy od pewnego czasu unosi się zły duch.

Jest wszędzie: na zgromadzeniach publicznych, na naradach, w mózgach publicystów politycznych, w redakcjach, na ulicy, w instytucjach społecznych i w domach prywatnych.

To — duch sekciarstwa.

Jak Aryman ma swoje Dewasy, tak i on rozporządza dla swych celów tysiącami ludzi, którym oczy zapala nienawiścią, mózg pomniejsza bezmyślnością i serca truje potrzebą intrygi. Krząta się taki człowiek w ustawicznej gorączce, chwyta każdą plotkę i każde oszczerstwo, jako pokarm najsłodszy i z miną apostoła darzy niem naiwnych. Albo cichaczem siaduje po kątach, patrzy z podełba, słuch wytęża i obmyśla, co sfałszować, czyje odezwanie się zmienić nie do poznania, komu nogę podstawić.

Terenem potężnej władzy sekciarskiego ducha stają się nasze partje polityczne. Tam to wsączył ów duch najwięcej trucizny, tam poczynił największe spustoszenia i najokropniejszy zamęt.

Nietylko całe obozy zajęły postawę zacietrzewionych kogutów, gotowych każdej chwili do skoku, żeby przeciwnikowi zadać cios najcięższy, nietylko całe ugrupowania stronnictw, za przeproszeniem, użerają się w sposób wręcz ohydny, ale i w łonie każdego stronnictwa z oddzielna potworzyły się odłamy i odłamki, grupy i grupki, wzajem się zwalczające i już coraz mniej dbające choćby o pozór solidarności nazewnątrz.

Może to jest konieczny kryzys, poprzedzający ukształtowanie się nowych ugrupowań politycznych w nowych warunkach. Do pewnego stopnia — tak. Ale tylko — do pewnego stopnia. Dużą i przeklętą rolę odgrywa tu duch sekciarstwa, karmiący się fikcyjnemi różnicami, uprzedzeniem, nieporozumieniem i złą wolą. Nietylko. Niemasz dla tego ducha lepszej strawy, niż głupota ludzka, a jak wiadomo, ta głupota nie ma granic. Pojęcie nieskończoności zrodziło się pewno w umysłach ludzi mądrych, kiedy zaczęli badać ludzką głupotę. Połączona ze złą wolą, hamuje postęp świata, robi życie nieznośnem i wstrętnem.

Jeżeli ktoś powiada, że pięć razy sześć jest czterdzieści, to znaczy, że nie umie rachować, ale nie jest łotrem. Jeżeli ktoś się w swoich sądach myli, to nie znaczy, że jest wrogiem narodu. A jeżeli ktoś wyznaje inne poglądy, niż ja, to nie mam jeszcze powodu, żeby go traktować, jak zdrajcę i sprzedawczyka. I wreszcie, jeśli mój przeciwnik mówi, że dwa razy dwa jest cztery, to mu muszę przyznać słuszność, choćbym się naraził na podejrzenie ze strony moich współpartyjników, że kokietuję inny obóz i zaczynam zdradzać program polityczny mojego stronnictwa.

Tych pewników sekciarz nie uznaje. A namnożyło się tego stworzenia ostatniemi czasy bez liku.

Trzeba je tępić, jak epidemję!

4 Grudnia 1916 r.

SZCZĘŚĆ BOŻE!

Były czasy, kiedy podpis Romana Dmowskiego pod jakimś artykułem czy enuncjacją miał pewne znaczenie polityczne.

Miał p. Dmowski swoją dobrze zorganizowaną klikę zwolenników, którzy potrafili terroryzować opinję społeczeństwa. Dla tych politycznych rzędzianów Dmowski był wyrocznią, jego artykuł — drogowskazem, jego rozkaz — czemś, co ślepo należy wykonać. A choć sam on niejednokrotnie śmiał się z „potęgi" swego wpływu, — jest to bowiem największy w Polsce cynik i komedjant, — choć się często niepochlebnie o najbliższych towarzyszach partyjnych wyrażał, umiał utrzymywać swoje kadry w karności i posłuszeństwie. Więc podpis p. Dmowskiego miał znaczenie sztandarowe.

Ale to było już dawno. Teraz musi autorytet swego nazwiska wzmacniać nietylko nazwiskami hrabiów polskich na emigracji, ale i pierwszych lepszych, nikomu nieznanych chodzików zagranicznych.

Paryska „Polonia" ogłasza w № 42 z dnia 18 listopada dalsze nazwiska osób, które podpisały protest lozański Dmowskiego i jego przyjaciół (protest ten, jak już wiadomo, Henryk Sienkiewicz odtrącił ze wstrętem). Mamy tu nazwisk kilkadziesiąt, z pośród których trzy, cztery są w Polsce znane. Reszta, — to jakaś nieznana zbieranina, ostatecznie ośmieszająca całą akcję protestowiczów. Są tam pp. Kucinskos, Trutchel, Kotkowski, Gadziński, Kokorek, Spalter, Leibel, Piotruszyński, Zwolakowski i t. d. — cały szereg osób, które niewątpliwie po raz pierwszy w życiu „stoją w gazecie".

Ale jest również parę postaci dobrze znanych na bruku paryskim, jak np. Ignacy Urbach i Adolf Basler, którzy mają tam już ustaloną, niezbyt świetną opinję... Ci też stanęli u boku Dmowskiego i też „protestują" przeciw aktowi 5 listopada!

W spisie nazwisk, ogłoszonych w „Polonji" jest jedno — ciekawe. To pani Selah - el - Din - Grodecka.

To arabsko-polskie nazwisko ma swoją wymowę. Arabskość w tej osobie przeważyła nad polskością, płonie bowiem świeżą wdzięcznością dla koalicji za „gwarancję" niepodległości... Arabji i może przeciwstawiać się niepodległości Polski, a więc i poprzeć akcję p. Dmowskiego.

Co do Arabji, właśnie „Frankfurter Zeitung" zamieściła artykuł p. t. „Polen und Arabien", w którym zwraca uwagę, że p. Stuermer nie zawsze się stanowczo opiera tworzeniu nowego państwa podczas wojny. Stuermer naruszył mianowicie dnia 7 b. m., a więc dwa dni po proklamacji państw centralnych „podstawową zasadę prawa międzynarodowego", gdyż wedle pism petersburskich, wysłał on w dniu tym telegram gratulacyjny do ministra spraw zagranicznych niepodległego państwa Arabji, którego proklamację koalicja na kilka dni przedtem radośnie powitała. W telegramie tym wyrażona jest ministrowi Abdul-Ahowi radość Rosji z tego powodu, że „szlachetny naród arabski przystąpił do tych

mocarstw, które walczą o zasady sprawiedliwości i ludzkości". Pismo żąda od prasy rosyjskiej wyjaśnienia, dlaczego Stuermer Polakom nie chce przyznać chociażby tej swobody decyzji, jaką przyznaje Arabom i dlaczego akt, uczyniony przez mocarstwa centralne jest naruszeniem „podstawowych zasad prawa międzynarodowego", zaś akt, pochodzący od Anglji, staje się „walką o zasady sprawiedliwości i ludzkości".

W takich to okolicznościach powstała nowa spółka polityczna: pan Roman Dmowski i pani Salah - el - Din - Grodecka.

Szczęść Boże!

5 Grudnia 1916 r.

FANATYCZNE GŁOWY.

Są ludzie, którzy potrafią bić fanatyczną głową o mur rzeczywistości, tej funkcji poświęcać całe swe życie i nigdy nie zrazić się okolicznością, że w owym murze nie zrobili najmniejszej nawet szczerby.

Dana ideologja może opierać się na tendencjach historycznych i socjalnych, istniejących dopiero w zarodku; może wybiegać w najdalszą przyszłość, negując do pewnego stopnia istniejący stan rzeczy i przyspieszając rozwój tych tendencji przez odpowiednią, świadomą akcję. Nie będzie to przeczenie rzeczywistości, lecz wzmacnianie tempa historycznego, wzmaganie motoru dziejów ludzkich, pchanie świata naprzód przez świadomą ludzką wolę i czyn zorganizowany.

Lecz czem jest ideologja, czem jest doktryna, której rozwój dziejów ustawicznie i we wszystkiem przeczy? Czem są hasła i programy, które nie znajdują żadnego w życiu odpowiednika? Skonfrontowane z rzeczywistością, stają się nie utopją, bo niemasz żelaznej granicy między utopją, a rzeczą realną, lecz stają się całkowitą niedorzecznością.

Cała historja naszej Socjaldemokracji jest historją takiej niedorzeczności. Jej doktryn i metod nie potwierdza rzeczywistość pod żadnym względem. Rozwój dziejów idzie całkiem inną drogą. Teorje ekonomiczne p. Róży Luxenburg i wskazania taktyczne p. Warskiego rozwiały się we mgle złudzeń i błędów. Stosunki polityczne układają się wbrew wszystkim „pewnikom"

socjaldemokratycznym, zarówno w ogólnych tendencjach, jak i w szczegółach.

A cóż zmieniło się w umysłach tych ludzi, w ich postawie zasadniczej, w ich taktyce? Absolutnie nic. Życie — sobie, a oni — sobie.

W chwili obecnej do rzędu faktów, których „nie uznają", przybył akt 5 listopada. Wyćwiczeni w nieuznawaniu rzeczywistości, mniejszą mają wprawę w doborze argumentów, choćby sztucznych, lecz pozbawionych cech bezmyślności najkrańcowszej.

Trzeba przeczytać ich „deklarację", analizującą ten akt, żeby zdać sobie sprawę z niezdarności tych ludzi, szamocących się w sieci sprzeczności, kpiących sobie z prawdy i logiki, lecz za to niezmiernie wyniosłych w prawieniu banialuk i uważających się za jedynych wybawicieli Polski i całej ludzkości.

Czego tam niema!

Atak na socjalizm niemiecki i austryjacki, atak na socjalistów galicyjskich jako „do szpiku kości zdegenerowanych", no i, naturalne, na polskie klasy posiadające, które „pracowały nad wznieceniem pożogi światowej" (!!).

Nie będę zaprzątał uwagi czytelnika całą tą socjaldemokratyczną paplaniną, przytoczę tylko jeden argument.

Oto socjaldemokracja warszawska „nie uznaje" aktu z dnia 5 listopada, bowiem został proklamowany „z pogwałceniem wszelkich względów na prawo międzynarodowe" (!!)

Socjaldemokraci warszawscy powołują się na prawo międzynarodowe! To już jest szczyt komizmu.

Ci nieszczęśliwi ludzie pozbawieni są nietylko poczucia rzeczy realnych, ale, co gorsza, poczucia śmieszności.

Nie da sobie z nimi rady logika, bo działają po za jej granicami, ale dobije ich śmieszność.

7 Grudnia 1916 r.

WYMOWNE CYTATY.

Podobno warszawscy socjaldemokraci bardzo się oburzyli na moje uwagi o ich deklaracji w sprawie aktu 5 listopada.

Jakże się obronię?

Może obronią mnie cytaty z... Marksa i Engelsa.

W pismach pośmiertnych Marksa, wydanych przez Mehringa, znajduje się artykuł Marksa, drukowany w „Rheinische Zeitung“ p. t. „Dyskusja nad sprawą polską we Frankfurcie“. W artykule tym czytamy: „Odbudowy Polski i uregulowania jej granic nietylko potrzeba, ale jest to sprawa, dająca się rozwiązać“.

W liście do Engelsa (z d. 17 lutego 1868 r.) pisze Marks: „Sprawa polska i pruska interwencja są kombinacją, która nas zniewala do mówienia. Nie osobiście. Do tego jest powołane tutejsze Towarzystwo robotnicze. W jego imieniu trzeba ogłosić niezwłocznie manifest. Ty musisz napisać rozdział wojskowy, to znaczy, przedstawić wojskowo-polityczny interes Niemiec w odbudowie Polski“.

W manifeście, ogłoszonym przez robotnicze Towarzystwo oświaty, powiedziano między innemi:

„Bez niepodległej Polski niema niezależnych i zjednoczonych Niemiec, niema emancypacji Niemiec od rosyjskiej hegemonji, która się rozpoczęła z pierwszym rozbiorem Polski... Przez swoją głośną demonstrację na rzecz Polski niemieckie obywatelstwo zniewoliło dawniej sejm związkowy do pewnych kroków. Głośny protest przeciwko zdradzeniu Polaków winna podnieść niemiecka klasa robotnicza w tej poważnej chwili ze względu na Polaków, na zagranicę i na swój własny honor. Odbudowę Polski winna wypisać na swojej chorągwi płomiennemi głoskami“.

Omawiając wojskową stronę kwestji polskiej, pisał Marks:

„Nowe koleje żelazne koncentrują siły Rosji. Nowe utwierdzenia w Warszawie, Modlinie i Dęblinie zwiększają jej siłę ofensywną“. Dalej pisze Marks: „Europa jest przed alternatywą: albo barbarzyństwo azjatyckie pod przewodnictwem moskiewskiem zaleje ją, jak lawina, albo Europa musi oswobodzić Polskę i tak przez barjerę 20 miljonów bohaterów bronić się

przed Azją". Podobnie pisze Engels zwłaszcza w szeregu artykułów, zamieszczonych w „The Commenwealth" w r. 1866 pod tytułem: „Czemu klasę robotniczą obchodzi Polska?" Riazanow podaje treść tych artykułów w następujących słowach: „W pierwszym artykule Engels objaśnia, że polityka zagraniczna klas pracujących streszcza się w słowach: odbudowa Polski. W drugim artykule polemizuje Engels z twierdzeniem, że domaganie się odbudowy Polski opiera się na bonapartystycznej zasadzie narodowościowej. Historycznie dowodzi, że ta zasada jest wynalazkiem rosyjskim, i uzasadnia różnicę pomiędzy zasadą narodowościową a „dawną zasadą demokratyczną i robotniczą, że wszystkie wielkie narody europejskie mają prawo do egzystencji samodzielnej i niezależnej". W trzecim artykule omawia zasadę narodowościową w jej zastosowaniu do Polaków".

W swoich artykułach, zamieszczonych w „Volksstaat" pisze Engels:

„Że Polski nie można zabić, to udowodniła ona w r. 1863 i tego dowodzi codziennie. Nie można odrzucić jej żądania samodzielnej egzystencji w europejskiej rodzinie narodów".

Czy jednak te cytaty mają jakąkolwiek wartość dla esdeków, mimo ich kultu dla Marksa i Engelsa? Nie. Mają oni kult dla tych tylko koncepcji i przepowiedni, które się... nie sprawdziły.

To zaś wszystko, co było przepowiednią trafną, zostawiają poza nawiasem swej „wiedzy".

Już za życia mówił Marks, że nie jest... marksistą. Gdyby, powstawszy z grobu, porozmawiał z „wybawicielami" polskiego proletarjatu, z p. Różą Luxenburg na czele, wyparłby się wszelkiej z nimi wspólnoty.

A wtedy ci panowie, zmieniając przedmiot kultu, stwierdziliby wpływ ustroju kapitalistycznego na umysłowość Marksa.

10 Grudnia 1916 r.

NIEPOROZUMIENIE.

Trzeba koniecznie usunąć pewne nieporozumienie.

Wyrazem „polityka", „polityczny", „apolityczność" operujemy częstokroć w sposób najbardziej opaczny.

Dążenie do odzyskania niepodległego bytu narodowego, a obecnie już budowa państwa polskiego nie jest „polityką", zaś usuwanie się od tej pracy nie jest tylko „apolitycznością". Wznoszenie gmachu państwowości polskiej jest pierwszym postulatem odrodzenia narodu, pierwszym nakazem narodowego sumienia. Nie jest to, powtarzam „polityka", której dziedzina obejmuje wyłącznie sprawy taktyki w życiu wewnętrznym i dyplomacji na zewnątrz. Tak samo Orzeł Biały nie jest znakiem politycznym, lecz godłem narodowem.

Przeciwstawianie się dążeniom niepodległościowym nie jest „apolitycznością", lecz jest stanowiskiem antynarodowem. Uchylania się odnajpierwszych obowiązków narodowych również nie można nazwać „apolitycznem", lecz uważać je należy poprostu za dalszy ciąg niewolniczości, za organiczną niezdolność do czynu.

Hasło niepodległości nie jest hasłem politycznem, lecz narodowem. Wysuwa je nie partja, nie program, nie obóz żaden, lecz budzący się z letargu naród.

Dlatego też każda instytucja polska o jakimkolwiek charakterze, zadaniach i celach, kulturalnych, społecznych czy naukowych, przez to że jest polską, stać musi pod sztandarem niepodległości i nie może być, w opacznem znaczeniu tego wyrazu, — „apolityczną".

To właśnie Moskal nasze dążenia narodowe nazywał „polityką". W szkole moskiewskiej i podczas badania w Ochranie pytano nas, czy się nie zajmujemy „polityką", kiedy podejrzewano nas o współudział w pracy i walce o odrodzenie Polski. Być Polakiem i chcieć być wolnym — znaczyło to dla żandarma moskiewskiego — „zajmować się polityką".

Broń mnie Boże od krzywdzących porównań, ale to przecież stwierdzić należy, że cały szereg mętnych pojęć, między innemi i to pojęcie „polityki" zaszczepiła nam niewola.

Z wielką też słusznością oświadcza p. Stanisław Dzierzbicki w wywiadzie z „Kurjerem Polskim", motywując swoje ustąpienie z Rady Głównej Opiekuńczej: „W obecnej chwili dziejowej *fikcja apolityczności* instytucji społecznych w rodzaju R. G. O. i C. T. R., jak również neutralność i rezerwa grup politycznych, ani utrzymać, ani usprawiedliwić się nie da... Ponad obecnemi, bardzo ciężkiemi, lecz przejściowemi klęskami wojny wznosi się w sercach naszych i zawsze wznosić się powinien najwyższy nakaz narodowy — dążenie do niepodległości, do utworzenia własnego, pełnią samodzielności obdarzonego państwa polskiego... Wierzę głęboko w żywotność naszego narodu i w zdrowy jego instykt, który wbrew mąceniom niedobitków bierności, rezerwy i oglądania się na

wschód, niezawodnie szybko zrozumie, że przyszłość narodu jest tylko na drodze czynu". Charakteryzując zaś zachowanie się ziemian na zjeździe, oświadcza pan Dzierzbicki, iż „uchwycili się zasady apolityczności, która jest tylko negacją wszelkiego przekonania i pohamowaniem wszelkiego czynu, ratunkiem ludzi niewiedzących, co mają myśleć i robić, apoteozą bierności".

I zakonkludował: „Nie w R. G. O., nie w C. T. R., odrodzimy się z niewoli".

Tak mówi jeden z najpoważniejszych i najbardziej zasłużonych obywateli kraju.

Słowa to równie śmiałe, jak rozumne.

II Grudnia 1916 r.

Ś. P. ANTONI HŁASKO.

Było to piętnaście lat temu. Ukończyliśmy szkołę realną w Sosnowcu. Pamiętam, z jakiem uczuciem opuszczaliśmy mury tej szkoły i pamiętam, jak po raz ostatni wychodząc z tego gmachu tortur moralnych razem ze ś. p. Antonim Hłasko, z niewysłowioną ulgą zerwaliśmy moskiewskie znaczki z czapek uczniowskich i rzucaliśmy słowa klątwy na wszystką krzywdę i na wszystko zło, uczynione nam przez Moskala „profesora".

Już w latach dziecięcych nauczyliśmy się nienawidzieć ciemięzcę. Ś. p. Antoni Hłasko należał do tego grona kolegów, których już od trzeciej klasy łączył węzeł solidarności patrjotycznej i łączyła praca nielegalna. Uczyliśmy się historji polskiej, zbieraliśmy się w nocy na pogawędki o rzeczach zakazanych, wydawaliśmy nawet na hektografie pisemko („Węzeł"); a w tej naszej pierwszej pracy na drodze życia społecznego, przez wszystkich kochany Antek Hłasko należał do głów najbardziej zapalonych i serc najbardziej wrażliwych.

Może na całym obszarze ziem polskich pod rządami moskiewskiemi, nie było szkoły bardziej ohydnej, nie było tak nikczemnego zbiorowiska, jak ów zespół „nauczycielski", złożony z półidjotów, pijaków i agentów ochrany. Tam charakter i wartość moralną ucznia polskiego można było poznać nie w jego posłuszeństwie i pokorze, lecz jedynie w napięciu oporu przeciw

wpływom „pedagoga“, w walce z nim, w pogardzie dla takich zwierzchników.

Nie był też uczniem „posłusznym“ ś. p. Antoni Hłasko. Któż z nas, jego kolegów, nie pamięta tych ustawicznych jego starć z nauczycielami, które ciągle groziły mu wydaleniem. On też był najczęściej karany: za używanie języka polskiego w murach szkoły, za obronę obrażonej godności, za prostowanie plugawych kłamstw nauczycieli „historyków“, których dążeniem było zohydzić w świadomości dziecka polskiego jego dzieje ojczyste.

Wyniósłszy z domu rodzinnego tradycje patrjotyczne, ś. p. Antoni Hłasko w najwcześniejszej młodości ujawnił zapał dla sprawy narodowej, ale koleje jego życia sprawiły, że dopiero czasu wojny stanął do walki, — za to najpiękniejszej, bo już w polskich szeregach żołnierskich.

Była to natura bujna, nierówna, lecz jakże piękna, jakże pełna życia, jakże dobra i szlachetna!... Niespokojny był to duch. Zmieniał często zawód, zmieniał miejsce pobytu, nigdzie nie pozostając dłużej i nie mogąc ustalić swego sposobu bytowania. Bo był to, jak się pokazało, urodzony żołnierz. A tacy ludzie w Polsce ujarzmionej nie mogli znaleźć normalnej drogi swego życia. Więc po ukończeniu szkoły w Sosnowcu, kształcił się w Nancy i w Leodjum, jeździł po zagranicy, przebywał znowu czas jakiś w Warszawie, a potem udał się do Ameryki. I czem tam nie był! Górnikiem, dziennikarzem, kupcem, aktorem! Lecz już w r. 1913-ym staje się instruktorem amerykańskiego Sokoła, świetnie spełniając tę robotę, zaś we wrześniu 1915 r. przybywa do kraju i zaciąga się w szeregi Legjonów polskich, jako zwykły żołnierz. Tu dopiero staje się sobą, żołnierzem o wielkiej brawurze i nieustraszonej odwadze, którą w całej pełni wykazał, przebywając z pułkiem VI-tym całą kampanję nad Stochodem i Styrem. Szybko też dosłużył się rangi podporucznika.

Jak świetnie, z jaki humorem opowiadał mi o wszystkich wojennych opresjach! „Mam wyjątkowe szczęście. Nie wiem już ile razy szrapnele padały tuż obok mnie, ile to razy kilka sekund po oddaleniu się mojem z jakiegoś miejsca, tam właśnie był wybuch granatu“. Podczas swego ostatniego pobytu w Warszawie — kilka tygodni temu — narzekał, że mu narazie wyznaczono rolę komisarza werbunkowego i tęsknił za dalszą walką...

Na cmentarzu opoczyńskim pochowano Jego zwłoki. Kompanja wojska polskiego dała salwę na cześć swego towarzysza.

Śpij spokojnie, drogi przyjacielu i kolego! Wszyscy zachowamy o Tobie pamięć najlepszą.

Niechaj Ci ziemia polska lekką będzie!

12 Grudnia 1916 r.

WIELKA CHWILA.

Przybycie do Warszawy siedemdziesięciu oficerów Polaków z niemieckiego obozu jeńców — to jeszcze jedno wydarzenie, które wzrusza nasze serca i każe zastanowić się nad wielkością tych zmian, które takie wydarzenia czynią możliwemi.

Bo tylko wielkie, epokowe zmiany sprawić mogły, że jeniec Polak, przez Rosję wzięty do wojska, podczas wojny przybyć może do Ojczyzny i tu powziąć dobrowolną decyzję o dalszych swoich losach: wrócić do obozu jeńców, czy służyć sprawie narodowej.

Nie dziw, że z takiem wzruszeniem ogląda ich ludność Warszawy i nie dziw, że im stolica gotuje tak serdeczne przyjęcie.

Pomniejsza się tragedja polska. Przybycie tych jeńców — to symboliczne znamię przewrotu w stosunkach politycznych świata, a co za tem idzie — nowych dla Polski perspektyw. Tylko w najśmielszych marzeniach i przez wielką intuicję można było pomyśleć, że — kto wie — może czasu wszechświatowej wojny przyjadą do Warszawy oficerowie Polacy z obozu jeńców, by się nacieszyć zmartwychwstającą Ojczyzną.

Przybyło wojsko polskie, które w bojach bohaterskich z wrogiem odwiecznym zdobyło chwałę nieśmiertelną, a teraz przybyli ci, których po wybuchu wojny wzięto do wrogich szeregów...

Co czuli wówczas i co czują obecnie?

Ledwie wyszli z wagonu, przywdziali maciejówki z orzełkami...

I już ich o nic pytać nie potrzeba.

Dali odpowiedź stolicy, kim są i jakie mają zamiary.

Mieli mundur rosyjski, ale serce polskie.

Czytelniku i obywatelu! Kiedyś widział wczoraj na ulicach Warszawy, jak oficerowie Polacy, z obozu jeńców, szli wraz

z legjonistami w serdecznem zbrataniu i radosnem nastroju ducha, — to wiedz, żeś widział rzecz wielką i cudowną, której Polak, pragnący dobra i szczęścia swej Ojczyzny, tylko błogosławić może...

13 Grudnia 1916 r.

PÓŁKOLE.

Nigdy chyba żadne koło i na żadnej, choćby najbardziej wyboistej drodze, nie pękło z takim trzaskiem, jak Koło Międzypartyjne na drodze naszego politycznego życia w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Zostało się półkole, którego cechą fizyczną jest to, że unieruchamia każdy wóz, choćby najlepiej zrobiony. Wtedy jadący mają zmartwienie.

Ale Półkole Międzypartyjne poradziło sobie po swojemu: wychodząc z założenia, że mniejsza o wóz i o podróż, ogłosiło dla siebie polityczny półprogram. A mianowicie, zgłosiło akces do „wcielania w życie tych wszystkich zadań państwowo-twórczych, które mogą być organizowane niezależnie od względów militarnych (!) i z zabezpieczeniem niczem nieskrępowanej decyzji narodowej".

Półkole tak rozumuje: możnaby nawet tymczasem wóz oczyścić, wysmarować, upiększyć, nawet woźnicę zmienić, możnaby konie odkarmić i drogi naprawić, ale niech wóz z miejsca się nie rusza, żebyśmy zachowali „swobodę decyzji narodowej", w którą stronę i kiedy pojechać.

Nie byłoby półkole półkolem, żeby mogło inaczej rozumować.

I takiem zostanie, dopóki go ktoś do porządnej kuźni nie zaniesie. Chyba nastąpi to niedługo, bo już się ludzie zaczynają śmiać.

Oto „Tydzień Polityczny", dobrze znający swoich niedawnych przyjaciół, mocno i doskonale charakteryzuje tych, którzy się na nic nie mogą zdecydować, wciąż stawiając pytania: czy to bezpiecznie, czy to nie zawcześnie, a co naprawdę pomyśli ów, a co powie tamten...

„Gdyby — pisze p. Zbrowski — chcieć tę „politykę" streścić w kilku słowach, oznaczałaby ona:

„Wszystko, co się stało, nic nie znaczy; wszystko, co się stać powinno, ma nic nie znaczyć; znaczy to tylko, co się nie stało. Stąd wynika, że wszystko co można robić to pisać deklaracje, kontrdeklaracje, protesty, oświadczenia, że się „niezłomnie stoi na stanowisku niepodległości" i t. p. Żyć, tworzyć życie — uchowaj Boże! Niech Ossa wali się na Pelion, my piszmy deklaracje i „stójmy niezłomnie na stanowisku niepodległości". Chciałoby się zapytać: Panowie, czy was od tego stania nogi nie bolą i czy nie obawiacie się pozoru, że cała tajemnica waszej polityki tkwi w wytrzymałości waszych nóg"?

Wyraża też p. Zbrowski nadzieję, że „stary polityczny lamus polski, w którym dziś pohukują lozańskie sowy, rozpadnie się, a zdrowsze jego cegły będą użyte do budowy nowej twierdzy polskiej w Europie".

A Półkole, — jeśli nie pójdzie dziś do kuźni, to kiedyś znajdzie się w muzeum, żeby ludzie mogli się dziwić: takie marne półkolisko i tyle to robiło hałasu!...

17 Grudnia 1916 r.

NEUTRALNOŚĆ

— „Ja również jestem za tem, żebyśmy utworzyli armję narodową"— rzekł do mnie jeden z tych obywateli, co to we wszystkich sprawach mają „własne zdanie". „Owszem — powiada — państwo nie może istnieć bez armji. Zgoda. Ale trzeba się głęboko zastanowić, czy..."

Jeżeli taki obywatel, co to ma zawsze „własne zdanie", powie, że trzeba się nad czemś „głęboko zastanowić", to można już być zgóry pewnym, że po tych słowach nastąpi kapitalne głupstwo. Nastąpiło:

— „...czy nie należy wywalczyć sobie prawa neutralności państwa polskiego z własną armią?"

Po tem pytaniu „argument": że to, panie dobrodzieju, jak niepodległość, to niepodległość, więc i — prawo do neutralności.

Na twarzy obywatela o własnem zdaniu maluje się przy tem ogromne zadowolenie, że jest taki mądry, że ludzie nie potrafią zdobyć się na taki logiczny wywód, że trzeba ich, panie dobrodzieju, pouczyć...

Więc idzie do kawiarni, tam znajduje jeszcze głupszych od siebie i „rozwija" swoje własne zdanie...

— Trochę się o tych rzeczach myślało — powiada wyniośle, kiedy mu ktoś ze znajomych wyrazi uznanie za to, że tak głęboko i tak przenikliwie ujmuje sprawy narodowe.

I doda w końcu:

— Ale u nas, panie dobrodzieju, ludzie są bezmyślni. Rzadko kto ma swoje własne zdanie. Idą owczym pędem. Ciemnota, panie dobrodzieju, ogromna ciemnota. Co tu gadać!...

I spojrzy w nieskończoność wzrokiem jasnowidza... Wydaje się wtedy, że pod wpływem tego wzroku cały świat... knajpy szlachetnieje.

Taki to obywatel mówił mi o „neutralnej armji polskiej".

Jeżeli się spotka człowieka, który absolutnie nic nie rozumie — a to jest doskonały warunek pewności siebie przy wypowiadaniu „własnego zdania" — jeżeli taki człowiek rozpocznie rozmowę polityczną, cóż mu wtedy można powiedzieć?

Jeśli się ma dużo dobrej woli, bardzo dużo czasu i jeszcze więcej cierpliwości, można w danej sprawie zacząć cały wywód od samego początku!...

Więc i o tej „neutralnej armji polskiej“: że paczymy samo pojęcie neutralności, bowiem neutralnem może być państwo w kwestji stosunków i zatargów innych państw, lecz nie w sprawie własnego bytu państwowego i narodowego; że nasza neutralność to niedorzeczna fikcja, z której śmieją się nasi wrogowie; że skoro Rosja nie uznaje państwowości polskiej, to my, państwo to budując, tem samem zajmujemy stanowisko antyrosyjskie, wypowiadamy wojnę carowi, przestajemy być jego wiernymi poddanymi; że być neutralnym w Polsce — to znaczy nie mieć żadnej woli, niczego nie chcieć, do niczego nie dążyć, lecz na wszystko czekać, nie chcąc się od żadnego zła zabezpieczyć; że neutralność nasza przekreśla wszelkie nasze prawo głosu przy rozstrzyganiu losów Polski; że nie jest już neutralnym, kto bez zezwolenia Rosji zasiada w w Radzie Miejskiej, nie według jej praw utworzonej, kto wykłada w uniwersytecie polskim, kto wystawia „Kościuszkę pod Racławicami“, kto broni w sądach po polsku, kto wydaje polską książkę patrjotyczną i t. d.; że wreszcie, neutralnym w Polsce może być ten tylko, kto nie uczynił wyboru pomiędzy Polską a Rosją. Jeżeli wybrał Polskę, musi się sprzymierzyć z tymi, którzy uznają jej niepodległość, musi iść łącznie z wrogami Rosji.

Tego wszystkiego owemu obywatelowi nie mówiłem, bo ciężko jest każdemu zosobna wszystko powtarzać po raz tysiączny i pierwszy od samego początku!

Lecz pocóż to napisałem?

Bo takich obywateli jest, że tak powiem, więcej, niż jeden...

22 Grudnia 1916 r.

PRASA WARSZAWSKA PODCZAS WOJNY.

Ocenę prawidłową tej roli, jaką odgrywała prasa stolicy w życiu narodowem podczas wszechświatowej wojny, będzie mógł dopiero dać przyszły historyk. Tej dziedziny pracy i walki nie będzie mógł pominąć, a trud czeka go nielada, jeśli zapragnie wniknąć w główne choćby czynniki, jakie złożyły się na poziom, treść, charakter i wpływy prasy warszawskiej.

Tylko z pewnego oddalenia, po upływie dłuższego czasu można będzie wydać sąd sprawiedliwy o tej prasy zaletach i wadach, zasługach i przestępstwach, będzie można orzec, w jakim stopniu ułatwiała narodowi pochód w lepszą przyszłość i pod jakimi względami pochód ten utrudniała. Jedynie przyszłość pokaże, co było przezornością, co intuicją, co głębokiem wyczu-

ciem tendecyi dziejowych, co zaś omyłką, błędem czy ślepotą we wszystkich naszej prasy stołecznej poczynaniach.

My natomiast, współcześni dziennikarze warszawscy, możemy już dziś z całą pewnością stwierdzić, że niezawsze staliśmy na wysokości zadania.

Bez względu na kierunki i hasła, cała prasa stolicy nie wzniosła się jeszcze na ten szczebel rozwoju, na jakim znajduje się już myśl polska. Stoi jeszcze poniżej poziomu głębszego czytelnika polskiego. Nie jest jeszcze prawidłowem odzwierciedleniem naszego życia duchowego i politycznego. Jest płytsza niż to życie. Nie może jeszcze służyć za miarodajny dokument i wykładnik naszej kultury. Rodziła się i rozwijała w latach niewoli, nie wkroczyła jeszcze w epokę wolności.

Prasa Warszawy znajduje się na granicy dwóch epok i to przedewszystkiem cechuje jej dzisiejszy charakter. Wyzwala się z dawnych metod i przyzwyczajeń, usiłuje wydążyć za zawrotnym biegiem wydarzeń, co jej przychodzi z trudem tak wielkim, była bowiem w ciągu dziesiątków lat wciśnięta w najciaśniejsze ramy tych horyzontów myślowych i społecznych, które cenzor rosyjski uważał za dość obszerne dla polskiego dziennikarza i czytelnika. Dzisiejsze zaś warunki, lepsze niż dawniej, z natury rzeczy wykluczają jeszcze pełnię wolności i rozwoju prasy.

Mimo to, dziś właśnie prasa Warszawy staje się prasą w europejskiem znaczeniu tego wyrazu.

Przedewszystkiem pisma warszawskie nabierają oblicza politycznego. Minęły te czasy, kiedy najlepszą dla pisma warszawskiego reklamą było w prospektach czy nagłówkach zalecanie się swą bezpartyjnością. Oznaczało to, że pismo nie będzie czytelnika „trapić“ żadnym programem politycznym, nie naruszy jego politycznego letargu, nie zakłopocze i nie zatrwoży jego w rzeczach politycznych beztroskliwości. Minęły czasy, kiedy pisma warszawskie dzieliły się tylko na „postępowe“ i „reakcyjne“, co przeważnie znaczyło: filosemickie i antysemickie, tak się bowiem u nas upraszczało i paczyło pojęcia społeczne. W tych warunkach mogło istnieć siedm czy ośm codziennych pism „bezpartyjnych“.

Wybuch wojny wprowadził tu zmianę zasadniczą: pisma podzieliły się między obozy orjentacyjne, zarysowały swe różnice w poglądach na polską politykę zewnętrzną, lecz jeszcze w sposób dość prostacki: za Rosją lu przeciw Rosji (te ostatnie, rzecz prosta, tylko w półsłówkach i domyślnikach). Nie różniczkowały się w rzeczach taktyki politycznej, lecz jedynie w hasłach ogólnych.

Dopiero teraz, po tylu ciężkich doświadczeniach i po długiem trwaniu we mgle ogólników, prasa warszawska wchodzi na realny grunt polityczny, zaczyna odzwierciadlać prądy polityczne, nurtujące wśród ogółu polskiego, dzieli się na wyraźne placówki, służące danym programom i obozom, słowem — staje się prasą nowoczesnego społeczeństwa.

Jest to ogromny krok naprzód i na tem polega zasadniczy przewrót w dziejach prasy warszawskiej.

Są oczywiście—jak i na całym świecie—pisma bezpartyjne, czyli bezprogramowe, zależne od chwilowych nastrojów opinji, starające się wszystkim dogodzić, jak „Kurjer Warsz.“, lecz większość pism to już organy określonych programów i stronnictw. Dowód to, że stały się one dość silne i żywotne, by mieć swoją prasę codzienną. Dowód to wzmożenia się tętna politycznego w życiu stolicy. Już zerwano z tym dawnym, z czasów naszej apolityczności pochodzącym frazesem, który samo istnienie partji politycznych nazywał największem niebezpieczeństwem narodowem.

A przytem niema już tych różnic nienormalnych i przeklętych, jakie istniały w stosunku do naczelnego hasła narodowego: niepodległości. Niema tych różnic potwornych: niepodległość czy autonomja, autonomja czy samorząd.

Pełnia polskiego życia politycznego zaczyna się dopiero od uznania i wierności dla naczelnego postulatu, który nie jest hasłem politycznem, lecz narodowem. Prasa Warszawy, stanąwszy pod sztandarem niepodległości, dzieli się w taktyce i metodach. Jest to rzecz zasadniczo normalna, mimo że w chwili obecnej wytwarza się zbyt dużo różnic sztucznych, co też i w prasie stolicy znajduje swój wyraz.

A więc „Kurjer Polski“ służy programowi Grupy Pracy Narodowej, „Głos Stolicy“ wyraża dążenia i taktykę Ligi Państwowości Polskiej, „Goniec“ — Klubu Państwowców,

„Nowa Gazeta — C. K. N., Tydzień polityczny“ jest organem Stronnictwa Narodowego, „Gazeta poranna 2 grosze“ — N. D-cji. Prasa robotnicza daje pełny wyraz programom stronnictw robotniczych w pięciu pismach.

Prasa stolicy zaczyna być też realnym czynnikiem w kształtowaniu się naszych stosunków politycznych, a tę zdobycz przyniosła nam wojna. Im szybciej pomniejszać się będzie chaos w tych stosunkach jeszcze panujący, im wyraźniej krystalizować się będą programy i poglądy, tem normalniej spełniać będzie swoje zadania prasa polityczna Warszawy.

Lecz dziś już wkroczyła na tę drogę, upodabniając się pod tym względem do prasy wielkich miast cywilizowanego świata.

26 Grudnia 1916 r.

MAŁE ŻYCIE WIELKIEGO NARODU.

Trzy codzienne pisma polskie wystąpiły ostatnio z gorącymi artykułami, w których się „wyjaśnia”, że wcale nie jesteśmy „małym narodem”...

„Gazeta Poranna 2 grosze” „wykazała” na zasadzie liczb, iż „wymienianie narodu polskiego w liczbie narodów małych jest niesprawiedliwe”. *„Głos Narodu”* otrzymał artykuł od „jednego z wybitnych historyków”, który tłomaczy, że nietylko siła liczebna stanowi o wielkości narodu polskiego. *„Kurjer Warszawski”* poparł ten pogląd i wyraził zadowolenie, iż „wreszcie (!!) zostało ustalone, że decydującemi w tej sprawie są momenty dziejowe pewnego narodu, kulturalne i cywilizacyjne ich znaczenie dla dziejów Europy oraz udział tego narodu w życiu duchowem plemienia aryjskiego w stosunku do innych ras”.

Według „Kurjera Warszawskiego” ta prawda dopiero po artykule w „Głosie Narodu” została „wreszcie” ustalona, choć niewiadomo, kto i kiedy myślał w tej sprawie inaczej.

Pisma powyższe, dobrze wyćwiczone w odkrywaniu Ameryki, ponownie „rzucają okiem” w naszą przeszłość, przypominają nasze wielkie nazwiska, nieśmiertelne czyny i świetne zasługi dla cywilizacji i kultury ogólnoludzkiej.

Wszystko to święta prawda. Lecz zamiast po raz tysiączny i pierwszy powtarzać rzeczy oczywiste, skoro już o tem mowa, możnaby się nieco głębiej zastanowić nad sprawą naszej małości czy wielkości.

Przeszłość nasza jest wielka. Nie będę tu „na dowód”, przepisywał podręcznika historji polskiej.

Jesteśmy narodem dwudziestoparomiljonowym. To czynnik wielkości pierwszorzędny.

A nasza teraźniejszość? I znowu nie będę przytaczał wszystkich naszych grzechów, wad, braków i niedomagań, z własnej i niewłasnej winy płynących. Lecz w każde zdrowe oczy bije ta prawda bolesna, że całe nasze życie obecne nie ma cech wielkości, choć nie jest pozbawione rzeczy pięknych i podniosłych.

Są narody małe, które prowadzą wielkie życie kulturalne i cywilizacyjne. I odwrotnie.

My, w czasach obecnych, prowadzimy małe życie wielkiego narodu; czyli życie nas samych niegodne, co się z tak szczególną mocą uwydatnia na tle wszechświatowej wojny — czasu rozstrzygnięć dziejowych, na których szalę nie kładziemy z naszej strony nic tak wielkiego, coby się mogło mierzyć z własną naszą przeszłością, lub stanąć narówni z wielkimi tej przeszłości czynami.

Małe życie wielkiego narodu — oto nasza dzisiejsza epoka.

Lepiej to sobie szczerze powiedzieć i nad tem właśnie dobrze się zastanowić, niż przytaczać tablice statystyczne i tylko pocieszać się wielkiemi imionami minionych stuleci. Choć są te imiona nieśmiertelnym skarbem narodu, jego chlubą, dumą i bogactwem, a czyny ich — pokarmem i częścią duszy narodowej, — nie stanowią o wielkości narodu każdej chwili dziejowej.

Im więcej tytułów do wielkości daje nam przeszłość, tem gorzej, tem potworniej wygląda każda małość dnia dzisiejszego..

31 Grudnia 1916 r.

ROK 1917.

U PROGU NOWEGO ROKU.

Co przyniósł rok miniony w dziejach świata i w dziejach naszego narodu?

Będzie na to pytanie mógł dać sprawiedliwą odpowiedź jedynie historyk, który w perspektywie czasów skrupulatnie wymierzy doniosłość faktów tego roku, uczyni spokojny a wielki rachunek narodowych strat i korzyści, ofiar i zwycięstw, — zważy i oceni wszystkie błędy i zbrodnie współczesnego świata, jakoteż wszystkie najlepsze porywy i zamiary.

Wyda sąd historyczny, już znając owoce dzisiejszych poczynań i postanowień.

My zaś, współcześni, obejmując myślą dzieje roku 1916, w rozważaniach naszych i w patrjotycznej ocenie tej ramy czasu, pominąć musimy wszystko, co dla naszych pragnień dzisiejszych, w świetle największych nadziei, jest rzeczą drugorzędną i przemijającą.

Więc rok ten pozostanie na kartach historji rokiem wskrzeszenia naszych nieprzedawnionych praw narodowych.

Na to się musiał rozpalić pożar świata. Bez strasznych ofiar, bez niezmierzonej niedoli ludzkiej, bez tytanicznej walki największych potęg militarnych współczesnej epoki, Polska nie powstałaby z martwych, na jej bowiem grobie oparte było polityczne status quo ante Europy.

Wojnę rozumiejąc, jako konieczność dziejową i jako warunek niezbędny naszego odrodzenia — co rozumiały i przepowiadały wszystkie wielkie duchy i umysły polskie — postawimy rok miniony w rzędzie szczęśliwych dat historji, mimo wszystkie tego czasu klęski i nieszczęścia.

Ukoi się ból i przeminą cierpienia, zaś pozostaną wielkie daty tego roku: dzień 3-ci maja, jako wyraz najgłębszej tęsknoty narodu do niepodległego bytu; 24-ty lipca, kiedy rozległ się na Ratuszu warszawskim uroczysty głos pierwszej reprezentacji stolicy; 5-ty sierpnia — dzień zagrobowego zwycięstwa bohaterów i męczenników sprawy narodowej 63-go roku, uczczonych krzyżem na stokach Cytadeli; 5-ty listopada, dzień restytucji praw narodowych; 1-y grudnia — wiekopomna data wkroczenia wojsk polskich do Warszawy.

Szczęśliwy w Polsce, kto dożył tych dni radosnych po stuletniej niewoli.

* * *

U progu Roku Nowego życzeniem patrjotycznem narodu naszego jest realizacja pragnień i obietnic. Staną się ciałem, mocą rzeczywistą, sen i marzenie pokoleń minionych radosną jawą uczynią, jeśli doprowadzimy naszą wolę narodową do najwyższego napięcia,—jeśli nasza zdolność do ofiary odpowie wymaganiom wielkich czasów.

Niechaj ta wola i ta ofiara sprawią, by po wielkich manifestacjach i obowiązujących słowach roku minionego, nastąpiły wielkie czyny, o które woła zmartwychwstająca Ojczyzna.

Wtedy rok 1917-ty stanie się na sądzie historji rokiem błogosławionym.

1 Stycznia 1917 r.

RASPUTIN.

Rasputin zamordowany...

Pod tym faktem kryć się może cały splot intryg dworskich, walk osób i obozów, z których jedne ubiegały się o łaski i względy Rasputina, inne już oddawna pragnęły go zgładzić ze świata.

Albo też jest to akt zemsty za ciche zbrodnie i głośne łajdactwa „cudotwórcy", popełniane od szeregu lat. Może w rzędzie kobiet z najwyższych sfer arystokracji rosyjskiej, które uległy jego „suggestji", znalazła się jakaś, za której cześć ujął się zabójca. Może wreszcie potęga wpływów Rasputina przekroczyła granice, dopuszczalne w stosunkach dworu petersburskiego.

Jedna to z najbardziej charakterystycznych postaci rosyjskiego świata. Cham i analfabeta, pijak i rozpustnik, szarlatan i intrygant pierwszej klasy, miał być obdarzony jakimś darem natchnień „mistycznych", którym posłuch dawały wielkie histeryczki arystokracji rosyjskiej i car.

Tym „natchnieniom" zawdzięczał majątek i faktyczną władzę w obsadzaniu jednych na najwyższe stanowiska oraz w strącaniu innych. Trząsł ministrami i trząsł Synodem. Głośne były w swoim czasie roz-

prawy w Dumie na temat roli Rasputina w dziedzinie rosyjskiej polityki zagranicznej. Odczytano tam tajny okólnik do cenzorów, wzbraniający zamieszczania czegokolwiek o Rasputinie. Nazwisko jego było w prasie jakiś czas — już podczas wojny — nietykalne.

Liberali rosyjscy uważali Rasputina za „nieszczęście Rosji".

Lecz wraz ze śmiercią tego „cudotwórcy" Rosja nie została zwolniona z brzemienia tego rodzaju „nieszczęść".

Skoro w czasach współczesnych m ó g ł taki Rasputin istnieć, działać i rozporządzać wielkiemi wpływami, to znaczy, że życie rosyjskie nie wzniosło się jeszcze na poziom elementarnych norm nowożytnego państwa. Wielkie zabobony ludów nawpół dzikich działają tam jeszcze w duszach i umysłach władców. Żyje tam zamierzchła przeszłość starożytnego świata i żyją duchy średniowiecza. Spirytysta może obalić ministerjum. „Wywoływacz duchów" może odgrywać wybitną rolę w dziedzinie najważniejszych spraw politycznych,

Ostatni z wielkich „czarowników" i zarazem doradców cesarzów chińskich, Fo-hi, żył w XI stuleciu. Od jego „seansów" zależał układ stosunków politycznych, zależało wypowiadanie wojen.

Rasputin żył w wieku XX-tym. Musieli się z nim liczyć przedstawiciele innych rządów państw cywilizowanych.

Jeżeli tak być mogło, to znaczy, że zamordowawszy Rasputina, nie zabito jego ducha.

Będzie drugi. Ktoś musi uosabiać żyjącą w atmosferze Rosji potęgę zabobonu.

Zabić ją może wielki postęp. A na to potrzeba jeszcze wielu, wielu lat.

4 Stycznia 1917 r.

OSZUKIWANIE PANA BOGA.

Istnieje w Warszawie „T-wo ochrony szabasu". Najświeższym czynem tego T-wa jest odrutowanie Warszawy, obejmujące blizko 18 wiorst drutu, który okala miasto. Na reperację dawnego urządzenia t. zw. „ejruwu" zużytkowano obecnie 13 pudów drutu i 110 słupów. Na łamach prasy żydowskiej T-wo wyraża podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do zaprowadzenia „ejruwu", co — zdaniem T-wa — jest „świętą i pożyteczną rzeczą".

Jest to jedna z tych „świętych" rzeczy w żydowskich obyczajach religijnych, które datują się od wielu stuleci i polegają na... oszukiwaniu Pana Boga. Talmud poucza, jak zastosować w życiu praktycznem pewne nakazy religijne, pochodzące z czasów zamierzchłych, kiedy sposób ich wypełniania nie nastręczał jeszcze trudności. Życie się zmienia,

ale przepis religijny zmienić się nie może, trzeba więc coś wymyślić, coby pogodziło ten przepis z życiem praktycznem. Naprzykład: w sobotę nie wolno nosić przy sobie żadnego ciężaru. Wszystko, co nie jest ubraniem, jest ciężarem, a więc i chustka do nosa. Dawniej, przed wiekami, chustek do nosa ludzie nie nosili, nie zachodziła więc żadna niewygoda. Ale dziś? Dziś można zobaczyć w sobotę żydów na Franciszkańskiej, czy na Nalewkach, którzy chustką do nosa okalają szyję, bo wtedy chustka jest już... „ubraniem", noszenie więc jej w ten sposób nie jest przestępstwem religijnem.

Podobnie rzecz się ma z owym „ejruwem". W święto niewolno absolutnie niczego przenosić „z miejsca na miejsce", nawet szklanki wody, nawet książki do nabożeństwa. Przepis trudny i uciążliwy. Tu więc również przychodzi na pomoc kazuistyka talmudyczna i ustala odpowiednie pojęcie „miejsca". A więc „miejscem" jest każde okolone czemś terytorjum (płotem, drutem lub t. p.). Wtedy już można różne rzeczy nosić w granicach tego terytorjum, bo to jest „jedno miejsce".

W pierwszym roku wojny moskiewskie wojska wciąż napotykały po wsiach i miasteczkach służący temu celowi drut, który oczywiście przecinali, ustawicznie podejrzewając, że drut ten służy do połączeń telefonicznych z nieprzyjacielem. Po oddaleniu się wojsk, żydzi łączyli te druty a przyłapani na takiej czynności, byli na miejscu wieszani. Tak ginęło ich setki. Tak się na nich mściła głupota przesądu, trudno bowiem wymagać od oficera czy żołnierza, żeby znał Talmud i jego kazuistykę.

Przez jakiś czas w wielu miasteczkach i po wsiach żydzi nie mieli już odwagi naprawiać „ejruwu", wielce się kłopocząc, co się stanie w tych warunkach z religją żydowską. Przyjeżdżały nawet specjalne delegacje do rabinów warszawskich na długie narady.

Obecnie żydzi naprawili „ejruw" naokoło Warszawy. Zachodzi pytanie: czy Warszawa jest miastem polskiem czy żydowskiem? I jeszcze jedno: czy lud stojący na poziomie plemion afrykańskich, ma na zawsze takim pozostać, przebywając wewnątrz nowożytnego państwa polskiego?

Może ktoś powie, że ów „ejruw" to rzecz nieszkodliwa? Za pozwoleniem: niema nic szkodliwszego nad ciemnotę i jej idjotyzmy. Niechby się żydzi np. przekonali, że przez dłuższy czas, wskutek zakazu, można żyć bez „ejruwu", toby się potem sami od tej „świętej a pożytecznej rzeczy" odzwyczaili.

A trzeba ich od takich rzeczy odzwyczajać, bo nareszcie w Polsce muszą się ustalić jakieś obowiązujące normy postępu i cywilizacji.

7 Stycznia 1917 r.

OD SŁÓW DO CZYNU.

(PO OTWARCIU TYMCZASOWEJ RADY STANU KRÓLESTWA POLSKIEGO.)

Po manifestacjach i uroczystościach nastaną wreszcie czasy skupionej powagi i patrjotycznego czynu.

Nie będzie już dyskusji, czy należy czyn polski położyć na szalę wydarzeń dziejowych i mocą własnego wysiłku we własnych sprawach zdobyć prawo głosu, czy też należy z założonemi rękoma patrzeć na pożar świata i oczekiwać darów bez zasługi, plonu bez posiewu, zwycięstwa bez walki.

Ale będzie czas jakiś już tylko podział na Polskę twórczą, budującą, ofiarną, żywą — nadewszystko żywą — i na Polskę w śnie jeszcze spowitą, pod znakiem bezwoli i zwątpień trwającą w bezruchu.

Zaś śpiących nie będzie już wołało do czynu jedynie słowo, jedynie argument, wywód logiczny, przemówienie na wiecu, lub odezwa na ulicy, jeno do czynu będzie wołał czyn, do ofiary — ofiara, do poświęceń — poświęcenie. Czyli — żywy przykład, idący od najlepszych w narodzie ku powiększeniu dusz i zatwożeniu sumień.

A tak się powoli budzić będą dziś jeszcze nieprzebudzeni, by przetarłszy oczy — ujrzeć wielki obraz powstającej Ojczyzny, ujrzeć jak budowniczowie przyszłości wznoszą gmach zmartwychwstałego państwa polskiego. Kto na polu bitwy, a kto na polu pracy, kto z mieczem w ręku, a kto przy pługu, w szkole czy fabryce.

Kogo nie porwały słowa najpłomienniejsze, wezwania najgorętsze, przekonać może czyn i widome tego czynu wyniki.

Bowiem kto mówi: będę budował dom, albo: będę budował świątynię, natenczas może usłyszeć mówiących: jakże to on ów dom, czy ową świątynię zamierza budować, a z czego, a jak, a kiedy, a poco? Lecz kiedy do budowy przystąpił i już się oczom wątpiących dadzą widzieć pierwsze mocne fundamenty, kiedy już rośnie dom, czy rośnie świątynia, natenczas usłyszy mówiących: dobry to będzie dom, lub: będziemy się modlić w tej świątyni.

Wtedy zawoła: pomóżcie! I pomogą.

Więcej jest w Polsce zwątpienia, niż niezdolności do czynu. Zwątpienia jednych rozwieje wiara innych.

Więcej jest w Polsce nieporozumień, niż różnic istotnych. Nieporozumienia usunie jasny drogowskaz serca i sumienia.

Więcej jest w Polsce błędów, aniżeli złej woli. Błędom zaprzeczy rzeczywistość nowej w dziejach narodowych epoki.

A to się wszystko potwierdzi przez urok i potęgę czynu, któremu słowa ustąpiły miejsca.

17 Stycznia 1917 r.

POUCZAJĄCY DOKUMENT.

W dziejach politycznego stronnictwa czy ugrupowania stronnictw niemasz chwili bardziej nieszczęśliwej, niż wtedy, gdy staje ono do walki już nie z obozem przeciwników, lecz do walki z rzeczywistością. W tej fazie już nie obowiązuje ani zdrowy rozsądek, ani logika. Rozpoczynają się wówczas beznadziejne majaczenia, desperackie okrzyki i zwyczajne bzdurstwa.

Trudno sobie wyobrazić bardziej pod tym względem pouczający dokument, niż ostatni komunikat Międzypartyjnego Koła Politycznego.

W pierwszej części tego steku sprzeczności znajdujemy twierdzenie, iż „podstawowem zadaniem Tymczasowej Rady Stanu winno być opracowanie statutu sejmowego i *najrychlejsze* (podkr. nasze) zwołanie sejmu“...

W końcowej natomiast części czytamy, iż „żadne ciało tymczasowe, nawet Sejm, lecz z jednej dzielnicy polskiej wybrany, niema prawa decydującego kroku przedsiębrać“...

Cóż oznaczać ma „najrychlejsze zwołanie Sejmu?“ Może, zdaniem Koła Międzypartyjnego, da się zwołać „jaknajrychlej“ Sejm polski z trzech dzielnic? I to nie. Mówi bowiem komunikat znowu w innem miejscu o zadaniach Sejmu... po zawarciu pokoju. Więc kiedyż ma być zwołany ów Sejm i z ilu dzielnic? Jak to rozumieć? Czy Sejm ma być zwołany podczas wojny (t. j. „jaknajrychlej”), czy po wojnie? W pierwszym wypadku niewiadomo, poco ten Sejm zwoływać, skoro nie ma prawa

„decydującego kroku przedsiębrać", po wojnie zaś, jeśli się nie spełni program maksymalistyczny, również Sejm takiego prawa ma być pozbawiony.

Lecz zważmy dalej. „Sejm — głosi komunikat — przygotowawcze czynności Tymczasowej Rady Stanu rozważy i zastąpi ją prawowitym rządem polskim, nadając mu właściwy kierunek polityki narodowej". Z tego zdania wynikałoby, że chodzi o zwołanie Sejmu po wojnie, bowiem w rozumowaniu Koła Międzypartyjnego — nie może być podczas wojny mowy o „prawowitym rządzie polskim".

Dla uzgodnienia tych sprzeczności, komunikat Koła powinien zawierać zdanie: „postanawiamy *jaknajrychlej* zlikwidować wszechświatową wojnę".

Oto jest przykład walki z rzeczywistością. Jak zobaczymy dalej — nie jedyny.

„Sejm — oświadcza M. K. P. — również zadecyduje o dalszych losach Legjonów.. Wyłącznie Sejm polski władny będzie kadrami temi dysponować i doprowadzić do utworzenia takiej armji, która zastąpić będzie zdolna, po zawarciu pokoju, wojska obce własną siłą zbrojną".

A tymczasem Legjony mają czekać na postanowienia Sejmu Tu już przekroczono wszelkie granice naiwności. Tylko pokłócenie się z rzeczywistością może zrodzić podobnie w chwili obecnej niedorzeczną tezę.

Czy Międzypartyjne Koło Polityczne sądzi, że takimi komunikatami zmieni bieg wypadków i logikę faktów? Więc poco pisać platoniczne banialuki? Legjony w ciągu dwóch i pół lat walczyły z Rosją o niepodległość Polski i dla tego samego celu stały się kadrami tworzonej obecnie armji polskiej. Cel całkiem wyraźny. Ale Międzypartyjne Koło Polityczne chciałoby, żeby wojsko polskie *podczas wojny* stało się wojskiem od parady. I tu zaczyna działać polityczny mistycyzm tego ugrupowania: Polska *musi* powstać cała i niepodległa, *musi* w wyniku wojny obecnej stać się „czynnikiem równowagi europejskiej i przyjaznych stosunków z sąsiadami"; wszystko *musi* się stać po naszej myśli bez najmniejszego czynnego udziału z naszej strony. Naszym jedynem i wystarczającym atutem jest jakaś umowa, zawarta z Panem Bogiem. Wszystkie narody świata mogą

walczyć o swój byt i swoją niezależność, ale nie my, bo „wynikiem toczącej się wojny o trwały pokój świata i panowanie prawa nad siłą, *musi* być uznanie trwałego państwa polskiego o granicach, odpowiadających trwałemu jego istnieniu".

Wiara w szczęśliwą przyszłość Ojczyzny łączy nas wszystkich. Lecz wiara do żadnego czynu nieobowiązująca, żadnym wysiłkiem niepoparta, jest niczem, a najczęściej staje się fałszem i komedją. Taki mistycyzm prowadzi tylko do zrzucenia z siebie wszelkiej odpowiedzialności, czyli do największej demoralizacji.

Lecz odkąd to ów mistycyzm datuje swoje powstanie? W każdym razie zrodził się już po formowaniu legjonów Gorczyńskiego! Czy o państwie polskiem żywioły zgrupowane w M. K. P. mogłyby, czy byłyby w stanie bąknąć choćby jedno słowo, gdyby nie zwycięstwa państw centralnych? Państwo polskie powstało *wskutek tych zwycięstw*, przedtem bowiem jedynem źródłem skromnych nadziei była odezwa Mikołaja Mikołajewicza, a jedynym programem — autonomja i to ze stoma znakami zapytania, a już napewno bez Galicji wschodniej, którą z lekkiem sercem oddawano Moskwie! I nie „musiałaby" powstać Polska cała i niepodległa, jako „wynik toczącej się wojny". A dziś? Frazesy na temat „wojny o trwały pokój świata i panowanie prawa nad siłą" świadczą tylko o przejęciu się stylem not koalicyjnych, (używanym zresztą przy wypowiadaniu takich żądań, jak np. usunięcie Turcji z Europy — przykład panowania prawa nad siłą!...). Wreszcie zaufanie do całego świata, który podzielił się na wojujące obozy i długo jeszcze po zawarciu pokoju trwać będzie w wielkiej sprzeczności najżywotniejszych interesów, — zaufanie takie jest bredzeniem politycznem, nad którem nie warto się poważnie zastanawiać.

* * *

Komunikat M. K. P. nasuwa jeszcze jedną uwagę. Ugrupowanie to zaczęło ogromnie dbać o *prawowitą* reprezentację woli narodowej. Więc zapytajmy: jeżeli nawet Sejm, lecz nie z trzech dzielnic zwołany, nie jest władzą prawowitą ani organem woli narodowej, to czem jest np. Komitet Narodowy w Petersburgu, czem jest akcja trzech „posłów" polskich w Dumie rosyjskiej,

czem jest Agencja Lozańska, czem jest robota pojedyńczych samozwańców w rodzaju Dmowskiego, Piltza czy hr. Wielopolskiego? Dlaczego to Koło Międzypartyjne nasamprzód nie wyrzekło się tych właśnie „reprezentantów" woli narodowej, zanim przystąpiło do ustalenia pojęcia prawowitej reprezentacji woli narodu polskiego? Dlaczego nigdy, ani w jednym komunikacie nie zaprotestowało przeciw działaniu emigrantów „w imieniu narodu"? I cóż wobec tego znaczyć może pouczanie Rady Stanu, że nie jest „uprawniona" do decydujących kroków? Tu tkwi cała tej grupy obłuda, na której tak łatwo, tak niezmiernie łatwo można się poznać.

To są maski zanadto przejrzyste. Twarz poznać zdaleka.

Więcej takich komunikatów, a Koło Międzypartyjne stanie się wzorem niezręczności w odgrywaniu politycznej komedji.

Treść tej komedji krótka: „siedzieć cicho", a gra się już od 5 sierpnia 1915 roku. Mamy jednak wrażenie, że ma się ku końcowi. Publiczność coraz mniej dopisuje. Marni aktorzy opuszczą scenę i wezmą się może do jakiejś uczciwej roboty.

27 Stycznia 1917 r.

GŁOS GENERAŁÓW ROSYJSKICH.

Dwa ostatnie rozkazy dowódców frontu, generałów Brusiłowa i Ewerta, godne są bliższej uwagi.

Poświęcone są aktowi 5-go listopada, a zwrócone do wszystkich rot, eskadronów, secin, baterji, szwadronów i komend.

Czego tedy mają się moskiewskie eskadrony i szwadrony nauczyć w sprawie polskiej?

Rozpoczynają się obydwa rozkazy od... historji. Obydwa w kilkunastu wierszach „uzasadniają" twierdzenie, że rozbiór Polski była to wyłącznie wina Prus i że Rosja „zawsze walczyła o wyzwolenie (!) nie tylko rosyjskich ziem, ale również polskich i wszystkich słowiańskich".

Mają więc roty i seciny moskiewskie trzymać się poglądów historycznych — „według rozkazu". Nowa to całkiem metoda agitacji wojskowo-politycznej. Teraźniejszość jest widać zbyt

fałszowana i paczona w oświadczeniach oficjalnych, nie budzą one już bezwzględnego zaufania rot i baterji, trzeba je więc w „rozkazach" uczyć historji oficjalnej, której rzetelność nie daje się tak łatwo sprawdzić przez mózgi kozackie.

Generał Brusiłow, najwidoczniej zalękniony wpływem aktu 5 listopada na nastrój Polaków w armji rosyjskiej, wyraża „głębokie przekonanie, że Polacy, służący w szeregach armji, będą w przyszłości służyli wiernie Cesarzowi i ojczyźnie". Lecz żeby się w tem przekonaniu utrwalić, oszukuje swoją armją, iż—według aktu 5 listopada — „w skład nowego państwa nie wejdzie część Królestwa z Kaliszem, Sieradzem i Częstochową". Szczególne to „wyłączenie" Częstochowy w rozkazie gen. Brusiłowa ma na celu oburzyć żołnierzy z ludu polskiego, tak przywiązanego do miejsca pielgrzymek religijnych. Zwyczajne oszustwo ubiera się tu w togę obrony narodu polskiego przez moskiewskie roty i kompanje. Brusiłow „ubolewa", że państwo polskie ma być tak niewielkie!..

Takie „ubolewania" łączą się znowu z tonem wściekłej już groźby w rozkazie gen. Ewerta. Ten przestrzega Polaków przed „zdradą", przed „pogwałceniem przysięgi na wierność Cesarzowi".

I tu dopiero odezwała się dusza moskiewskiego żandarma: oto pisze w rozkazie swoim gen. Ewert, że „osoby takie po wygnaniu wroga z granic państwa, prócz niezmytej hańby i pogardy (!!), oczekiwałaby i zasłużona przez nich surowa kara, ponieważ nazwiska ich i miejsce zamieszkania byłyby wiadome" (!!).

„Nazwiska i miejsce zamieszkania byłyby wiadome". Takie słowa żandarmskie — w oficjalnym rozkazie do wojska!

Tak. Jeśli chodzi o „zdradę", czyli o zrzucenie jarzma moskiewskiego i budowanie własnego, niepodległego państwa, to „miejsce zamieszkania" tej zdrady jest istotnie wiadome: dość spojrzeć na kartę geograficzną, na te obszary, na których widnieją wyrazy: „Królestwo Polskie" — i to Królestwo Polskie zaaresztować. Właśnie takby chciała Moskwa postąpić, bo już dzisiaj chęć karania jednostek byłaby niedorzecznością.

Polska miała do wyboru: zdradzić siebie samą, albo „zdradzić" Rosję, czyli przestać być jej niewolnicą. Przysięgi na niewolę cesarzowi rosyjskiemu nie składała. Ostatni sejm polski zdetronizował cara z tronu polskiego. Więc niema tu „zdrady",

bo nie „zdradza" więzień, mylący uwagę szyldwacha, kiedy się wydostaje z rąk oprawców. Ale jeśli to zdradą nazwiemy, to Polska zdradza Rosję na całej linji jej narodowego życia. W oczach oprawców moskiewskich zasługuje na „niezmytą pogardę", w swoich własnych rośnie w dumie wolnego narodu, zmywa piętno hańby i poniżenia. Nie powstrzyma jej groźba rosyjskiego generała o „wiadomych nazwiskach i miejscach zamieszkania".

A cóż naprzykład powie Rosja o ostatniej pięknej depeszy Magistratu m. st. Warszawy, wysłanej do młodzieży węgierskiej z powodu obchodu w Budapeszcie „święta wskrzeszenia Państwa Polskiego", cóż powie Rosja o depeszy, która mówi o „odwiecznem braterstwie Polski z szlachetnym narodem węgierskim"? No tak, adres warszawskiego Ratusza i nazwiska członków warszawskiego Magistratu są ochranie moskiewskiej wiadome. Lecz takich adresów „zdrady" jest teraz tysiące. Więc trzebaby było nad całą Polską wybudować dach, kraj cały okratować i umieścić napis: „Policejskij arest". W ten sposób byłaby Polska *zjednoczona!* W ten sposób byłoby zagwarantowane „zachowanie z Rosją wspólnej państwowości", o czem przypomina raz jeszcze głównodowodzący armjami, generał-adjutant Ewert.

I dlatego to o „miejscach zamieszkania i nazwiskach" wspomniał w rozkazie do rot, eskadronów, secin, szwadronów i baterji...

A teraz pytanie: czy Polsce potrzebne jest silne wojsko, czy nie jest potrzebne?

31 Stycznia 1917 r.

ROZRÓŻNIAJMY!

W pierwszym okresie pracy nad zaszczepianiem w świadomości narodu podstawowych pojęć i norm państwowego życia, w tej pedagogice politycznej, jaką dziś dopiero rozpoczęliśmy dla uzdrowienia, a nawet, rzec można, przeistoczenia umysłów, dusz i charakterów, by je uczynić zdolnemi do spełnienia nowych i wielkich zadań doby bieżącej, — stosować winniśmy najbardziej rozważne i twórcze metody działania.

Do takich metod nie należy sztuczne i prostackie dzielenie narodu na jakieś dwa odłamy: wrogów i zwolenników państwowości polskiej.

Zapatrzeni niemal wyłącznie w środowiska politycznie zorganizowane, świadome i w określonym kierunku działające, zdajemy się nie doceniać oczywistego faktu, że poza grupami politycznemi żyje olbrzymia większość narodu, która się daje podzielić na cały szereg kategorji, jeśli chodzi o rzetelne zbadanie stanu umysłów, sposobu odczuwania spraw narodowych, poziomu dojrzałości politycznej oraz stopnia rozwoju instynktu społecznego.

Otóż niemożna, naprzykład, widzieć przeciwnika w kimś, kto jeszcze nie dorósł do zrozumienia naczelnych zadań politycznych doby bieżącej oraz komu zupełnie obce są najpierwsze pojęcia z zakresu życia państwowego. Imię takich — miljon. Nie byłaby niewola niewolą, gdyby nie zahamowała postępu kulturalnego i politycznego wśród szerokiego ogółu, gdyby nas nie cofnęła w porównaniu z narodami wolnymi o tyle lat, ile lat trwała. Więc na każdym kroku — i to we wszystkich warstwach narodu — spotykamy groźną siłę ignorancji i ciemnoty, materjał całkiem surowy, politycznie nieokrzesany, nieorjentujący się absolutnie w niczem, pozbawiony nawet poczucia doniosłości najważniejszych spraw i zagadnień dnia dzisiejszego. Tu mamy do czynienia z oporem nierozumu, z psychiczną ociężałością, z objawami zobojętnienia krańcowego, z brakiem instynktów społecznych, a tem samem narodowych. Tu panuje nie pogląd jakiś, nie sąd, nie rozumowanie, lecz pustka, niedorzeczność, niedorozwinięcie myśli i spaczenie charakteru.

Nie jest wrogiem ów chłop, dla którego wyraz niepodległość jest synonimem wyrazu pańszczyzna. To tylko żywa pozostałość moskiewskiej prowokacji.

Nie jest wrogiem ów robotnik, który nie odczuwa wspólnoty swego interesu z interesem narodowym. To tylko ofiara sekciarskiej trucizny, którą wsączono w prostacki i łatwowierny umysł.

Nie jest wrogiem ów drobnomieszczanin, który nie rozumie, że sklepik polski to jeszcze nie Polska. To jedynie wytwór epoki, której hasło: „enrichissez vous!" przeszczepione zostało na grunt polskiej niewoli.

Ów chłop, ów robotnik i ów drobnomieszczanin,—to ogrom duchowego bezwładu i największe pole pracy uświadamiającej. To nie żadni świadomi „neutraliści", bowiem neutralność stanowi bądź co bądź jakąś postawę polityczną, — mimo całą jej w naszych warunkach niedorzeczność, — lecz poprostu żywioł ciemnoty, który trzeba uczyć i oświecać, prowadzić, jak ślepców, krok za krokiem na nowych drogach narodowego życia. Nasi uświadomieni neutraliści opierają się na nieświadomej bierności tego żywiołu i stąd wnioskują o swoich wielkich wpływach. Niema tu żadnych wpływów, ponieważ nie jest to bierność wyrozumowana. Możnaby z taką samą racją mówić o wpływie na niemowlęta, że się nie wypowiadają za takim lub innym programem czynnej polityki polskiej. O ile tedy wypowiadamy walkę neutralistom, którzy usiłują hamować naszą pracę, o tyle nie o walce, lecz jedynie o poważnem uświadamianiu może być mowa w stosunku do biernej i ciemnej masy. Będziemy ją pozyskiwali, uzdalniając stopniowo i ustawicznie do spełniania obowiązków człowieka i obywatela państwa niepodległego. A w tej doniosłej pracy musimy stosować słuszne metody pedagogiczne, którym nadewszystko obcą jest wszelka zaciekłość i wszelka bezwzględność. Poza owem minimum obowiązków, których żądać ma prawo i żądać musi państwo od wszystkich swych obywateli, leży cały obszar dobrej i twórczej woli obywatelskiej, którą trzeba rozbudzić w uśpionych warstwach narodu.

Z kolei najliczniejszym jest żywioł chwiejny, niezdecydowany, zalękniony i pełen wątpliwości. Ten stan ducha godzi się częstokroć ze szczerym patrjotyzmem, szczerą troską o dobro narodu, mimo, że jeszcze nie ożywia go potrzeba realnego i bezzwłocznego czynu. I to również nie są „neutraliści", a już tembardziej nasi wrogowie. Ich rychło przekona tworząca się, nowa rzeczywistość, przekonają realne zdobycze czynnej polityki polskiej, przekona obraz zmartwychwstającej Ojczyzny, — przekona i pociągnie do wspólnej pracy i walki nad odbudową wskrzeszonego państwa polskiego.

Więc któż u nas jest dziś wrogiem państwowości polskiej? Tylko zorganizowane, świadome i na dwóch krańcach działające siły.

Jedna — to żywioł intrygi i prowokacji, dający znać o sobie w oszczerczych świstkach i pamfletach, żywioł najbardziej plugawy i niebezpieczny.

Siłą wrogą państwowości polskiej jest również nasza Socjal-demokracja, stronnictwo antynarodowe, które nie wysuwa haseł państwa demokratycznego, lecz samą ideę państwa bojkotuje, przez co stacza się w otchłań anarchizmu. Wszelkie zaś objawy anarchistyczne — w epoce budowania pierwszych podwalin życia państwowego, muszą i powinny spotkać się z bezwzględnem przeciwdziałaniem. W stronnictwie tem bynajmniej nie przypadkowo grają tak wydatną rolę ludzie z natury, pochodzenia i wychowania najzupełniej obcy polskości. Bez tych ludzi stronnictwo takie nie istniałoby w Polsce. Najjaskrawszy radykalizm w obozach socjalistycznych Europy nie posuwa się do negacji państwa. Takie zaś tendencje musimy okiełznać i sparaliżować, jako przeczące wszelkim pojęciom rozsądku i prawa.

Są więc żywioły bierne przez ciemnotę, są inne — chwiejne, są jeszcze inne — nikczemne i są — wrogowie.

Należy te kategorje dobrze rozróżniać i — odpowiednio postępować.

2 Lutego 1917 r.

DZIENNIKARZ I CZYTELNIK.

Zaczęto u nas mówić o potrzebie szkoły dziennikarskiej. Doskonale. Nareszcie budzić się zaczyna przekonanie, że dziennikarstwo jest, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, zawodem i, jak każdy zawód, wymaga specjalnej wiedzy, praktyki i uzdolnienia.

Pod tym względem panują u nas stosunki nieznane w społeczeństwach cywilizowanych. Z wyjątkami bardzo nielicznymi, dziennikarz polski — to nie człowiek fachu, lecz jakaś ofiara, rozbitek, figura zgoła nieszczęśliwa. Nie szanuje go społeczeństwo, lekceważy go czytelnik, za coś niższego uważa każdy „solidny" obywatel. Dziennikarz zaś odpłaca pięknem za nadobne i rozgoryczenie swoje zaprawia bezwzględnym cynizmem.

Obywatel nasz może słusznie powiedzieć o niejednym dziennikarzu: nieuk, wykolejeniec i blagier.

Dziennikarz nasz może słusznie powiedzieć o przeciętnym obywatelu: urąga, a moją strawą karmi się codziennie, lekceważy, a żyć bezemnie nie może. Nie popiera mnie, nie pomaga, a im jest marniejszy, tym więcej ma pretensji.

Wzajemny ten stosunek nie należy do najmilszych. A jest tem nieznośniejszy, że obie strony mają dużo słuszności. Więc już się nie pogodzą bez zmian gruntownych i radykalnych.

I dobrze, że się nie pogodzą.

Dziś wszyscy od siebie musimy więcej wymagać. To naczelne hasło dnia.

Przez długie dziesiątki lat dziennikarz warszawski nie rozszerzał swych horyzontów myślowych i pola swej pracy poza te granice, jakie mu wykreślał cenzor rosyjski. Zaś inteligentny obywatel zaspakajał swe wymagania przez czytanie gazet zagranicznych. Pismo polskie było ylko lokalnem uzupełnieniem tamtej lektury, która mu istotnie coś dawała.

Wegetacyjny żywot prasy polskiej wytworzył też specjalny typ wegetującego dziennikarza — bez głębszych ambicji i bez rzeczywistych fachowych kwalifikacji.

Ten stan rzeczy niejako upoważniał wszelkiego rodzaju nieuków, wykolejeńców i grafomanów do sięgania po tytuł dziennikarza: nie potrzeba było sięgać zbyt wysoko.

Jest u nas cała armja „chodzików" redakcyjnych, którzy od szeregu lat zajmują się „dziennikarstwem", nigdy nie mając zupełnej pewności w rzeczach gramatyki, nie mówiąc już o prawidłowej stylistyce.

Wytworzyło się mniemanie, że najłatwiej być dziennikarzem. Zrobił to się zawód desperatów. Dlatego taka tępa melancholja unosi się nad szpaltami naszych dzienników. Wszystko to ciężkawe, nudne, nieinteligentne i zabójczo monotonne. Nic też dziwnego, że nigdzie na świecie ludzie z takiem zainteresowaniem nie czytają ogłoszeń, jak u nas: w tym dziale znajdują treść najbardziej urozmaiconą. (Jest to, mówiąc nawiasowo, tajemnica powodzenia niektórych kurjerów warszawskich).

Powtarzam: musi tu nastąpić zmiana radykalna.

Dobra szkoła dziennikarska jest dziś niezbędna.

Jak we wszystkich zawodach, tak i w dziennikarstwie obowiązywać winna następująca kolej rzeczy: przedewszystkiem stwierdzenie odpowiednich uzdolnień, potem — nauka, następnie praktyka, wreszcie — samodzielna praca i pouczanie innych. Wtedy będzie to rzetelna służba publiczna, a nie jakieś przykre i szkodliwe nieporozumienie.

Wtedy też polski czytelnik pogodzi się z polskim dziennikarzem. Zaczną się szanować i cenić. Obydwóm wyjdzie to na dobre.

15 Lutego 1917 r.

PASZKWILE.

Ostatnimi czasy wytworzył się u nas nowy typ manjaków: archiwiści. Jest ich bez liku. Zbierają wszystko, co zrodziła wojna w słowie drukowanem, zaś przedewszystkiem odezwy, broszurki, świstki. „Perłami“ ich zbiorów są rzeczy nielegalne, a „brylantami“ — pamflety i paszkwile.

Te ostatnie są najbardziej cenione przez tego typu archiwistów, co też należycie określa powagę i celowość ich wysiłków.

Jeżeli zobaczysz, czytelniku, człowieka niespokojnego, z głupim wyrazem twarzy i wzrokiem zakłopotanym, biegającego po ulicach, kawiarniach, redakcjach i antykwarniach — wiedz, że to jest archiwista i że szuka — nie jakiegoś dzieła rzadkiej wartości, nie cennego dokumentu historycznego, ale z pewnością jakiejś łajdackiej broszurki.

— Wszystko już mam, ale tej broszury niemam.

— I dlaczego się pan martwi?

— Ależ panie, jabym zapłacił za nią 5 rubli!

— Za co?

— To będzie miało kiedyś kolosalną wartość!

— Dla kogo?

— Panie, to dokument historyczny niezmiernej wagi dla przyszłego badacza naszej epoki!

I całkiem szczerze wierzy taki archiwista, że jakieś, za przeproszeniem, świństwo będzie dokumentem „niezmiernej wagi“.

Ten to rodzaj archiwistów stanowi rynek zbytu dla nowej spekulacji paszkwilami, które zdobywają coraz większe ceny.

Ktoś nie znający naszych stosunków mógłby sądzić, że rozwój literatury paszkwilowej i oszczerczej płynie ze źródła „gniewu ludowego“, z jakiegoś utajonego „wzburzenia“, że jest wyrazem gotującego się „buntu i protestu“, stanowi groźną zapowiedź jakiejś „pomsty“.

Nic podobnego. Ot poprostu: jakiś nicpoń napisał i wydrukował stek najohydniejszych oszczerstw. Rzucili się na ten „dokument historyczny“ archiwiści, płacąc coraz drożej. Stwierdził to drugi nicpoń, napisał rzecz jeszcze jaskrawszą, zrobił dobry interes, czem dał przykład nicponiowi trzeciemu i czwartemu.

W ten sposób wytworzył się nowy zyskowny zawód.

„Non olet“ mówili o pieniądzu starożytni Rzymianie. Tę jedyną cechę starorzymską oddziedziczyli paszkwiliści, spostrzegłszy, że naiwność ich klijenteli niema granic.

Pod tym względem nie różnią się niczem od spekulantów innych kategorji. Jedni spekulują na żołądkach, drudzy na głupocie.

Z pierwszymi walka trudniejsza, bo jeść trzeba koniecznie, atoli posiadanie w bezmyślnych „zbiorach“ bylejakich świństw — koniecznością nie jest.

Spekulacja ta ustanie, jeśli wspomnianego typu archiwiści więcej będą dbali o moralność w stosunkach współczesnych, niż o troski przyszłego dziejopisa, który napewno tej „literaturze“ nie poświęci ani chwili uwagi.

Więc — nie kupować!

24 Lutego 1917 r.

ZNOSZENIE ŚLADÓW NIEWOLI.

Lepiej późno, niż nigdy.

Magistrat uchwalił już rozbiórkę pomnika na placu Zielonym. O jeden ślad niewoli mniej. Ale to dopiero początek. Trzeba się nareszcie zabrać do zniesienia wszystkich znaków przemocy.

Tyle lat na oczach naszych spoczywała ręka ciemięzcy, że nam nieco przytępiła wzrok i nie widzieliśmy zrazu ohydy w tolerowaniu pomników hańby, manifestacyjnego szyderstwa Moskwy, zrusyfikowania wyglądu stolicy i wielu innych miast kraju.

Już przecieramy zmęczone oczy, już zrozumieliśmy, że honor narodu wymaga zniesienia wszystkich śladów ciemięstwa, że niema w tem żadnej „polityki“, lecz wynika z najpierwszych zasad godności narodowej.

W dniu 5 sierpnia 1916 roku postawiliśmy krzyż na stokach cytadeli, gdzie ongi stała szubienica.

Ale duch Traugutta i jego towarzyszy nie mógł błogosławić krzyżowi temu, dopóki w tem samem mieście istniała ulica hr. Berga.

I dziś jeszcze dużo jest tu rzeczy, obrażających ten krzyż.

Stoi pomnik Paskiewicza. Urąga stolicy Polski. Stoi niedaleko pomnika Mickiewicza. Czyż może być coś potworniejszego?

Podczas pochodu 3-go maja wielotysięczne tłumy przeszły koło pomnika Paskiewicza z nakrytemi na tę chwilę głowami. Nikt w tym względzie tłumów nie pouczał. Był to piękny, instynktowny odruch uczucia narodowego. Kat i ciemięzca otrzymał zapłatę.

Lecz pomnik jego, choć tak shańbiony, stoi dalej.

Podobno ktoś zaproponował, żeby j u ż t e r a z, póki nie będzie całkiem zniesiony, oszalowano go deskami i umieszczono napis: tu stoi pomnik kata Polski, na tem miejscu stanie pomnik księcia Józefa Poniatowskiego...

Pięknie. Lepiej późno, niż nigdy.

26 Lutego 1917 r.

CZASEM NIE CHCE SIĘ PISAĆ...

Czasem nie chce się pisać... Chociaż od tego się jest dziennikarzem, żeby zawsze móc pisać interesująco i zająć czemś czytelnika.

A jednak czasami z ochotą nicby się nie pisało.

*

Kiedy, naprzykład, słyszy się o nieustannych morderstwach, popełnianych przez młodzieńców. Moralizować? Na nic się to nie zda. Świat podleje. W XVI stuleciu Tomasz Morus marzył o tem, że kiedyś przestępcy będą nosili na ramionach złote łańcuchy, jako znak... największej hańby. I za zbyt śmiałe marzenia skazano go na śmierć.

*

Pisać? Rozmawiałem wczoraj z matką, która wynajmowała za 3 kop. dziennie... worek i zakrywała nim w nocy swoje dziecko. Ten worek jej skradziono.

I co tu znaczą słowa?

*

Widziałem wielce patrjotyczny obraz w kinematografie. Nasza przeszłość, walki, klęski, cierpienia. Wszystko to razem ułożone śmiesznie i najbardziej dla cudzoziemca „egzotycznie". Nadużycie wielkich nazwisk, nieposzanowanie dziejów ojczystych, romans „patrjotyczny" na tle walk narodu o najświętsze ideały, efekty wulgarne, sensacyjne.

Oburzać się? Kiedy się to ludziom podoba!...

*

Ignacy Boruta pisze w „Myśli Polskiej": „Słońce i bóg rodzą się w krwawej purpurze. Słońce i bóg wschodzą w czerwonych zorzach. Słońce i bóg uświęcają wojnę. Jezus przyszedł na świat wśród rzezi niewinnych dziatek. Sam walczył i zginął śmiercią krwawą. Po jego zgonie przez cztery stulecia płynęła krew jego wyznawców. Odtąd przez tysiąc lat lała się krew jego przeciwników. Aby człowiek czuł się człowiekowi bliźnim, wyrzynały się w pień całe narody. Tyle ofiar kosztowało nas dzieło powszechnego braterstwa i miłości. A wy, panowie „neutraliści" chcecie uczuć się wolni w wolnej ojczyźnie, nie uroniwszy dla niej ani jednej kropli krwi? Przemalujcie wpierw zorze ranne i wieczorne na kolor maślanki, by słońce was nie rumieniło".

Sprostowanie: słońce trupów nie rumieni.

I o nich również już się pisać nie chce...

*

Kiedy się pragnie coś zrobić dla ludzkości, nie trzeba zbyt dużo myśleć o ludziach.

28 Lutego 1917 r.

GŁOS HISTORJI.

Bardzo często ubolewamy nad brakiem historycznego przygotowania wśród naszego nawet inteligentnego ogółu.

Gdybyśmy lepiej znali historję, nasze dyskusje i spory polityczne, nasze poglądy i przewidywania, byłyby głębsze, rzetelniejsze.

Świeżo wydana praca prof. Marcelego Handelsmana p. t. „Anglja-Polska“ (1814—1864) przynosi dużo materjału, nad którym czytelnik polski powinien się dobrze zastanowić.

Czy to tak trudno przeczytać dobrą, pouczającą książkę?

A ta właśnie książka rzuca prawdziwy snop światła na wiele naszych dzisiejszych wątpliwości, mimo, że dotyczy spraw z przed stu laty.

Niektóre z tych spraw mają bowiem wybitne, uderzające cechy... aktualności.

Przytoczę jednak tylko przykład.

W epoce napoleońskiej niejednokrotnie podnoszono myśl odbudowania Polski przez Aleksandra przeciw Napoleonowi. Myślano o tem w roku 1805, próbowano myśl tę podnieść w roku 1806/7. Podczas przygotowań do wielkiej wojny, tym razem z inicjatywy Aleksandra, wysunięto propozycję przerzucenia się Polaków Księstwa Warszawskiego na stronę rosyjską.

Ci z Polaków, którzy jak ks. Adam Czartoryski, były kierownik zagranicznej polityki rosyjskiej, wierzyli w możliwość odbudowania Polski przy Rosji i pragnęli zjednoczenia całej Polski przez Rosję, na skutek nowej przeciwfrancuskiej orjentacji musieli ciążyć ku Anglji, na nią spoglądać z nadzieją, w niej widzieć sprzymierzeńca.

W polityce brytańskiej — pisze dalej autor — nie było miejsca na zagadnienia częściowe, na sprawy lokalne, jak polska: zagadnienie naczelne—walki na śmierć i życie—dominowało nad wszystkiem.

Ks. Adam Czartoryski rozpoczął rokowania z Anglją w 1813 roku i sądził, że po upadku Napoleona „pocznie się nowa epoka dla ludzkości, rządy sprawiedliwości, wielkich liberalnych idei, szlachetnych i dobroczynnych uczuć“. W odpowiedzi ks. Czartoryskiemu, imieniem angielskiego rządu, pisał gen. Wilson:

„Teraz, kiedy o niczem nie mówimy, o niczem nie myślimy, tylko o uwolnieniu od jarzma obcego, czyliż podobna, aby kraj, którego samoistność uznała Europa, przy pokoju, w którymby zasady powrotu samoistności narodów uznane zostały, was miano od tego ogólnego prawidła odsunąć". I dalej daje taką wskazówkę: „*Z nikim nie traktujcie, nic nie róbcie, będą żądali od was adresów, oznak zaufania... Teraz więc odegrajcie rolę bierną, a kiedy czas przyjdzie, życzcie tego, co życzyć wam należy, niepodległości*".

Już widzę, jak nasi neutraliści, czytając tę cytatę z przed stu laty, zacierają ręce!

Powoli! Oto — imieniem *tego samego rządu* angielskiego, lecz już po kampanji jesiennej r. 1813-go, pisze do ks. Czartoryskiego kierownik angielskich spraw zagranicznych Castlereagh: „Nie można przypuścić, aby jakiekolwiek państwo rozbiorowe zgodziło się na wydanie prowincji, które zabrało Polsce. *Niepodobna odbudować Polski za pomocą rokowań, jedynym środkiem do tego prowadzącym jest miecz. Gdyby Polacy powstali z bronią w ręku, Anglja w innych warunkach mogłaby im dać skuteczną pomoc.* Z powodu jednak świeżych doświadczeń, nie jestem skłonny życzyć sobie czegoś podobnego, skoro rezultat nie byłby wart nawet rozlewu krwi i materjalnej ruiny, jakąby taka walka za sobą pociągnęła. *Polacy winni poddać się Rosji i zabiegać o jej łaski*".

Sto lat temu. A dziś? „Nawet w chwili wielkiego wszechświatowego zatargu — pisze prof. Handelsman — nie zboczy Anglja z wytkniętej drogi. I choć Polska leży na wielkim szlaku wydarzeń dziejowych, pozostawi ją w sferze wpływów rosyjskich, wewnętrznym zagadnieniom — imperjum carów".

Ba! Gdybyśmy lepiej znali historję!...

8 Marca 1917 r.

O REWOLUCJI W ROSJI.

Jest rzeczą zdumiewającą, że rewolucja w Rosji wybuchła dopiero w trzydziestym drugim miesiącu wojny. Wbrew wszystkim przewidywaniom z epoki przedwojennej, Rosja zdołała utrzymać tak długo pozory wewnętrznego pokoju, mimo, że od pierwszej chwili wojny toczyła się tam nieustanna walka z rządem. Walka jednak — łagodzona szeregiem sztucznych i powierzchownych środków oraz połowicznych ustępstw.

Sytuacja była od pierwszej chwili paradoksalna. Najwięksi wrogowie rządu i całego systemu państwowego Rosji, dodali mu faktycznej siły, stanąwszy na platformie wspólnej — dążenia do zwycięstwa. W wielu państwach europejskich widzieliśmy to samo zjawisko, nigdzie jednak nie tworzyło ono położenia sztucznego, bowiem nigdzie pomiędzy rządem a społeczeństwem i przedstawicielstwem narodowem nie istnieje taka przepaść. Jednocześnie te same żywioły liberalne starały się zagarnąć władzę w swe ręce. Nie można było więc ustalić, gdzie się kończy poparcie rządu w jego hasłach wojennych i imperalistycznych, a gdzie się zaczyna zamach na ten sam rząd. Kiedy Milukow stał się najgorętszym propagatorem hasła zdobycia Konstantynopola, jako przedmiotu „odwiecznych dążeń i potrzeb Rosji", nie wiadomo, co bardziej cenił: myśl o Konstantynopolu, czy myśl o objęciu teki ministra spraw zagranicznych, wygranej na licytacji patrjotycznych haseł. Lecz powalił Stuermera, którego zastąpił... Trepow. To właśnie charakteryzuje sytuację wewnętrzną w Rosji. Nic dziwnego, że rząd rosyjski najbardziej obawiał się swego najgorętszego „sprzymierzeńca" wewnętrznego. który go przelicytowywał w agitacji wojennej i patrjotycznej. Ten bowiem żywioł miał przez swe lojalne stanowisko najwięcej szans do pozyskania władzy i posłuchu w szerszych warstwach narodu, a więc: kadeci i październikowcy. Wyjściem — jak się okazało chwilowem — była nieustanna zmiana osób na stanowiskach kierowniczych. W ten sposób każdy następca mógł zwalać całą odpowiedzialność za niepowodzenia wojenne i za chaos w stosunkach wewnętrznych na swego poprzednika. W ten sposób podsuwano przedstawicielom „społeczeństwa" coraz to nowy przedmiot walki — nigdy,

zdawało się, niedokończonej, narażanej na ciągłe przerwy i zawieszenia, właśnie wobec nieustających zmian na szachownicy rządowej. Po upadku każdego ministra, musiał następować w tej walce interwal, wyczekiwanie, jak się zachowa nowy członek rządu i jakiemi oskarżeniami tego ostatniego można będzie obarczyć. W tym też celu tworzono prawdziwych kozłów ofiarnych, jak Suchomlinow, który prawdopodobnie nie okradał kasy państwowej z większą gorliwością, niż to czynili inni, dopiero teraz osadzeni w więzieniu, ale już przez rząd tymczasowy.

Zmiana na najwyższych stanowiskach rządowych odbywała się, zaiste, z zawrotną szybkością. Wszędzie zmiany te miały miejsce podczas wojny, lecz znowu nigdzie w takiej ilości i w tak krótkich odstępach czasu. Był to istny kołowrotek. Przypomnijmy okres dwóch lat: 1915 — 1916.

Na początku roku 1915 minister handlu Timaszew ustąpił miejsca księciu Szachowskiemu. W czerwcu tegoż roku portfele ministra wojny Suchomlinowa, spraw wewnętrznych — Makłakowa, sprawiedliwości — Szczegłowitowa oraz stanowisko oberprokuratora synodu Sablera — przeszły do generała Poliwanowa, Chwostowa, księcia Szczerbatowa i Samarina. Na początku września odbyła się jakby generalna zmiana personelu. Wielki książe Mikołaj Mikołajewicz został przeniesiony na Kaukaz, główne zaś dowództwo nad armją i flotą objął sam cesarz. Miejsce gen. Russkija zajął Aleksiejew. W ciągu tej samej jesieni ustępują ze stanowiska tak niedawno nominowani Szczerbatow i Samarin, a ich miejsca zajmują Chwostow i Wołżyn. Wkrótce funkcje kontrolera państwa (Charitonow), ministra rolnictwa (Kriwoszein) i komunikacji (Ruchłow) obejmują Pokrowskij, Naumow i Trepow. W lutym 1916 roku Stuermer staje się prezesem ministrów na miejsce Goremykina. W marcu dymisję otrzymuje Chwostow, a portfel ministra spraw wewnętrznych — Stuermer. I dalej: wkrótce na miejsce Poliwanowa ministrem wojny zostaje Szuwajew. W lipcu pada Sazonow, tekę jego zatrzymuje Stuermer, a ministrem spraw wewnętrznych staje się znowu Chwostow. Podczas lata w ministerjum rolnictwa pada Naumow, tekę otrzymuje Bobrińskij. We wrześniu zmienia się osoba prokuratora synodu: zamiast Wołżyna — Rajew, w ministerjum spraw wewnętrznych na miejsce Chwostowa —

Protopopow. W listopadzie upada otatecznie Stuermer, prezesem ministrów zostaje Trepow, a ministrem spraw zagranicznych Nieratow. Później — po Trepowie — Golicyn, po nim, jako prezes ministrów — Protopopow. [1])

Oto, jak rzekliśmy, kołowrotek, który wpływał na osłabienie napięcia walki z rządem przez ciągłe podstawianie nowych tej walki przedmiotów, nowe nadzieje, rozczarowania i znowu nadzieje.

System ten, z natury rzeczy, nie mógł mieć cech stałości i mógł starczyć na trzydzieści dwa miesiące wojny, poczem jak widać, przebrała się miara cierpliwości.

Kiedy w sierpniu i wrześniu 1915 roku z tak bezprzykładną szybkością padały twierdze rosyjskie, Brześć Litewski, Modlin, Zegrze, Kowno i Grodno, pisałem, iż klęski te muszą przyspieszyć wybuch rewolucji w Rosji, wybuch nieunikniony, o ile wojna się przedłuży. Nie sądziłem, że nastąpi tak późno. Rząd mógł się trzymać — przy wszystkich zmianach personalnych, lecz bez zmiany systemu — tak długo, jak długo działać mogły w pełni czynniki hypnozy wojennej i wiara w blizkie, wielkie zwycięstwa. Im jednak napięcie tej wiary było większe, tem większem groziła rozczarowaniem i tego rozczarowania skutkami. W parze z klęskami ustawicznie wzrastał wewnętrzny chaos organizacyjny, a raczej klęski z tego chaosu wynikały. Coraz większe dolegliwości, drożyzna i głód, nie równoważyły się jakimiś zwycięstwami, któreby mogły utrzymać pozorny spokój i utrwalić w opinji przekonanie o celowości ofiar i cierpień.

Jak można przypuszczać, władzę w swoje ręce zagarnęła t. zw. partja wojenna. Czy jednak można wysnuć stąd wniosek, że przez to wzrośnie siła wojenna Rosji i że poprawią się jej szanse?

Przedewszystkiem nie sposób wyobrazić sobie, żeby przejęcie całej władzy rządowej w nowe ręce mogło się *podczas wojny* odbyć w sposób tak idealny i tak organizacyjnie prawidłowy, żeby cała machina państwowa zaczęła odrazu działać sprawnie, sprężyście i na nowych podstawach, choćby najświe-

---

[1]) Spis tych zmian ministerjalnych znajdujemy w piśmie lozańskiem „Le Moniteur Polonais", № 2 z dnia 1 stycznia 1917 r.

tniej pomyślanych. Jest to podczas wojny niemożliwe. Przewrót państwowy nie może być kwestją dnia czy tygodnia, zaś podczas wojny decyduje każda godzina. Jest to wstrząs ogromny, po którym powoli i stopniowo ustala się cały układ nowych stosunków. Z tego, niewątpliwie, zdają sobie sprawę kierownicy przewrotu i ci, co pochwycili władzę. Nie mogą łudzić się i wierzyć w możliwość natychmiastowego ukonstytuawania się nowej i prawidłowo działającej władzy, któraby podjąć mogła bezzwłocznie i skutecznie całe dzieło wojny. Nie mogą przypuszczać, aby ten przewrót nie podziałał w sposób rewolucyjny na masy i nie pociągnął skutków dalej znacznie idących, niż te, które sobie sami wytknęli. Nie mogli wreszcie, znając swój naród, nie zważyć, że jest pod każdym względem nieobliczalny. Pamiętają rok 1905-ty. Wszystkie tego roku „niebezpieczeństwa“ potęgują się niepomiernie w czasie wojny.

Jeżeli z rzeczy tych zdają sobie sprawę, o czem wątpić chyba nie można, to należy stąd wysnuć bezpośredni wniosek. T. zw. partja wojenna liberałów rosyjskich traktowała wojnę przedewszystkiem, jako środek dojścia do władzy. Hasła imperjalistyczne były ubocznym, pomocniczym w tym kierunku czynnikiem. Jeżeli władzę zdobyli i jeżeli zdołają się u jej steru utrzymać, to cel główny osiągnęli. I dlatego ta właśnie partja „wojenna“ tak wielkiego utrudnienia w dalszym prowadzeniu wojny przez Rosję, jak tego rodzaju przewrót państwowy, może nie uważać za zbyt dla siebie groźne i *wbrew powszechnym przypuszczeniom,* czynić wysiłki dla szybkiego zawarcia pokoju, który *w tych okolicznościach* może jedynie utrwalić nowy porządek rzeczy.

Zbyt wielkie są doświadczenia Rosji, wynoszone pod tym względem z każdej wojny, by o nich nie pamiętano. Jest to jakgdyby rosyjskie prawo historyczne, że państwo to „liberalizuje się“ po klęskach, zaś uwstecznia się po zwycięstwach. Czy przypominać te klasyczne przykłady: reformy Sperańskiego po klęskach Aleksandra I-go i reakcja epoki Arakczajewa po zwycięstwach tegoż cesarza, odniesionych nad Napoleonem; reakcja długotrwała po zwycięstwach Mikołaja I-go nad Turcją i Polską, reformy Aleksandra II-go po wojnie krymskiej, wreszcie reformy po klęskach w wojnie z Japonją.

Dlatego w wielu najbardziej wojowniczo i patrjotycznie usposobionych liberałach rosyjskich siedzi ów typ „porażeńca“, który w klęskach wojennych Rosji stwierdza choćby pocichu i w skrytości ducha — największe szanse politycznego postępu swej ojczyzny.

W miarę napływu nowych wiadomości o tem, co się dzieje obecnie w Rosji, można będzie wysnuwać dalsze i wszechstronniejsze wnioski.

Lecz w każdym razie dziś stwierdzić można niezbicie, że chaos obecny jest ogromnem *osłabieniem* Rosji w jej akcji wojennej.

Jakże inaczej przyjmujemy dziś wieści o rewolucji rosyjskiej, niż w roku 1905-tym! Z jakiem natężeniem uwagi śledziliśmy bieg wypadków ówczesnych! Posuwaliśmy się daleko w naszych złudzeniach. Wierzyliśmy chwilami w zwycięstwo owej rewolucji i w najlepsze dla nas tego zwycięstwa skutki. Kapitan Szmidt, płynący na swym okręcie po morzu Czarnem wraz z rewolucyjną załogą, zdawał się być zwiastunem naszej lepszej doli pod zaborem rosyjskim. Czekaliśmy niecierpliwie czy — jak się to wówczas mówiło — czy Witte zaaresztuje Chrustalewa, czy Chrustalew Wittego. Gubiliśmy się w domysłach, czy Gapon jest bohaterem czy prowokatorem. Zwycięstwa chwilowe rewolucjonistów w Moskwie, Sewastopolu i innych, miastach zdawały się przeważać szale naszej sprawy na nasze dobro. Mieliśmy chwile jasnych nadziei. Mieliśmy dni uroczystych pochodów narodowych. Z tego wszystkiego wynikła w Rosji azefjada, a u nas — porewolucyjny mrok.

Teraz z zaciekawieniem przyjmujemy wieści o rewolucyjnych rozruchach w państwie, które przegrało wojnę, a przez to nie wpływa na nasze losy. One ważą się nietylko na szalach rewolucji rosyjskiej, lecz na szalach wszechświatowej wojny. Na ostateczny jej wynik jeszcze większe osłabienie Rosji wpłynąć może w sposób dla nas jedynie korzystny.

16 Marca 1917 r.

RADOŚĆ GUSTAWA HERVÉ.

„Można oszaleć z radości! — pisze Gustaw Hervé — Cóż znaczy Verdun, Isera, Marna wobec niezmiernego zwycięstwa, jakie koalicja odniosła w Petersburgu".

Kto, mianowicie, oszaleć może z radości? Czy w Gustawie Hervé obudził się stary anarchista, który w ciągu tak długiej wojny potrafił w sobie tłumić rewolucyjne zapędy, a teraz patrzy na pożar caratu i wierzy, że Rosja stanie się natychmiast państwem demokratycznem? Czy też szaleje z radości Gustaw Hervé, sprzymierzeniec Rosji w wojnie światowej, wierząc, że z tej zawieruchy Rosja wyjdzie silniejszą?

„Zwycięstwo koalicji w Petersburgu" — słowa te charakteryzują poniekąd radość Gustawa Hervé.

„Cywilizacyjne" hasła koalicji, sprzymierzonej z caratem musiały niepokoić sumienie europejczyka i socjalisty. Teraz wierzy, że dawna Rosja przestała istnieć. Więc odetchnął. Walkę o „wolność narodów" można... upiększyć zwycięską walką z dawnym caratem. Koalicja w przymierzu z Rosją i w wojnie z rosyjskim caratem wyzwala uciśnione narodowości państwa rosyjskiego, spełniając swój „program wojenny".

Tak sobie to może wyobrażać stary fantasta i impresjonista, Gustaw Hervé. Wierzy, że Rosja się do gruntu przeistoczyła. Siła biurokracji, siła czarnych secin, ochrany, prowokacji, tysiąca ośrodków najciemniejszych żywiołów — cały caryzm, cała jego tradycja i wszystkie jego atrybuty zniknęły bez śladu! Na szóstej części lądu ziemskiego zatryumfowała demokracja. Jest to więc zapowiedź odnowy świata.

Takie wnoski snuć sobie może błogi optymizm Gustawa Hervé i... uspakajać sumienie sprzymierzeńca Rosji.

Być może, iż przyszłość potwierdzi to „zwycięstwo koalicji" nad caratem, jeśli Rosja w ciągu najbliższych lat zreformuje się od dołu do góry i w tytanicznym wysiłku stanie się państwem nowożytnem. Powtarzam: w ciągu najbliższych lat. Przewrót dzisiejszy może budzić niejakie nadzieje, że z tego chaosu za lat kilka albo kilkanaście zrodzi się nowa Rosja, już utrwalona w swym zupełnie nowym układzie stosunków. Być może.

Ale teraz jest chaos, nieobliczalny w swych wynikach na najbliższą przyszłość. Jest więc rzeczą więcej, niż wątpliwą, czy owo „zwycięstwo“ koalicji będzie odniesione podczas tej wojny. „Nowa Rosja“ przechodzi wewnętrzny kataklizm, zapowiadający dopiero korzystną dla świata odnowę, ale rodzi się w bólach, które nie mogą jej wzmocnić na frontach bojowych. Nie pomoże tu gwarancja angielska. Choćby przy tym porodzie najświetniej udało się cesarskie cięcie, położnica musi odpocząć...

Zmarły przed kilku laty, prof. Anatol Leroy-Beaulieu, autor znakomitego dzieła „L'empire des Tsars“, świetny znawca stosunków rosyjskich, tak rozpoczął swoje wykłady o Rosji w paryskiej Szkole Nauk Politycznych w roku 1906-tym:

— „Będę panom wykładał w tym roku o Rosji, czyli o państwie wszelkich możliwości. Nie jest więc wykluczonem, że w toku wykładów zajdą całkiem nowe i nieoczekiwane zjawiska, nad któremi będę się musiał zastanawiać. Przystępujemy do badania państwa we wszystkiem i w każdej chwili nieobliczalnego. W rozmowie z Mikołajem II ten mój pogląd na Rosję wypowiedziałem całkiem szczerze. Zupełnie się ze mną zgodził“.

Nieobliczalność i akcja na frontach bojowych — to rzeczy całkiem przeciwstawne.

Jeżeli zaś chodzi o istotne zwycięstwo nad caratem, to, wbrew sądom Hervé'go nie odniosła go koalicja, mimo największej zręczności p. Buchanana. Zwycięstwo to odniosły przedewszystkiem państwa centralne. Gdyby nie było klęsk rosyjskich, nie byłoby rosyjskiej rewolucji. To chyba jasne.

Chaos rosyjski podczas wojny i możliwość przeistoczenia się Rosji w ciągu lat najbliższych — i jedno i drugie należy przypisać właśnie zwycięstwom mocarstw centralnych. To jest źródło istotne i istotna zasługa.

I jeszcze jedna uwaga. Parę dni po wybuchu wojny, w soborze moskiewskim car powiedział: „Oświadczam uroczyście, że nie zawrę pokoju, dopóki ostatni żołnierz nieprzyjacielski nie opuści granic państwa rosyjskiego“.

Uroczyste oświadczenia zdetronizowanego cara nie obowiązują rosyjskiego narodu...

Pod tym względem Gustaw Hervé nie ma powodu do szalonej radości.

22 Marca 1917 r.

OBCY ŻYWIOŁ.

Niedawno dwaj żydowscy publicyści, p. M. Cohen w „Vorwärtsie“ i p. Simonsen w „Berlingske Tidende“ wystąpili w sposób nieprzyjazny dla Polski, wytykając jej „prześladowanie“ ludności żydowskiej.

Z tego powodu napisał p. Leon Chrzanowski w „Kurjerze Polskim“ co następuje: „Złą przysługę świadczą żydom w Polsce ci, którzy ich żale i skargi wyprowadzają na rynek międzynarodowy, nie jest to bowiem obrona, jest to wydawanie walki społeczeństwu polskiemu. Wątpić należy, aby ta walka była w interesie żydów, tembardziej, że prowadzona tak, jak przez dwóch wymienionych wyżej publicystów, nosi wszelkie cechy insynuacyjnej naganki. Zbędne jest chyba przekonywanie świata, że „nowa Polska“ traktuje żydów gorzej, niż Rosja. Przecież wojna bądź co bądź się skończy i możemy zapewnić p. Cohena, że nie będziemy mieli najmniejszego żalu, o ile żydzi nacjonaliści, inspirujący publicystę „Vorwärts'a“, oddadzą pierwszeństwo Rosji i tam się przeniosą. Wytrzymamy tę degradację ze spokojem, tak, jak wytrzymujemy tendencyjne oskarżenia, ale że te ostatnie nie pomagają do rozwiązania sprawy żydowskiej u nas, to więcej, niż pewne“.

Bardzo słusznie. Za czasu pobytu Rosjan ten sam żywioł odwoływał się do liberałów rosyjskich, którym wyznaczał rolę sędziów w sprawie polsko-żydowskich przeciwieństw. Do takiej roli chętnie pretendowali kadeci, widząc w tem jeszcze jeden sposób utrwalenia zasady interwencji w wewnętrzne sprawy Polski. Jeszcze nie byli sędziami, a już brali się do roli prokuratorów. Żydzi nie rozumieli, do jakiego stopnia obrażają uczucia polskie. Takiem postępowaniem uniemożliwiali sobie obronę ze strony tych, którzy nie solidaryzowali się z antysemicką robotą N-D-cji. Skoro za rozjemcę nie uważali żadnego odłamu

Polaków, skoro „ratunku“ szukali zzewnątrz, przez to samo wytrącali broń najszczerszym demokratom polskim. W niejednej sprawie, w której robota N-D-cji była wstrętna i krzywdząca, żydzi przez odwoływanie się do postępowców rosyjskich, sami osłabiali tę przeciwwagę wpływom antysemickim, jaką w Polsce mogli wytworzyć jedynie demokraci polscy. W ten sposób tylko podsycali antysemityzm, działali niemądrze na swoją niekorzyść, a już rzecz prosta, z obrazą elementarnego poczucia zasad obywatelskich.

Rozumieli to ci asymilatorzy, którzy już w grudniu 1914 roku wydali odezwę przeciw interwencji zewnętrznej.

Teraz nacjonaliści żydowscy zmienili adresatów. Znowu odwołują się do interwencji zewnętrznej, projektując nawet specjalną delegację niemiecko-austrjacką dla rozważenia pretensji żydowskich w Polsce. Taki pomysł zrodził się w głowie jednego z dziennikarzy żargonowych. Jest to objaw najwyższej nielojalności obywatelskiej w stosunku do powstającego państwa polskiego, które samodzielnie rozstrzygać będzie wewnętrzne spory i nieporozumienia.

Nie o to chodzi, że — jak to piszą nacjonaliści żydowscy — „nie wolno im się nawet skarżyć“, ale o to, że owe skargi, obnoszone po całym świecie, stają się przez to samo czemś zasadniczo wrogiem dla narodu polskiego. Zaś ustawiczne szukanie rozjemców zzewnątrz jest, powtarzam, obrazą idei samodzielności narodowej polskiej. Tak odczuć to musi każdy Polak, bez względu na takie lub inne poglądy w kwestji żydowskiej.

Tylko całkiem obcy żywioł może tego nie rozumieć.

27 Marca 1917 r.

NARODY ROSJI.

Nadchodzące wiadomości o postulatach i żądaniach poszczególnych narodów państwa rosyjskiego, każą zastanowić się nad faktem, że niema na świecie państwa, któreby stanowiło taką mozajkę narodowościową, jak Rosja.

Te kilkadziesiąt narodów, ludów, plemion i szczepów dają obraz wszystkich stopni kultury i cywilizacji.

W pracach swoich o stosunkach narodowościowych w Rosji, p. Leon Wasilewski zastanawiał się głębiej nad tą mozajką. Obok ludów — pisał — stojących na tym samym poziomie co narody skandynawskie lub zachodnio-europejskie, mamy tam barbarzyńskie szczepy tubylców Syberji. Obok narodów o środkowo europejskiej strukturze społeczno-ekonomicznej — koczownicze plemiona środkowo-azjatyckie. Obok katolików, prawosławnych, protestantów i żydów,—mahometan, buddystów, szamanitów i bałwochwalców. Obok narodów o dawnej, wysoko rozwiniętej cywilizacji rodzimej — surową masę etnograficzną, pozbawioną własnej inteligencji i świadomości narodowej.

A przytem narody te i ludy dzielą różne tradycje państwowe, inne w Finlandji, inne wśród Ormian, Gruzinów i całej kaukaskiej wieży Babel, całkiem inne w swoistych, dawnych urządzeniach plemion syberyjskich.

Wreszcie Rosja posiada blizko tysiąc sekt religijnych!

Już w 1905-tym roku rząd rosyjski był przerażony budzeniem się świadomości narodowej wśród różnych „inorodców". Znany badacz stosunków, panujących wśród różnych „inorodców rosyjskich", L. Sternberg, pisał przed kilku laty: „Pewnego pięknego dnia, w szkołach ludowych nauczyciele przemówili w języku rodowitym uczniów. W języku ojczystym przemówili mówcy na wiecach. U narodów, które nie znały piśmiennictwa, zjawiają się odezwy, hektografowane kartki pism (Mordwini). Wotjacy śpiewają „Marsyljankę" w swej mowie. Kirgizi z zachwytem odczytują manifest 30-go października i uczą się na pamięć programu partji konstytucyjno-demokratycznej. Wśród Czuwaszów w ciągu szeregu miesięcy wychodzi radykalne pismo polityczne „Chrypar" i ukazuje sie cały szereg broszur politycznych, a u Tatarów rodzi się odrazu kilka organów partyjnych, dużo ilustrowanych podręczników i broszur. Burjaci zdobywają się na wydawnictwo podręczników i książek tłomaczonych. Jakuci zakładają swoje pismo i — teatr narodowy w Jakucku, gdzie wystawiano dramaty z ich życia narodowego. W Astrachaniu Kałmucy wystawiają na scenie „Wesele kałmuckie".

O wszystkich tych ludach pisała już Katarzyna II w roku 1764-tym (w instrukcji, ułożonej dla jeneralnego prokuratora, księcia Wiaziemskiego), iż należy je „doprowadzić do tego, aby się zruszczyły i przestały patrzeć, jak wilki w lesie".

A cóż teraz uczynią te „wilki"? Trzymała ich w uścisku żelazna obręcz biurokracji rosyjskiej, która pękła sromotnie.

Kilkadziesiąt narodów i budzących się swej świadomości ludów Rosji wśród bezprzykładnego zamętu hardo podnosi swe głowy.

Nad Rosją zawisło sto znaków zapytania.

Lecz narazie jeden pewnik: ogromne osłabienie jej potęgi przez niezliczone a tak wzmożone sprzeczności interesów, dążeń i żądań jej ludów.

28 Marca 1917 r.

DUCH LUDWIKA XVI-go.

„Zatrzymajcie się," nie idźcie dalej" — tak w paryskim „L'heure" woła były minister Raynaud do sprawców rosyjskiego przewrotu.

Po detronizacji cara i po zrzeczeniu się tronu przez w. ks. Michała nastąpił zwrot w kierunku republikańskim. Komitet robotniczy wywiera taką presję na rząd tymczasowy, iż niewiadomo na jakim krańcu politycznym zatrzyma się rosyjska nawa państwowa.

Ktoś słusznie przypomniał balladę Goethego o uczniu czarnoksiężnika, który pod nieobecność mistrza zaklął magicznem słowem miotłę, aby zaczęła nosić wodę. Zapomniał jednak, jakim znakiem „odczarowuje" się drewnianego sługę i byłby utonął w zalanem mieszkaniu, gdyby nie powrót czarodzieja. Rewolucja rosyjska rozpoczęła się zgodnie z „zaklęciem" p. Buchanana, ale któż potrafi ją „odczarować", by się wreszcie zatrzymała przed otchłanią nieprzytomnego chaosu?

Niektóre rzeczy dzieją się nieco... zbyt prędko. „Nowoje Wremja" (Nowoje Wremja!) dowodzi, iż cara Mikołaja spotyka należyta kara za jego grzechy przeciw narodowi, które popełniał od dnia wstąpienia na tron!... Prawicowe „Wieczernieje Wremja" pisze o zbrodniach Mikołaja Romanowa!.. Dotychczasowy organ dworski „Pietrogradzkaja Gazeta" zamieszcza wiersz pełen obelg pod adresem cara oraz karykatury z życia dworu.

Rewolucyjność tych pism nie jest przedniego gatunku. Jeżeli pp. Mieńszykowowie mogą z dnia na dzień stać się tak żarliwymi republikana-

mi, to iluż dotychczasowych radykałów stać się może jutro monarchistami?

Chociaż św. Synod rosyjski, już „uchwalił", że rewolucja jest „dziełem Boga" i postanowił o tem zawiadomić wiernych, niewiadomo czy wszystkie szatany Rosji znikły z jej obszarów wraz z usunięciem fotela carskiego z sali tronowej w gmachu św. Synodu?

Więzień Mikołaj Romanow, któremu pozwolono czytać pisma, głęboko się musi nad tem zastanawiać...

Współczuje mu... Francja! „La France" pisze: „Jeżeli jest jeszcze czas, należy cara wypuścić; powinno się przy pomocy dyplomatów ententy dać rządowi rosyjskiemu do zrozumienia, że w jego leży interesie, by przez bezcelowe uwięzienie nie przedłużać przesilenia". „Echo de Paris" i „Victoire" piszą, że wszystkich Francuzów z d z i w i ł o n i e m i l e (!) uwięzienie cara i ostrzegają przed rządem terroru.

Minister sprawiedliwości, Kierenskij, pod którego dozorem znajduje się rodzina carska, „uspokoił" Francję, oświadczając, iż nie chce być Maratem!

Gdzieś tam, w zaświatach, gorzko uśmiecha się duch Ludwika XVI-go.

1 Kwietnia 1917 r.

LOS HISTORJI.

„Jeżeli chodzi o złożoną niegdyś przez obywateli Królestwa przysięgę na wierność cesarzowi Rosji — pisze p. M. Zbrowski w ostatnim n-rze „Tygodnia Politycznego" — to przysięga ta była zawsze nieważna, jako wymuszona (juramentum iniuste extortum) i jako zawierająca w sobie przyrzeczenie prowadzące do zniszczenia narodu polskiego (bo taki był cel i działalność cesarzów rosyjskich), a więc — dla Polaków — do narodowej zbrodni. Zachodził tu więc i z teologicznego punktu widzenia wypadek przysięgi na rzecz niedozwoloną (juramentum de re illicita). Dziś wszakże pogłębienie tej kwestji nie jest konieczne. Dość stwierdzić, zgodnie z rotą owej przysięgi, podaną w dodatku V do praw zasadniczych rosyjskich, że była ona składana nie państwu rosyjskiemu, ale cesarzowi i następcy tronu osobiście. Gdy więc niema ani cesarza, ani następcy, niema i przysięgi. A jak nieodwołalną jest według prawa rosyjskiego abdykacja cesarza, gdy została manifestem ogłoszona, tak niemożliwem jest przywrócenie mocy przysiędze, która już ustała".

Po stwierdzeniu tego faktu — a to stwierdzenie, kto wie, może jest jeszcze rzeczą pożyteczną dla pewnej u nas kategorji ludzi — p. Zbrowski kończy swój artykuł uwagą następującą: „Tak znikło ostatnie piętno niewoli rosyjskiej, które na obliczu polskiem ciążyło. I znów nie nasza to zasługa. Zaprawdę, los w tej wojnie jest gorliwszym Polakiem, niż Polacy sami".

Gorzkię słowa. Ale to sobie musimy powiedzieć bez ogródek, że dotychczas w tworzeniu pomyślnych dla naszej sprawy perspektyw, nakład naszej woli i naszych czynów jest boleśnie mały.

Może kiedyś dziejopis, współczesną odtwarzając epokę, tylko na marginesie historji zapisze drobny nasz udział, własnowolny i świadomy, w wielkich przeistoczeniach i pomyślnych przemianach naszego własnego bytu narodowego.

Historja za nas pracuje. Jesteśmy dotychczas słabym objektem jej działania i jej... kaprysów.

Tworzyć historję może tylko zbiorowa wola wielkiego narodu, który ma pełną świadomość swej mocy, jasną drogę dążeń i wyraźnie wytknięte cele narodowe.

Może wojna właśnie, może wielka nauka, jaką niesie ona światu,— o znaczeniu twórczej woli narodów i państw, o sensie zbiorowej ofiary dla dobra przyszłych pokoleń, o potężnych zamiarach, obliczonych na przyszłość najdalszą, może właśnie ta straszna wojna w dobroczynnych swoich skutkach spełni również słowa wieszcza: „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice"...

I wtedy nie będzie można powiedzieć, że los historji jest gorliwszym Polakiem, niż Polacy sami.

2 Kwietnia 1917 r.

POSTĘP ŚWIATA.

Już dawno przed wojną we wszystkich przewidywaniach, związanych z jej nieodzownym wybuchem, w licznych na ten temat rozprawach, artykułach a nawet obszerniejszych dziełach, ustalano jako pewnik, że wszechświatowa wojna zmieni nietylko układ stosunków międzypaństwowych i międzynarodowych, lecz sprowadzi wielkie reformy socjalne i polityczne w życiu narodów europejskich.

Bieg wojny potwierdza te przewidywania. Najnowszym w tej mierze faktem jest zapowiedziana reforma wyborcza w Prusach.

Nieobliczalne przewroty i zmiany, jakie niesie kataklizm dziejowy, cała potęga krwawego chaosu wojny nie może jednak spaczyć pewnej, niezłomnej logiki wydarzeń, pewnych konieczności historycznych, które dały się przewidzieć i które też działają

nieustannie, zmierzając po przez wszystkie perypetje wojny ku swym wielkim celom.

Przyśpieszenie tempa historji przez wojnę, podważenie dotychczasowych norm społecznych i politycznych w układzie stosunków międzyludzkich i międzynarodowych, nowe doświadczenia i nowe prawa — wszystko to urzeczywistnia się nietylko przez mechaniczne działanie tendencji historycznych, lecz i na skutek wciąż wzrastającej, świadomej i zbiorowej woli społeczeństw. Wojna przez wciągnięcie miljonów ludzi w wir wszystkich wydarzeń doby obecnej, tę zbiorową wolę wzbogaciła i pogłębiła. Postawiła w świadomości tych miljonów pytanie zasadnicze o celach wszystkich ofiar, a co za tem idzie, wzmocniła pragnienie osiągnięcia celów najbardziej dodatnich i jaknajdalej idących.

Wśród wielu innych, podkreślał to również niżej podpisany — zaraz po wybuchu wojny: „Jeżeli weźmiemy pod uwagę te jedynie środowiska, z których rekrutują się wojska walczące, otrzymamy dziesiątki miljonów ludzi, pozostających w najsilniejszym kontakcie z każdym momentem wojny. Stwierdzić więc można, że nigdy i nigdzie świadomość tak olbrzymich mas ludzkich nie była sprzęgnięta z biegiem wydarzeń wojennych i ze wszystkiemi wstrząśnieniami świata, odczuwanemi w sposób najbardziej bezpośredni.. Wśród tych olbrzymich mas, po skończonej wojnie, spotężnieją dążenia ku rekompesacie tylu krwawych ofiar przez osiągnięcie wielkich reform socjalnych. Wola zbiorowa wzniesie życie narodów na wyższy szczebel cywilizacji i postępu". („Widnokrąg" № 33 z d. 17 sierpnia 1914 r.).

W krajach, których rządy nie są zdolne do odczucia ducha epoki, duch ten toruje sobie nowe drogi życia poprzez rewolucyjny przewrót. Tak się stało w Rosji. Natomiast wśród państw nowożytnych i cywilizowanych wielkie zmiany nie będą wymagały rewolucji, lecz odbywać się będą w drodze ewolucyjnej. Widzimy to w Niemczech.

Świat idzie naprzód, choć każdy krok swój znaczy krwawą ofiarą i mozolnym wysiłkiem.

11 Kwietnia 1917 r.

SIŁA FAKTÓW DOKONANYCH.

Kiedy przed paroma dniami doszła do nas wiadomość o depeszy rządu włoskiego, wnszującej prowizorycznemu rządowi rosyjskiemu proklamowania niepodległości Polski, napisałem, że niewątpliwie takie same depesze nadejdą do Petersburga z Paryża i Londynu.

Tak się też stało. Rządy koalicji „podzielają uczucia, jakiemi ożywiony był rząd rosyjski, gdy wezwał Polaków do niepodległości i wolności... Składają one rządowi rosyjskiemu życzenia i oznajmiają opinji publicznej oraz narodowi polskiemu, że czują się solidarnymi z Rosją w dziele oswobodzenia Polski".

Te same rządy koalicji po akcie 5 listopada wyraziły swą zupełną solidarność z protestem rosyjskim, który uważał sprawę polską za wewnętrzną sprawę Rosji i potępiał nawoływania Polaków do walki z ich „własną ojczyzną" (t. j. w rozumieniu protestu — z Rosją!).

W Rosji jest nowy rząd, wysuwający nowe programy. Lecz w państwach koalicji przewrotu rewolucyjnego jeszcze nie było. Jednak i one radykalnie zmieniły swoje w sprawie polskiej stanowisko.

Czego uczy nas ta zmiana? Tego przedewszystkim, że polityka jest w każdym momencie wyrazem realnego układu sił i wyrazem faktów dokonanych. Mamy tu właśnie do czynienia z przykładem w tej mierze najjaskrawszym, najwymowniejszym.

Pierwszym faktem dokonanym w sprawie polskiej podczas wojny było usunięcie Rosjan, drugim — akt 5 listopada. Gdyby państwa centralne nie proklamowały niepodległego państwa polskiego, gdyby nadewszystko hasło to nie było przez nas samych wysuwane i ofiarą wojenną Legjonów polskich wzbogacone, prowizoryczny rząd rosyjski nie stanąłby na stanowisku uznania państwowości polskiej. Nie byłby do tego siłą faktów dokonanych zniewolony. Nie widziałby żadnej takiego kroku potrzeby, żadnej konieczności. A co za tem idzie, nie wysuwałaby też postulatu państwowości polskiej — koalicja.

Może teraz Rosja wraz z koalicją podkreślać różnice w ujmowania całokształtu sprawy polskiej, jakie ją dzielą od państw cen-

tralnych, lecz sam fakt uznania państwowości polskiej został i Rosji i koalicji narzucony przez akt 5 listopada.

To też głęboko mylą się ci, którzy z powszechnego uznania państwowości polskiej wysnuwają nowy argument, przemawiający za... biernością. Cały powyższy bieg rzeczy wskazuje aż nadto dobitnie, że na terenie polityki międzynarodowej nic nie rodzi się z westchnień platonicznych, lecz z siły faktów dokonanych, które wymagają największego wysiłku i ofiary.

Jeżeli naprzeciw przyjaznym losom historji pójdziemy tylko z radosnemi westchnieniami, nic nam nie zabezpieczy dobrej przyszłości, nic nie utrwali uzyskanych zdobyczy.

Niemasz nic zgubniejszego i nic niebezpieczniejszego, niż ów fatalizm optymistów, którzy postępują tak, jakby zawarli umowę z Przeznaczeniem, niosącym nam wszelkie dobro, bez wszelkiego udziału naszych czynów.

22 Kwietnia 1917 r.

ROLA SOCJALISTÓW.

Bardzo doniosłą w skutkach może się okazać ta rola, jaką spełniają obecnie socjaliści różnych narodów, porozumiewając się w sprawie pokoju.

Jako wyraziciele dążeń szerokich mas ludu, mają za sobą niewątpliwą siłę i mogą ją w sprzyjających okolicznościach przeciwstawić tym, którzy wbrew woli większości wszystkich narodów, chcą dalej pełnić straszne dzieło wojny.

Rządy tych państw, które jeszcze wahają się, czy przystąpić do pertraktacji pokojowych, lub też jeszcze je chcą na jakiś czas odłożyć, a więc rządy koalicji, uczyniły już pierwsze ustępstwo: akcji pokojowej pewnej części obywateli swych państw i porozumiewania się w tej mierze z obywatelami państw przeciwnego obozu nie uważają już za zdradę stanu.

Jeszcze niedawno takie porozumienia byłyby niemożliwe, — w każdym razie odbywaćby się musiały w największej tajemnicy, zaś biorący udział w pokojowych konferencjach socjaliści

nie mogliby bezpiecznie przekroczyć granicy ani jednego z państw koalicji, wracając z tego rodzaju narady.

Jest to pierwsze i wielkie ustępstwo na korzyść pokoju, a więc na korzyść woli ludów, które poczynają się otrząsać z ciężkiego brzemienia hypnozy wojennej. Już się ta hypnoza rozwiewa, jak mgła, otwierając coraz jaśniejsze horyzonty.

Nic na to nie poradzą rządy w dalszym ciągu wojownicze. Są potęgą, póki trzymają rząd dusz i umysłów. Z chwilą jednak, kiedy świadoma wola ludów przemawiać zaczyna przez usta swych przedstawicieli własną mową, kiedy wielkie zbiorowe medjum wojenne budzić się poczyna, wtedy zgasnąć musi blask imion Lloyd George'a, Brianda, Milukowa i tych wszystkich, którzyby jeszcze chcieli wziąć na swe twarde sumienia dalsze męki mordujących się ludów.

W ciągu dwudziestu czterech godzin został przekreślony program wojenny Milukowa przez deklarację prowizorycznego rządu, który musiał się liczyć z opinją skrajnej lewicy.

Przed nastaniem pokoju musi się dokończyć likwidacja teoretycznych haseł i „celów wojennych", którym patronuje jeszcze Anglja. Przed oficjalnem porozumieniem się rządów, nastąpiły pertraktacje socjalistów, w które wsłuchuje się dziś cały świat z najwyższą uwagą, widząc w tem do niedawna nieprzewidziany, lecz tak w dzisiejszych warunkach logiczny wstęp do dzieła pokoju.

Państwa centralne gotowe są przystąpić do pertraktacji pokojowych i dlatego mogą w tej sprawie iść ręka w rękę ze swoją lewicą społeczną. Te zaś rządy koalicji, które jeszcze działają na zwłokę, łatwo mogą przeciągnąć strunę cierpliwości swoich demokracji i paść ofiarą krótkowidztwa.

Ofiara byłaby wtedy równie ciężka, jak niezaszczytna.

25 Kwietnia 1917 r.

„CO SŁYCHAĆ?“

Już blizko trzy tygodnie trwa bitwa największa w historji świata... W dniach ostatnich bitwa się wzmaga, pochłaniając tysiące ofiar.

Na ogromnych przestrzeniach, od Arras do Rheims, zmagają się miljonowe armje. Na równinach Flandrji spływa morze krwi ludzkiej. Jak donoszą ostatnie depesze, trupy atakujących Anglików tworzą w niektórych miejscach wielkie wały. Pada miljony pocisków, pędzą angielskie „tanki”, toczą się nieustanne walki aeroplanów. Na ziemi i na niebie szaleje żywioł wojny — z siłą, jakiej dotychczas nie znały dzieje ludzkie. W porównaniu z tem, co się na tym froncie odbywa obecnie, jakże blednie walka, jaką na tym samym terenie w r. 1814-ym stoczył Napoleon przeciw połączonym wojskom Niemców i Rosji.

Na ten — jak wszystko zdaje się wskazywać — ostatni akt dziejowego zatargu państw i narodów, świat cały patrzy z najwyższem napięciem uwagi.

Zapytajmy: iluż wśród nas tu, w Warszawie, zdaje sobie sprawę z ogromu i grozy tej strasznej bitwy?

Oto w takich dniach — jak zresztą zawsze — spotykamy w domach i na ulicach stolicy obywateli, którzy pytają: „Co słychać?”

Jest ich legjon. Są to ludzie, jakby całkiem pozbawieni poczucia rzeczywistości. Mogą się dziać na świecie rzeczy najstraszniejsze, wydarzenia, od których krew ścina się w żyłach, fakty, które zaważą na losach historji. A oni pytają się: „Co słychać?” Chcieliby się dowiedzieć czegoś „ciekawszego”.

I najczęściej takim ludziom odpowiada się: „Ano... nic nowego”.

Nigdy małość ludzka tak się nie daje dobitnie odczuć, jak w wielkich, nieśmiertelnych czasach.

27 Kwietnia 1917 r.

CYNIZM I TUPET.

P. Stanisław Grabski, b. redaktor „Zjednoczenia”, które wychodziło we Lwowie za czasów okupacji rosyjskiej i namiętnie przeciwstawiało się hasłu niepodległości Polski, służąc gorliwie rosyjskim celom wojennym z ostatniej epoki caratu, owóż ten sam p. Stanisław Grabski ogłosił obecnie na łamach wychodzącej w Moskwie „Gazety Polskiej“ (Nr. 72/497 z d. 30 marca r. b.) „List Otwarty do Komitetu Demokratycznego”.

Komitet Demokratyczny polski utworzył się z żywiołów niepodległościowych w Rosji, które już oddawna zwalczały ewakuowaną endecję wraz z jej Komitetem Narodowym.

Obecnie Komitet Demokratyczny wezwał Polaków, przebywających w Rosji do łączenia się z nim i „odmówienia posłom z ziem Królestwa Polskiego i Komitetowi Narodowemu miana reprezentacji narodowej", gdyż za taką w Rosji „uznać możnaby tylko przedstawicielstwo uwierzytelnione przez rząd narodowy". Komitet Demokratyczny pragnie „być tłómaczem dążeń narodu naszego i rzecznikiem jego praw do niepodległego bytu" i w tym celu „podejmuje się zjednoczyć ogół polski pod hasłem niepodległości Polski i równouprawnienia Polaków w Rosji".

I oto, nie kto inny, tylko p. St. Grabski w namiętnej replice usiłuje dowieść, że: 1) prawdziwym przedstawicielem idei niepodległości był on i jego obóz, 2) Polacy z Komitetu Demokratycznego „organicznie się ze społeczeństwem rosyjskim zrośli i nie mają poczucia naszej niepodległości".

Trzeba zaiste być pozbawionym poczucia śmieszności i mieć w sobie bardzo duży zapas cynizmu, żeby móc z taką repliką wystąpić.

P. Grabski w obszernym „Liście otwartym" przypomina dzieje swojej grupy w Galicji na początku wojny, charakteryzuje po swojemu warszawski „Komitet Narodowy", by wreszcie dojść do następującego twierdzenia:

„Stojąc na wyraźnie rewolucyjnym stanowisku przeciwko Austrji czyniliśmy to oczywiście (!) nie po to, by autonomję austrjacką zamieniać na autonomję rosyjską (!!). Rewolucyjne stanowisko zajmuje się zawsze tylko dla celów maksymalnych".

I dlatego, dodajmy, tak namiętnie, z taką pasją i bezwzględnością zwalczali p. Grabski i jemu podobni wszelkie przejawy ruchu niepodległościowego, apoteozując, — tak! *apoteozując* autonomję rosyjską!

Teraz oto dowodzi p. Grabski, iż był pewny, że „państwa, które postawiły sprawę polską na gruncie usunięcia rozbiorów, z konieczności rzeczy dojdą do wszystkich konsekwencji, które z przekreślenia rozbiorów płyną: do uznania niepodległości Polski". Mimo tak wyrozumowanej „konieczności", p. Grabski dowodzi dalej, że uznanie niepodległego państwa polskiego przez

Rosję jest zasługą „niewątpliwą“ (!)... Komitetu Narodowego i polskich kół poselskich w Petersburgu (!). „Posłowie i Komitet Narodowy — pisze p. Grabski — potrafili doprowadzić sprawę polską w Rosji jeszcze przed rewolucją do tego punktu, od którego krok jeden tylko (!) do niepodległości, mianowicie, do przyznania samodzielności państwowej Polski. Bez tego punktem wyjścia obecnych z nowym rządem rozmów byłaby „autonomja“. Dodajmy: mimo tych „konieczności“, jakie z „przekreślenia rozbiorów płyną“. Zadziwiająca logika! Lecz mniejsza z tem. Wprost za to kapitalnym jest następujący wniosek: „Lecz gdyby nawet Komitet Narodowy nie osiągnął tych korzyści — musielibyśmy (!) iść łącznie z nim, bo był jedynym kierowniczym organem polityki polskiej“. To znaczy znowu: musielibyśmy się trzymać hasła autonomji...

Tak wygląda obrona „prawdziwych“ przedstawicieli idei niepodległości.

W końcu listu p. Grabski, jak już zaznaczyliśmy, zarzuca Komitetowi Demokratycznemu brak „poczucia naszej niepodległości“, o czem ma świadczyć głoszenie zasady, iż po dokonanym w Rosji przewrocie, tracą mandaty ci „przedstawiciele narodu“, którzy z dawnym rządem rosyjskim układy w sprawie polskiej prowadzili. Na to odpowiada p. Grabski: „Naród niepodległy do spraw obcych narodów się nie wtrąca i mówi z tym rządem obcego narodu, jaki każdej chwili istnieje. Nie przyjdzie do głowy socjalistom angielskim czy francuskim żądać odwołania dotychczasowych ambasadorów Francji i Anglji z Piotrogrodu z powodu, iż jakoby skompromitowali się stosunkami z caratem“.

Trudno wykombinować bardziej niedorzeczne porównanie. Po pierwsze: nie byliśmy narodem niepodległym, nie mieliśmy ambasadorów, tylko posłów, powtóre — posłowie ci zostali wybrani na zasadzie rosyjskiej ordynacji wyborczej, w czasach skrępowania opinji narodowej, w epoce politycznej niewoli, — pod panowaniem obcego rządu. Sytuacja posłów francuskich i angielskich była „cokolwiek” inna... Wreszcie — nasi „posłowie“, tracąc faktyczny i moralny kontakt z krajem, do ostatniej chwili reprezentowali program polityczny, niezgodny z opinją narodu, który budzi się do nowego życia, — natomiast zgodny

z widokami dawnego, obcego rządu, który padł sromotnie i przebywa obecnie w więzieniu.

Źle bronią swej sprawy pp. Grabscy. Cynizm i tupet także powinny mieć swoje granice...

1 Maja 1917 r.

OBOZY POLSKIE W ROSJI.

Spory i walki obozów polskich w Rosji, jakie się w chwili obecnej toczą, mają nietylko znaczenie polityczne, lecz i swój głębszy sens moralny.

Pomijając subtelniejsze różnice, które się dadzą wyrównać przez odpowiednie platformy polityczne, głęboki, zasadniczy podział opinji polega na rozbieżnościach następujących:

Komitet Demokratyczny i zbliżone doń żywioły uważają, że na emigracji nie można, a nawet nie wolno tworzyć jakiegoś przedstawicielstwa narodowego, któreby wzięło na siebie odpowiedzialność za czynną politykę polską. Emigracja winna tylko słuchać i spełniać wolę kraju, a już w żadnym wypadku nie może się jej przeciwstawiać. To też Komitet Demokratyczny zwalcza wszelką myśl o takiej reprezentacji narodowej na gruncie rosyjskim, któraby pretendowała do kierowniczej roli w rzeczach politycznych polskich. Za organ taki uważa w chwili obecnej Radę Stanu. Tembardziej za wręcz niedopuszczalną uważa myśl tworzenia tam wojska polskiego. Nadto Komitet Demokratyczny i wszystkie spokrewnione z nim środowiska twierdzą, iż Komitet Narodowy niema prawa występować imieniem narodu polskiego, zaś mandaty dawnych posłów polskich w Rosji straciły wszelki sens po przewrocie państwowym i po uznaniu przez Rosję państwa polskiego. W jednej z deklaracji tego obozu wręcz podkreślono, że owe koła poselskie spotkała polityczna śmierć.

Stanowisku temu w sposób ostry i bezwzględny przeciwstawiają się żywioły N. D-cji oraz koła poselskie. Nie chcą zrzec się swoich pseudo-mandatów, pretendują do roli kierowniczej, mimo, że cała ich działalność polityczna, wszystkie hasła i progra-

my zostały obecnie przekreślone przez samą rzeczywistość. Zmienili więc pogląd, są również zwolennikami niepodległości Polski, usiłują nawet dowieść, jak to uczynił niedawno p. St. Grabski, że nigdy nie sprzeniewierzali się temu hasłu. Ostrzegają przed zgorszeniem, jakie wywołać mogą wewnętrzne spory polskie przed forum rosyjskiej opinji i nawołują do zgody i solidarności.

Ten ostatni argument, wysunięty również przez „Kurjer Warszawski“ (z dnia 8-go b. m.) przyczynia się jeszcze bardziej do podsycenia walki, zbyt bowiem cynicznem jest nawoływanie do zgody ze strony tych, którzy nigdy nie przebierali w środkach najostrzejszej walki z przeciwnikiem, którzy przegrali teraz sromotnie i nie chcą swej przegranej uznać. Hasło do zgody jest z ich strony równie spóźnione, jak nieszczere.

W życiu politycznem wielkie błędy i omyłki są nieuniknione. Wszyscy zmieniamy naszą taktykę w zależności od warunków chwili. Zmiana taktyki nie jest ani zdradą sztandaru, ani sprzeniewierzeniem się swoim przekonaniom. Lecz są sprawy, które z natury rzeczy nie należą do dziedziny taktyki politycznej. Kto się wyraźnie p r z e c i w s t a w i a ł naczelnemu postulatowi narodowemu, czyli hasłu niepodległości, kto je z w a l c z a ł i o ś m i e s z a ł, ten nie może się dziś usprawiedliwiać taką lub inną taktyką, ten przegrał nietylko politycznie, lecz i m o r a l n i e. Powinien się usunąć. W każdym razie zrezygnować z roli kierowniczej, a dopiero potem szerzyć hasło zgody i solidarności. Lecz już w poczuciu swojej przegranej i w szczerem dążeniu do rehabilitacji.

Inaczej — traci wszelkie zaufanie i wszelki szacunek. W życiu politycznem względy moralne odgrywają może niezbyt wielką rolę, ale bądź co bądź mają swoje znaczenie...

10 Maja 1917 r.

NIEŚMIERTELNY TEMAT.

Do zagadnień w naszej prasie nieśmiertelnych należy kwestja ilości naszych stronnictw i grup politycznych oraz ich wzajemnych do siebie stosunków. Jedni twierdzą, że jest tych stronnictw

ponad miarę normalną, inni nie widzą w tem żadnego zła politycznego, wreszcie istnieją jeszcze ludzie dawnej daty — zwolennicy bezpartyjności.

Z powodu słów niemieckiego sekretarza stanu dr. Helffericha o braku u nas normalnie zorganizowanych stronnictw, co przecież jest w dużej mierze twierdzeniem słusznem, zaczęto znowu kwestję tę roztrząsać.

Ustalmy materjał dyskusyjny.

Istnieje w Królestwie 18 stronnictw i grup politycznych:

1) Stronnictwo Polityki Realnej.
2) Związek Samodzielności Gospodarczej.
3) Stronnictwo Narodowej Demokracji.
4) Chrześcijańska Demokracja.
5) Polska Partja Postępowa.
6) Klub Państwowców Polskich.
7) Stronnictwo Narodowe.
8) Liga Państwowości Polskiej.
9) Stronnictwo Polskiej Demokracji.
10) Związek Niepodległości.
11) Zjednoczenie Ludowe.
12) Narodowy Związek Robotniczy.
13) Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych (czyli Grupa Pracy Narodowej, Radykali Narodowi i Polskie Zjednoczenie Postępowe).
14) Polskie Stronnictwo Ludowe.
15) Partja Niezawisłości Narodowej.
16) Polska Partja Socjalistyczna (prawica).
17) Polska Partja Socjalistyczna (lewica).
18) Socjal-demokracja Królestwa Polskiego i Litwy.

Dużo. Niewątpliwie dużo, lecz bynajmniej nie więcej, niż w innych państwach, a już znacznie mniej, niż np. we Francji, gdzie parlament wykazuje zgórą trzydzieści ośrodków politycznych, różnych stronnictw, grup i grupek. Przed dziesięciu laty paryski „Matin“ zamieścił „topografję“ stronnictw i odcieni politycznych w Izbie deputowanych. Rysunek był ciekawy. Od prawicy do lewicy były reprezentowane wszystkie kolory i odcienie tęczy politycznej — w liczbie czterdziestu.

I nikt we Francji nie narzekał, że stronnictw jest za dużo. Tam się te sprawy traktuje poważnie. Nasze „zagadnienia“ są tam już dawno przesądzone. Nie taka lub inna ilość stronnictw, lecz ich jakość decyduje o dojrzałości politycznej społeczeństwa. Wyraźnie skrystalizowane programy, brak sekciarstwa, zdolność do konsolidacji, do tworzenia platform i bloków, orjentowanie się w warunkach chwili, a ponad wszystko: posiadanie w swem łonie poważnych i politycznie wyrobionych ludzi — oto cechy społecznej i politycznej dojrzałości. Zaś różniczkowanie się prądów i kierunków nie jest samo przez się niebezpieczne, przeciwnie, jest całkiem normalnym objawem rozwoju społecznego życia.

Są to prawdy elementarne. Ale my jeszcze będziemy o tem mówili i pisali tysiąc razy.

12 Maja 1917 r.

SZTANDARY.

W moskiewskim arsenale na Kremlu, znajduje się zgórą sto sztandarów polskich, z których większość zabrana była przez wojska carskie po zdobyciu Warszawy w dniu 8 września 1831 roku z warszawskiego Muzeum Narodowego.

O losy tych sztandarów w chwili obecnej toczy się pomiędzy obozami polskimi w Rosji gorący spór, dotychczas jeszcze, jak się zdaje, nie zakończony.

Jeżeliby chodziło o najbardziej wymowny dowód, jak przykremi i bolesnemi są komplikacje naszego życia politycznego, to za dowód taki może służyć ta właśnie sprawa sztandarów. Najdroższe pamiątki narodu stać się musiały przedmiotem sporu!

Jest to zatarg, niestety, nieunikniony. Krańcowo sprzeczne rozumienie sprawy narodowej rozciąga się na wszystkie aktualne kwestje. Nie mogło być zgody w sprawie sztandarów polskich, gdy jeden obóz, nie uznając swego moralnego i politycznego bankructwa, chce wygrywać nowe atuty i tworzyć wojsko polskie w Rosji, drugi zaś, szczerze i uczciwie dąży do zachowania lojalnego stosunku do opinji kraju i chce pohamować nowe uroszczenia skompromitowanych odłamów emigracji. Jeden tedy obóz jest za oddaniem sztandarów jakimś formacjom wojsk polskich, drugi — przyszłemu rządowi polskiemu.

W „Echu Polskim" z dnia 20 kwietnia r. b. znajdujemy artykuł wstępny p. t. „Sztandary". Autor nawołuje, by sztandary polskie, zgodnie z rezolucją delegatów wszystkich organizacji politycznych i społecznych w Moskwie, były natychmiast oddane prezesowi Komisji Likwidacyjnej, Aleksandrowi Lednickiemu, który przechowa je dla oddania niepodległemu narodowi polskiemu. W dalszym ciągu artykułu czytamy:

„Zaślepienie partyjne chciało użyć tych świętych relikwji narodowych dla celów stronniczych. Sztandarami walk o wolność chciano łatać zaszarganą reputację partji. Chciano już dawniej użyć tych sztandarów dla celów demagogicznych, dla pokrycia ich świętością niefortunnej inicjatywy formowania wojska polskiego pod egidą wojującego caratu, — legjonów Gorczyńskiego przeciwko Legjonom Polskim. Ale szczerość i prostota serc żołnierskich przekreśliła wszystkie rachuby partyjne; żołnierz polski, któremu kazano walczyć za kłamane obietnice kusej autonomji, chował w swem sercu święty obraz Niepodległej Polski".

Wreszcie znajdujemy w tymże artykule następującą, ważną informację:

„Rozumiejąc całe niebezpieczeństwo, jakie się kryje w usiłowaniu oddania, ze względów demagogicznych, tych sztandarów pamiątkowych oddziałom wojskowym, będącym bądź co bądź zawsze tylko częścią armji rosyjskiej, delegaci tych oddziałów z rotmistrzem Żółkowskim na czele, oświadczyli, że całem sercem przychylają się do decyzji oddania sztandarów nie w ich ręce, lecz w ręce prezesa komisji likwidacyjnej. Zrozumiał żołnierz-obywatel, żołnierz Polak przedewszystkiem, że te sztandary oddać pułkom mógłby tylko, jako najwyższą nagrodę, rząd polski w Polsce".

Dobrze więc, że w tym nad wyraz bolesnym sporze zwycięża proste, szczere uczucie patrjotyczne.

16 Maja 1917 r.

KONFERENCJA SZTOKHOLMSKA.

Przygotowania do międzynarodowej konferencji stronnictw socjalistycznych mają się ku końcowi.

W tych dniach, w salonach hotelu „Continental" w Sztokholmie, pod przewodnictwem Brantinga, zasiądą delegaci z różnych krajów, by rozważyć wielką sprawę powszechnego pokoju. Rząd szwedzki czyni w organizowaniu konferencji wszelkie ułatwienia.

Wśród socjalistycznych stronnictw państw wojujących, jedynie angielska parlamentarna partja robotnicza oraz francuska grupa socjalistycznej większości opierają się dotychczas udziałowi w konferencji sztokholmskiej. Rząd angielski nie chce wydać paszportów delegatom tych

grup socjalistycznych, które chcą mieć swych przedstawicieli w Sztokholmie. Do takiegoż oporu nawołuje Hervé w swej „Victoire". Zdaje się jednak, że Longuet, jako reprezentant mniejszości francuskiej, której wpływy wzrastają ustawicznie, będzie mógł udać się na konferencję.

Opór rządu angielskiego i namiętne ataki części prasy francuskiej— to najlepszy dowód, jak duże znaczenie mieć może w chwili obecnej zjazd sztokholmski. Zwrócona jest nań opinja całego świata. Zarówno zwolenników, jak i przeciwników, choć nie jest to zjazd oficjalnych przedstawicieli rządów.

Zjazd sztokholmski toruje drogę pokojowi, poprzedza kongres, zbliża przedstawicieli tych klas i odłamów społecznych, których dążenia pokojowe, coraz głębsze i niecierpliwsze, stają się już dziś siłą, jakiej rządy państw do dalszej wojny pochopnych lekceważyć nie mogą i jaka w niedalekiej przyszłości może w sprawie pokoju urosnąć do znaczenia mocy rozkazodawczej. Można jeszcze dziś nie wydać paszportu na wyjazd do Sztokholmu, ale to bynajmniej nie zahamuje wielkiej propagandy pokojowej, jaka się szerzy na całym świecie, zdobywając miljony serc i miljony sumień.

Już po tej konferencji, jeśli nawet nie odniesie ona skutków natychmiastowych, żaden aparat dyplomatyczny nie zdoła zaszczepić masom ludzkim nowych pierwiastków hypnozy wojennej, która rozwiewa się coraz szybciej, otwierając przed zbudzoną świadomością miljonów piekielny obraz dnia dzisiejszego i błogosławione horyzonty pokojowego Jutra narodów.

I na tem polega znaczenie konferencji sztokholmskiej.

18 Maja 1917 r.

ROSJA I KOALICJA.

W pierwszej deklaracji nowego rządu tymczasowego, w mowach ministra wojny Kierenskiego i ministra spraw zewnętrznych Tereszczenki powtarza się jeden i ten sam motyw, jedno i to samo hasło: pragniemy szybkiego zakończenia wojny i odrzucamy myśl o pokoju odrębnym.

„W polityce zagranicznej Rząd Tymczasowy, w porozumieniu z całym narodem, odpycha od siebie wszelką myśl o pokoju odrębnym i z całą otwartością stawia sobie za cel przywrócenie pokoju powszechnego, który niema zmierzać ani do ujarzmienia innych narodów, ani do przywłaszczenia ich dóbr narodowych, jednem słowem — pokoju powszechnego bez aneksji i odszko-

dowań wojennych, na zasadach prawa samookreślenia narodów". Tak głosi deklaracja z d. 18-go b. m.

To samo mówił minister Kierenski na zjeździe delegatów chłopskich i na zgromadzeniu delegatów floty czarnomorskiej.

W innej formie powtórzył tę tezę minister spraw zewnętrznych, Tereszczenko, w rozmowie z przedstawicielami prasy rosyjskiej, kładąc szczególny nacisk na „jaknajprędsze przywrócenie pokoju powszechnego", co uważa za „główne zadanie" rządu. Co zaś do pokoju odrębnego, Tereszczenko nadmienił: „Myśl tę naród rosyjski odpycha od siebie z całą stanowczością, gdyż dobrze rozumie, że wojna światowa może być zakończona tylko przez pokój światowy".

Tak więc Rosja oficjalna w chwili obecnej odrzuca myśl o pokoju odrębnym, zmierzając do jaknajszybszego zawarcia pokoju powszechnego.

We wszystkich tych enuncjacjach nie znajdujemy ani jednej wskazówki, jaki moment uważać może Rosja za odpowiedni do rozpoczęcia powszechnych rokowań pokojowych. Czy moment ten, zdaniem Rosji oficjalnej, już nastąpił, czy też nadejście takiej chwili zależne jest jeszcze od przeprowadzenia odpowiedniej akcji na terenach wojennych? W tym zaś drugim wypadku, jakież wydarzenia byłyby dostatecznym do rokowań pokojowych wstępem?

Odpowiedzi bezpośredniej na te pytania w deklaracji rządu tymczasowego i w oświadczeniach ministrów nie znajdujemy. Tkwi ona jednak w samej sytuacji rosyjskiej.

Cele wojenne Rosji zmieniły się radykalnie i w obecnej swojej postaci w żadnym punkcie nie stoją w tak zasadniczej sprzeczności z pokojowemi deklaracjami rządów państw centralnych, by nie mogły stać się już dzisiaj przedmiotem pokojowych pertraktacji. Wynika to z przedłożeń zarówno kanclerza Bethmana-Hollwega, jak i hr. Czernina. Pertraktacje pokojowe, z natury rzeczy, albo bezwzględnie narzucają wolę zwycięzcy pokonanemu przeciwnikowni, albo też modyfikują i wyrównywują wzajemne pretensje. O pierwszej ewentualności Rosja oczywiście nawet marzyć nie może. Natomiast przy wzajemnych ustępstwach i rekompensatach, które Rosja chce ustalić pod hasłem: „bez aneksji i odszkodowań", czuje się ona stroną zbyt

słabą, by zawierać pokój odrębny, ma nadzieję na większe atuty, działając w sprawie pokoju łącznie ze sprzymierzeńcami. Powtóre zaś, jest w tej chwili zależna od woli i interesów tych sprzymierzeńców.

Szerokie warstwy opinji rosyjskiego społeczeństwa, które nie jest obecnie rządzone, lecz rządzące, mogą na jakiś czas przyjąć taką argumentację: zawierając pokój powszechny, nie będziemy stroną przy pertraktacjach tak słabą, jaką bylibyśmy, zrywając z koalicją. Rozumowanie to mogłoby zyskać na popularności, bowiem najszersze warstwy rosyjskiego ogółu, od którego nastrojów zależy dziś bezwzględnie kierownictwo całej nawy państwowej, nie uświadamiają sobie dość dokładnie tego pewnika, że i przy zawieraniu pokoju powszechnego, sprzymierzeńcy Rosji dbać będą tylko o własny interes, nie o interes Rosji, a nawet niejedno przeprowadzą kosztem rosyjskiego aljanta.

Cokolwiek jednak myśli społeczeństwo rosyjskie o przewadze korzyści pokoju powszechnego nad pokojem odrębnym, pragnie ono jaknajszybszego zakończenia wojny i *tylko pod tym warunkiem* myśl o zawarciu odrębnego pokoju może od siebie odsuwać.

Miljonowe masy, zarówno w wojsku, jak i we wszystkich krańcach rosyjskiego państwa wyczekują pokoju z najwyższem upragnieniem i niczem nie dadzą się zasugestjonować, o ileby rząd, pod naciskiem koalicji, sprawę zakończenia wojny zaczął przewlekać.

Dwa postulaty rządu tymczasowego: dążenie do jaknajprędszego zakończenia wojny i lojalny stosunek do sprzymierzeńców dadzą się o tyle tylko ze sobą pogodzić, o ile ci sprzymierzeńcy zagwarantują Rosji rychłe przystąpienie do pertraktacji pokojowych.

I tylko pod tym warunkiem może utrzymać swoją moc ten argument, jaki wysunął minister Tereszczenko o tajnych traktatach zawartych jeszcze przez rząd carski,—że, mianowicie, ogłoszenie tych traktatów „byłoby równoznaczne z zerwaniem ze sprzymierzeńcami i spowodowałoby odosobnienie Rosji".

Żadne jednak argumenty nie przemówią do szerokich mas rosyjskiego ludu, o ileby wierność dla koalicji wymagała dłuższego prowadzenia wojny.

A trzeba zważyć, że żywioły rewolucyjne długo jeszcze będą swoją wolę dyktowały rządowi tymczasowemu, nie zaś naodwrót.

23 Maja 1917 r.

POSZUM FRAZESÓW.

Jeszcze jedna nota prezydenta Wilsona! Czy przynosi coś nowego? Czy wprowadza do chaosu wojennego jakiś nowy motyw polityczny? W jakim celu została ogłoszona? Czy, wreszcie, zgodna jest w swej treści z własnem założeniem?

Na samym wstępie Wilson oświadcza, iż wobec mających nastąpić odwiedzin w Rosji misji amerykańskiej, wydaje mu się być wskazanem raz jeszcze, w świetle pojawienia się w osobie Ameryki nowego towarzysza broni, stwierdzić cele wojenne Stanów Zjednoczonych. Do tego kroku skłania go ponadto i ta okoliczność, iż „cele wojenne w ostatnich tygodniach uległy znacznemu zaciemnieniu wskutek różnych deklaracji niezrozumiałych i wprowadzających w błąd, a cała sprawa, o którą gra się toczy, jest zbyt ciężarna w następstwa, straszna i pełna znaczenia dla całego rodu ludzkiego, ażeby wolno było choć na chwilę pozostawić nieuwzględnionemi jakiekolwiek błędne wyobrażenia".

Jakież to deklaracje ostatnich tygodni, zaciemniające cele wojenne i „wprowadzające w błąd" może mieć na myśli Wilson? Stwierdźmy odrazu, że w „ostatnich tygodniach" ukazał się szereg deklaracji, ogłoszonych przez... tymczasowy rząd rosyjski i Radę żołniersko-robotniczą. Były one istotnie niezawsze zgodne ze sobą, jedna była komentarzem, wyjaśniającym treść deklaracji poprzedniej, jedna drugą uzupełniała, kiedyindziej zaś ponowne oświadczenie wykreślało nową całkiem linję zewnętrznej polityki rosyjskiej, która wreszcie, doszła do mniej więcej sprecyzowanej postawy, wyrażającej się w haśle: „bez aneksji i bez odszkodowań". Ten zaś wniosek ostateczny stworzył najbardziej drażliwą i pełną niedomówień, choć niejednokrotnie złośliwą polemikę w samym obozie koalicji. Z łamów

prasy angielskiej i francuskiej padały pod adresem Rosji wyrazy tak mocne, jak „zdrada“ i „przeniewierstwo“. Odpłacano pięknem za nadobne. W ten sposób „zaciemniły się”, mówiąc stylem Wilsona, cele wojenne koalicji, mimo, iż słowa o wolności narodów, o prawie ich stanowienia o sobie, o zapewnieniu trwałego pokoju, który umożliwi pełny rozwój życia wszystkich narodowości — nie utraciły nic na swem miłem brzmieniu.

Tak więc na tę zaciemnioną kwestję celów wojennych pragnie Wilson rzucić snop światła, uczynić ją wyraźną w świadomości całego rodu ludzkiego.

Nasamprzód więc zarzuca Niemcom, iż „w swem rozpaczliwem pragnieniu uniknięcia ostatecznej klęski, zastosowali wszelkie możliwe środki w popieraniu roboty agitacyjnej po obu stronach oceanu, mającej zapewnić im wpływ u siebie w państwie i potęgę poza granicami państwa“.

Jakiż jest sens tego drwiącego oskarżenia? Państwa centralne zaproponowały koalicji przystąpienie do omówienia warunków pokojowych. Uczyniły to w dniu 12 grudnia 1916 roku. Od tej chwili upłynęło miesięcy siedem. Wśród koalicji już wówczas ustalono pogląd, że inicjatywa państw centralnych wynika ze słabości i podyktowana jest obawą przed klęską ostateczną. Po odpowiedzi odmownej, miano tę klęskę ostateczną zadać za pomocą „ostatniej wielkiej ofensywy“. Wszystkie w tej mierze rachuby zawiodły. Od grudnia 1916 roku, państwa centralne propozycji pokojowych nie ponawiały, nie mając jednak żadnej potrzeby ukrywać pragnienia pokoju, gdyż dowiodły już światu, że ich zmiażdżenie jest utopją. Jedynie po deklaracji tymczasowego rządu rosyjskiego z dnia 10 kwietnia r. b., zrzekającej się wszelkich aneksji i chęci wzmocnienia rosyjskiej potęgi zewnętrznej kosztem innych narodów, rządy państw centralnych stwierdziły w odpowiedzi na tę deklarację, iż jest ona w zasadniczych punktach zgodna z ich poprzedniem oświadczeniem, że tedy zarówno rząd rosyjski, jak i rządy państw centralnych dążą do „zaszczytnego pokoju, któryby gwarantował byt, honor i możność rozwoju narodów, uczestniczących w wojnie“. Po tem stwierdzeniu, państwa centralne, popierając tendencje pokojowe, trwały i trwają dalej w pozycji bojowej, narzuconej im bezwzględnie przez odtrącenie propozycji

pokojowych z grudnia ubiegłego roku. Zarzut, iż Niemcy prowadzą agitację „mającą im zapewnić wpływ u siebie w państwie i potęgę poza granicami państwa“ jest bodaj poraz pierwszy postawiony w publicystyce dyplomatycznej. Czyżby miał oznaczać, iż Niemcy dopiero wtedy zasłużą na uznanie i szacunek świata, kiedy zaczną pracować nad *osłabieniem* swych sił wewnątrz swego państwa, jakoteż poza jego granicami? Jest to oskarżenie, przekraczające wszelkie granice śmieszności.

W dalszym ciągu oświadcza Wilson, że Ameryka, przystępując do wojny, nie zmierza do żadnego realnego zysku. Nad tem, z kolei, zdaniem już dziś nie sposób poważnie się zastanawiać. Przedstawiciel najbardziej trzeźwego i zmaterjalizowanego społeczeństwa uderza tu w ton najwyższego idealizmu i bezinteresowności, która z widowni stosunków międzynarodowych i międzypaństwowych znikła już doszczętnie. Zbyt są wielkie doświadczenia tej wojny, ażeby frazes o całkowitej bezinteresowności mógł być przyjęty za dobrą monetę nawet wśród mniej dojrzałych politycznie żywiołów.

Ameryka ma więc walczyć „wyłącznie w celu wyswobodzenia wszystkich narodów od napaści tego autokratycznego rządu, którego plany sięgają od Berlina do Bagdadu i dalej jeszcze”. Jednocześnie twierdzi Wilson, iż „rząd cesarsko-niemiecki chce wywalczyć sobie niejako zastawy, któreby były dlań rękojmią, że wojna zakończy się przywróceniem status quo ante”. W istocie tedy, przyznaje Wilson, iż, zdaniem jego, Niemcy *nie mają* planów zdobywczych, lecz chcą zdobyć militarne rękojmie, że ich stan posiadania *przedwojenny* nie uszczupli się po likwidacji wojny. W logicznej i bezpośredniej konkluzji „oskarżenie“ to wymierzone jest przeciw faktowi, że Niemcy nie dają dobrowolnie zmniejszyć swego przedwojennego stanu posiadania. Jet to również argument bezprzykładny. Tak czy owak, po raz pierwszy wypowiedziano ze strony antyniemieckiej przypuszczenie, że Niemcy istotnych planów zdobywczych nie mają, lecz chcą zachować status quo ante. Tu należy jednak z naciskiem podkreślić, iż czynem, najmocniej naruszającym status quo ante w zewnętrznej polityce, był właśnie czyn mocarstw centralnych, mianowicie — proklamowanie państwa polskiego aktem 5 listopada. Pod tym względem oskarżenie Wilsona brzmi fałszywie.

Dalsza część noty zawiera już wyłącznie liryczne zwroty o braterstwie ludzkości, pozbawione wszelkiego cienia treści pozytywnej. Na dwa tylko zdania w tej części warto zwrócić uwagę: „Jeżeli moce autokracji mogą nas rozłączyć, to w końcu zwyciężą nas i opanują nami. Jeżeli zaś przeciwnie, nie damy się rozłączyć, wówczas zwycięstwo jest pewne, wówczas możemy być wspaniałomyślni“. W zdaniu pierwszem mieści się wyraźna przestroga pod adresem Rosji. Zdanie zaś drugie, najbardziej z całej treści noty niepoważne, daje do zrozumienia, że koalicja musi się jednak pogodzić w końcu z faktem, iż o zniszczeniu Niemiec mowy być nie może. Koalicja będzie „wspaniałomyślna“. Zasada wolności narodów, zastosowana do całego świata w imię sprawiedliwości dziejowej, ma być w stosunku do Niemców tylko „wspaniałomyślnością“. Jest to już jakiś grymas buńczuczności i krańcowej demagogji.

Żadna z dotychczasowych not i deklaracji w ciągu całej wojny ogłoszonych, nie jest do takiego stopnia wyzuta z wszelkiej treści realnej. Nic nie przynosi nowego, niczego nie precyzuje, nie wskazuje żadnych dróg najbliższej przyszłości, nie określa ani jednym wyrazem istotnych celów wojennych, nie porusza nawet kwestji, w jakich warunkach, w jakiej sytuacji wojennej można przystąpić do pertraktacji z mocarstwami centralnymi, lub też, jakie to czyny wojenne zmuszą te mocarstwa do poddania się woli koalicji w nadziei na jej „wspaniałomyslność“. Jedynie przekreśla podstawowy argument noty dawniejszej, złożonej senatowi Stanów Zjednoczonych w dniu 23 stycznia r. b., a mianowicie, że „pokój musi być zawarty bez zwycięstwa“; natomiast, powtarzamy, nowa nota nie określa ani charakteru, ani zakresu tego zwycięstwa.

Słowem, osiągnąwszy rekord demagogji, wysoce przytem niezręcznej, pozostawia sobie Wilson wszystkie furtki wobec wszelkich możliwości.

Aczkolwiek Rosja jest w tej chwili krainą nietylko wielkich czynów, lecz również wielkich słów i frazesów, nowa nota Wilsona górnolotnością i wyniosłością swego stylu, nie znajdzie tam prawdopodobnie entuzjastycznego oddźwięku. Jest zbyt pusta nawet dla nastrojowej opinji rosyjskiej.

I jeszcze jeden przykry dla nas wniosek musimy z tej noty wyprowadzić. Jeżeli prezydent Stanów Zjednoczonych jest w stanie ogłosić coś podobnie mętnego i niepoważnego, to cóż za wartość posiadać mogą te wynurzenia, które sprawę polską stawiały w świetle dla nas przychylnem?

Siłą rzeczy nasuwa się konkluzja, że i tamte wynurzenia były krokiem demagoga, który w atmosferę zakrwawionego i zmęczonego wojną świata uznał za możliwe wnieść poszum najbardziej pustych frazesów, które jedynie nadużywają szczytnych haseł pokoju i sprawiedliwości.

13 Czerwca 1917 r.

WSKRZESZONE PRAWDY.

Kończy się trzeci rok wojny.

Któżby się dzisiaj mógł pokusić o ostateczne zreasumowanie sprowadzanych przez wojnę zmian i przewrotów, oraz ścisłe określenie ich historycznego znaczenia? Jest to obszar badań i zagadnień, przekraczający granice wysiłków wszystkich uczonych współczesnego pokolenia, w pełni bowiem ująć najgłębszy sens wydarzeń, w ramie tych trzech lat zawartych, znaczyłoby to zarazem wykreślić wszystkie te linje ewolucji świata ludzkiego, które kierunek swój, tendencje i charakter wywodzą ze źródeł obecnego kataklizmu. Te zaś linje rozwojowe, jako wyniki bezpośrednie wojny, wybiegać będą w przyszłość najdalszą, znacząc niewiadome dziś drogi, po których ludzkość dążyć będzie ku wciąż nowym formom swego bytowania.

Wyniki tej wojny działać będą na przestrzeni wszechczasów. Wojna jest przełomem epokowym nie ze względu na obecne przeobrażenia, lecz jako źródło nowych dziejów, nowego rozdziału historji, którego treści nikt nie jest w stanie ściśle przewidzieć. Jest więc ten przełom wielkością niezmierzoną — w swych wynikach. My stoimy u źródła. Pokolenia przyszłe treść swego bytu czerpać będą z życiodajnych tego źródła rozgałęzień. Stojąc na granicy dwóch epok, możemy conajwyżej starać się o tak rzetelne i głębokie wniknięcie w cały obraz dzi-

siejszej rzeczywistości, któreby ułatwiło, któreby umożliwiło nam stwierdzenie, jakie to normy i stosunki ginącej epoki zdają się zanikać ostatecznie i jakie siły, jakie fakty i czynniki znamionują narodziny nowej przyszłości.

Nauczeni doświadczeniem, nie wkraczajmy w świat przepowiedni. W chwili wybuchu wojny nie było i nie mogło być tak genjalnego i jasnowidzącego umysłu, któryby choć w głównych zarysach dzieje tych trzech lat był w stanie przewidzieć. Choć stawiano tyle hypotez, — wszystkim zaprzeczyła rzeczywistość. Obaliła teorje naukowe, obaliła skrupulatne wyliczenia statystyczne, obaliła wszystkie przypuszczenia mężów stanu, polityków i dyplomatów, w pewnych zaś dziedzinach przekroczyła granice wyobraźni ludzkiej.

Ograniczmy tedy całą przenikliwość widza obecnych wydarzeń do tych tylko spostrzeżeń, których prawdziwość i ścisłość już dzisiaj daje się stwierdzić niewątpliwie. I to już stanowi zamiar nieskromny, jeśli chodzi o spostrzeżenia syntetyczne, nie zaś o luźne tylko, ogólne wrażenia. Z całego chaosu wojny, z sieci tysiąca sprzeczności, z wielkiego splotu politycznych i ekonomicznych powikłań, ze wszystkiego, co się składa na społeczne prowizorjum wszystkich niemal narodów kuli ziemskiej, należy w tym celu wyodrębnić te zjawiska socjalne, które w swej nowej postaci ujawniają już cechy stałości, niosą w sobie trwały i niezawodny zaród nowego porządku politycznego na świecie, czyli innemi słowy, tworzą ową siłę, którą nazywamy d u c h e m e p o k i.

Ten to duch epoki przemawia już głosem potężnym i rozkazodawczym. Nie słyszeć go, nie rozumieć, lub pomijać i lekceważyć, mogą tylko ludzie, którzy pod pancerzem gruboskórności zachowali wszystkie myślowe i uczuciowe nałogi dawnych, ginących czasów, a przez to stanowić zaczynają typ szczątkowy, oddalający się od nowej rzeczywistości, nie przystosowany do nowych warunków, które przy tak przyśpieszonem tempie dziejowej ewolucji, z zawrotną szybkością przeistaczają kształt i charakter ustroju życia zarówno jednostkowego, jak i zbiorowego.

Duch epoki nie tkwi również, nie rodzi się i nie rozwija w ramach organizacji politycznych. W tych kuźniach doktryn i walk partyjnych nie wykuwa się przyszłość w całej swej, prze-

bogatej pełni. Są zbyt ciasne. Działaniem swojem obejmują drobne ułamki wielkich spraw doby obecnej, które przeważnie zmierzają ku swemu rozwiązaniu poza światem zgromadzeń, rezolucji, odezw i manifestacji. Zapewne, jest ta dziedzina nieodzownym, organizującym czynnikiem ewolucji. Tendencje dziejowe, duch czasu udzielić się może obozom politycznym, uzgodnić je z charakterem epoki, jeśli nie są to obozy szczątkowe; zaszczepić może w ich świadomości pewne swe pierwiastki, działać na programowe ujęcia aktualnych zagadnień oraz urabiać polityczną i społeczną ideologję, lecz nie odwrotnie: nie owe obozy tworzą tego ducha. Nawet najpotężniejsze i najbardziej twórcze. Płynie on siłą żywiołu z zawieruchy wszechświatowej wojny, coraz większej nabierając mocy; płynie ze świadomości miljonowych rzesz ludzkich, z rozbudzonego poczucia nowych potrzeb i z głębszego, niż dotychczas, zrozumienia łącznych interesów zarówno w wewnętrznem życiu każdego narodu, jak i w stosunkach międzynarodowych. Płynie z bólu miljonów, zsolidaryzowanych jednaką niedolą i jednakiemi klęskami wojny. Z bólu i cierpienia, które w dziejach ludzkości jest zawsze najsilniejszym motorem wielkich przemian i przewrotów. Doszedłszy w tej wojnie do swego apogeum, ustala ono nowy zwrot historji, domagając się położenia tamy wszystkiemu, co umożliwiło pogrążenie się świata w bezmiarze okrucieństw i zbrodni. Dlatego coraz powszechniejsze domaganie się rychłego zawarcia pokoju idzie w parze, pozostaje w związku najściślejszym z dążeniami do najdalej idących reform demokratycznych.

Wojna w swej fazie obecnej zmierza w najszybszem już tempie do antytezy swych założeń i celów pierwotnych.

Jakież były te założenia i cele?

Odpowiedzi na to pytanie nie ułatwi nam uprzednie rozwiązanie kwestji, kto mianowicie, jakie osobistości, lub rządy jakich państw wojnę tę wywołały. Sprawa to bowiem całkiem jałowa, wysuwana zwykle w celu uproszczenia sobie kwestji, lub też służąca na użytek agitacji wojennej przez obarczanie tej lub innej strony zarzutem wyłącznej winy w wywołaniu wszechświatowego kataklizmu. Na to pytanie nie da nam rzetelnej odpowiedzi najskrupulatniejsze zbadanie treści wszystkich ksiąg dyplomatycznych, podczas wojny wydanych, nie da

nam jej znajomość całego biegu ostatnich wydarzeń przedwojennych. Ani jakiekolwiek posunięcia na szachownicy dyplomatycznej, ani jakiekolwiek z zarządzeń w ostatnich dniach pokoju, nie były istotnem źródłem wojny. Były to przejawy uboczne zbliżającego się nieuchronnie zatargu.

Wybuch wojny był oddawna przepowiadanym, nieodzownym wynikiem piętrzących się z coraz większą mocą sprzeczności w dziedzinie wielkich interesów międzynarodowego kapitału, w dziedzinie coraz bardziej zachłannych i konkurencyjnych celów imperjalistycznych, oraz na drogach wielkomocarstwowych ekspansji. Ustrój kapitalistyczny musiał przejść przez fazę wszechświatowej wojny, jako przez najwyższy punkt swego przesilenia w walce konkurencyjnej. — Owóż istotnym inspiratorem wojny był międzynarodowy kapitał i wszystkie związane z nim sprężyny społecznego ustroju naszej epoki. Do wojny, z wielu stron i na obu półkulach, od szeregu lat pchali świadomie ci wszyscy, którzy w rękach swych skupiali największą potęgę materjalną i we wzajemnej walce z konkurencją, we wzajemnej trwodze o losy swych interesów, rzucili na arenę świata największą i ostateczną stawkę: siły zbrojne swych państw i narodów.

Liczyli na wojnę niedługą i na szybkie rozstrzygnięcia. Dla największej podniety mordujących się mas ludzkich, na samym wstępie wojny uderzyli w najwyższy ton idealizmu, puścili w ruch wszystkie środki ideowej agitacji, proklamując ten zatarg, jako wojnę wyzwoleńczą. Pod tym względem rekord fałszu osiągnęła Anglja, prowadząc podczas wojny wszechświatowej wojnę z narodem irlandzkim oraz detronizując króla neutralnej do niedawna Grecji. Obrona małych narodowości, prawo narodów do stanowienia o sobie, gwarancja trwałego pokoju i tym podobne hasła, rzucone na samym początku wojny, nie miały nic wspólnego z istotnymi tej wojny celami; rolą owych haseł było tylko podsycanie wojennego zapału. Lecz wojna trwa dłużej, niż można było o tem sądzić w chwili jej wybuchu. Zdanie Lloyd George'a, wypowiedziane w początkach sierpnia 1914 roku o wojnie trzyletniej, nie było wówczas wyrazem szczerego przekonania i wywołało sarkastyczne uwagi zarówno w samej Anglji, jak wśród wszystkich jej sprzymierzeńców i wrogów. Trwa-

jąc zaś tak długo, wojna objęła okres już historyczny, w którego ciągu zdążyły się odbyć głębokie przemiany, bynajmniej nie po myśli tych, których interesom wojna miała służyć, lecz w kierunku wręcz odwrotnym: demokratyzacji społecznych ustrojów i ukrócenia nieskrępowanych dotychczas praw międzynarodowego kapitału. Stawki, rzucone na krwawą giełdę świata, usunęły się z rąk największych graczy. Gra, trwając dłużej, niż sądzono, przyjęła obrót nieobliczalny i radykalnie odmienny, aniżeli na początku. — Hasła, rzucone na początku wojny w intencjach najbardziej fałszywych, zostały z powrotem wydarte przez siłę jedynie do głoszenia tych haseł uprawnioną: przez świat potężniejącej demokracji wszystkich cywilizowanych narodów. Po trzech latach wojny siła rządów przechodzi powoli, lecz już z mocą niesłabnącą, do czynnika świadomej woli zbiorowej narodów, tworząc w polityce wszechświatowej ducha „nowej orjentacji", o której w jednym z ostatnich swych wystąpień mówił były kanclerz niemiecki, Bethmann-Hollweg.

* * *

Głównym celem wojennym imperjalizmu rosyjskiego było zdobycie Konstantynopola i cieśnin Dardanelskich. Wynikiem wojny — upadek caratu i upadek rosyjskich tendencji aneksyjnych. Jest to jeden z wielu, lecz najbardziej wymowny przykład tych radykalnych różnic, jakie powstały pomiędzy pierwotnymi celami wojny, a jej dotychczasowymi rezultatami. Liberali i socjaliści rosyjscy, stanąwszy na jednej platformie wojennej z rządem i biurokracją, sądzili, wbrew doświadczeniom wojen poprzednich, że zwycięska wojna potrzebna jest dla rozwoju sił rosyjskiej demokracji, że właśnie zwycięstwo przyniesie Rosji największą odnowę państwowego i społecznego życia. Był to błąd wielki. Upadek caratu jest nadewszystko wynikiem klęsk rosyjskich, czyli objektywną zasługą zwycięstw państw centralnych. Gdyby carat był w stanie prowadzić wojnę zwycięską, wzmógłby się na sile i powadze w tym stopniu, iż niewiadomo, ile dziesiątków lat byłby jeszcze przedmiotem najcięższej walki rewolucyjnej i ile jeszcze ofiar pochłonąłby w tej walce. Klęski wojenne Rosji są z tego względu błogosławieństwem zarówno dla niej samej, jak i dla całej cywilizacji europejskiej.

Upadek caratu jest największem wydarzeniem w dziejach politycznych Europy od czasu wielkiej rewolucji francuskiej, a nawet, w związku ze zmianami, jakie niosą czasy wojenne, przerośnie, być może, jej doniosłość. Upadek rządów despotycznych na szóstej części lądu ziemskiego jest zmianą, której znaczenie w całej rozciągłości dopiero przyszłość może ocenić należycie. Jest zarazem najsilniejszym z rzędu tych faktów, które zmieniły sens wojny, niwecząc jej cele pierwotne. Tendencje zaborcze, cele imperjalistyczne i wielkie plany gospodarczej ekspansji, ustąpiły miejsca hasłom i dążeniom rewolucyjnym. Znikły zastąpione zdobyczą inną, niepomiernie większą. Chwila wprowadzenia ministrów dawnego rządu do cel więziennych, oznacza kulminacyjny punkt historycznej przemiany w ustosunkowaniu się sił społecznych tej części Europy, a tem samem likwidacji pierwotnych celów wojennych.

Siła rządów, pozbawiona źródeł swej dawnej władzy i panowania, przenosi się na inną płaszczyznę. Procesowi temu towarzyszy dotychczas bezprzykładny chaos. Nowe formy bytu ludów i narodów tego państwa nie są ustalone, a nawet nie można przewidzieć, kiedy i w jakiej postaci utrwali się tam nowy układ stosunków politycznych, gospodarczych i narodowościowych.

Wszystko znajduje się in statu nascendi. Należy przeto w ocenie rewolucji rosyjskiej zachować właściwą miarę i rezerwę, nie wyprowadzając zbyt daleko idących, *aktualnych* wniosków. Wszelako nie należy również pomniejszać znaczenia tego przewrotu z racji panującego chaosu. Przez fazę zamętu i chaosu, przez fazę najostrzejszych starć wewnętrznych, waśni, sporów, fanatyzmu i nieobliczalności, przeszły wszystkie bez wyjątku rewolucje polityczne. Jest to nieunikniona kolej rzeczy. Na żadnych gruzach politycznych nie powstaje natychmiast nowy gmach życia społecznego. Tembardziej podczas wojny, która ów chaos komplikuje i pogłębia. Po przewrocie, po zburzeniu dawnego porządku, następuje szereg wstrząśnień wewnętrznych; poprzednie normy stosunków socjalnych i prawno-państwowych nie dają się mechanicznie zastąpić nowemi, ponieważ te ostatnie, aczkolwiek dojrzałe w teorji, w świadomości mas i w sile ich dążeń, nie mają gotowych form realizacyjnych, które dopiero

podczas tych wstrząśnień są tworzone. Tak było zawsze i taką też zasadniczą logikę historji zachowuje przebieg rewolucji rosyjskiej, choć w wielu swych szczegółach bezprzykładnej.

Po okresie wstrząśnień, pewne tendencje nabiorą cech trwałości oraz pozyskają moc ustalenia nowych norm społecznego bytu. Tu należy postawić szereg znaków zapytania. Jaka realna synteza polityczna wyłoni się z obecnego chaosu sprzeczności, tego nikt chyba już dzisiaj ściśle określić nie zdoła. Wszakże już obecnie, z szeregu możliwości, jedną można usunąć z całą bodaj pewnością: powrót do dawnego ustroju. Olbrzymi krok naprzód jest faktem dokonanym i nieowołalnym, nie bacząc na wszystkie zagadkowe jeszcze perypetje dnia jutrzejszego. Jest faktem nieodwołalnym przez zniszczenie i spostsponowanie całego nimbu, jakim w świadomości i uczuciach swoich poddanych otoczony był carat w ciągu tylu stuleci; przez załamanie się tego niezbędnego oparcia, jakie znajdowała instytucja caratu w psychice miljonowych rzesz, przeistaczanej obecnie z siłą tak żywiołową; przez spotęgowane działanie zwycięskich idei demokratycznych, które wykreślają bieg dziejowych wydarzeń na obszarach całego państwa rosyjskiego. Działanie tych idei rozwija się poprzez kształty nieraz karykaturalne, poprzez projekty i poczynania najzupełniej zbędne i najzupełniej sztuczne, poprzez czyny utopijne i nieobliczalne, — rozwija się wśród zamętu i mozołu, lecz mimo wszystko, przyczynia się do powołania nowej, górującej ponad wszystkiem siły: demokratyzacji świata.

* * *

Rewolucja rosyjska rzuca silny refleks na inne państwa Europy, choć zmiany, jakie się w tych państwach odbywają obecnie, mają dość głębokie źródła wewnętrzne, ażeby i bez wyłącznego wpływu rosyjskiego przewrotu, swe życie polityczne na nowe skierowywać tory. Wpływu tego pomijać nie należy. Najgłębszem jednak źródłem owych zmian jest tam również wojna i jej bezpośrednie konsekwencje, po trzech latach ujawnione. Działanie wojny na zmianę dotychczasowych form politycznego ustroju, odbywa się w innych państwach innemi

drogami, w odmiennych formach, lecz w tym samym kierunku: powszechnej demokratyzacji.

Zwycięskie Niemcy dźwigają brzemię wojny z tytanicznym wysiłkiem, rozłożonym w mniejszej lub większej mierze na wszystkich niemal obywateli tego państwa. W parze z tym zbiorowym wysiłkiem, rosła i krzepła świadomość równych politycznych praw obywateli, ponoszących tyle ofiar w solidarnej obronie bytu narodowego. Zarówno w wielkanocnem orędziu cesarskiem o reformie wyborczej, jak i w przemówieniach byłego kanclerza o przyszłości Niemiec, nie mówiąc już o licznych wystąpieniach przedstawicieli niemieckiej demokracji, ten właśnie moment: równych praw politycznych, jako koniecznego wyniku solidarnej ofiary, był dobitnie podkreślany. Wszelako nie chodzi tu o jakowąś rekompensatę przeżytych cierpień i nagrodę za spełnione obowiązki. Jest to proces, płynący z głębi wzbogaconej świadomości miljonowych rzesz, których patrjotyczna wola była podstawą zwycięstw militarnych i których realne potrzeby dyktują konieczność ustanowienia nowego porządku w życiu wewnętrznem narodu. Zmieniły się warunki gospodarcze i polityczne. Niemcy demokratyzują się. I jest to również największa dla narodu niemieckiego zdobycz, której nadejście przyspieszyła wszechświatowa wojna, choć zdobycz taka nie była zamierzona w początkowych tej wojny założeniach. Zarazem ów rosnący tryumf demokracji niemieckiej, w związku z trudami wojny, czyni zrozumiałem szczere jej i nieukrywane dążenie do pokoju, które znalazło swój zdecydowany wyraz w ostatniej deklaracji pokojowej niemieckiego parlamentu, a które również znajduje coraz głębszy oddźwięk w demokracjach państw nieprzyjacielskich.

W Austrji czynione są przygotowania do zmiany konstytucji. Otwiera to nową erę w dziejach dziewięciu narodów w skład Austrji wchodzących. Zmieniają się tam dotychczasowe racje państwowe. Przewrót sięga do samych podstaw politycznego ustroju. Wojna i tu wzmocniła wymagania narodów, uczyniła ich cele pełniejszymi i w dążeniu do osiągnięcia ideału równości i wolności posuniętymi jaknajdalej.

Upadek hr. Tiszy stwierdził znaczną przewagę sił po stronie zwolenników reformy wyborczej na Węgrzech która również

wprowadzi życie tego państwa na tory zwycięskiej demokracji.

Nie powiększajmy szeregu przykładów. Przytoczone tutaj, a należące do kategorji faktów najdonioślejszych, wystarczą, by stwierdzić przeistaczający się obraz politycznej rzeczywistości państw europejskich, których życie, wśród pożaru świata, rozwija się zgodnie z drogowskazami, ustawionymi przez idee kierownicze demokracji na szlakach ewolucji dziejowej.

* * *

Tak więc zanikają już pierwotne pobudki wojny, wywołującej skutki, wręcz przeczące celom planowanym.

Międzynarodowy kapitał, doprowadzając w największem napięciu walki konkurencyjnej do wybuchu wojny, po trzech latach jej trwania, w wyniku jej bezpośrednim, choć niezamierzonym, powołał do życia w stokrotnie zwiększonej, niż poprzednio sile — międzynarodową demokrację.

Rozbudził jej żywioły, pogłębił jej źródła, zbliżył jej naczelne cele. Hypnoza nienawiści, sprowadzona na zbiorową psychikę mas wojujących, zaczyna rozwiewać się, jak ciężka mgła pod działaniem wichru, zaczyna ustępować miejsca nietylko już hasłom humanitarnym, lecz i realnemu budowaniu nowych podwalin międzynarodowej solidarności, opartej na zasadach powszechnej sprawiedliwości politycznej i gwarantującej istotnie trwały pokój. Kładzione są te podwaliny mimo trwania wojny, która działa jeszcze niejako siłą inercji, nie mogąc dotąd rozpleść całej sieci tylu i z taką mocą zaciśniętych węzłów gordyjskich. Miecz, który je przetnie, wykuwa się również w kuźni międzynarodowej demokracji. Czynnością przedwstępną są jej dotychczasowe konferencje i porozumienia.

Przednią strażą wszechświatowej demokracji jest socjalizm, który w ciągu wojny niepomiernie wzmógł się na swych siłach.

Racje podstawowe socjalizmu wojna potwierdziła w sposób bezapelacyjny. Nie poszczególne programy, nie przypuszczenia, kierunek i działalność jakiegokolwiek zpośród socjalistycznych odłamów, lecz potwierdziła i wzbogaciła samą ideę i jej hasła najpierwsze. Zarówno w dziedzinie przygotowujących się reform

socjalnych, jak i obecnych ewolucji politycznych. Te bowiem hasła wyrażają ducha rodzącej się epoki. W reformach i przewrotach, w niweczeniu politycznego status quo ante, w dziełach wojny, rozwój socjalizmu odnosi niewątpliwy, choć dopiero częściowy tryumf. Tryumfu tego sami socjaliści, nawet najwybitniejsi, nie mogą zapisać na rachunek swojej intuicji. Nie mogli bowiem przewidzieć, jakie to potwierdzenia ich podstawowej ideologii przyniesie przebieg wojny. Niektórzy wybitni przedstawiciele socjalizmu posuwali bardzo daleko swoje nadzieje, pokładane w wojnie: naprzykład Bebel i Kautsky już przed laty przepowiadali, że wojna europejska skończy się dyktaturą proletarjatu. We wszystkich jednak tego rodzaju hypotezach pisarze socjalistyczni popełniali wielką ilość, nieuniknionych zresztą błędów. Jest to więc zwycięstwo objektywne.

Jedną z naczelnych tez międzynarodowego socjalizmu było i pozostało twierdzenie, właśnie przez wojnę nadewszystko wzmocnione, że kwestje narodowościowe mogą znaleźć swe pełne rozwiązanie tylko na drodze powszechnej demokratyzacji życia społecznego, że tylko na skutek tego procesu nastąpić może całkowite nasycenie odrębnych, kulturalnych potrzeb każdego narodu, bez naruszenia wzajemnych praw i interesów w stosunkach międzynarodowych.

Kwestje narodowościowe są obecnie centralnym i najbardziej zawikłanym dylematem politycznym wszechświatowego stanu rzeczy, dylematem wojny i naczelnem zagadnieniem jej likwidacji. Żadna siła zbrojna nie da w tej mierze rozstrzygnięć ostatecznych, lecz właśnie odbywający się proces demokratyzacji świata. Zmienia on i stopniowo usuwa te dawne racje państwowe, które sprawiały, że dążenia narodów do pełni swej wolności i odzyskania swych praw nieprzedawnionych, znajdowały się w kolizji z interesem tego lub innego państwa. Powszechna demokratyzacja usuwa te kolizje, wprowadza harmonję tam, gdzie panowała nie dająca się dotychczas wyrównać sprzeczność najżywotniejszych interesów. W Rosji, naprzykład, dążenia poszczególnych narodów do zdobycia warunków swobodnego rozwoju nie mogły się pogodzić z dawnym jej interesem państwowym. Musiały się tam zmienić zasadnicze państwowe racje, aby otworzyć narodom tej części Europy drogę do wolności. Tak

samo w innych państwach, choć nie w tej samej mierze i nie taką samą drogą przewrotu. Tak samo — na całym obszarze stosunków międzynarodowych.

I na tle tych przemian znajdzie również swoje rozwiązanie sprawa polska.

Na początku wojny przeważająca większość socjalistów wszystkich państw wojujących stanęła u boku swych rządów w najbardziej naturalnym odruchu: obrony samego bytu narodowego. Jednocześnie uległy narazie pewnemu zawieszeniu walki wewnętrzne, zmierzające do reform socjalnych i politycznych. Podporządkowano się hasłu solidarnej obrony. Wojna jednak trwa zbyt długo, zmiany warunków są zbyt wielkie, by to hasło mogło pozostać jedynem i wyłącznem. Współrzędnie z najwyższem napięciem energji ku obronie bytu narodowego skierowanej, wznowiono walkę o reformy wewnętrzne, ukazując światu wskrzeszone prawdy międzynarodowej demokracji.

Żywioły antydemokratyczne słabną. Źródła reakcji i poczynań wstecznych stopniowo wysychają. Zakusy obozów szczątkowych tchną anachronizmem*) i na tle nowych czasów rysują się już w sposób karykaturalny.

Duch epoki dyktuje swoje prawa i rozkazodawcze wymagania.

Takie są bezpośrednie i najdonioślejsze wyniki trzech lat wojny.

27 Lipca 1917 r.

---

*) Drobny przykład: artykuł p. Ludwika Kulczyckiego w obronie rządów nieparlamentarnych jest chyba jednym z ostatnich tego rodzaju w historji Europy.

TREŚĆ.

Str.

Przedmowa 7

ROK 1915

Hasła wieczyste 11
Postawa Warszawy 13
Pokrajany dzwon 15
Białe plamy 16
Na wozach 18
Sądy polskie 20
Organizacja 22
Pierwszy sygnał 25
„Jeżeli wrócą" 26
Szkoła 28
Padające twierdze 32
Stronnictwa polityczne 34
Robotnik 38
Nowa faza 41
Pohańbiony orzeł 45
Katastrofa 46
Eks-posłowie 48
Trzeba zapomnieć! 50
Dwa miesiące 53
Na dzień zmarłych 57
Pogłoska o pokoju 59
Dni historyczne 62
Z historji Warszawy w czasie wojny 63
Stosunki polsko-żydowskie w czasie wojny 75

ROK 1916

Rok 1915 89
Parę wspomnień 91
Program milczenia 96
Dwie tablice 99

Str.

Światło prawdy 100
Mgła obywatelska 103
Fałszywy dokument 105
Jasne znaki 109
Wśród wygnańców 111
Niewzruszona zasada 113
Szyldy 116
Przegrana-wygraną 116
Skradziony dowcip 117
Informatorzy angielscy 117
Exodus miljonerów 118
Ruch oświatowy 119
Pomiędzy okopami 119
Złote myśli 120
O duchu Konstytucji 3 Maja . 121
Nikczemny syk 126
Święto pieśni 127
Warszawa 3 Maja 1916 roku . 127
Wielki mówca 131
Wymowa cyfr 132
Stare tradycje 133
Rzeczpospolita irlandzka . . . 133
Rzecz bohaterska 134
Dźwięk dolara 137
Sumienie Francji 137
Przestępcza ignorancja 139
Potworna zbrodnia 139
Zakryty napis 140
Pamięć tłumów 141
Serce obywatela 143
Sądy dziecka polskiego . . . 144
Tak się stanie 144
Przebudzenie 146
Polityka 147

Str.

Dwa obrazy 148
Odpowiedź 150
Nowa wojna 158
Wielki paradoks 159
Sądownictwo rosyjskie w Warszawie 159
Przed pierwszem posiedzeniem 161
Do radców stoł. m. Warszawy 161
O deklarację 163
Lapsus 163
Akord 164
Ewolucje 166
„Przestępstwo" 167
Dwa lata 167
Człowiek i orzeł 169
5 Sierpnia 1916 roku 169
Pamięci bohaterów 170
Roger Casement 172
Nie wypada 173
O nazwę ulicy 174
Kartofel i szpada 174
Brak słów 175
Wysadzone mosty 176
Dawne wspomnienia 180
Na dwóch biegunach 181
Pytanie i odpowiedź 184
Sąd obywateli 185
Echo przeszłości 186
Falsyfikaty 188
Pomiędzy dwiema depeszami . 189
Wola narodu 190
Dwie opinje 194
Nasi mówcy 195
Wesołość więźniów 198
Chwila obecna 199
Z nastrojów Warszawy . . . 202
Witajcie! 203
Wkroczenie Legjonów do Warszawy 204
Odezwy 206
Duch sekciarstwa 207
Szczęść Boże! 208

Str.

Fanatyczne głowy 209
Wymowne cytaty 211
Nieporozumienie 213
Ś. p. Antoni Hłasko 214
Wielka chwila 216
Półkole 217
Neutralność 218
Prasa warszawska podczas wojny 219
Małe życie wielkiego narodu . 222

ROK 1917

U progu Nowego Roku . . . 227
Rasputin 228
Oszukiwanie Pana Boga . . . 229
Od słów do czynu 231
Pouczający dokument 232
Głos generałów rosyjskich . . 235
Rozróżniajmy! 237
Dziennikarz i czytelnik . . . 240
Paszkwile 242
Znoszenie śladów niewoli . . 243
Czasem nie chce się pisać . . 244
Głos historji 245
O rewolucji w Rosji 247
Radość Gustawa Hervé . . . 253
Obcy żywioł 254
Narody Rosji 255
Duch Ludwika XVI-go . . . 257
Los historji 258
Postęp świata 259
Siła faktów dokonanych . . . 261
Rola socjalistów 262
„Co słychać?" 264
Cynizm i tupet 264
Obozy polskie w Rosji . . . 267
Nieśmiertelny temat 268
Sztandary 270
Konferencja sztokholmska . . 271
Rosja i koalicja 272
Poszum frazesów 275
Wskrzeszone prawdy 279

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WDP
31078/2